Wspomnienia

prabuckich Kresowian

Wspomnienia prabuckich Kresowian

Słowo wstępne

jesteśmy mimo wszystko
stróżami naszych braci
niewiedza o zaginionych
podważa realność świata
. . . . . .
musimy zatem wiedzieć
policzyć dokładnie
zawołać po imieniu
opatrzyć na drogę

Z wiersza Zbigniewa Herberta
Pan Cogito o potrzebie ścisłości

Oddajemy w Państwa ręce książkę „Wspomnienia prabuckich Kresowian". Jest to książka wyjątkowa, ponieważ stanowi niezwykłą relację świadków, którzy przeżyli nieludzki czas mordów dokonanych przez oddziały OUN-UPA na ludności polskiej Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej.

Idea książki zrodziła się już podczas pierwszych spotkań grupy założycielskiej Prabuckiego Stowarzyszenia Kresowiaków w 2005 roku. Inicjatorami tego pomysłu byli pasjonaci historii Kresów oraz współtwórcy stowarzyszenia - Andrzej Mosiejczyk i Jędrzej Krasiński. Celem, który przyświecał pomysłodawcom, było spisanie wspomnień żyjących mieszkańców miast, wsi, przysiółków i chutorów. Mając świadomość nieuchronności upływu czasu, Andrzej i Jędrzej postanowili spisać relacje, które ocalą pamięć o ludziach i miejscach.

Na książkę składają się relacje 27-miu prabuckich Kresowian, którzy wspominają swoje dzieciństwo, rodziców, sąsiadów. Wiele wątków dotyczy stosunków polsko-ukraińskich. Bezcenne są wspomnienia pionierów, którzy jako pierwsi zasiedlali nasze miasto i gminę, tworząc powojenną rzeczywistość Prabut. Ich wspomnienia są opowieścią nie tylko o wydarzeniach, ale stanowią świadectwo bolesnej traumy, z którą przyszło im żyć całe dziesięciolecia.

Polityka historyczna powojennej komunistycznej Polski traktowała historię selektywnie, nie dopuszczając faktów, które mogłyby naruszyć zaufanie nie tylko do samego Związku Sowieckiego, ale też krajów federacji sowieckiej, w tym Ukrainy. Obawa przed represjami, ból i wspomnienia powodowały, że wielu nie chciało wracać do ciężkich przeżyć czasów wojny. Zmiana ustrojowa i otwarcie archiwów rzuca nowe światło na fakty, które jeszcze niedawno były niepodważalne. Niestety, nie wszystkie obszary zaniedbań w polityce historycznej zostały pokonane. W dalszym ciągu zbrodnicza działalność nacjonalistów ukraińskich czeka na dotarcie do powszechnej świadomości.

Państwo, jakim jest niepodległa Ukraina, aspirujące do Unii Europejskiej, winno rozliczyć się z historią i uznać, iż w wyniku ideologii nacjonalistycznej doszło do zbrodni, której wydarzeniami wojny nie da się usprawiedliwić. Należy pamiętać, że w czasie tak tragicznych wydarzeń sprzed ponad 70 lat byli również „sprawiedliwi Ukraińcy", a dzisiejsze państwo ukraińskie nie

ponosi żadnej odpowiedzialności za zbrodnie, które miały miejsce w czasie drugiej wojny światowej. Strona polska wykazała wiele aktów dobrej woli w normalizacji stosunków polsko-ukraińskich, uznając niepodległość Ukrainy, potępiając akcję „Wisła", czy uznając „Wielki Głód" za ludobójstwo na narodzie ukraińskim. Historycy różnie określają liczbę ofiar i należy wyraźnie podkreślić, że ofiarami byli również Ukraińcy, którzy nie poddali się nacjonalistycznemu terrorowi. Wielu sympatyzowało ze swoimi polskimi sąsiadami, byli też i tacy, którzy w ramach małżeństw mieszanych nie chcieli „rezać" swoich bliskich i sąsiadów, kierując się miłością bliźniego i zwykłą ludzką przyzwoitością.

W dzisiejszym sporze nie idzie o szacowanie liczby ofiar, ale o znacznie więcej. Pamięć o ludobójstwie jest niestety ofiarą kalkulacji politycznej. Wielu obawia się, że podjęcie tematu ludobójstwa zaszkodzi stosunkom polsko-ukraińskim, ale jedynie na prawdzie można budować pojednanie. W wyniku wieloletniego przemilczania tej zbrodni pamięć o „rzezi wołyńskiej" z trudem przedziera się do opinii publicznej. Książka, która trafia w Państwa ręce, ma tę lukę wypełnić.

Na koniec chciałbym podziękować Wszystkim, którzy zdecydowali się na wywiad, bo to oni są bohaterami tej książki. Dzięki ich świadectwu została zachowana pamięć o tamtym czasie, tamtych ludziach, tamtym Wołyniu. Dziękuję Barbarze Próchnickiej, Jędrzejowi Krasińskiemu i Tomaszowi Wandzlowi, że cierpliwie spisywali historię prabuckich Kresowian. Dla porządku należy wspomnieć, że książka została wydana staraniem Urzędu Miasta i Gminy w Prabutach przy współudziale środków Unii Europejskiej w ramach Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich.

Bogdan Pawłowski

Rys historyczny

Niniejsza książka stanowi zbiór relacji i świadectw osób, dziś mieszkańców położonych na Powiślu Prabut[1], a niegdyś żyjących, nierzadko od wielu pokoleń na Wołyniu, czyli na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej[2]. Nie tylko dla historyka tego rodzaju zapisy stanowią istotny materiał poznawczy. Jest on również interesujący dla pasjonatów historii najnowszej, a szczególnie dla mieszkańców niegdysiejszego „Grodu Olbrzymów"[3]. Relacja stanowi swego rodzaju źródło wywołane[4]. W przypadku bohaterów naszej publikacji mamy do czynienia z „wywołaniem" tegoż źródła niemalże w ostatniej chwili. Należy mieć świadomość tego, iż w okresie Polski Ludowej pamięć Kresów była częstokroć przemilczana lub co najwyżej przytaczana w sposób wypaczony, pozbawiony ujęcia historiozoficznego. Również wspomnienia przybywających na ziemie zachodnie i północne tzw. pionierów przedstawiano w sposób nieprawdziwy.

Wydawnictwo jest znakomitą okazją, aby przypomnieć, iż PRL nie ścigała odpowiedzialnych za zbrodnie popełniane w okresie II wojny światowej na Polakach na Kresach Wschodnich, pozostawiając to w sferze działalności nowych sowieckich włodarzy tamtych ziem. Było to powodem, dla którego dawne podręczniki szkolne nie wspominały o zagładzie Kresów, a o rzezi Polaków na Wołyniu w szczególności. Dokumentację, zdjęcia, jakiekolwiek ślady tamtej tragedii przechowywano najczęściej w domowych zbiorach prywatnych. Dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia upadek systemu komunistycznego spowodował istotne w tym względzie zmiany. Już po transformacji mogły ukazać się pierwsze opracowania poświecone tragedii

[1] Powiśle stanowi trzeci obok Warmii i Mazur obszar tzw. Pomorza Mazowieckiego lub Mazowsza Pruskiego; *Warmia i Mazury...*, pod red. S. Zajchowska, M. Kiełczewska-Zalewska, Poznań 1953, s. 196. Wschodnia granica Powiśla przebiega wzdłuż rzeki Pasłęki, następnie biegnie wschodnim skrajem Wyżyny Elbląskiej. Południowa granica Powiśla trzyma się granicy polityczne II Rzeczpospolitej sprzed 1939 r.; R. Galon, *Powiśle*, [w:] *Warmia i Mazury...*, pod red. S. Zajchowska, M. Kiełczewska-Zalewska, Poznań 1953, s. 282.

[2] Kresy Wschodnie – przyjęło się ich mianem określać wszystkie tereny dawnej Rzeczypospolitej położone na wschód od tzw. linii Curzona; K. Jasiewicz, *Zagłada polskich Kresów. Ziemiaństwo polskie na Kresach Północno-Wschodnich Rzeczypospolitej pod okupacją sowiecką 1939–1941*, Warszawa 1998.

[3] „Gród olbrzymów" – Rieseburg, co można by tłumaczyć jako Riese – „olbrzym" i burg – gród; por. http://kwidzynopedia.pl/index.php?title=Prabuty.

[4] Por. J. Topolski, *Metodologia historii,* Warszawa 1984.

wołyńskiej[5]. Odnajdowali się świadkowie tamtych wydarzeń. Od lat zbieraniem relacji „świadków historii" zajmuje się Instytut Pamięci Narodowej, a także Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej, Stowarzyszenie Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów oraz Ośrodek „Karta". Prace te utrudnia z jednej strony czas, który już upłynął, z drugiej rozproszenie po Polsce i świecie bohaterów tamtych wydarzeń.

Wołynianie, których ciężkie, nierzadko tragiczne losy wojenne i powojenne poznajemy, byli z jednej strony świadkami okropieństw, zbrodni, nikczemnego niszczenia kilkusetletniej polskości Kresów Wschodnich, z drugiej, nie mniej pozbawionego lęku, a także niepewności, wysiłku budowy nowego polskiego życia na tzw. Ziemiach Odzyskanych, czy też jak chcą niektórzy politolodzy na „Kresach Północnych". W relacjach ich najdobitniej jednak, co należy przyznać, przebijają tragiczne doświadczenia dokonanego przez ich ukraińskich sąsiadów okrucieństwa, jakiego doznali na Wschodzie. Poznajemy więc w ten sposób kilkadziesiąt ostatnich lat z najnowszej historii Polski. Przekonujemy się, w oparciu o prezentowane wspomnienia, iż już na długo wcześniej, przed II wojną światową, mieliśmy do czynienia z próbami niszczenia polskości Kresów. Dowiadujemy się o karkołomnych próbach rusyfikacji polskiego Wschodu w XIX wieku, za czasów Rosji carskiej; o tragediach z okresu wojny polsko-bolszewickiej z lat 1919-1921. Dla tamtejszych mieszkańców była to od pokoleń nieustanna walka o przetrwanie, zachowanie życia. Rzeź wołyńska stanowi zatem kolejny, kulminacyjny akt tej tragedii. Z opowieści świadków wydarzeń dowiadujemy się, iż doświadczyli oni w czasie II wojny światowej, trzech, a może i czterech okupacji: sowieckiej, niemieckiej, ukraińskiej i po raz kolejny sowieckiej. Dodatkowo jeszcze skazani zostali z jednej strony na zapomnienie, a także na tułaczkę i podjęcie trudu budowy swojej codziennej egzystencji w nowych warunkach politycznych, ustrojowych i gospodarczych, i to od podstaw, na nowej ziemi. Opis sytuacji,

[5] Wymieńmy tu: J. Turowski, W. Siemaszko, *Zbrodnie nacjonalistów ukraińskich dokonane na ludności polskiej na Wołyniu 1939-1944,* Warszawa 1990, czy E. Siemaszko, W. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939-1945,* Warszawa 2000.

jaką w 1945 r. ludność wypędzona z Kresów zastała na terenach tzw. Ziem Odzyskanych, jest zatem szczególny. Jedna i druga część zawartej w tomie opowieści jest tym cenniejsza, że jest to ostatnia szansa uchwycenia tych relacji.

***

Powtarzane przez władze komunistyczne sformułowanie „repatriacja" na oznaczenie wypędzenia Polaków ze Wschodu, jak i termin „repatrianci" były kłamliwe. Sugerowały one, iż Polacy na Kresach nie zamieszkiwali Polski, a sama ich tam obecność miałaby wynikać z jakiejś niegdysiejszej emigracji. Dopiero sytuacja polityczna, jaka wytworzyła się po 1944 r., miałaby stwarzać „słuszną" możliwość „powrotu" tych osób do Polski. Tymczasem Polacy na Kresach byli u siebie, byli jak byśmy to określili, ludnością autochtoniczną. Obecność ziem wschodnich, w tym Wołynia, w granicach państwa polskiego ma kilkusetletnią tradycję. Dlatego wypędzenie Polaków ze Kresów można nazwać jedynie ekspatriacją, czyli pozbawieniem ziem ojczystych. Cywilizacja zachodnia, a więc polska na Wschodzie kończyła się tam, gdzie znajdował się ostatni ratusz, symbol samorządu, który nie był bynajmniej wynalazkiem moskiewskiej barbarii. Był czas kiedy sam Wołyń, skąd pochodzą bohaterowie zebranych w niniejszym tomie relacji, znajdował się w Polsce środkowej. Wówczas kresy państwa stanowiły ziemie: połocka, smoleńska, czy kijowska. Wołyń wziął swą nazwę od hodowanych tam wielkich stad wołów, które latem pędzone były na zachód na targi odbywające się w Rzeczpospolitej i Niemczech. Można by rzec, iż w pewnym sensie Polacy na Wołyniu byli od zawsze. Co prawda szlachta polska od XIV wieku przemieszczała się, przyczyniając się do podnoszenia poziomu kulturalnego i cywilizacyjnego Europy Wschodniej, ale gro Polaków na Kresach stanowiło dawno już spolonizowane bojarstwo ruskie, od XV w. przejmujące polski język, strój, tryb życia, znacznie bogatszy, bardziej atrakcyjny i dający więcej swobody. Szybciej postępowała polonizacja tam, gdzie była przewaga języka polskiego. Przyjmowanie polskiej cywilizacji podwyższało status, co odbywało się bez wyraźnego przymusu. Częstokroć jedynie nazwiska wskazywały i do dziś wskazywać mogą

kresowe, nie rzadko szlacheckie pochodzenie. Jednym z dowodów na to są, posiadające kresowy rodowód, kończące się na „wicz" nazwiska, choć nie jest to jedynym tego rodzaju kryterium. Procesy polonizacyjne na Wołyniu nie ustały w okresie rozbiorów, choć zostały w znacznym stopniu spowolnione, co spowodowane było reperkusjami popowstaniowymi, kiedy masowo majątki uczestników powstań konfiskowane były przez Rosjan. Mimo to tzw. żywioł polski w dalszym ciągu był znaczący a cywilizacyjnie dominujący. Przykładowo to Polacy na Wołyniu stanowili znaczny odsetek osób piśmiennych. Dlatego pomimo braku państwowości, w dalszym ciągu na początku XX w. postępowała polonizacja górnych warstw społecznych.

Odzyskanie przez Polskę niepodległości umożliwiło pełny rozwój życia polskiego na Wołyniu. Niestety w tym czasie był to obszar w znacznej mierze zacofany gospodarczo. Wszelkie zapóźnienie było wynikiem ponad stuletniej polityki Rosji, która nie była zainteresowana rozwojem swoich zachodnich, nie rosyjskich przecież rubieży. Petersburgowi nie zależało na rozwoju wyższej od rosyjskiej kultury polskiej, tak samo jak nie było w interesie imperium pielęgnowanie świadomości „małoruskiej", jak nazywano tradycję ukraińską[6]. Wołyń przede wszystkim pozbawiony był przemysłu. Życie tam jakby zatrzymało się przed trzystu laty, w okresie przedindustrialnym. W dalszym ciągu przeważnie uprawiano trójpolówkę. Brak było rozwiniętych sieci dróg, szkół i szpitali. Zacofanie wyrażało się m.in. blisko siedemdziesięcioprocentowym analfabetyzmem. Na przestrzeni bez mała dwudziestu lat niepodległości Polski sytuacja zaczęła się poprawiać. Wspomniany analfabetyzm spadł do pięćdziesięciu procent. Wołyń dla II Rzeczpospolitej stanowił, tak jak Polesie duże znaczenie strategiczne, dodatkowo jeszcze odgrywał rolę znacznego obszaru mobilizacyjnego. Na Wołyniu znajdowały się wielkie majątki ziemskie, choć dominowały średnie i mniejsze gospodarstwa rolne. Województwo wołyńskie było

[6] „Od XIX w. w rosyjskiej części Ukrainy (zw. oficjalnie Małorosją) trwała rusyfikacja, prześladowanie kultury ukraińskiej (koncepcja rosyjskich nacjonalistów trójjedynego narodu rosyjskiego: Rosjanie, Białorusini, Ukraińcy)", zob. Encyklopedia PWN.

w latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku terenem wzmożonego osadnictwa wojskowego[7]. Co stanowiło, rozłożony na okres dwóch pokoleń, proces polonizacji Kresów Wschodnich[8]. Zwłaszcza po 1935 r., po śmierci Józefa Piłsudskiego[9], przystąpiono do akcji mających na celu asymilację mniejszości słowiańskich i polonizację kulturową Kresów, co miało sprzyjać konsolidacji nowego państwa[10]. Plastyczną, podatną na polonizację grupę stanowili przykładowo zamieszkujący Polesie Białorusini i tzw. tutejsi[11]. Naturalizacja ludności ukraińskiej nie przebiegała bez oporów. Znaczny odsetek Ukraińców był wrogu ustosunkowany do państwa polskiego. Działały ukraińskie organizacje terrorystyczne, w tym w 1929 r. powstała Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów[12], odpowiedzialna m. in. za zabójstwo ministra Spraw Wewnętrznych płk.

[7] M. Koprowski, *Kresy w II Rzeczypospolite*j, Warszawa 2012.

[8] „18 sierpnia 1926 r. minister spraw wewnętrznych Kazimierz Młodzianowski (*rząd Kazimierza Bartela)* przedstawił projekt „Wytycznych w sprawie stosunku władz rządowych do mniejszości narodowych". Uznano, iż celem polityki narodowościowej winna być asymilacja państwowa mniejszości, [w:] S. Helnarski. *Nacjonalizm: konflikty narodowościowe w Europie Środkowej i Wschodniej*, Warszawa 2001, s. 150.

[9] „Stało się to widoczne zwłaszcza po śmierci Piłsudskiego. Egzaltacje narodowe okazały się dominujące. Niemcy, Ukraińcy oraz w znacznej większości Żydzi odmawiali uznawania Polski za własne państwo.", [w:] *Polska, Europa, Afryka.* Pułtusk 2007. s. 121. „Po śmierci Piłsudskiego, 19 grudnia 1935 rozpoczął działalność, formalnie utworzony w marcu 1934, Komitet do Spraw Narodowościowych przy Radzie Ministrów. Miał on m.in. zajmować się opracowywaniem wytycznych dla polityki narodowościowej. Organem wykonawczym było Biuro Polityki Narodowościowej przy Prezydium Rady Ministrów, a w jego składzie znajdowała się Komisja Naukowych Badań Ziem Wschodu. Pierwszą kwestią podjętą przez Komitet do Spraw Narodowościowych było określenie statusu Kościoła prawosławnego w Polsce. Opowiedziano się za hamowaniem procesu ukrainizacji i białorutenizacji Cerkwi, a popieranie wyznawców prawosławia. Zalecano pozostawienie w liturgii języka starosłowiańskiego z wprowadzaniem aktywnym języka polskiego. [...] Do tego rząd zintensyfikował poparcie dla separatystycznych dążeń Łemków i Hucułów i przyjął plan polonizacji obszarów leżących na pograniczu polsko-ukraińskim (szlachta zagrodowa) oraz opowiedział się za potrzebą skolonizowania słabo zaludnionych obszarów wschodnich. Kompromisowo nastawione siły ukraińskie zostały zaskoczone polityka rządu polskiego. Oznaczało to fiasko uzgodnień poczynionych w 1935.", [w:] S. Helnarski. *Nacjonalizm*: *konflikty narodowościowe* ..., Warszawa 2001, s. 150.

[10] Na ten temat: R. Potocki, *Polityka państwa polskiego wobec zagadnienia ukraińskiego w latach 1930-1939*, Lublin 2003, R. Torzecki, *Polacy i Ukraińcy. Sprawa ukraińska w czasie II wojny światowej na terenie II Rzeczypospolitej*, Warszawa 1993.

[11] *Ibidem*, s. 13-14.

[12] G. Motyka, D. Libionka, *Antypolska Akcja OUN-UPA 1943–1944. Fakty i interpretacje*, Warszawa 2002. G. Motyka, *Ukraińska partyzantka 1942-1960. Działalność Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i Ukraińskiej Powstańczej Armii*, Warszawa 2006. R. Potocki, *Polityka państwa polskiego wobec zagadnienia ukraińskiego w latach 1930-1939*, Lublin 2003. W. Siemaszko, E. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939–1945*, Warszawa 2000. R. Torzecki, *Polacy i Ukraińcy. Sprawa ukraińska*…. R. Wysocki, *Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów w Polsce w latach 1929-1939*, Lublin 2003.

Bronisława Pierackiego[13]. Działalność ukraińskich nacjonalistów spowodowała[14] jednak nasilenie akcji pacyfikacyjnych ze strony państwa polskiego w drugiej połowie dekady lat trzydziestych[15].

Wybuch drugiej wojny światowej i realizacja postanowień paktu Ribbentrop–Mołotow, sprawiły, iż we wrześniu 1939 r. Wołyń został, jako część tzw. Ukrainy Zachodniej, dołączony do Związku Sowieckiego. Rosjanie postanowili nadrobić „niedopatrzenie" polityki władz carskich i przystąpili do wysiedlania ludności polskiej na Wschód[16]. Powodem było jedynie to, iż ktoś jest Polakiem. W tym czasie rozpoczynała się zagłada polskich elit na Kresach. Nierzadko ofiarami padały całe rodziny wraz z dziećmi i starcami. Znaczny odsetek osób transportowanych na Syberię i do Kazachstanu nie przeżyła wywózki. Autorzy relacji jako dzieci doświadczyli, o czym niejednokrotnie wspomnieli w swoich świadectwach, czym jest, wynikająca najczęściej z kompleksów cywilizacyjnych, nienawiść Rosjan do Polaków. Tych, co pozostali, próbowano pędzić do kołchozów. Bolszewicy likwidowali nauczanie w języku polskim, dokonywali prób ateizacji społeczeństwa, wprowadzając jednoczesny kult Stalina.

Próba sowietyzacji została przerwana w czerwcu 1941 r., kiedy Niemcy, w ramach realizacji planu „Barbarossa", zajęły Wołyń włączając go w obszar Komisariatu Rzeszy Ukraina ze stolicą w Równem. Niemcy pomimo tego, iż mieli w odróżnieniu od Rosjan, piękne, czyste i całe mundury, lśniące wozy pancerne, nie jak wcześniej czerwonoarmiści: karabin na sznurku, buty parciane i kufajkę, nie przywozili ze sobą wyższej kultury, ale zniszczenie i śmierć, rozpoczynała się druga okupacja. Dla nazistów Wołyń stanowił teren przyszłego osadnictwa niemieckiego w ramach programu „Ost"[17], który zakładał zagładę i deportację

[13] R. Potocki, *Polityka państwa polskiego wobec zagadnienia ukraińskiego*…, s. 109.

[14] L. Kulińska, *Działalność terrorystyczna i sabotażowa nacjonalistycznych organizacji ukraińskich w Polsce w latach 1922-1939*, Kraków 2009, s. 212.

[15] R. Litwiński, *Policja wobec UWO i OUN w II Rzeczypospolitej*, „Biuletyn IPN", nr 12/2010 (121).

[16] RS. Ciesielski, W. Materski, A. Paczkowski, *Represje sowieckie wobec Polaków i obywateli polskich*, Warszawa 200.

[17] A. L. Szcześniak, *Plan Zagłady Słowian. Generalplan Ost,* Radom, 2001.

Polaków i Ukraińców. Pozostać mieli tylko nieliczni, którym przypisana miała być rola niewolników[18].

Podsycanie waśni polsko-ukraińskich było na korzyść Niemców, choć trudno przyznać, by to Niemcy stali za zbrodniami popełnionymi przez Ukraińców. Niemniej od 1942 r. rozpoczął się największy koszmar polskiej ludności kresowej, określany jako trzecia okupacja – ukraińska. Bohaterowie zebranych w tomie relacji byli świadkami zbrodni ludobójstwa, bo tak jest ona określana przez Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu IPN. Było to ludobójstwo straszne i wielce okrutne. Nasi bohaterowie byli świadkami zagłady polskiego Wołynia. Ich relacje dostarczają też niejako odpowiedzi, dlaczego doszło do tej tragedii. Ukraińcy byli właściwie zachęceni przez Niemców, aby wykorzystali okazję i „oczyścili Ukrainę". Niemcy ich uzbrajali tworząc „policję ukraińską". Z opowieści dowiadujemy się, że Wołynianie wcześniej byli świadkami zagłady mieszkających tam również od stuleci Żydów. Ukraińcy mieli w przeprowadzanych egzekucjach Niemców wspierać. W tym miejscu dowiadujemy się, w oparciu o zebrane świadectwa, o okrucieństwach niemieckich względem ludności żydowskiej, choć jednocześnie i o przykładach udzielania przez Wehrmacht pomocy polskim rodzinom, dając im ochronę lub chleb. Być może właśnie udział Ukraińców w zagładzie Żydów spowodował, iż byli oni tak zaprawieni w mordach. Wobec polskich warstw przywódczych na Kresach, nauczycieli, urzędników, leśników, zastosowano te same metody, które wobec polskich elit stosowali Niemcy. Ukraińcy posiadali świadomość, że w czasie trwania zawieruchy wojennej należy prowadzić politykę faktów dokonanych. Przystąpiono więc do usuwania ludności polskiej z terytoriów spornych. Liczyli być może na powojenną organizację konferencji pokojowej, na której będą decydowały się granice, jak sądzili niepodległej Ukrainy. Wtenczas teren Wołynia, w ich przeświadczeniu byłby „czysty". Dlatego zapragnęli usunąć z Wołynia Polaków, dokonać czystki etnicznej[19]. Członkami zbrodniczych formacji, dokonujących mordów na Polakach, byli często ich

[18] *Adolf Hitler – rozmowy przy stole 1941-1944,* Warszawa 1996.

[19] G. Motyka, *Od rzezi wołyńskiej do akcji Wisła*, Warszawa 2011, s. 123-129.

ukraińscy sąsiedzi. Bywało, że ktoś znał się ze szkoły lub był nawet spowinowacony. Tam przecież żyły też liczne rodziny mieszane. Niestety Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów i Ukraińska Powstańcza Armia prowokowały wystąpienia chłopskie, tak by w atakach na polskie wsie zyskać wsparcie w postaci miejscowego chłopstwa, zwanego „czernią". Dalsza opowieść w każdej z relacji posiada fragmenty świadczące o zbrodniach ludobójstwa popełnianych na Polakach przez Ukraińców. Chociaż uczciwość każe przyznać, iż poznajemy też przypadki udzielania przez Ukraińców pomocy Polakom. Ostrzegania ich przed mającym niebawem nastąpić napadem.

Dodatkowo przy okazji opisów tułaczki, walki o przetrwanie, poznajemy w zebranych relacjach, swego rodzaju koloryt życia na Kresach. Dowiadujemy się, że na Wołyniu mieszkali Polacy, Ukraińcy, Żydzi, ale i Czesi, Ormianie, Niemcy. Prawdziwe polskie Kresy ze swoją mozaiką narodowościową i wyznaniową. Niestety ten świat został zniszczony. W relacjach powtarzają się miejscowości większe takie jak: Łuck i Równe, a także mniejsze, czasem dawne szlacheckie zaścianki lub osady mieszane, polsko-ukraińskie. Są: Lipniki, Peremenka, Antonówka, Janowa Dolina, Sarny, czy Kostopol.

UPA dokonywała trzech rodzajów napadów. Początkowo miały miejsce pojedyncze mordy, zwłaszcza we wschodniej części przedwojennego województwa wołyńskiego. Napadano na pojedyncze osoby lub małe grupki. Na leśników, przedstawicieli administracji, będących w czasie podróży, w czasie prac na polu lub w lesie. Wspominają autorzy relacji, podając jako przykłady członków własnych rodzin, ojców, braci, wujów. Następnie od 1943 r. napadano na małe osady polskie, gdzie mieszkało po kilka lub kilkanaście polskich rodzin, we wsiach, gdzie przeważał żywioł ukraiński lub takich położonych na uboczu. Pierwszy przypadek masowej rzezi miał miejsce 9 lutego 1943 r. w Parośli Pierwszej w powiecie sarneńskim, o którym mowa również we wspomnieniach. Następnie przyszedł czas na napady na większe skupiska polskich wsi. W kolejnych miesiącach będą zdarzały się rzezie także w powiatach kostopolskim, włodzimierskim i krzemienieckim. Były to już ataki bardziej zorganizowane[20]. Fala zbrodni przesuwała się w kierunku zachodnim. W połowie 1943 roku miało miejsce apogeum ukraińskich

zbrodni. Przeważnie mordowano w niedziele, kiedy Polacy gromadzili się w kościołach na mszach świętych. Często dochodziło do okrutnego torturowania przed śmiercią. Przecinano na pół piłą, ćwiartowano siekierą, wydłubywano oczy, palono żywcem, wypruwano trzewia widłami[21]. Napadano na domostwa. Dzieci mordowano przed rodzicami, aby zwiększyć ich cierpienie. Przeżyli ci, którzy w tym czasie przebywali poza domem, u rodziny, bądź w polu, czy lesie. UPA dokonywała też napadów na szpitale, mordując bezbronnych rannych i personel.

Polacy organizowali na Wołyniu samoobronę, jednak była ona zbyt mało liczna, słabo uzbrojona. Bardziej służyła jako straż podnosząca alarm w chwili napadu. Bywało, że wsie zmieniano w obozy warowne. Wsparcia udzielała Armia Krajowa, ale wszystko to było niewystarczające, a często i spóźnione.

Część miejscowości wymienianych w relacjach została zrównana z ziemią. Ukraińcy specjalnie palili polskie domostwa, zagrody, aby nikt tam się już nie sprowadzał. Palono dwory i folwarki, niszczono w ten sposób materialne ślady polskości tych ziem. Część wsi już nigdy się nie podniosła i już nie istnieje. Na Wołyniu zniszczono w sumie 1 150 polskich wiosek[22].

Ciężko stwierdzić, ile osób zamordowano. Trwała wojna, nikt dokładnie lub wcale tego nie dokumentował. Przypuszcza się, iż zginąć mogło sześćdziesiąt tysięcy Polaków, ale to szacunki. Nie wiadomo czasem, kto dokonał napadu, czy UPA, czy przebrani za Ukraińców, być może sowieccy partyzanci. Wedle niektórych hipotez za podsycanie i antagonizowanie stosunków polsko-ukraińskich odpowiedzialne było sowieckie NKWD[23]. Nie jesteśmy w stanie tego teraz przesądzić, gdyż za obecnych włodarzy Kremla mają badacze utrudniony, bądź niemożliwy dostęp do tajnych archiwów sowieckich. Faktem jest, że na nienawiści Ukraińców do Polaków najwięcej korzystalii Niemcy i właśnie Rosjanie.

[20] *Idem, Tak było w Bieszczadach*, Warszawa 1999, s. 112-113.

[21] A. Korman, *Ludobójstwo UPA na ludności polskiej,* Wrocław 2003, s. 95.

[22] W. Filar, *Wydarzenia wołyńskie 1939–1944*, Toruń 2008, s. 165, 166.

[23] A. Gogun, *Stalinowska wojna partyzancka na Ukrainie 1941–1944*, cz.2, [w:] „Pamięć i Sprawiedliwość", nr 1(11)/2007, Warszawa 2007, s. 119-144.

Koniec gehenny rzezi przyniósł front ze wschodu i Armia Czerwona. Niestety rozpoczyna się wówczas kolejna okupacja, to czas tzw. drugiego sowieta. Ocaleni polscy mieszkańcy Wołynia zmuszeni zostali, a niejednokrotnie sami świadomie, posiadając w pamięci horror rzezi, decydowali się opuścić swoją małą ojczyznę i rozpocząć tułaczkę na Ziemie Odzyskane.

***

Jadący na Zachód Wołynianie zabierali ze sobą to, co zdołali ocalić. Wyruszyli bydlęcymi wagonami w trwającą nieraz wiele tygodni podróż w nieznane. Wielokrotnie zmuszani byli całymi dniami stać na obcych stacjach. Tak dojechali do byłych Prus Wschodnich. To, że akurat większość naszych bohaterów zatrzymała się w Prabutach[24], było często wynikiem przypadku. Inni osiedlali się tu z powodu obecności dawnych sąsiadów z tej samej wołyńskiej wsi lub powiatu. Niektórzy osiedlali się właśnie w Riesenburgu, najzwyczajniej, ponieważ tu było ładnie[25]. Wszyscy zgodnie podkreślają, iż powszechna wówczas była niepewność jutra. Panowała bieda. Wszędzie spotkać można było okazujących swój triumfalizm Rosjan. Dopóki czerwonoarmiści stacjonowali w mieście, dopuszczali się napadów, zwłaszcza na mieszkających tu jeszcze niemieckich wdowach. Często grabili i podpalali okoliczne gospodarstwa. Kiedy Wołyniacy weszli do zniszczonego w sześćdziesięciu procentach miasta, zastali zgliszcza domów, tylko niektóre z nich nadawały się do zasiedlenia. Śródmieście spłonęło w trzy dni po zajęciu przez sowietów[26]. Początkowo

[24] Informacji na temat przesiedlonych z Wołynia nowych mieszkańców Prabut dostarczają szeroko archiwa, przede wszystkim Archiwum Państwowe w Olsztynie (dalej: APO), ale również a Archiwum Państwowym w Gdańsku (dalej: APG), gdzie odnajdujemy m.in. akta kościelne (APG, 89) oraz w Archiwum Państwowym w Elblągu z siedzibą w Malborku (dalej: APM), gdzie m.in. docieramy do prabuckich akt Urzędu Miasta i Gminy (APM, 256), Rady Narodowej (APM, 137), czy Urzędu Stanu Cywilnego (APM, 554). Razem blisko dwieście jednostek archiwalnych dotyczących dziejów Prabut.

[25] APO, 412/63, Zarząd Miejski w Prabutach, Sprawy różne, 1945r., Pismo Zarządu Miasta Prabuty do zawiadowcy stacji w Prabutach, Prabuty 5 VI 1945 r., k. 27.

[26] *Ibidem*, 412/17, Zarząd Miejski w Prabutach, Sprawy Ogólne 1946 r., Pismo Zarządu Ziemskiego w Suszu do Zarządu Miasta w Prabutach, Susz 3 VIII 1946 r., k. 143.

naliczono czterysta pięćdziesiąt niezniszczonych, zdatnych do zamieszkania domów[27]. W mieszkaniach znajdowano jeszcze ciała pomordowanych przez Rosjan byłych mieszańców. W powietrzu czuć było trupi jad. W mieście zamieszkałym przed wojną przez osiem tysięcy osób, zaraz w czerwcu 1945 r. przebywało jedynie ponad półtora tysiąca mieszkańców, z czego 1 056 stanowili tzw. napływowi, pozostawało też jeszcze 520 Niemców oraz 90 Mazurów i Warmiaków[28]. W tym czasie w mieście brakowało fachowców: hydraulików, elektromonterów, murarzy, zdunów. Należało uruchomić urządzenia komunalne. Elektrownia zniszczona była w dwudziestu pięciu procentach, gazownia w trzydziestu, rzeźnia w dwudziestu. Szkoła i szpitale wymagały remontu. Ocalały dwa hotele, dwie restauracje i dwie piekarnie[29].

Pracownicy magistratu, będący autentycznymi pionierami, pracowali początkowo po kilkanaście godzin dziennie. Zapłatą był tzw. chleb kartkowy i łyżka strawy[30]. Na początku w urzędzie miasta brakowało wszystkiego, podstawowego wyposażenia: papieru, atramentu, piór, obsadek, ołówków i spinaczy biurowych[31].

Z dokumentów magistratu poznajemy nazwiska osób zatrudnionych w zarządzie, poznajemy też dokładnie funkcje jakie wówczas pełnili. Od czerwca 1945 r. zatrudnieni byli: pełniący obowiązki burmistrza Józef Lipski, sekretarz Władysław Wiatrow, kierownik kancelarii Feliks Zochowski, w referacie wojskowym zatrudniony był Jan Domański, w mieszkaniowym Bogusław Matysek, przemysłowym Jan Zieliński, meldunkowym Piotr Ciszewski, rachunkowości Irena Wiśniewska, aprowizacyjnym Jadwiga Brzezińska i Jan Wittstock, w urzędzie stanu cywilnego Irena Sołtys, w referacie osiedleńczym Stanisław Cnabior, kasjerką była Józefa Cieślowa, kancelistką

[27] *Ibidem*, 412/63, Zarząd Miejski w Prabutach, Sprawy różne, 1945r., Formularz statystyczny wzór nr 2 dot. Pabut, Prabuty 15 VI 1945 r., k. 116.

[28] *Ibidem*.

[29] *Ibidem*.

[30] *Ibidem*, 412/1, Zarząd Miejski w Prabutach, Protokoły 1946 r., Odezwa, k. 6.

[31] *Ibidem*, 412/17, Zarząd Miejski w Prabutach, Sprawy Ogólne 1946 r., Pismo Przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej do Sekretarza Miasta Prabuty, Prabuty 5 XII 1946 r., k. 542.

Leokadia Furmanek, kancelarię ogólną prowadził Dominik Skonecki, kierownikiem stołówki była Krystyna Jakubowska; zatrudnieni byli też: lekarz weterynarii Michał Sitarek, agronom Antoni Carzastowski, a także liczni: stolarze, murarze, kucharki, magazynierzy, mechanicy, a nawet pastuchowie[32]. Od początku dbano o podnoszenie kwalifikacji pracowników magistratu. Brali oni udział w różnych kursach, np. biegłych rachmistrzów. Wówczas problemem było zorganizowanie dojazdu na kurs do Olsztyna, czy zapewnienie środków utrzymania dla delegowanych[33]. Na kurs rachmistrzów gminnych do Kętrzyna, trzeba było zabrać ze sobą: koc, poduszkę i prześcieradło[34].

Najbardziej palącym problemem stawało się wyżywienie mieszkańców. Kiedy udało się zorganizować ziarno, wówczas problemem stawał się jego przemiał[35]. W czerwcu zorganizowano prowizoryczny młyn, który mielił dla całego miasta[36]. Miasto zwracało się do majątków rolnych o wydanie masła[37]. Na pierwszą zimę mieszkańcy zebrali jeszcze poniemieckich zbóż ozimych z obszaru 177 ha. Władze miasta zwracały się do starostwa z prośbą o przydzielenie na potrzeby miasta okolicznego, będącego dziś rezerwatem przyrody, jeziora Liwieniec (wtedy jeszcze Schlosssee)[38], które miało w tym czasie być pełne ryb[39]. Był to ciężki czas przetrwania, kiedy nawet wydawanie butów było monitorowane przez władze miejskie[40]. Handel wówczas

[32] *Ibidem*, 412/21, Zarząd Miejski w Prabutach, Sprawy Personalne, Lista pracowników Zarządu Miasta, k. 7-9.

[33] *Ibidem*, 412/17, Zarząd Miejski w Prabutach, Sprawy Ogólne 1946 r., Pismo Zarządu Miejskiego w Prabutach do Delegatury Zarządu Okręgu Urzędu Likwidacyjnego, Prabuty 21 IX 1946 r., k. 232.

[34] *Ibidem*. Pismo Zarządu Powiatowego w Iławie do Zarządu Miejskiego w Prabutach, Iława 10 X 1946 r., k. 306.

[35] *Ibidem*. 412/63, Zarząd Miejski w Prabutach, Sprawy różne, 1945r., Pismo Zarządu Miasta Prabuty do młyna w Szadowie, brak daty, k. 40.

[36] *Ibidem*, 412/1, Zarząd Miejski w Prabutach, Protokoły 1946 r., Odezwa, k. 6.

[37] *Ibidem*, 412/63, Zarząd Miejski w Prabutach, Sprawy różne, 1945r., Pismo Zarządu Miasta Prabuty do majątku Mała Rudawa, Prabuty 23 VIII 1945 r., k. 41.

[38] *Ibidem*. Pismo Zarządu Miasta Prabuty do Zarządu Powiatu w Suszu, Prabuty 21 lipca 1945 r., k. 6.

[39] *Ibidem*, Pismo Starosty Suskiego do burmistrzów i wójtów powiatu, Susz 23 VII 1945 r., k. 93.

[40] *Ibidem*, 412/17, Zarząd Miejski w Prabutach, Sprawy Ogólne 1946 r., Pismo Zarządu Miejskiego w Prabutach do Jana Wittstocka, Prabuty 1 VII 1946 r., k. 31.

opierał się na wymianie. Tak było w przypadku odnalezionych w spalonym młynie turbin do dynama[41]. Innym razem magistrat przekazał trzy tysiące sztuk cegły palonej dla kolei, za co otrzymano trzy kotły do centralnego ogrzewania[42]. Handel wymienny komplikowała plaga gryzoni, która niszczyła zbiory. Bywało, że brakowało płodów rolnych, aby można było wymienić je na produkty przemysłowe[43].

Nadal panował strach przed napadami, przede wszystkim sowieckich maruderów. Władza sowietów była powszechna. Okoliczni osiedlający się chłopi zmuszani byli do obrabiania w czasie akcji żniwnej majątków zajętych przez Armię Czerwoną.[44] Kiedy od ludności miejscowej dowiedziano się, że zajęty przez sowietów majątek Rahnenberg był przed wojną własnością Prabut, domagano się jego zwrotu. Posiadanie takiego gospodarstwa miało ułatwić sprawę aprowizacji mieszkańców[45].

Zabroniono szabrownikom wywożenia ocalałego inwentarza lub wykopywania czegokolwiek z ziemi[46]. Szczególnie władze miasta dbały o zabezpieczenie wszelkich urządzeń przemysłowych przed rozbiórką, czy uszkodzeniem. MO została zobowiązana do wystawiania warty, m.in. przed mleczarnią miejską[47].

[41] *Ibidem*, 412/63, Zarząd Miejski w Prabutach, Sprawy różne, 1945r., Pismo Zarządu Miasta Prabuty do Zarządu Miejskiego w Lidzbarku, 18 VIII 1945 r., k. 72.

[42] *Ibidem*, 412/17, Zarząd Miejski w Prabutach, Sprawy Ogólne 1946 r., Pismo Polskich Kolei Państwowych Oddział Drogowy w Malborku do Odcinka Drogowego w Prabutach, Malbork , 27 IX 1946 r., k. 248.

[43] *Ibidem*, k. 406.

[44] *Ibidem*. 412/63, Zarząd Miejski w Prabutach, Sprawy różne, 1945r., Pismo Zarządu Miasta Prabuty do sołtysa Gontnen, Prabuty 24 VIII 1945 r., k. 38.

[45] *Ibidem*. 412/17, Zarząd Miejski w Prabutach, Sprawy Ogólne 1946 r., Pismo Zarządu Miejskiego w Prabutach do Wojewódzkiego Zarządu Ziemskiego w Olsztynie, Prabuty 28 VI 1946 r., k. 39. Potwierdzenie tych relacji odnajdywano w niemieckiej dokumentacji „Landwirtschaftliches Guter – Adrwssbuch Fur Die Prowinz Ostpreusen" oprac. O. Koller. Ibidem, Zarząd Miejski w Prabutach, Sprawy Ogólne 1946 r., Pismo Zarządu Miejskiego w Prabutach do Wojewódzkiego Zarządu Ziemskiego w Olsztynie, Prabuty 2 VII 1946 r., k. 122.

[46] *Ibidem*, 412/63, Zarząd Miejski w Prabutach, Sprawy różne, 1945r., Zaświadczenie Zarządu Miasta Prabuty, Prabuty 21 VIII 1945 r., k. 63.

[47] *Ibidem*, Zarząd Miejski w Prabutach, Sprawy różne, 1945r., Zarząd Miasta Prabuty do MO w Prabutach, Prabuty 31 VIII 1945 r., k. 115.

Osiadłszy w Prabutach nowi mieszkańcy, oprócz urządzania od podstaw życia, zajęci byli poszukiwaniem zaginionych członków rodzin[48]. Jak wynika z zachowanych, udzielanych przez urząd miasta specjalnych przepustek, czynili to jeżdżąc po niemal całej nowej Polsce[49]. Wspierał ich w tym Polski Czerwony Krzyż[50].

Kiedy już zapewniono najpilniejsze potrzeby, wówczas przystąpiono do dźwigania Prabut z ruin, które ciągnęło się całymi latami[51]. W pamięci przyjezdnych zapisał się nieczynny sowiecki czołg, który długo stał na ulicy Kraszewskiego, tarasując przejazd. Wydarzeniem na miarę całej osady stawało się zepchnięcie tego czołgu na pobocze. Długi czas problem stanowiło wywrócone drzewo na chodnik przy ul. Warszawskiej. Pierwszym problemem było uporanie się z zagrażającymi przechodniom budynkami[52]. Brakowało ludzi i środków do porządkowania[53]. We wrześniu 1945 r. burmistrz pytywał starostę, czy miasto może liczyć na pomoc państwa przy odbudowie. Odpowiedz przyszła, iż póki co żadnej pomocy nie uzyska[54]. Problemem były materiały budowlane. Nie brakowało co prawda cegieł, te mogły pochodzić z rozbiórki, ale za to całkiem nie było cementu i zaprawy murarskiej[55].

[48] *Ibidem*, 412/62, Urząd Miejski w Prabutach, Sprawy różne 1945 r., Podanie do Zarządu Miasta w Prabutach, Prabuty 1 IX 1945 r., k. 17.

[49] *Ibidem*, Podanie do Zarządu Miasta w Prabutach, Prabuty 25 VIII 1945 r., k. 7.

[50] *Ibidem*, 412/63, Zarząd Miejski w Prabutach, Sprawy różne, 1945r., Starosta Suski do burmistrzów i wójtów z powiatu, Susz 4 VII 1945 r., k. 26.

[51] *Ibidem*, 412/63, Zarząd Miejski w Prabutach, Sprawy Różne 1945 r., Zarząd Miasta w Prabutach do Starostwa Powiatowego w Suszu, Prabuty 28 VIII 1945 r., k. 47.

[52] *Ibidem*, 412/11, Zarząd Miejski w Prabutach, Referat Ogólny, Ogólniki i zarządzenia, 1947 r., Pismo Wydziału Samorządowego Urzędu Wojewódzkiego Olsztyńskiego do starostów powiatowych, Olsztyn 19 XII 1945 r., k. 13.

[53] *Ibidem*. 412/63, Zarząd Miejski w Prabutach, Sprawy różne, 1945r., Pismo Magistratu Miasta Prabuty do dzielnicowego, Prabuty 2 VII 1945 r., k. 28.

[54] *Ibidem*. 412/21, Zarząd Miejski w Prabutach, Sprawy Personalne, Pismo Starosty Powiatowego w Suszu do Burmistrza Miasta Prabuty, Susz 2 X 1945 r., k. 1.

[55] *Ibidem*, 412/63, Zarząd Miejski w Prabutach, Sprawy różne, 1945r., Pismo Zarządu Miasta Prabuty do Starostwa Suskiego, 14 VIII 1945 r., k. 99.

W sierpniu 1946 r. czyniono usilne starania o organizację oświetlenia w Prabutach, czyli przeciągnięcia nowej linii. Wcześniej jeszcze dokonano zabezpieczenia sprzętu elektrycznego[56]. Elektrownię miejską uruchomiono we wrześniu 1946 r., wykorzystując przy tym turbinę wodną pochodzącą ze spalonego młyna. Linie przesyłowe były jednak w osiemdziesięciu procentach zniszczone. Udało się postawić piętnaście punktów oświetleniowych[57]. Władze miasta dbały o każde urządzenie, tym bardziej, że jak informowano w 1945 r. starostwo, na terenie miasta nie było żadnego większego zakładu przemysłowego[58]. Dawna fabryka maszyn i urządzeń rolniczych Bartels & Co, co prawda ocalała, i to z niewielkimi uszkodzeniami, była jednak zdewastowana. Problematyczne stawało się, kto ma być jej właścicielem[59]. Inne obiekty przemysłowe remontowano, które, jak wieża ciśnień, groziły zawaleniem[60]. Do Prabut z czasem wyrażali chęć przybycia przedsiębiorcy. Jednym z pierwszych był właściciel drogerii, który zwracał się z pytaniami do władz miasta o warunki jakie panują w Prabutach. Pytał o liczbę mieszkańców, o wolne domy, o to, czy jest na miejscu lekarz, czy jest stacja paliw, czy odbywają się targi, jak często i jak daleko jest do najbliższego większego miasta[61]. W przypadku przedsiębiorcy drogeryjnego magistrat odpowiedział zachęcając, iż „lokal się znajdzie, a co do egzystencji, to trzeba samemu przyjechać i przekonać się"[62].

Relacje przypominają skąd w prabuckiej kolegiacie znalazły się organy,

[56] *Ibidem*, 412/17, Zarząd Miejski w Prabutach, Sprawy Ogólne 1946 r., k. 209.

[57] *Ibidem*. Zarząd Miejski w Prabutach, Sprawy Ogólne 1946 r., Pismo Zarządu Miejskiego w Prabutach do Zakładu Energetycznego Oddział w Olsztynie, Prabuty 12 IX 1946 r., k. 212.

[58] *Ibidem*, Pismo Zarządu Miejskiego w Prabutach do Starostwa powiatowego Iławie, Prabuty 15 X 1946 r., k. 219.

[59] *Ibidem*, Pismo Zarządu Miejskiego w Prabutach do Ambasady Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej w Warszawie, Prabuty 17 XII 1946 r., k. 525.

[60] *Ibidem*, Zarząd Miejski w Prabutach, Sprawy Ogólne 1946 r., Pismo Zarządu Miasta Prabuty do Wojewódzkiego Wydziału Odbudowy w Olsztynie, Prabuty 2 X 1946 r., k. 258.

[61] *Ibidem*, k. 256.

[62] *Ibidem*, Pismo Zarządu Miejskiego w Prabutach do Stefana Smorawińskiego, Prabuty 12 XI 1946 r., k. 348.

z jakiego innego trafiły kościoła. Jednym z elementów powojennej wspólnej tożsamości mieszkańców Prabut, co znajduje swoje odzwierciedlenie w relacjach, jest osoba ojca Czesława Klimuszki. Ten franciszkanin, wizjoner, jasnowidz, miał po wojnie, wykorzystując swoje umiejętności, często pomagać w ustalenia, czy ktoś z członków rodzin wołyńskich żyje, a jeżeli tak, to gdzie zastał go koniec wojny.

Przybywający do Prabut Wołyniacy starali się o pracę m.in. w magistracie. Również w podaniach o przyjęcie pojawiały się informacje o przeżytej tragedii, o zamordowanym przez banderowców ojcu.[63] We wrześniu 1946 r. Prabuty zamieszkiwało 2 655 osób. Z czego 1 432 przesiedleńców ze Wschodu, 1 008 osiedleńców z Polski centralnej, 203 Warmiaków i Mazurów oraz 13 Niemców[64]. Często, kiedy słano petycje do starostwa, podkreślano ubogość społeczeństwa nowych Prabut, wspominano, iż siedemdziesiąt procent mieszkańców stanowią przesiedleńcy ze Wschodu[65].

Organizowanie normalnego życia wymagało zorganizowania szkolnictwa. Dbano o obowiązek szkolny[66]. Poszukiwano nauczycieli[67]. Uruchomienie szkoły rozpoczęto od przeprowadzenia spisu tego, co zastano w budynku. W 1945 r. znajdowało się: 230 ławek, 12 stołów, 15 szaf, 10 krzeseł[68]. W roku szkolnym 1946/1947 w szkole powszechnej było 440 uczniów, a w przedszkolu 70 wychowanków[69]. Prawdziwy problem stanowiło

[63] *Ibidem*, 412/21, k. 1.

[64] *Ibidem*, 412/17, Zarząd Miejski w Prabutach, Sprawy Ogólne 1946 r., Pismo Zarządu Miejskiego w Prabutach do Starostwa Powiatowego Suskiego w Iławie, Prabuty 4 XI 1946 r., k. 218.

[65] *Ibidem,* Pismo Zarządu Miejskiego w Prabutach do Zakładu Energetycznego Oddział w Olsztynie, Prabuty 12 IX 1946 r., k. 212.

[66] *Ibidem*, k. 230.

[67] *Ibidem*, 412/63, Zarząd Miejski w Prabutach, Sprawy różne, 1945r., Pismo Magistratu Miasta Prabuty do Inspektoratu Szkolnego w Suszu, Prabuty 25 VII 1945 r., k. 1.

[68] *Ibidem*.

[69] *Ibidem*, 412/17, Zarząd Miejski w Prabutach, Sprawy Ogólne 1946 r., Pismo Zarządu Miejskiego w Prabutach do Starostwa Powiatowego Suskiego w Iławie, Prabuty 15 XI 1946 r., k. 375.

ogrzewanie szkoły podstawowej. Magistrat był informowany przez dyrektora szkoły, grożącego zamknięciem placówki i powiadomieniem kuratorium[70]. Znaczny problemem stanowiło też wyposażenie szkoły w wagę i lampę kwarcową[71]. Uwagi wymagały sieroty i półsieroty, którym trzeba było prędko zorganizować ochronkę. W lipcu 1945 r. w Prabutach przebywało 101 dzieci w wieku od 3 do 6 lat i 224 dzieci od 7 do 14 lat wymagających pomocy[72].

Zaraz po wojnie szczególną uwagę zwracano na zagrażające społeczeństwu choroby zakaźne. Prognozowano wybuch epidemii[73]. Rychło władze miejskie zabezpieczyły majątek służby zdrowia[74]. Podobnie inwentaryzowano też ocalałe urządzenia aptekarskie[75]. Jedną z pierwszych decyzji magistratu było uruchomienie na polecenie ministerstwa zdrowia szpitala chorób zakaźnych[76]. Szeroko informowano o szczepieniach, m.in. przeciwko durowi brzusznemu[77]. Picie wody ze studni lub z jeziora było wysoce niebezpieczne, ale do czasu uruchomienia wieży ciśnień tylko taka woda była dostępna. Groźną sytuację komplikowała też plaga gryzoni. Był to taki czas, kiedy szpital, aby zapewnić wyżywienie dla pacjentów, zaopatrywany był również w swój inwentarz. Komisja rozdzielnicza przekazała w 1945 r. na rzecz szpitala dziesięć krów,

[70] *Ibidem*, Pismo kierownika szkoły w Prabutach do Urzędu Miejskiego w Prabutach, Prabuty 19 X 1946 r., k. 441.

[71] *Ibidem*, Pismo kierownika szkoły w Prabutach do Urzędu Miejskiego w Prabutach, Prabuty 20 XI 1946 r., k. 565.

[72] *Ibidem*, 412/63, Zarząd Miejski w Prabutach, Sprawy różne, 1945r., Pismo Magistratu Miasta Prabuty do Inspektoratu Szkolnego w Suszu, Prabuty 25 VII 1945 r., k. 1.

[73] *Ibidem*, k. 100.

[74] *Ibidem*, k. 52.

[75] *Ibidem*, 412/17, Zarząd Miejski w Prabutach, Sprawy Ogólne 1946 r., Spis rzeczy znajdujących się w magazynie przy ul. Szerokiej pochodzących z magazynku Urzędu Miasta, k. 207.

[76] *Ibidem*, 412/63, Zarząd Miejski w Prabutach, Sprawy różne, 1945r., Pismo Magistratu Miasta Prabuty do dzielnicowego, Prabuty 2 VII 1945 r., k. 28. Por. http://www.szpitalprabuty.pl/pl/pages/historia-szpitala.

[77] *Ibidem*, 412/17, Zarząd Miejski w Prabutach, Sprawy Ogólne 1946 r., Pismo Urzędu Miejskiego w Prabutach do Urzędu Miejskiego w Prabutach w sprawie obowiązkowych szczepień, Prabuty 18 VII 1946 r., k. 76.

trzy kolejne dostał PCK. Reszta, tj. pięć krów trafiło do szkoły[78].

Na ulicach było coraz mniej widać Niemców, a ci, którzy wychodzili na nie, objęci byli nakazem noszenia na prawej piersi odznaki, tj. pięciocentymetrowej czarnej litery „N". Magistrat opracowywał listę osób, które pomimo nierzadko posiadania polsko brzmiących nazwisk a także i imion, deklarowały niemieckość, bądź uznane za Niemców, wytypowane zostały do opuszczenia Prabut. Z powodu trwającej kilkadziesiąt lat intensywnej germanizacji, wiele problemów nastręczało ustalenie, kogo uznać za Niemca. Przesiedlane do Niemiec były przede wszystkim kobiety w podeszłym wieku, wdowy[79].

Od początku ustalano miejsca martyrologii narodu polskiego, byłe niemieckie obozy, miejsca straceń[80]. Równolegle przystępowano też do porządkowania sytuowanych przypadkowo grobów żołnierzy polskich i sowieckich. Polecano ogrodzić cmentarze, darniować groby oraz umieszczać tabliczki z odpowiednimi napisami[81]. Jako wyraz troski o dziedzictwo kulturalne należy wymienić sporządzanie spisów znajdujących się w pobliżu budynków pokrzyżackich, zamków, kościołów, a także byłych niemieckich muzeów i bibliotek.[82]

Organizacja polskiego życia wymagała uporządkowania przestrzeni miejskiej. Usuwano wszelkie przejawy niemieckości z: napisów, szyldów, nazw ulic i placów. Starosta suski mjr Borowiecki najszybciej zadbał o postawienie, choć prowizorycznych, ale polskojęzycznych drogowskazów na rogatkach miasta[83]. Elementem walki z niemieckością było też wzniesienie pomnika Matki Boskiej,

[78] *Ibidem*, Zarząd Miejski w Prabutach, Sprawy różne, 1945r., Pismo Urzędu Miejskiego Prabuty do Przewodniczącego Komisji Rozdzielniczej w Suszu, Prabuty 19 VIII 1945 r., k. 71.

[79] *Ibidem*, Lista osób narodowości niemieckiej przeznaczonych do wysiedlenia, k.19-23.

[80] *Ibidem*, Pismo Referatu Kultury i Sztuki Starostwa Powiatowego w Suszu do burmistrzów i wójtów powiatu suskiego, Susz 6 VII 1945 r., k. 109.

[81] *Ibidem*, Pismo Referatu Kultury i Sztuki Starostwa Powiatowego w Suszu do burmistrzów i wójtów powiatu suskiego, Susz 16 VII 1945 r., k. 107.

[82] *Ibidem*, Pismo Referatu Kultury i Sztuki Starostwa Powiatowego w Suszu do burmistrzów i wójtów powiatu suskiego, Susz 4 VII 1945 r., k. 108.

[83] *Ibidem*, k. 7.

o co zabiegał sam burmistrz Józef Lipski[84]. Franciszek Pokojski - kierownik szkoły proponował, by usunąć napisy niemieckie i tablicę pamiątkową na spalonym poniemieckim gimnazjum przy ul. Grunwaldzkiej, upamiętniającą pobyt marszałka Paula von Hindenburga ze sztabem na jesieni 1914 r.[85].

Nowych nazw ulic i placów należało dokonać w oparciu o wytyczne władz centralnych. Chcąc podkreślić doniosłość ostatnich wydarzeń politycznych, zalecano nadawanie głównym ulicom nazw: Zwycięstwa i Wolności. Data odzyskania przez Polskę niepodległości w 1918 r., czy uchwalenia pierwszej w Europie konstytucji, też mogła być jeszcze kultywowana, stąd: 3 Maja, przemycano jednocześnie nazwy nawiązujące do charakteru nowej władzy, stąd też propozycje placu: 1 Maja, czy odnosząca się do sojuszu ze Związkiem Sowieckim nazwa Placu Jedności Słowiańskiej. Nazwy Placu Grunwaldzkiego, Związku Jaszczurczego, czy Św. Wojciecha, posiadały charakter regionalny. Aleje powinny były nosić miano: Stalina, (jeszcze) Sprzymierzonych, lub Tadeusza Kościuszki, z którego władze robiły protokomunistę. Ulice mogły nosić jeszcze nazwy: Stefan Żółkiewskiego, Władysława IV, Mikołaja Kopernika, czy Marii Skłodowskiej, ale powinny były nosić nazwy literatów polskich, neutralnie i narodowo brzmiały nazwiska: Adama Mickiewicza, Marii Konopnickiej, ale już zaangażowanie: Stefana Żeromskiego, Ignacego Krasickiego. Należało też przyjmować nazwy od nazwisk działaczy mazurskich: Michała Kajki, Seweryna Pieniężnego, a nawet „bojownika o polskość" Prus Książęcych w XVII w. Krystiana Kalksteina[86], co było już zapowiedzią nowych czasów…

Paweł P. Warot

[84] *Ibidem*, 412/1, Zarząd Miejski w Prabutach, Protokoły 1946 r., Odezwa, k. 6.

[85] *Ibidem*, Protokół nr 2, k. 18.

[86] *Ibidem*, 412/63, Zarząd Miejski w Prabutach, Sprawy różne, 1945r., Projekt przemianowania ulic na terenie Okręgu Mazurskiego, k. 8.

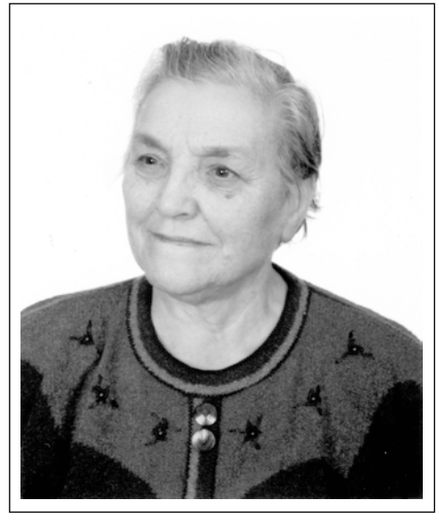

Władysława Bielawska

Nazywam się Władysława Bielawska. Jestem córką Franciszki i Aleksandra Urbanowiczów. Urodziłam się 2 stycznia 1925 roku w Lipnikach. Moja mama, z domu Opacka, pochodziła ze wsi Jasnoborze. Natomiast tato urodził się w Lipnikach. Moi rodzice posiadali duże gospodarstwo rolne. Mieliśmy też kawał lasu i spory sad za domem. Po ślubie mój tato wyjechał na dziewięć lat do Ameryki, gdzie ciężko pracował w porcie przy załadunkach i rozładunkach towarowych statków, a mama z małym dzieckiem została na gospodarstwie. Tam zarobił trochę dolarów i wrócił. Po jego powrocie urodziłam się ja i jeszcze mój młodszy brat Wacław - 1927 r., który w 1944 roku trafił do Ludowego Wojska Polskiego. Został ranny na froncie pod Warszawą. Po wyleczeniu ran wrócił na front. Niestety w kolejnej walce stracił rękę. Za walkę w czasie II wojny światowej otrzymał krzyż Virtuti Militari.

Lipniki[1] były typowo polską wsią. Nasze kontakty z Ukraińcami przed wojną były bardzo ograniczone. Co prawda mój starszy brat Marian miał w sąsiedniej wsi, która była wsią ukraińską, bardzo serdecznego kolegę. Razem jeździli na zawody sportowe w biegach do Równego. Ten kolega często nas odwiedzał. Częstował się owocami z naszego sadu.

Chodziłam do szkoły w Lipnikach, skończyłam cztery klasy. Nauczycielem był pan Jarosiński. Do szkoły chodziły ze mną Klima i Magda Bielawskie, Zosia Urbanowicz z Młodzianówki, Kostek Hermaszewski (narzeczony Magdy). Do I Komunii przystąpiłam w kościele w Bereznem.

Pod koniec października 1942 roku mój starszy brat wybrał się do ukraińskiej wsi, w której była fabryka papieru, aby kupić bibułkę do papierosów. Gdy już wracał do Lipnik, został złapany przez Ukraińców. Myśleli, że brat ma broń, ale on jej nie miał. Zabrali go do jednego z domów. Strasznie pobili i wrzucili do piwnicy wypełnionej wodą. Po kilku godzinach do tego domu przyszedł ten kolega mojego brata. Ukraińcy zaczęli się mu chwalić, że złapali Palaczka.

[1] Lipniki - kolonia polska założona w końcu pierwszej połowy XIX w. Podczas wojny w kolonii było 55 zagród. Liczba ofiar zbrodni nacjonalistów ukraińskich: 179 Polaków, 4 Żydów, 1 Rosjanka. (w: E.Siemaszko, W. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane*..., s. 204).

Jak on zobaczył brata, kazał go wypuścić i zawiózł do naszego domu. Brat był bardzo pobity. Nie mógł wcale otworzyć oczu. Tato pojechał z nim do szpitala w Bereznem oddalonego od Lipnik o jakieś siedem kilometrów. Niestety w dzień Wszystkich Świętych brat umarł.

Jeszcze w Lipnikach poznałam mojego męża Bolesława, który pochodził z tej samej wioski, ślub wzięliśmy w kościele w Bereznem. Wesele nie było zbyt duże, ponieważ był duży mróz i śnieg, więc wielu gości nie dojechało.

Gdy w marcu 1943 roku Ukraińcy napadli na Lipniki[2], ja byłam już mężatką i miałam trzymiesięczne dziecko - Lilę. Pamiętam, że usłyszeliśmy strzały i krzyki. Teść wyszedł z domu, aby zobaczyć, co się dzieje. Prawie cała wieś już się paliła. Ukraińcy okrążyli wieś i nie było gdzie uciekać. Dom moich teściów, u których mieszkałam, był zbudowany tak, że do mieszkania wchodziło się po kilkunastu schodach. Mój teść zaczął do mnie wołać, żebym otwierała okna i uciekała razem z dzieckiem. Zawinęłam dziecko w jakąś pierzynę i wyrzuciłam, a potem sama wyskoczyłam. Za budynkami przedostałam się do swoich rodziców. Podobnie ratowała się moja teściowa ze swoim szesnastoletnim synem. Ledwie zdążyliśmy uciec do sadu, a ogień z obory przedostał się na dom mieszkalny. Teściowa - Kunegunda Bielawska razem z synem schowali się pod drzewem i nakryli pierzyną. Jednak trafiły ich kule bandytów i zginęli na miejscu od strzału w tył głowy. Nam udało się przeżyć, jednak zginęło bardzo dużo ludzi. Pamiętam okrutną śmierć piętnastoletniego Kostka Kunickiego, wyciągnęli go spod mostka, pod którym się schował i zabili go na rękach ojca. Następnego dnia przyjechali Niemcy, nawet byli tak bezczelni, że sobie zdjęcia robili, ale jak nas mordowali, to żaden nie przyszedł z pomocą. Z Lipnik musieliśmy odejść, bo prawie żaden dom nie nadawał się do zamieszkania, a Ukraińcy mogli jeszcze wrócić. Uciekliśmy do majątku Zurne i tam mieszkaliśmy aż do nadejścia Rosjan. Męża mojego wcielono do

[2] Nocą z 26 na 27 marca podwładni „Dubowego", wzmocnieni przez chłopów uzbrojonych w broń sieczną i specjalne grupy „palaczy", przypuścili szturm na miejscowość. (...) W sumie zginęło 179 Polaków, 4 Żydów i Rosjanka. Z pułapki wyrwało się około pięćset osób, wśród ocalałych był dwuletni Mirosław Hermaszewski, późniejszy polski kosmonauta." (w: Grzegorz Motyka *Od rzezi wołyńskiej do akcji „Wisła"*, s. 112)

armii i wysłano do Rezania, skończył później szkołę oficerską i wrócił do Polski jako oficer. Później przenieśliśmy się do Bereznego, tam stało dużo pustych mieszkań i domów po Żydach. W jednym z mieszkań spotkaliśmy Ukrainkę, która bardzo się nad nami litowała, bardzo nam pomogła. W jej mieszkaniu był narzeczony jej córki - Niemiec, ale nie kazała nam obawiać się go. Przez jakieś dwa tygodnie mieszkaliśmy u tej Ukrainki. Zdecydowaliśmy się zająć jedno z mieszkań obok. Spotkaliśmy tam Żyda - właściciela mieszkania, któremu wymordowano całą rodzinę.

Gdy zaczęła się repatriacja, zostaliśmy zapisani do transportu jadącego do Krasnegostawu. Jednak nie wiadomo, jak wylądowaliśmy w Prabutach. Na stacji Rosjanie nas wypakowali. Pozostałą część transportu wysłali do Kwidzyna. My zajęliśmy dom na ulicy Ogrodowej 3. Na początku pracowałam w polu, zasiałam i zebrałam tabakę i rumianek na hektarowym polu mego brata. Mój mąż dołączył do mnie po zakończeniu wojny. Po dwóch czy trzech latach wyjechaliśmy do Pasłęka, bo mąż został kierownikiem PGR-u (majątek Całuń, Całuń Nowy, Krosno, Krosieńko). Już w Polsce przyszły na świat nasze kolejne dzieci: Zbigniew - 1947r., Ryszard - 1948 r., Teresa - 1953 r., Alicja - 1963 r. Po powrocie do Prabut mąż pracował w CRS-ie, w Sanatorium, ja w roszarni, Sanatorium, ADM-ie. Mąż zmarł w 1992 roku.

Na Wołyń nie chcę jechać.

Stanisława
Bobowska

Nazywam się Stanisława Bobowska z domu Nawalaniec. Urodziłam się w 1932 roku w kolonii Perełysianka[1], przy wsi Postójno (ukraińskiej wsi), gmina Derażne, powiat rówieński. Mam pięcioro rodzeństwa: Jana, Walentego, Agnieszkę, Władysława i Stanisława. Ja jestem najmłodsza. Moi rodzice Józef Nawalaniec i Zofia z domu Król mieszkali w okolicach Krakowa, w powiecie limanowskim, wieś mamy Zawada, taty Przyszowa. Ktoś, prawdopodobnie pan Jan Kowalczyk (mój chrzestny), namówił ich do kupienia ziemi na Wołyniu, gdzie mieszkał już jakiś czas i tam też się ożenił. Dnia 14 listopada 1924 roku u notariusza Romana Rychlińskiego w Równem spisali umowę kupna - - sprzedaży ziemi od Wincentego Jasińskiego w Perełysiance. Później tato dokupił jeszcze ziemi i łącznie mieliśmy 12 hektarów. W wiosce było 180 numerów, nasz był drugi. Z sąsiadów, których pamiętam, to w kolejności mieszkali: Kaczkowscy, my, Kołodyńscy, Brusiło, dwaj bracia Dawidowscy z rodzinami. Właśnie Dawidowscy dali kawałek ziemi na postawienie drewnianej kaplicy. Pamiętam, że przyjeżdżał do nas na msze ksiądz Macharski. Jan Kowalczyk miał dać ziemię pod cmentarz, ale nie zdążył jej przekazać, bo zaczęła się wojna. Jednak już w tym miejscu pochowano zamordowaną polską rodzinę Laszuków z Marianówki. Jak wyjeżdżaliśmy z Perełysianki, to mama na każdej mogile położyła święcone obrazy. We wsi była szkoła w wynajętym budynku, ale tylko dwie klasy, które ukończyłam. Mieliśmy wybudowaną nową stodołę i oborę, przygotowywaliśmy drewno na budowę nowego domu. Na środku podwórka stała wielka grusza, a droga od naszego gospodarstwa do głównej drogi we wsi po bokach była obsadzona drzewami wiśniowymi.

Najstarszy brat Jan czynne wojsko odsłużył jeszcze przed wojną. Do domu wrócił w piątek, a w sobotę był na weselu kolegi - Jurka Kaczkowskiego. Jak już wyszedł z domu, to sołtys przyniósł wezwanie, że ma natychmiast stawić się w jednostce w Równem. Właśnie zaczęła się II wojna światowa. W niedzielę rano młodszy brat Walenty zaprzągł konie i odwiózł go do Derażnego, stamtąd wąskotorówką dostał się do jednostki w Równem. Nie

[1] Kolonia Perełysianka - Kolonia polska. Do wyjazdu do Rzeszy w 1940 roku w kolonii żyły 2-3 rodziny niemieckie. Liczba ofiar zbrodni nacjonalistów ukraińskich: co najmniej 34. (w: E.Siemaszko, W. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane...*, s. 224-225).

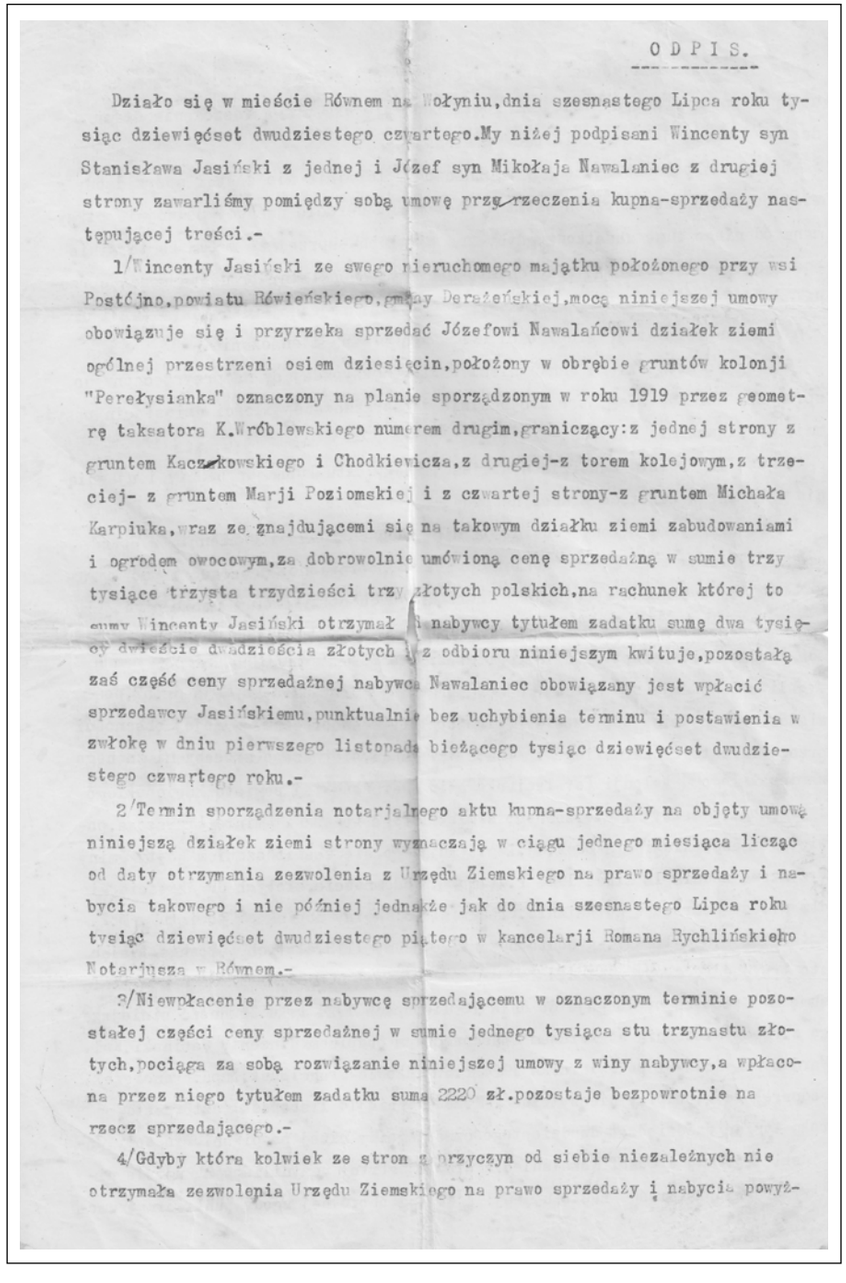

ODPIS.

Działo się w mieście Równem na Wołyniu,dnia szesnastego Lipca roku tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego.My niżej podpisani Wincenty syn Stanisława Jasiński z jednej i Józef syn Mikołaja Nawalaniec z drugiej strony zawarliśmy pomiędzy sobą umowę przyrzeczenia kupna-sprzedaży następującej treści.-

1/Wincenty Jasiński ze swego nieruchomego majątku położonego przy wsi Postójno,powiatu Równieńskiego,gminy Derażeńskiej,mocą niniejszej umowy obowiązuje się i przyrzeka sprzedać Józefowi Nawalańcowi działek ziemi ogólnej przestrzeni osiem dziesięcin,położony w obrębie gruntów kolonji "Perełysianka" oznaczony na planie sporządzonym w roku 1919 przez geometrę taksatora K.Wróblewskiego numerem drugim,graniczący:z jednej strony z gruntem Kaczkowskiego i Chodkiewicza,z drugiej-z torem kolejowym,z trzeciej- z gruntem Marji Poziomskiej i z czwartej strony-z gruntem Michała Karpiuka,wraz ze znajdującemi się na takowym działku ziemi zabudowaniami i ogrodem owocowym,za dobrowolnie umówioną cenę sprzedażną w sumie trzy tysiące trzysta trzydzieści trzy złotych polskich,na rachunek której to sumy Wincenty Jasiński otrzymał od nabywcy tytułem zadatku sumę dwa tysięcy dwieście dwadzieścia złotych i z odbioru niniejszym kwituje,pozostałą zaś część ceny sprzedażnej nabywca Nawalaniec obowiązany jest wpłacić sprzedawcy Jasińskiemu,punktualnie bez uchybienia terminu i postawienia w zwłokę w dniu pierwszego listonada bieżącego tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego roku.-

2/Termin sporządzenia notarjalnego aktu kupna-sprzedaży na objęty umową niniejszą działek ziemi strony wyznaczają w ciągu jednego miesiąca licząc od daty otrzymania zezwolenia z Urzędu Ziemskiego na prawo sprzedaży i nabycia takowego i nie później jednakże jak do dnia szesnastego Lipca roku tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego w kancelarji Romana Rychlińskiego Notarjusza w Równem.-

3/Niewpłacenie przez nabywcę sprzedającemu w oznaczonym terminie pozostałej części ceny sprzedażnej w sumie jednego tysiąca stu trzynastu złotych,pociąga za sobą rozwiązanie niniejszej umowy z winy nabywcy,a wpłacona przez niego tytułem zadatku suma 2220 zł.pozostaje bezpowrotnie na rzecz sprzedającego.-

4/Gdyby która kolwiek ze stron z przyczyn od siebie niezależnych nie otrzymała zezwolenia Urzędu Ziemskiego na prawo sprzedaży i nabycia powyż-

Akt notarialny zakupu ziemi na Wołyniu z 1924 r.

widzieliśmy go do czerwca 1946 roku. Jak trafił do jednostki, to ich szybko sformowali i wysłali na front. Przez 16 dni bili się dzień i noc pod Królewcem. Wtedy trafił do niemieckiej niewoli, przenieśli go do Człuchowa. Tam po kilku dniach bauer wybierał jeńców do pracy w swoim gospodarstwie. Trafił do gospodarstwa pod Myślicami, gdzie był do końca wojny.

Moja siostra Agnieszka jeszcze na Wołyniu wyszła za mąż za Franciszka Kobusa, urodziła dwoje dzieci, męża powołano do wojska. Mieszkali w folwarku księcia Radziwiłła. Uciekając przed bulbowcami, trafiła z teściami do Huty Stepańskiej, a później zostali wywiezieni na roboty do Rzeszy. Nie wiem, gdzie trafił jej teść, ale ona była u jednego bauera (ojca) z młodszym synem, a teściowa u drugiego (syna) ze starszym synem. Siostra miała dobrze, ciężko pracowała, ale nie głodowała. Natomiast teściowa i jej drugi syn byli bardzo źle traktowani i głodni, więc Agnieszka ugotowała chociaż jajko i dała na polu synowi. Niestety skorupki po jajku zobaczył bauer teściowej i strasznie pobił moją siostrę. Wstawił się za nią jego ojciec. Po wojnie Agnieszka ze swoją teściową zostały na Śląsku. Odnaleźliśmy ją przez Czerwony Krzyż. Siostra zmarła w 1970 roku.

Bracia Walenty i Władysław (miał wtedy 17 lat) z Łucka zostali zabrani do wojska do Sum, gdzie się formowała polska jednostka. Przeszli front. Trafili do Białegostoku, po wojnie Walentego zwolnili, a Władysława zostawili jeszcze na dwa lata w czynnej służbie. Walenty pojechał do siostry Agnieszki na Śląsk, aby jej pomóc. Kiedy prowadził konia i krowę, to zza zakrętu wyjechał pociąg, koń się przestraszył, stanął dęba i skoczył na brata, przełamał mu kręgosłup. Walenty leżał jeszcze trzy dni w szpitalu w Kamiennej Górze i zmarł.

Niedługo po rozpoczęciu wojny zaczęły się napady band ukraińskich, często musieliśmy uciekać. W noc napadu na Marianówkę (był to chyba początek wiosny), kiedy wymordowano rodzinę Laszuków, ja z rodzicami i sąsiadami schowaliśmy się w wykopanej w ziemi norze, którą przykryto belkami, gałęziami i liśćmi. Tam kobiety paliły zapałki, aby przebrać lub nakarmić malutkie dzieci. Nie było czym oddychać. Ojciec i ja zaczęliśmy się dusić. Dobrze, że usłyszeli nas z zewnątrz moi bracia, którzy byli na warcie w samoobronie, otworzyli ten loch i wypuścili nas na zewnątrz. Tato nie chciał już więcej

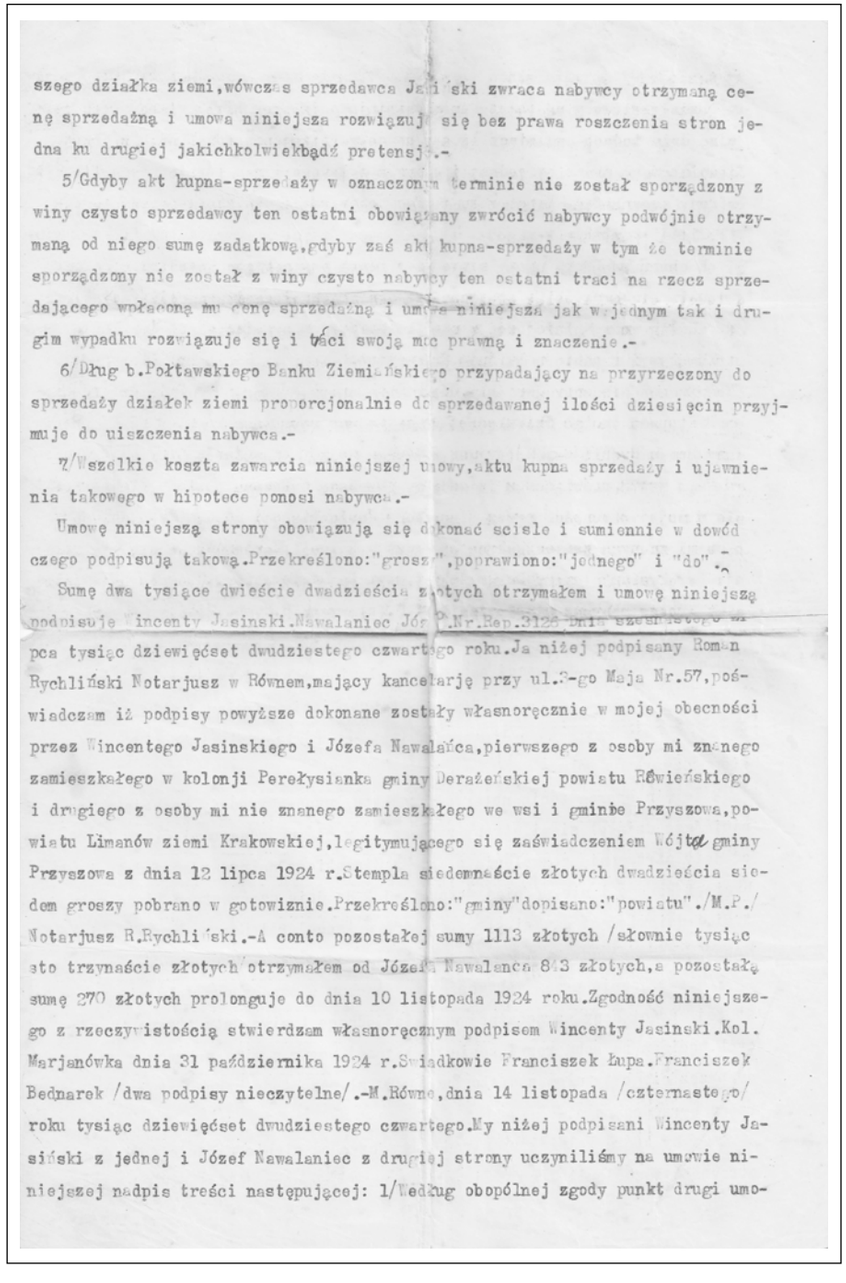

szego działka ziemi,wówczas sprzedawca Ja i ski zwraca nabywcy otrzymaną cenę sprzedażną i umowa niniejsza rozwiązuj się bez prawa roszczenia stron jedna ku drugiej jakichkolwiekbądź pretensj.-

5/Gdyby akt kupna-sprzedaży w oznaczonym terminie nie został sporządzony z winy czysto sprzedawcy ten ostatni obowiązany zwrócić nabywcy podwójnie otrzymaną od niego sumę zadatkową,gdyby zaś akt kupna-sprzedaży w tym że terminie sporządzony nie został z winy czysto nabywcy ten ostatni traci na rzecz sprzedającego wpłaconą mu cenę sprzedażną i umowa niniejsza jak w jednym tak i drugim wypadku rozwiązuje się i traci swoją moc prawną i znaczenie.-

6/Dług b.Połtawskiego Banku Ziemiańskiego przypadający na przyrzeczony do sprzedaży działek ziemi proporcjonalnie do sprzedawanej ilości dziesięcin przyjmuje do uiszczenia nabywca.-

7/Wszelkie koszta zawarcia niniejszej umowy,aktu kupna sprzedaży i ujawnienia takowego w hipotece ponosi nabywca.-

Umowę niniejszą strony obowiązują się dokonać ściśle i sumiennie w dowód czego podpisują takową.Przekreślono:"grosz",poprawiono:"jednego" i "do".-

Sumę dwa tysiące dwieście dwadzieścia złotych otrzymałem i umowę niniejszą podpisuje Wincenty Jasinski.Nawalaniec Józ[illegible] P.Nr.Rep.3128 dnia [illegible] pca tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego roku.Ja niżej podpisany Roman Rychliński Notarjusz w Równem,mający kancelarję przy ul.3-go Maja Nr.57,poświadczam iż podpisy powyższe dokonane zostały własnoręcznie w mojej obecności przez Wincentego Jasinskiego i Józefa Nawalańca,pierwszego z osoby mi znanego zamieszkałego w kolonji Perełysianka gminy Derażeńskiej powiatu Równieńskiego i drugiego z osoby mi nie znanego zamieszkałego we wsi i gminie Przyszowa,powiatu Limanów ziemi Krakowskiej,legitymującego się zaświadczeniem Wójta gminy Przyszowa z dnia 12 lipca 1924 r.Stempla siedemnaście złotych dwadzieścia siedem groszy pobrano w gotowiznie.Przekreślono:"gminy"dopisano:"powiatu"./M.P./ Notarjusz R.Rychliński.-A conto pozostałej sumy 1113 złotych /słownie tysiąc sto trzynaście złotych otrzymałem od Józefa Nawalańca 843 złotych,a pozostałą sumę 270 złotych prolonguje do dnia 10 listopada 1924 roku.Zgodność niniejszego z rzeczywistością stwierdzam własnoręcznym podpisem Wincenty Jasinski.Kol. Marjanówka dnia 31 października 1924 r.Świadkowie Franciszek Łupa.Franciszek Bednarek /dwa podpisy nieczytelne/.-M.Równe,dnia 14 listopada /czternastego/ roku tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego.My niżej podpisani Wincenty Jasiński z jednej i Józef Nawalaniec z drugiej strony uczyniliśmy na umowie niniejszej nadpis treści następującej: 1/Według obopólnej zgody punkt drugi umo-

Akt notarialny zakupu ziemi na Wołyniu z 1924 r., część dalsza.

tak się kryć, wolał narażać swoje życie. Po mordach w Marianówce zaczęliśmy szykować się do ucieczki. Po dwóch czy trzech dniach usłyszeliśmy, że jadą do naszej wsi. Uciekaliśmy na bagna za polami. Mnie niósł na plecach brat Walenty. Jak się rozwidniło, to inni zaczęli mówić „Walek, toć ty jesteś ranny, jesteś cały we krwi", ale to nie on był ranny, to mnie postrzelono w lewą łydkę. Z tego strachu nawet nie czułam bólu. Po tym napadzie wróciliśmy jeszcze do domu, zebraliśmy najpotrzebniejsze rzeczy i uciekliśmy do Cumania. Sąsiad Ukrainiec o nazwisku Hrycyniuk zaproponował, aby Stasiu został u niego i doglądał naszych zwierząt. Niestety w nocy zjawili się u niego bulbowcy i szukali Polaka, którego przechowuje. On skrył brata w komórce. Ukraińcy mówili, że „u Nawalańca bydło je siano, ktoś je musiał nakarmić, pewnie go chowasz, bo wy tu dobrze żyliście". Hrycyniuk jakoś ich ubłagał i dali spokój, ale z samego rana wyprawił Stasia do nas do Cumania. Dał mu chleba i słoniny na drogę. Zawsze był dobrym sąsiadem. Pomagał nam w polu, my mu odrabialiśmy i tak dobrze żyliśmy. Dobrze, że brat znał drogę do tartaku przez las, tam spotkał Polaków i z nimi przyjechał do Cumania. W tym Cumaniu byliśmy dwa, może trzy dni, mieszkaliśmy u obcych ludzi. Chroniliśmy się w podobnych wykopanych piwnicach jak u nas. Wtedy był napad na wioskę[2]. Byli tam też Niemcy, którzy z takiej wieżyczki ostrzeliwali z ckm-u cały teren, Ukraińcy mordowali z drugiej strony. Wymordowali bardzo dużo ludzi. Pamiętam, że to była sobota, bo następnego dnia, w Palmową Niedzielę poszłam z mamą do kościoła. Był bardzo zniszczony, wszystkie szyby wybite. Bałyśmy się, a mama przytulała mnie do siebie i powtarzała: „Dziecko, już chyba nas tu wszystkich wybiją". We wsi zebrano wszystkie wozy i furmanki, załadowano na nie zamordowanych i tak jechaliśmy taką piaszczystą drogą pod górkę na cmentarz, aby ich pochować. Z bratem Stasiem też pomagaliśmy. Cała droga była zlana krwią kapiącą z wozów. Szedł z nami ksiądz z Cumania,

[2] Cumań - duża wieś ukraińska, w której Polacy stanowili kilkanaście procent ogółu ludności. W marcu 1943 roku do Cumania, gdzie stacjonowała jednostka żandarmerii niemieckiej, przybyli uciekinierzy z zaatakowanych przez UPA sąsiednich wsi. W kwietniu 1943 r. upowcy napadli na Cumań. Przebieg napadu nie jest znany. (w: E.Siemaszko, W. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane*..., s. 619).

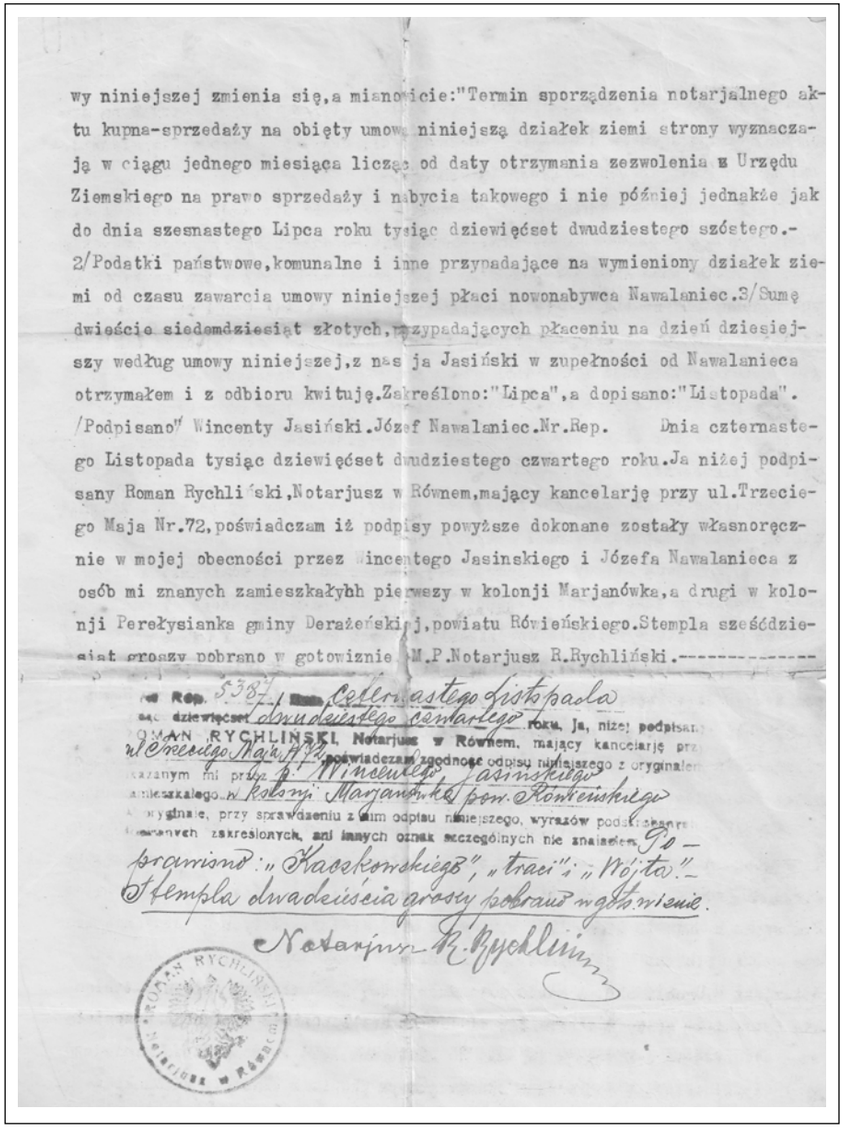

wy niniejszej zmienia się,a mianowicie:"Termin sporządzenia notarjalnego aktu kupna-sprzedaży na obięty umową niniejszą działek ziemi strony wyznaczają w ciągu jednego miesiąca licząc od daty otrzymania zezwolenia z Urzędu Ziemskiego na prawo sprzedaży i nabycia takowego i nie później jednakże jak do dnia szesnastego Lipca roku tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego.- 2/Podatki państwowe,komunalne i inne przypadające na wymieniony działek ziemi od czasu zawarcia umowy niniejszej płaci nowonabywca Nawalaniec.3/Sumę dwieście siedemdziesiąt złotych,przypadających płaceniu na dzień dziesiejszy według umowy niniejszej,z nas ja Jasiński w zupełności od Nawalanieca otrzymałem i z odbioru kwituję.Zakreślono:"Lipca",a dopisano:"Listopada". /Podpisano" Wincenty Jasiński.Józef Nawalaniec.Nr.Rep. Dnia czternastego Listopada tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego roku.Ja niżej podpisany Roman Rychliński,Notarjusz w Równem,mający kancelarję przy ul.Trzeciego Maja Nr.72,poświadczam iż podpisy powyższe dokonane zostały własnoręcznie w mojej obecności przez Wincentego Jasinskiego i Józefa Nawalanieca z osób mi znanych zamieszkałyhh pierwszy w kolonji Marjanówka,a drugi w kolonji Perełysianka gminy Derażeńskiej,powiatu Rówieńskiego.Stempla sześćdziesiąt groszy pobrano w gotowiznie.M.P.Notarjusz R.Rychliński.----------

Rep. 5387 / Dnia czternastego Listopada
dziewięćset dwudziestego czwartego roku, Ja, niżej podpisany
ROMAN RYCHLIŃSKI, Notarjusz w Równem, mający kancelarję przy
ul. Trzeciego Maja Nr 72, poświadczam zgodność odpisu niniejszego z oryginałem
wskazanym mi przez p. Wincentego Jasińskiego
zamieszkałego w kolonji Marjanówka pow. Równieńskiego
w oryginale, przy sprawdzeniu z nim odpisu niniejszego, wyrazów podskreślonych
dokonanych zakreślonych, ani innych oznak szczególnych nie znalazłem. Po-
prawiono: „Kaczkowskiego", „traci" i „Wójta".-
Stempla dwadzieścia groszy pobrano w gotowiznie.
Notarjusz R. Rychliński

ROMAN RYCHLIŃSKI Notarjusz w Równem

Akt notarialny zakupu ziemi na Wołyniu z 1924 r., część dalsza

który nic nie mówił, tylko cały się trząsł i się modlił. Prosił także, aby w miarę możliwości układać nieboszczyków rodzinami. Wykopano takie długie doły na głębokość około pół metra i układano ciała, widok był okropny, niektóre jeszcze się ruszały. Posypano je czymś białym i zasypano cienką warstwą ziemi. Ja myślałam, że posypano je mąką, dopiero w domu tato wytłumaczył mi, że to wapno.

Mieszkaliśmy jeszcze trochę w Cumaniu i wyjechaliśmy do Łucka. Zatrzymaliśmy się na stacji. Mówili na nią Ołycka Stacja, była przy wsi Palcze. Pamiętam, że zboże zaczęło dojrzewać. Trochę tam pomieszkaliśmy, tym razem też u obcych ludzi. Panowała straszna wszawica. Mama musiała nożem obciąć mi na krótko włosy. Niestety tam znów był napad. Stację obsługiwali Niemcy, sami nie mogli dać rady bulbowcom. Przyjechał taki pancerny pociąg i z niego ostrzeliwano atakujących Ukraińców. Wszystkie konie pouciekały, ale na głos brata powróciły, krowę, którą za sobą ciągnęliśmy, postrzelono w wymię. Tato sprzedał ją Czechowi za parę groszy. Nie mieliśmy już prawie nic.

Jak mieszkaliśmy w Łucku, to codziennie przywozili tam ludzi zamordowanych w okolicznych miejscowościach. Zwłoki zwalali na stertę, a później dwóch ludzi układało ich w rzędach, aby można było znaleźć i pochować kogoś z rodziny lub znajomych. Wiele osób tam chodziło. Ja z bratem Stanisławem także. Widok zawsze był straszny, ale któregoś razu zobaczyłam coś, co do dzisiaj mną wstrząsa, a wtedy wywołało ogromny szok. Obok siebie leżała rodzina. Mężczyzna miał wycięte i wyjęte na wierzch serce, odrąbaną głowę, przy nim leżało około dwuletnie dziecko rozcięte na pół oraz kobieta w wysokiej ciąży. Miała odcięte piersi i rozcięty brzuch, z którego wyjęto nienarodzone dziecko, leżało obok. Widok był tak makabryczny, że z tego szoku przestałam mówić. Mama była załamana, położyła mnie w kącie na posłaniu ze słomy i płakała. Przez miasto przechodziło wtedy wojsko sowieckie, więc mój brat podszedł do jednego z żołnierzy i zapytał o lekarza (znał trochę rosyjski i mógł się dogadać). Ten mu wskazał mieszkanie, w którym miał być lekarz. Poszedł

do niego i poprosił o pomoc dla mnie. Lekarz, chyba Kazach, polecił, aby przyprowadził mnie do niego. Mama bała się nas puścić, ale nie miała wyjścia. Lekarz mnie obejrzał i zalecił trzy zastrzyki dane w jednodniowych odstępach. Powiedział też, że po pierwszym i drugim nic się nie zmieni, ale po trzecim zacznę mówić, jednak będę się jąkała. Do dzisiaj pamiętam ból, jak dostawałam zastrzyki. Trzeciego dnia zaczęłam mówić. Na początku sylabami, potem się jąkałam, ale z czasem to ustąpiło i mówię normalnie.

Łuck leżał nad rzeką Styr, wypływały z niego ciała zamordowanych ludzi. Mieszkaliśmy w pobliżu rzeki. Nad samym brzegiem stały trzy domki. W pobliżu mieszkała rodzina Karabiniewiczów (po wojnie zamieszkali w Prabutach). Mieli syna w wieku mojego brata Stasia. W tym czasie Ruski rozstawiali nad brzegiem swoje posterunki. W jednym z tych domów też. Jakiś chłopiec, pod nieobecność żołnierzy, zaczął bawić się tą bronią. Celował w mojego brata, który szedł za dom nakarmić konie. Zastrzelił przez przypadek syna pana Karabiniewicza. Pamiętam, jak czterech ruskich wojskowych niosło jego ciało na pałatce na cmentarz, a pan Karabiniewicz szedł za nimi. Pochowali go na cmentarzu w Łucku.

Z Łucka wyjechaliśmy w 1945 roku, dostaliśmy taki nakaz. Zresztą, nie wyobrażam sobie, że moglibyśmy tam zostać dłużej. Większość transportów pojechała już wcześniej. Pojechaliśmy najpierw do Katowic, tam staliśmy jakieś trzy tygodnie, mieli nas wieźć do Działdowa, ale w końcu nakazali, aby jechać na Prusy. My nie chcieliśmy, bo tam przecież Niemcy, jednak nie mieliśmy wyjścia.

Jak dotarliśmy do Prabut, to przez miesiąc staliśmy na stacji. Byliśmy wycieńczeni i brakowało jedzenia. Chodziliśmy z bratem i innymi na pola w Halinowie, gdzie w kopcach były jeszcze ziemniaki. Zbieraliśmy je i pakowaliśmy do worków. Chciałam być dzielna i przynieść tyle samo, co mój brat, ale tylko go zdenerwowałam, bo co kawałek musieliśmy przystawać, wtedy zestawiał swój worek i zarzucał mi na plecy mój. Ciężko było dotrzeć na stację. Tam gotowaliśmy te ziemniaki i tak udało się przetrwać. Gdy zdecydowaliśmy się na pozostanie w Prabutach,

to domów w dobrym stanie było już niewiele. Zajęliśmy jeden na obecnej ulicy Wołyńskiej. Niestety był w bardzo złym stanie, nawet okien brakowało. Tata wszedł pierwszy, zajrzał do piwnicy i się przeraził. Myślał, że jest tam niemiecki żołnierz i nas pozabija, ale to wisiał tylko mundur wojskowy. Panował straszny smród, bo leżał tam zabity świniak, który się już rozkładał, a wokół było dużo pierza. Musieliśmy najpierw posprzątać. Nie mieliśmy żadnych mebli. Przywieźliśmy tylko konia i drewniany wóz. Najpierw z niezamieszkanych domów przynosiliśmy okna lub tylko szyby i tato je wstawiał, później znaleźliśmy parę krzeseł i stołków. Tak chodziliśmy z bratem i zbieraliśmy w opuszczonych miejscach. Raz, aż spod Sanatorium, przynieśliśmy we dwoje duży stół, ledwo go nieśliśmy. Ależ mama się z tego ucieszyła, w końcu miała na czym coś postawić. Kiedyś z zepsutych krzeseł biurowych ze szpitala zerwałam materiał i przyniosłam do domu. Mama uszyła z niego spódnice dla siebie i dla mnie.

Rodzice cały czas zamartwiali się o najstarszego syna Jana, który jeszcze na Wołyniu poszedł do wojska. Nie wiedzieli, co się z nim dzieje i czy w ogóle przeżył. Z każdego miejsca pobytu wysyłali do rodziny w krakowskim listy z informacjami, gdzie mieszkamy. Z Prabut także wysłali. Pewnego dnia ojciec poszedł do proboszcza naszej parafii, księdza Klimuszki, o którym wiedzieliśmy, że potrafi przepowiedzieć miejsce pobytu zaginionych i poprosił o jakieś wiadomości o Janku. Znaliśmy go już, bo był u nas na kolędzie. Ksiądz poprosił o jakąś rzecz brata, ale tato nic nie miał, tylko zdjęcie. Ksiądz je wziął, popatrzył i zdenerwowany powiedział: „Józek, ty sobie ze mnie żarty robisz. Syn w domu, a ty mi mówisz, że zaginął". Tato tłumaczył, że w domu jest tylko młodszy syn, ale ksiądz mu nie uwierzył. Wrócił do domu i opowiedział zdarzenie mamie. W tym czasie mój młodszy brat Stasiu pracował na podwórku. Ulicą przechodził jakiś mężczyzna, ale poszedł dalej. Stasiu rozpoznał w nim brata Janka, który zawrócił i wszedł na podwórko, chciał sprawdzić, czy młodszy brat go pozna. Ksiądz w czasie rozmowy z ojcem wiedział, że jego syn jest już blisko domu. Janek po wyzwoleniu z niemieckiej niewoli pojechał do rodziny w krakowskim, bo myślał, że my nie żyjemy, a chciał być blisko jakiejkolwiek

rodziny. Od nich dowiedział się, gdzie mieszkamy.

W roku 1952 wyszłam za mąż za Wacława Bobowskiego, który pochodził z kolonii Grudy w powiecie kostopolskim. Po wojsku przyjechał tu do rodziny. W roku 1954 urodziła się córka Jolanta, w 1956 roku syn Krzysztof, a w 1963 roku Grzegorz. Ja do emerytury pracowałam w CRS- ie, mąż był księgowym w Zakładzie Komunalnym w Iławie. Mąż zmarł w 1995 roku.

Już teraz nie ma kogo osądzać za dokonane zbrodnie. Pewnie większość już nie żyje. Bóg ich osądzi. Nigdy na Wołyń mnie nie ciągnęło. Za dużo złych rzeczy tam się wydarzyło i nie da się o tym zapomnieć. Pamiętam też wszystko, co otaczało nasz dom, każdą ścieżkę, każde drzewo, rozpoznałabym je nawet teraz, ale nie chciałabym wrócić na Wołyń, bo nie ma tam nikogo z rodziny. Rodzinę mam teraz tutaj.

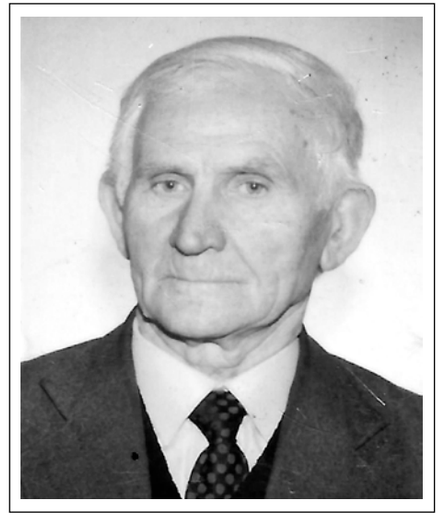

Feliks Bobowski

Nazywam się Feliks Bobowski, urodziłem się 11 czerwca 1915 roku. Ojciec Rafał Bobowski, matka Maria z domu Gnitecka, mam pięcioro rodzeństwa: Jana, Aleksandra, Katarzynę, Anielę i Hannę. Mieszkałem wraz z rodzicami w żydowskiej Antonówce[1], gmina Tuczyn, powiat równieński. Była to wieś leżąca osiem kilometrów od Kostopola (znajdowała się tam cerkiew). W Kostopolu była parafia, stał tam drewniany kościół, ale jakiś rok przed II wojną światową ukończono budowę kościoła murowanego, znajdował się tam także cmentarz, na którym pochowani zostali moi dziadkowie (obecnie na jego miejscu jest poligon wojskowy). Po pierwszej wojnie światowej panowała u nas wielka bieda. Wtedy miałem pięć lat. Pamiętam, jak wojsko ruskie uciekało przed Polakami. Tak my mieszkaliśmy i biedowaliśmy. Ojciec był robotnikiem leśnym i zajmował się karczowaniem lasu, wypalał także węgiel drzewny. Całymi dniami te ziemie karczował i oczyszczał. Mieliśmy jeszcze hektar ziemi, to jakoś trzeba było z tego wszystkiego wyżyć. Szkół ja żadnych nie skończyłem. Ot, zaledwie dwie klasy w Antonówce w wynajętej na potrzeby szkoły sali. Trzeba było w gospodarstwie pomagać. Ja krowy pasałem, a na pieńku lekcje odrabiałem. W tej Antonówce to mieszkali tylko Polacy i Ukraińcy. Nawet zgodnie nam się żyło, póki te bandy nie zaczęły napadać. Na początku wojny mojego starszego brata Aleksandra powołano do polskiego wojska, po wkroczeniu Sowietów zginął pod Wałczem na Wale Pomorskim i tam został pochowany.

W 1937 roku ożeniłem się z Janiną Masiewicz ur. w 1916 r., pochodzącą z pobliskiej Karczemki. Poznaliśmy się w lesie Ukraińca, który miał tam kuźnię, pracował w niej mój kuzyn Gnitecki, było to miejsce spotkań młodzieży. Chodziliśmy także na zabawy, zawsze robiliśmy składki na muzykanta (skrzypka), piliśmy samogon i piwo. Ślub wzięliśmy w kościele w Tuczynie. Wesele było duże, trwało 2-3 dni, na bimber w ciągu tygodnia przerobili wóz mąki, babcia Gnitecka nawet tańczyła na stole, a była w bardzo podeszłym wieku. W 1938 r. urodził się syn Tadeusz, w 1940 r. córka

[1] Antonówka - kolonia ukraińsko-polsko-niemiecka licząca 80 zagród (40 ukraińskich i po 20 polskich i niemieckich). Liczba ofiar zbrodni nacjonalistów ukraińskich: 23 Polaków. (w: E.Siemaszko, W. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane...,* s. 197).

Zdjęcie portretowe Feliksa Bobowskiego z 1955r.

Bronisława (kolejne dzieci urodziły się już w Prabutach: Adam - 1947, Aleksander - 1948, Henryk - 1950, Teresa - 1955, Agnieszka - 1957). Po ślubie poszedłem na gospodarkę do żony. Była to duża gospodarka we wsi Karczemka[2], w całości mieli 44 dziesięciny ziemi, a my od teściów dostaliśmy cztery dziesięciny. Ziemia była tam bardzo dobra, uprawialiśmy głównie zboże. W Karczemce mieszkali tylko Polacy i Niemcy. Jak wybuchła wojna, to Hitler swoich zabrał, a my dalej tam mieszkaliśmy. Na nieszczęście jeszcze się dom spalił i musieliśmy mieszkać w takiej chałupie zrobionej z chlewika. Ruskie to wszystkich wywozili. Mój szwagier Marian Dola był komendantem Związku Strzeleckiego w Karczemce (też należałem do tego związku), to go w lutym 1940 roku na Sybir wywieźli, a tydzień później przyjechali po jego żonę Hannę i troje dzieci. Wywieźli ich w innym kierunku niż szwagra. Tych osadników, którzy walczyli przy Piłsudskim, też wywieźli. Zostali tylko takie biedne, a tych wszystkich bogatych to na Sybir wywieźli. Jak później przyszli Niemcy, to do końca wywieźli tych Niemców, co jeszcze po rozpoczęciu wojny zostali. Wtedy sołtys przydzielił nam mieszkanie po jednym takim wywiezionym. Dom był bardzo duży. Po jednej stronie korytarza było nasze mieszkanie, a po drugiej stronie mieszkał Ukrainiec. Tyle, że spokoju też długo nie było, bo zaczęły banderowskie bandy napadać na wsie i ludzi mordować. Pewnego wieczora zachodzi do mnie ten ukraiński sąsiad i mówi, że w nocy będzie napad i że musimy uciekać. Ja mu na to: „Jak uciekać? Ja mam konia, bydło, owce." Ten Ukrainiec powiada: „Albo dobytek, albo życie." To był dobry człowiek i obiecał zająć się żywym dobytkiem. Ja zapakowałem żonę i dzieci na wóz i uciekłem do Kostopola. Następnego dnia ten Ukrainiec przyjechał po konia i wóz. W tym Kostopolu na początku nie było jeszcze tak źle. Ten ukraiński sąsiad zabijał moje owce i przywoził mi mięso, mleko, śmietanę. Ale po trzech miesiącach złapali go Ukraińcy, jak wiózł mi żywność i zabili go na miejscu. Te bandy nienawidziły wszystkich, którzy pomagali Polakom, nawet swoich

[2] Karczemka - Kolonia Karczemka - kolonia, w której żyło 12 polskich rodzin, 8 niemieckich do 1940 r. i 2 ukraińskie. (w: E.Siemaszko, W. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane*..., s. 714).

Listopad 1937 r., Tuczyn, pow. Równe.
Zdjęcie ślubne Janiny i Feliksa Bobowskich.

za to ubijali. Przez dwa lata pracowałem w kamieniołomach w Janowej Dolinie[3], robiłem pobruczek. Nocowałem w pobliskiej wiosce Peremence, aby nie dojeżdżać codziennie z Kostopola. Janowa Dolina była pięknym miejscem, budynki mieszkalne zostały dopiero pobudowane. Z góry roztaczał się piękny widok.

Moja siostra Aniela została zamordowana przez banderowców. Mieszkała w wiosce ukraińskiej koło Kostopola. W dzień mordu pracowała z synem na łące, grabili siano, kiedy nagle z lasu wyszli banderowcy i zakłuli ich bagnetami.

Jak Ruskie weszły z powrotem do Kostopola, to od razu mnie i mojego brata Janka do wojska zgarnęli i na front wysłali. Było to w roku 1944. Zabrali nas do Sum do I Armii Wojska Polskiego pod dowództwo Zygmunta Berlinga. Służyłem w piechocie między innymi z Nikorowskim. Z Sum przyjechaliśmy do Kiewierc. Tam się organizowaliśmy. Z armią przeszedłem całą Polskę, doszedłem aż do Berlina. W czasie Powstania Warszawskiego staliśmy w Pilawach, a później przeszliśmy już na Warszawę i dalej na Łódź, gdzie się dzieliliśmy. Szliśmy dalej, za Poznaniem, w Złoczowie była ciężka walka w lesie, tam oberwaliśmy, ja zostałem ranny, do dzisiaj mam niesprawny palec u ręki. Kierowaliśmy się dalej na Koszalin, Kołobrzeg, aż do niemieckiej granicy, tam zaczęło się robić bardzo ciężko. Dotarliśmy do Berlina i walczyliśmy o jego zdobycie. Doszliśmy do Łaby i wojna się skończyła. Dzięki Bogu obaj przeżyliśmy wojnę.

Żona wraz z moimi rodzicami została w Kostopolu, wynajmowali tam mieszkania, raz w jednym, raz w drugim miejscu. Po wojnie żona przyjechała transportem z Kostopola do Iłowa, to jest koło Działdowa. Tam się osiedlili, mieszkali w małym pokoiku. Po wojnie trafiłem do Katowic, miałem dostać mieszkanie w Bytomiu, cały czas pisaliśmy do siebie z żoną, która namawiała

[3] Janowa Dolina - powiat kostopolski. „Miejscowość ta powstała w 1928 roku jako nowoczesne osiedle robotnicze przy nowo utworzonej kopalni bazaltu. Z odległym o 16 kilometrów Kostopolem łączyła ją linia kolejowa. Janową Dolinę zamieszkiwało przed wojną około dwóch i pół tysiąca osób, ale na początku 1943 roku liczba ta zwiększyła się, ponieważ do osady napłynęły setki uciekinierów. (…) W osadzie stacjonował także garnizon niemiecki. (…) Nocą z 22 na 23 kwietnia 1943 roku nastąpił najbardziej krwawy atak UPA w Wielkim Tygodniu." (w: G. Motyka, *Od rzezi Wołyńskiej…*, s. 114).
„Liczba ofiar zbrodni nacjonalistów ukraińskich - 607 Polaków" (w: E.Siemaszko, W. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane…*, s. 236).

Pożegnalne zdjęcie kolegów po zakończeniu wojny.
Drugi od lewej klęczy Feliks Bobowski.

mnie na przyjazd do Iłowa, więc dołączyłem do niej. Odwiedził nas kuzyn i powiedział, że w Prabutach jest nasza rodzina - Słowińscy, Sulikowscy, dlatego latem 1945 roku przyjechaliśmy do Prabut. Dostaliśmy domek na ulicy Kasztanowej, trochę ziemi - 18 ha (trochę dokupiłem i wziąłem w dzierżawę), najpierw ziemię obrabiałem końmi, potem kupiłem ciągnik i tak gospodarowałem. Po naszym przyjeździe do Prabut zastaliśmy ruiny, jak uczyłem się na prawo jazdy, to musiałem gruz na ulicach omijać. Powoli uprzątano miasto, cegły czyszczono i na wagonach wywożono na Warszawę. Burmistrzem był Bazyli Szafrański, Jerzy Wiśniewski z Sypanicy przewodniczył Radzie Rolniczej. Z pierwszych księży pamiętam ks. Klimuszkę oraz ks. Bernackiego. Przez 12 lat byłem szewcem, bo przed wojną fach zdobyłem na Wołyniu, uczyłem się od brata Aleksandra, dyplom otrzymałem po egzaminie w Iławie. W 1984 roku kupiłem dom i kawałek ogrodu przy obwodnicy.

Nigdy na Wołyniu nie byłem, nie ma sensu tam jeździć. Mam żal do Ukraińców, przecież zamordowali mi siostrę, my musieliśmy uciekać, zostawiać wszystko, ale byli też dobrzy Ukraińcy, tacy, jak ten sąsiad, który uratował nam życie. W moim życiu wydarzyło się wiele i nawet nie wiadomo, kiedy człowiekowi te sto lat przeleciało.

Janina Bobowska, Anna Masiewicz, Tadeusz Bobowski, Heniek Bobowski.

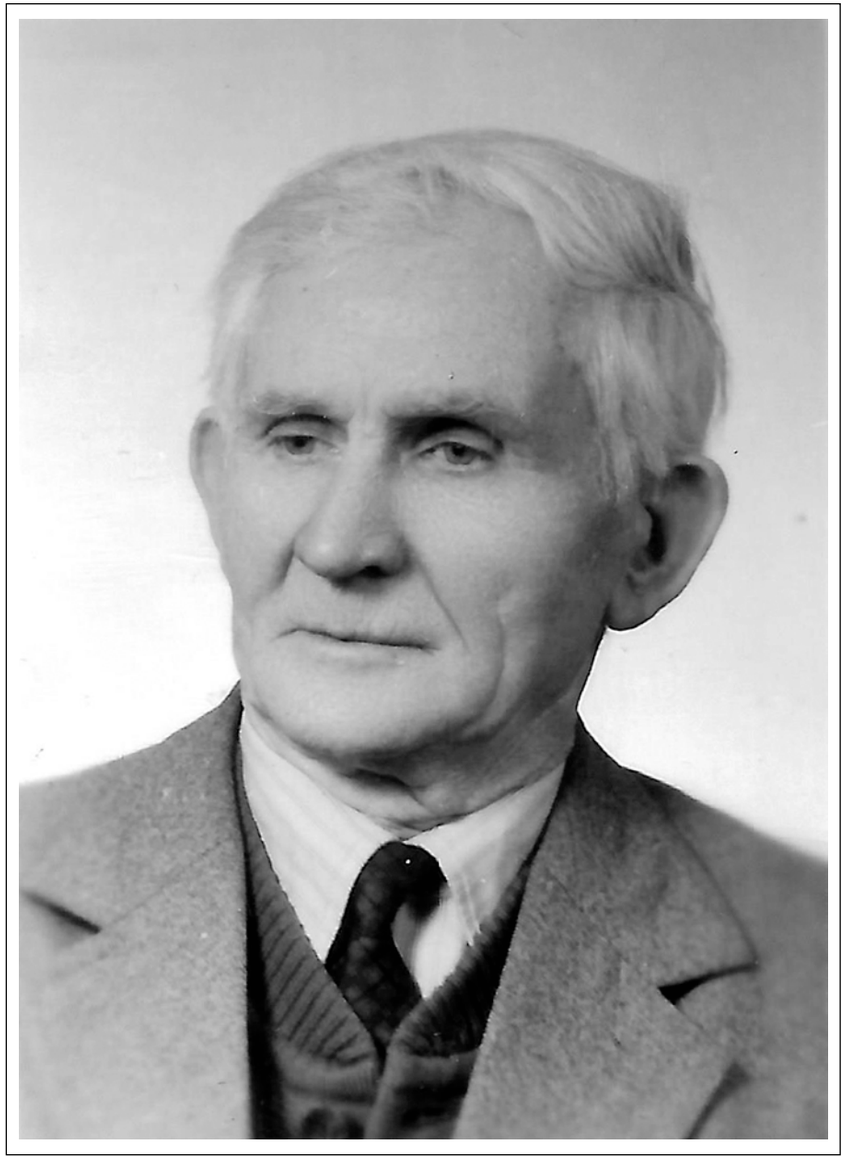

Feliks Bobowski.

Helena Burzyńska

Nazywam się Helena Burzyńska. Urodziłam się 13 listopada 1927 roku w Maciejowie. Moja mama Paulina, z domu Maśnicka, urodziła się w 1904 roku, babcia ze strony mamy to Anastazja Tchórzewska-Zabłocka. Tata, Antoni Burzyński urodził się w 1898 roku, babcia ze strony ojca to Faustyna z domu Brzozowska, przyszła po ślubie do Maciejowa z Folwarku. Rodziny ze strony mamy i ze strony taty mieszkały za Bugiem od wielu pokoleń. Maciejowo było maleńką kolonią obok wsi Płoskie[1] w gminie Niemowicze w powiecie sarneńskim. Mieszkało tam zaledwie kilka polskich rodzin. Między innymi trzej bracia Maśniccy: Antoni (mój tata), Jan i Felicjan z rodzinami oraz stryj ojca Maśnicki Marcin i brat jego Aleksander, który mieszkał przy bratankach. W czasie wojny polsko-bolszewickiej Bolszewicy zamordowali mojego dziadka od strony ojca - Mikołaja. Przyszli do jego domu, z dobrego serca ich nakarmił, napoił, a oni później wyprowadzili go do lasu i zastrzelili. Prawdopodobnie podpatrzyli skąd wyjmował pieniądze (trochę im dał), chcieli go okraść. W tym czasie babcia Faustyna poszła na odpust do Kazimierki z moim ojcem, był najstarszy, miał wtedy 16 lat. W domu została ciocia Weronika (miała wtedy około 10 lat) z młodszym rodzeństwem, nie chciała nic oddać bandytom, próbowała z nimi walczyć. Później wujek Felek pasł krowy i znalazł ciało zabitego dziadka. Został pochowany na cmentarzu w dużej, gminnej, ukraińskiej wsi Niemowicze (obecnie w miejscu cmentarza stoi sklep).

Podobnie jak w Maciejowie, w Kolonii Płoskie mieszkali sami Polacy. Dzieciństwo wspominam jako cudowny okres. Mój tato był sołtysem na wsie Maciejowo, Hutę Perejmę i Kolonię Płoskie. Na to stanowisko został wybrany przez mieszkańców. Razem to było ponad 100 domów. Z Kolonii Płoskie pamiętam niewiele nazwisk: Karol Tokarski, Teofil Tokarski, Józef Tokarski, Mizeradzcy, Grębowscy, Mantajowie, Adamiakowie, Ugorenko, Maśniccy, Barwińscy. Mieliśmy kilka hektarów pola i łąk. Utrzymywaliśmy się z rolnictwa. Nie było u nas jakoś bogato, ale dawaliśmy radę. Najbliższa szkoła była we wsi Huta Perejma, uczęszczali do niej

[1] Kolonia Płoskie - kolonia zamieszkała w większości przez Polaków (w: E.Siemaszko, W. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane...*, s. 790).

Antoni i Paulina Maśniccy z dziećmi, Zygmuntem i Heleną. Rok 1928.

prawie sami Polacy. Do tej szkoły chodziłam przez cztery lata. Zapamiętanym przeze mnie nauczycielem był Tazrejter. Od piątej klasy chodziłam już do dużej, pięknej siedmioklasowej szkoły w Niemowiczach. Tam były również ukraińskie dzieci. Pamiętam, że większość z nich po polsku mówiła jedynie na lekcjach. Podczas przerwy rozmawiali wyłącznie po ukraińsku. Chociaż byli też tacy, co rozmawiali z nami po polsku. Moim zdaniem to zależało od tego, jak ich rodzice wychowywali. Uczyli mnie między innymi: p. Okopiński, p. Rocławski, p. Horak i pani Bromboszczówna. Religii uczył katecheta, pan Żarczyński, który kiedyś uczył się na księdza, ale nim nie został. Do szkoły przychodzili także księża: katolicki i greko-katolicki, zawsze z sympatią ze sobą rozmawiali, razem spacerowali. Wszystkie przedmioty były wykładane w języku polskim, między innymi: j. polski, matematyka, historia, geografia. Tylko na śpiewie czasami ukraińskich piosenek uczono. Razem ze mną do klasy chodziły dzieci polskie (Czarnecka, Wanda Tokarska, Władysław Filiński, Marysia Kubiak - moja kuzynka, Michał Kubiak, Hania i Władek Maśniccy, Józia Barwińska) oraz ukraińskie (Grisza, Świryd, Hańka Kiszynko, Antosia Tarapanówna). Bawiliśmy się w klasy, dwa ognie, spalonego, piekarza, kamyki, w szkole graliśmy w piłkę, i chłopcy, i dziewczęta. Jak weszli Ruski, to lekcje musiały być prowadzone po ukraińsku. Tak mówili: „Co to jest język polski? Język polski a ukraińska mowa".

Niedługo przed wojną, jak Ukraińcy zaczęli zagrażać Polakom, w Kolonii Płoskie powstał cmentarz, aby nie trzeba było jeździć do oddalonych Niemowicz. Prawdopodobnie wynikało to też ze strachu przed napadami band UPA w czasie pogrzebów.

Gdy miałam dwanaście lat, wybuchła wojna. Pamiętam, że jak Ruscy do nas weszli, to mój tato i stryjek gdzieś się schowali. Ja, moja mama, moja ciocia i kuzynka stałyśmy obok drogi i ze strachem patrzyłyśmy na ten przemarsz. Ci żołnierze wyglądali strasznie. Po kilku miesiącach zaczęto wywozić ludzi na Syberię. Pamiętam, że z Huty Perejmy wywieźli rodzinę Czarneckich z szóstką dzieci. Po wojnie wróciła tylko pani Czarnecka z córką i synem. Nasza rodzina, ze względu na to, że tato był sołtysem, również miała zostać wywieziona. Ale tak się stało, że Niemcy napadli na Rosjan

Zygmunt Maśnicki.

i dzięki temu uniknęliśmy wywózki. Po jakimś czasie mój starszy brat Zygmunt zapisał się do tzw. granatowej policji tworzonej przez Niemców z Polaków. Po kilku tygodniach, zabierając otrzymaną broń, uciekł do polskiej partyzantki. Walczył pod dowództwem Wandy Wasilewskiej. Tam też zginął, ale nie wiem gdzie i kiedy. Prawdopodobnie podczas jednej z walk został ranny, leżał w lesie. Jak Niemcy ich okrążyli, to inni chcieli na furmankach wywieźć wszystkich rannych, ale się nie udało. Nawet nie wiem, jak i gdzie został pochowany.

Na naszą kolonię był tylko jeden napad ukraińskich band. Stało się to już w 1944 roku, po ponownym wkroczeniu wojsk radzieckich. Zamordowali naszego sąsiada z Huty Perejmy Antoniego Nakoniecznego. Zwłoki przykryli gałęziami tak, że dopiero po kilku miesiącach mój dziadek znalazł je przez przypadek. My mieszkaliśmy w bliźniaczym domu ze stryjem Felicjanem. W tym jednym domu to była mama, kuzynka Anastazja z mężem i moja ciocia Mania. Ja, Lusia, dziadek Aleksander, Hania Maśnicka i Janek Maśnicki byliśmy u stryjka Felicjana. Bulbowców było bardzo wielu, przyszli w takich jakby ubraniach wojskowych, świecili nam latarkami po oczach, podszywali się pod Ruskich. Mówili, że nie chcą wojować, za kogoś krwi przelewać, tylko do rana odpocząć (prawdopodobnie ktoś im uciekł i oni się bali, że doniesie wojsku, które było na stacji w Niemowiczach). Wymachiwali karabinami maszynowymi. Kazali przygotować dla nich jedzenie, kartofli nagotować, łyżki dawać. Bardzo nas pilnowali. Przyszedł do nas Antoni Nakonieczny. Poznał on, że to bulbowcy. Jak oni gdzieś wyszli, powiedział: „Szwagier, to bulbowcy" i wyskoczył przez okno, ale go złapali i zamordowali. Pozostałych mieszkańców spędzili w jedno miejsce, a mojego tatę nawet związali. Stryjka Janka wyprowadzili mówiąc „pochulajem", ale że był trochę sprawniejszy, to udało mu się uciec. Widocznie ich blisko nie było, bo rozeszli się po szabrowaniu gospodarstw. Podobno uciekł na łąki do lasu, a wtedy oni do nas przyszli. Kazali stryjowi Felicjanowi i Jankowi Maśnickiemu położyć się na podłodze, buty pościągać, a swoje te chodaki im rzucili, a nam na łóżku usiąść. Wszystkie trzy tam siedziałyśmy. Ukraińcy podejrzewali, że stryjek Janek pójdzie do Niemowicz, gdzie na stacji kolejowej stacjono-

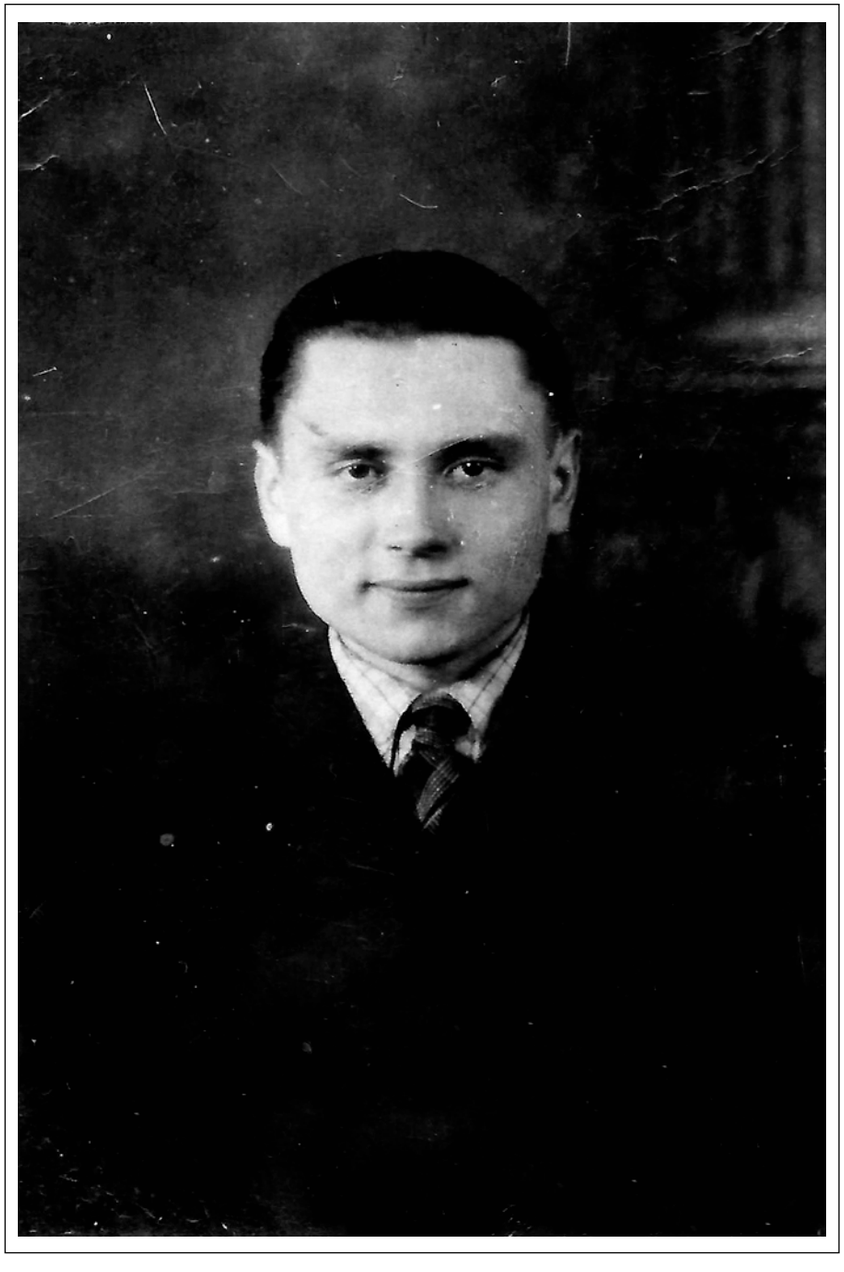

Zygmunt Maśnicki.

wało radzieckie wojsko i dlatego uciekli nie robiąc nam krzywdy. Zabrali tylko ze sobą Janka Maśnickiego. Jeszcze ja zebrałam się na odwagę i zapytałam, czy Janek wróci. „Wróci, wróci", powiedzieli. Na drugi czy na trzeci dzień ja z Lusią Mizeradzką (nie wiem, skąd miałyśmy odwagę) poszłyśmy torami do Sarn, z Niemowicz to było 16 kilometrów. Przed Rudnią taki był most, pracowali tam ci bulbowcy. Tak się na nas spode łba patrzyli. A z nimi pracował Ukrainiec Pietrynicz, podszedł z nami kawałek i powiedział, że Janek Maśnicki został zamordowany pod Ugłami, bo słyszał, jak oni między sobą rozmawiali. Mówili jeszcze o kimś zamordowanym z Ubereża. Jakoś potem znaleźli tego Janka i pochowali na cmentarzu w Kolonii Płoskie. Niestety Pietrynicz też później został zamordowany za udzielenie nam informacji.

Spośród wielu zamordowanych pamiętam takie nazwiska: cała rodzina Kubiaków z Józefpola (Maria i Henryk oraz synowie Kazimierz i Wacław), Wrzesiński i Roman Czarnecki z Ubereża, dwóch Januszów z Koniecpola, Anastazja i Antoni Maśniccy z Huty Perejmy, cała rodzina Teodorowiczów -- matka, ojciec, syn, córka, zięć oraz sąsiedzi, siostra babci Faustyny, ciotka dziadka Antoniego, w Janówce wymordowali ciotkę mojego ojca wraz z całą rodziną.

Jeszcze na Wołyniu poznałam swojego męża Romana Burzyńskiego, który pochodził z Nieklukwina. W czasie wojny pracował na kolei w Niemowiczach, jego ojciec też pracował na kolei, został zamordowany przez bulbowców. Po ucieczce z Nieklukwina mieszkali na stacji w Niemowiczach. Na wsi jednak mieli swój ogród, więc teść poszedł czosnek wybrać. Tam nakryli go Ukraińcy, na pół piłą przecięli.

Ślub wzięliśmy w 1945 roku w kościele w Sarnach, udzielił nam go ksiądz Lewiński, ten, który wywiózł do Łodzi na ulicę Smutną 9 obraz Matki Bożej wraz z wieloma dokumentami (w 1992 roku obraz wrócił do kościoła w Sarnach).

Pod koniec wojny ja z mężem, teściową i szwagierką wyjechaliśmy do Polski. Wyruszyliśmy ze stacji w Niemowiczach, w wagonach jechało po kilka rodzin. Jechaliśmy przez Równe, Lwów. Postoje mieliśmy już po polskiej stronie, chyba w Mikulczycach, Płoszowie. Gdzieś staliśmy kilka

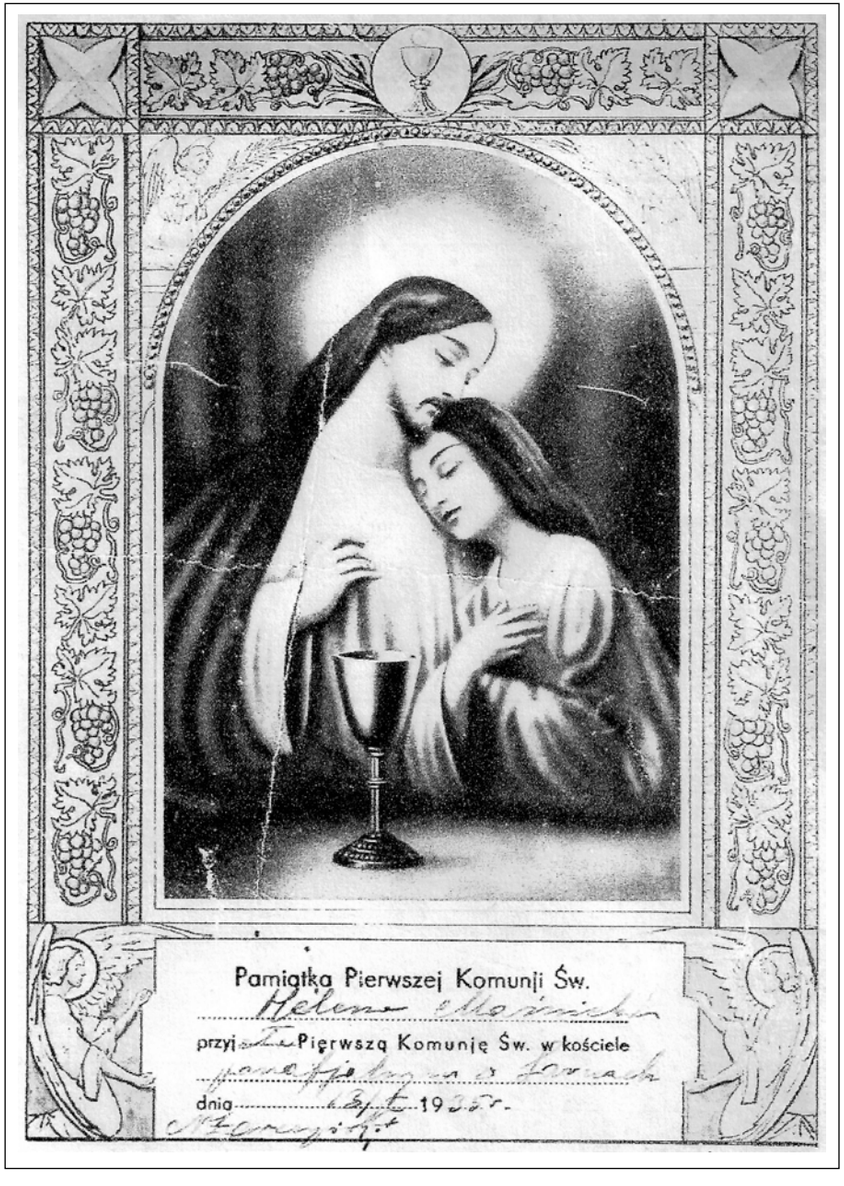

Pamiątka Pierwszej Komuni Św. Heleny Maśnickiej. Rok 1935.

dni, pamiętam, że babcia Florcię wykąpała, bo była pogoda. Najpierw trafiliśmy do Prabut i wtedy kto chciał, mógł wysiadać. Jedni wysiadali w Prabutach i zajmowali puste mieszkania, gospodarze jechali na wieś. Krasiński był takim kierownikiem, poradził nam jechać do Gdakowa. Wszystko praktycznie jeszcze puste stało. Pamiętam, że Sochaccy zajęli gospodarstwo, inni też, aby pod dach, żeby już nie siedzieć w pociągu w wagonie towarowym. Z mężem zajęliśmy dom koło mleczarni wspólnie z Tokarskimi, taka stara chałupa była. Dom był duży, my mieliśmy dwa pokoje, kuchnię i przedpokój, Tokarscy też mieli dwa pokoje, kuchnię i duży przedpokój, był również przestronny strych. Mąż mój zaczął pracę na kolei w Malborku. Moi rodzice zostali na Wołyniu, ponieważ mój tato był wielkim patriotą i chciał tam Polskę budować. Jednak we wrześniu, czy październiku 1945 roku również przyjechał do Gdakowa. Niestety mama chorowała na płuca i zmarła jeszcze na Wołyniu w lutym 1945 roku, pochowano ją na cmentarzu w Płoskiem. Jak tata na jesieni do nas przyjechał, to stał jeszcze jeden niezamieszkany dom, zajął go. Po jego śmierci ja zamieszkałam w tym domu i go wyremontowałam. Jak przyjechaliśmy do Gdakowa, to stacjonowali tu jeszcze Rosjanie, niestety zdarzało się, że kradli. Próbowali Polaków zagonić do pracy, chyba w Wilczewie. Mi udało się z tego wykręcić. Kościół był w naszej wiosce, lecz nie było księdza, nawet organy zabrali do prabuckiego kościoła, do dzisiaj tam są. Nabożeństwa odprawiały się u nas, czasami chodziliśmy do Rodowa, ale ksiądz przyjeżdżał z Prabut. Najpierw msze odprawiał ksiądz Batowski, który przyjechał z Kazimierki, później przyjeżdżał ksiądz Klimuszko. Budynek, w którym mieściła się szkoła, był doszczętnie zniszczony, ale został odbudowany. Pierwszym kierownikiem szkoły w Gdakowie był pan Tylicki, następnym pan Szynaka.

Do Gdakowa po repatriacji przyjechały także moje siostry: Barbara (była nauczycielką, uczyła muzyki, obecnie mieszka w Lęborku) i Sabina (pracowała w Urzędzie Gminy w Prabutach, później w biurze w Malborku, tam też mieszka).

U góry - Helena Burzyńska, w środku rodzice - Paulina i Antoni Maśniccy.

Już w Gdakowie na świat przyszły nasze dzieci: Alicja - 1946 r., Halina - 1948 r. Zygmunt - 1949 r., Edmund - 1950 r., Bernard - 1960 r., Paulina - 1965 r. Mąż zmarł 22 maja 1971 roku.

Niestety nie miałam okazji, aby odwiedzić Kresy, więc nie wiem, czy nasze gospodarstwo ocalało.

Fabian Cenacewicz

Nazywam się Fabian Cenacewicz, urodziłem się 21 września 1926 roku w Jasieńcu, gmina Dąbrowica, powiat sarneński. Mam trzy siostry: starszą Leontynę - ur. w 1925 r. (obecnie Próchnicka), młodsze: Jadwigę - ur. w 1928 r. (obecnie Tomaszewska) oraz najmłodszą Józefę - ur. w 1932 r. (obecnie Kaczmarek). Moi rodzice to Anna i Michał Cenacewiczowie od pokoleń mieszkający na Kresach wschodnich.

Michał (syn Andrzeja Cenacewicza i Narcyzy Czeszejko) miał dwóch braci: Tomasza i Karola (ich potomkowie zamieszkują obecnie w Rodowie i Jakubowie). Tomasz miał czworo dzieci, niestety oboje z żoną zmarli. Mój ojciec stał się prawnym opiekunem dzieci swojego brata. Bardzo chciał, aby niczego im nie brakowało. Wybudował dom, w którym zamieszkali (stoi on do dzisiaj), niestety nie zdążył wybudować nowego domu dla siebie i swojej rodziny, w 1942 roku zaczął zwozić materiały, jednak w 1943 roku musieli opuścić Kresy. Przed I wojną światową ojciec został powołany do wojska, służył w nim cztery lata. Jak zaczęła się wojna, pozostawili go na następne cztery lata. Służył na froncie koło Równego (Złota Lipa), walczył z Austriakami. Niemiec, którego spotkaliśmy na robotach po ucieczce z Jasieńca, służył w wojsku w tym samym czasie i miejscu co tata, tylko po przeciwnej stronie.

Moja mama Anna, córka Jerzego Turowskiego i Rozalii z domu Dubieńskiej, miała siedmioro rodzeństwa: Bronisława, Cezarego, Aleksandra, Antoniego, Cezarię (wyszła za sąsiada - Bańkowskiego, zostali zesłani na Syberię, skąd z Armią Andersa trafili do Anglii), Dyzię i Stefanię. Jerzy i Rozalia pochodzili z Huty Stepańgrodzkiej, jednak mój dziadek dostał mieszkanie i pracę jako gajowy w Jasieńcu (tam moja mama poznała tatę). Następnie pracował jako nadzorca lasu w majątku Worobin u Witolda hr. Broel-Platera, jednak, gdy przyszedł czas na emeryturę, hrabia zwolnił go, aby mu jej nie wypłacać. Dziadek Jerzy był znachorem, często przychodzili do niego sąsiedzi oraz mieszkańcy pobliskich wsi prosząc o pomoc. Uzdrawiał zarówno zwierzęta jak i ludzi. Wymawiał „modlitwy", potrafił „zamówić" na odległość. Mieszkali w lesie, do którego chodzili bez butów, dlatego dziadek „zamawiał" żmije, aby te ich nie ukąsiły i to się sprawdzało. Dziadek swoją wiedzę i umiejętności chciał przekazać najstarszej wnuczce Loni. Pamiętam, jak przyszedł do nas

Michał Cenacewicz z ojcem Ludwikiem.

bardzo zmęczony, bo pokonał pieszo około 30 km, a był już w bardzo podeszłym wieku i powiedział, że odwiedza nas prawdopodobnie ostatni raz, aby nauczyć moją siostrę swojego fachu. Rozmawiał z nią długo, szeptał „modlitwy", słuchałem tego, ale nic nie zapamiętałem, zresztą Lonia też. Tylko moja mama co nieco pamiętała. Jak już mieszkaliśmy w Rodowie, to czasami, jak zachorowało jakieś zwierzę, to mama szeptała „modlitwy", ale nie wiem, czy się sprawdzały, bo wtedy już weterynarze pomagali w leczeniu inwentarza.

Przed wojną mieszkaliśmy w Jasieńcu. Była to nieduża wioska położona jakieś 12 kilometrów od Dąbrowicy. Miała bardzo zwartą zabudowę i władze zarządziły komasację[1], moi rodzice mieli 6 ha ziemi ojcowizny, tato dokupił 6 ha ziemi na kolonii pod lasem, ale dosyć blisko wioski. Postawili tam prowizoryczny budynek mieszkalny i zaczęli zwozić drewno na budowę nowego domu. W Jasieńcu mieszkały rodziny Cenacewiczów (5), Rabeszków (3), Bańkowskich (3), Margielewskich, Domeradzkich, te pamiętam. Prawie wszyscy byli w jakiś sposób ze sobą spokrewnieni. Większość to Polacy, ale było dużo rodzin mieszanych, często prawosławnych, noszących polskie nazwiska. Za cara, jak się ktoś ożenił z prawosławnym, to musiał przyjąć ich wyznanie i zgodnie z nim chrzcić dzieci w cerkwi, w ten sposób car próbował Polaków wynaradawiać. Nawet w naszym nazwisku było już kilku prawosławnych.

Na początku nie było szkoły. Jeszcze za cara dziadek wykształcił jedną osobę w rodzinie w języku polskim, taką panią Domeradzką (Loni chrzestną), a ona później uczyła polskiego resztę, bo polskich szkół nie było. Nauki odbywały się po kryjomu w jej domu, też do niej chodziłem, dlatego, jak już szkołę otworzyli, to ja już czytać i pisać potrafiłem. W ciągu dwóch lat skończyłem trzy klasy. Moja starsza siostra z początku chodziła do szkoły do Sielca, to było jakieś 5 km od Jasieńca. Nowa szkoła w naszej wiosce mieściła się w drewnianym domu wynajętym od Demiańca. To były tylko

[1] Komasacja - tworzenie gospodarstw o zwartej powierzchni polegające na zamianie rozproszonych działek jednego właściciela na grunty leżące wokół jego działki.

Zdjęcie ślubne Anny i Michała Cenacewiczów.

4 klasy. Uczyliśmy się na zmiany: 1 i 2 klasa, a później 3 i 4 klasa. Nauczyciel chodził środkiem, po jednej stronie siedzieli młodsi, po drugiej starsi. Nauczycielem był Bernard Kieszkowski. Mieszkał i się stołował u mojego kuzyna Ludwika Cenacewicza. Pochodził z okolic Świecia. Posiadał swoją broń, bo był wojskowym w stopniu podporucznika. To bardzo wszechstronny człowiek. On i śpiewu nas uczył, i wszystkich innych przedmiotów. Później dostał do pomocy panią Wereszczyńską (taką trochę kulawą), była ona przedszkolanką. Przed wojną wszyscy razem chodzili do szkoły, nie było żadnych różnic, wszyscy żyli w zgodzie. Ze szkolnych kolegów pamiętam tylko kilka nazwisk: Rabeszki (Anita), Dymianiec, Jakubowicz, Karwacki.

W naszej wiosce przed wojną był sklep. Jedna pani Bańkowska była w legionach i jako przywilej dostała koncesję na prowadzenie sklepu. Przekazała ją innemu Bańkowskiemu. Wołaliśmy na niego „Kulawy Piotruś". Po kryjomu sprzedawał tam alkohol i tytoń. Pan Jakubowicz prowadził tzw. Państwowe Związki Szkolne Strzelców, mówiliśmy na nich Strzelczyki. Pan Jakubowicz był po wojsku, więc ochotników ćwiczył, uczył strzelać, ale to nie było tak na poważnie.

W Jasieńcu nie było kościoła. Na nabożeństwa chodziliśmy do Dąbrowicy, w której znajdowała się też murowana szkoła i gimnazjum, cmentarz, gmina oraz poczta. Ja i moje siostry przystępowaliśmy tam do I Komunii Św. Na pasterki chodziliśmy pieszo, a było to około 12 kilometrów, wracaliśmy nad ranem. Rezurekcje trwały całą noc. Z tych okazji odwiedzaliśmy się także z Ukraińcami. Pierwszym księdzem, którego pamiętam, był ksiądz Zabiegło. Ostatniego nie znałem z nazwiska, ponieważ objął parafię na tydzień przed naszym wyjazdem do Niemiec. Widziałem się z nim, kiedy wypisywał mi metrykę. Pożegnał się wtedy ze mną i mnie pobłogosławił. W wiosce nie było żadnej świetlicy, ponieważ przez wiele lat Polacy nie mogli o niczym decydować, wszystko dopiero wchodziło w życie. Jako dzieci graliśmy w piłkę i dwa ognie. Jak każde dziecko po szkole musieliśmy pomagać w gospodarstwie. Często pasłem w lesie konie, nawet tam z nimi nocowałem. Wilki nas otaczały, ale konie nigdy nie uciekły, nawet jak stały luzem. Jechałem na jednym, pozostałe szły za nami. W czasach, które

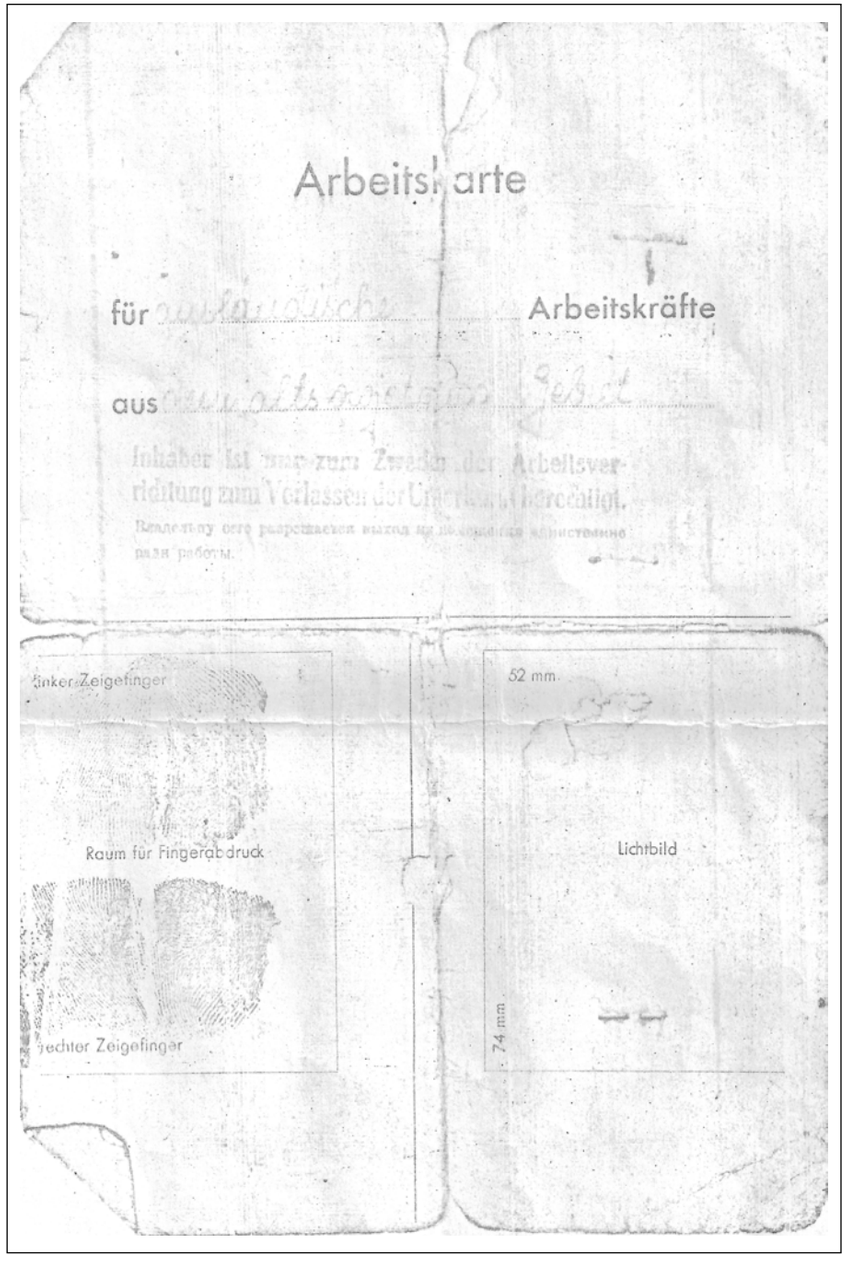

Kopia niemieckiej karty pracy Fabiana Cenacewicza.

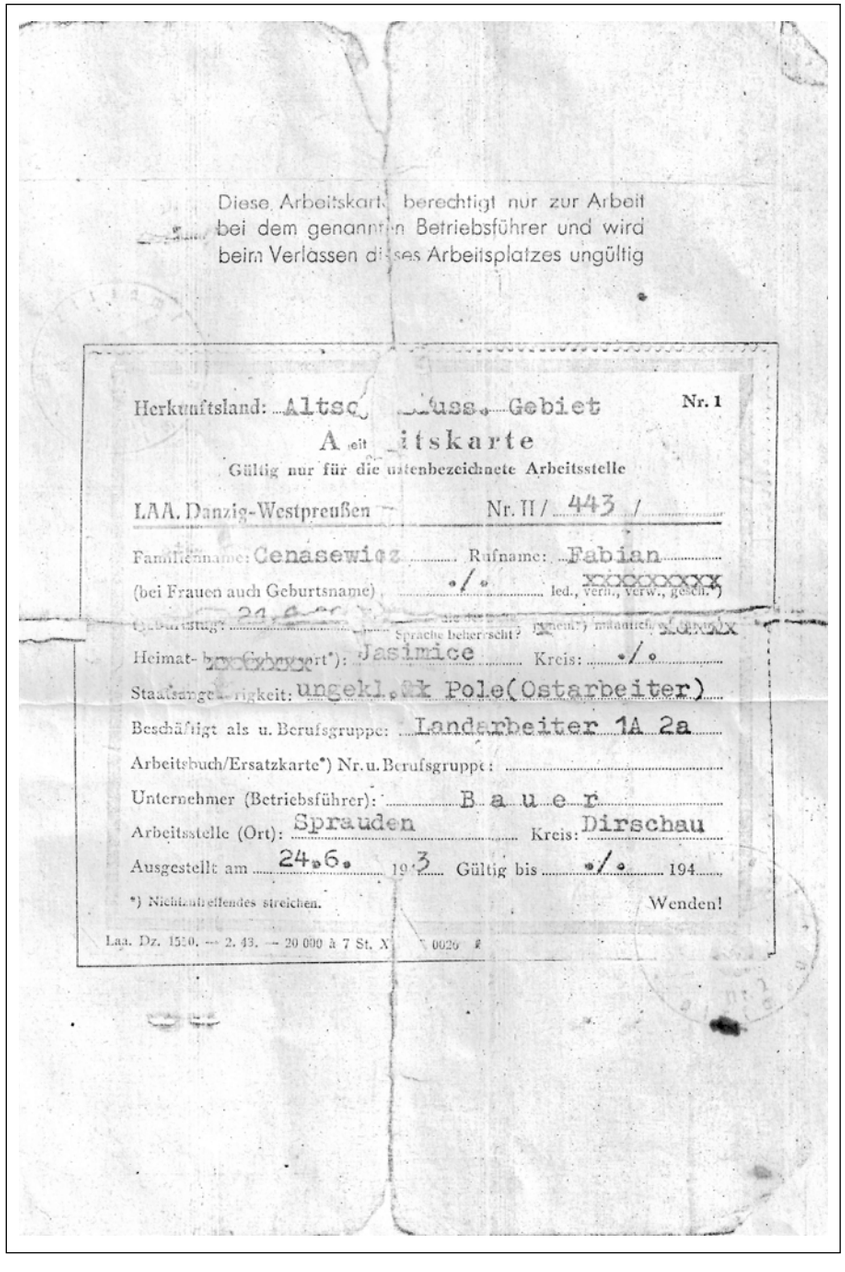

Kopia niemieckiej karty pracy Fabiana Cenacewicza.

Niemiecka karta pracy Anny Cenacewicz z 1943 roku.

pamiętam, sołtysem Jasieńca był najpierw Orzelewski, później Karwacki, a na końcu Jakubowicz. Ostatni sołtys nadal przechowuje u siebie w Jasieńcu polskiego orła. Jak kilka lat temu Ludwik (mego ojca bratanek) był na Kresach, to go widział. Ja ze wszystkimi z wioski dobrze żyłem. Jak niedawno Andrzej Cenacewicz tam pojechał, to jeszcze pamiętali i pozdrawiali mnie ci, co do szkoły ze mną chodzili.

We wrześniu 1942 roku rodzice dostali nakaz wysłania mojej starszej siostry Leontyny na roboty do Niemiec[2]. Wszyscy rozpaczaliśmy, była jeszcze taka młoda. Ze wsi chyba 7 czy 8 osób zabrano, m.in. Staśka Bańkowskiego. Ojciec odwiózł Lonię do Dąbrowicy, a potem już dalej Niemcy wzięli w bydlęce wagony i wywieźli ją aż pod francuską granicę do Schwaintfurthu. Pracowała tam w fabryce amunicji. Pisałem do niej listy, jak już byliśmy w Niemczech.

Żadnej wrogości we wsi od Ukraińców długo nie odczuwaliśmy. Wiedzieliśmy, kto należy do UPA. Z tych, których pamiętam to Czarnecki, Łaskiewicz, Bańkowski. To byli Ukraińcy o polskich nazwiskach. Jak Ruski wkroczyli, to ich za udział w bandach powiesili. Nauczyciel Kieszkowski zorganizował tzw. „szlachtę". Ci, którzy chcieli, wyświęcali się na Polaków. Jak odbywały się te uroczystości, to była wielka uczta, przyjeżdżał starosta i ksiądz, ołtarze robili. Z powrotem przyjmowali katolicyzm.

Jak już Ukraińcy zaczęli podnosić bunt, to w wiosce pod krzyżem organizowali sobie msze. Na znak, że organizacja przyszła, zawieszali na krzyżach takie jakby fartuchy. Jednym ze zdarzeń z udziałem band UPA było poranne ich pojawienie się w wiosce, ale do napadu nie doszło, coś im przeszkodziło. Do dzisiaj nie wiem co. Słyszałem tylko, że w Rudni zabili gajowego, jakieś 4-5 km od nas. Polak był tam gajowym, to mu głowę piłą odcięli i zatknęli na płocie.

Nikt do wyjazdu na roboty w Niemczech nas nie zmuszał. Tylko niebezpieczne sytuacje w okolicy. Wszędzie słyszało się o napadach band.

[2] „Na początku 1942 roku Niemcy zaczęli wysyłać także ludność na roboty do Rzeszy. Każda wioska miała dostarczyć do wywózki określony kontyngent osób w wieku od osiemnastu do czterdziestu pięciu lat. W 1942 roku tylko z Wołynia wywieziono około stu tysięcy ludzi." (w: G. Motyka, *Od rzezi wołyńskiej...*, s. 75).

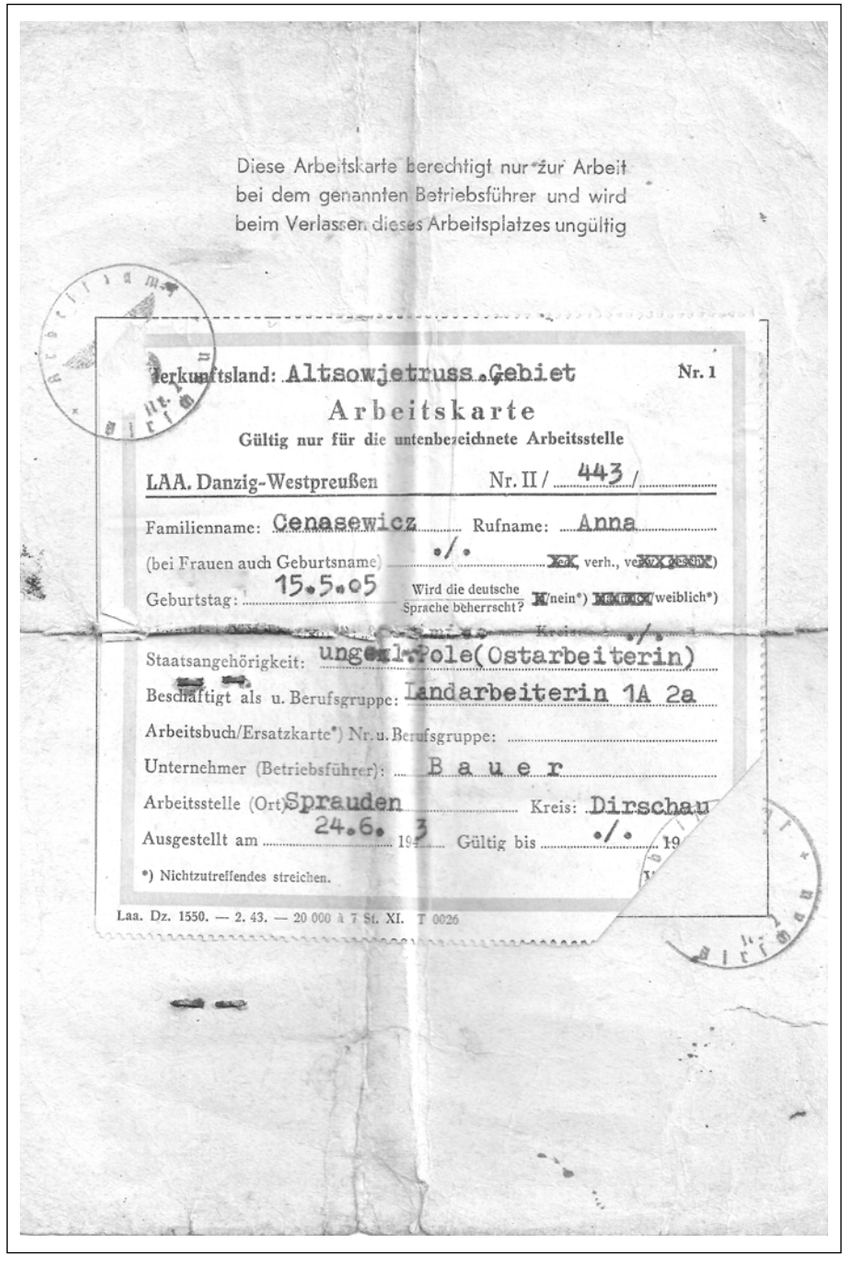

Diese Arbeitskarte berechtigt nur zur Arbeit
bei dem genannten Betriebsführer und wird
beim Verlassen dieses Arbeitsplatzes ungültig

Herkunftsland: Altsowjetruss. Gebiet Nr. 1

Arbeitskarte

Gültig nur für die untenbezeichnete Arbeitsstelle

LAA. Danzig-Westpreußen Nr. II / 443 /

Familienname: Cenasewicz Rufname: Anna

(bei Frauen auch Geburtsname) ./. verh., verw.

Geburtstag: 15.5.05 Wird die deutsche Sprache beherrscht? ja(nein*) weiblich*)

Staatsangehörigkeit: ungar. Pole(Ostarbeiterin)

Beschäftigt als u. Berufsgruppe: Landarbeiterin 1A 2a

Arbeitsbuch/Ersatzkarte*) Nr. u. Berufsgruppe:

Unternehmer (Betriebsführer): B a u e r

Arbeitsstelle (Ort) Sprauden Kreis: Dirschau

Ausgestellt am 24.6.43 Gültig bis ./. 19

*) Nichtzutreffendes streichen.

Laa. Dz. 1550. — 2. 43. — 20 000 à 7 St. XI. T 0026

Niemiecka karta pracy Anny Cenacewicz.

Ojciec wiedział, że jak nie wyjedziemy, to nas zabiją. Było to zimą. Próbowaliśmy kryć się w lesie przez trzy dni. Rano baliśmy się wracać do wioski. Nikodem miał blisko lasu teścia. Umówili się na hasło. Jak teść wychodził i machał, to my wiedzieliśmy, że możemy wracać, bo jest bezpiecznie. Blisko nas to już Brzezinę wymordowali i jeszcze inne kolonie. Jak już pracowaliśmy w Niemczech, to rodzina, która została w Jasieńcu, pisała o zamordowaniu niektórych osób. Pamiętam tylko nazwisko pana Szafrańskiego. Z obawy przed cenzurą listów pisali, że teraz w wiosce można ciągnikiem orać od jednego do drugiego domu. My wiedzieliśmy, że wiele domów zostało spalonych. Jeszcze za czasów naszego pobytu w Jasieńcu samoobrony we wsi nie było. Polaków było za mało, nie myśleli o tym. Wiem, że w Hucie już się organizowali. Od Niemców broń kupowali. Ludwik i Nikodem mieli łączność z partyzantami, zostali w Jasieńcu. Ojciec mój chciał rodzinę ratować, dlatego w 1943 roku wyjechaliśmy. Ludwik odwoził nas naszymi końmi do Dąbrowicy (później zabrali mu je partyzanci), tata namawiał go na wyjazd z nami, ale nie chciał, był jeszcze kawalerem, twierdził, że sobie poradzi. Najpierw przez tydzień mieszkaliśmy w Dąbrowicy u dalekiego krewnego - Rabeszki, jednak inni zaczęli go dopytywać, kim jesteśmy i zrobiło się niebezpiecznie. Uciekliśmy do Sarn, tam już stacjonowało niemieckie wojsko. W drugim tygodniu pobytu w Sarnach, żeby zarobić na jedzenie, chodziliśmy na stację robić paczki świąteczne dla wojska, bo wysyłano frontowym cukier i podobne produkty. Po tygodniu przewieziono nas do Równego, do koszar zwanych „Na Grabniku", tam byliśmy dwa tygodnie. Przed wyjazdem Niemcy dali każdemu 1 kg kiełbasy końskiej i bochenek chleba, co miało starczyć na dwa tygodnie, bo tyle trwała podróż do Gdyni. Zajechaliśmy nad samo morze, pociąg nie mógł już dalej jechać. Nikt z wioski z nami nie jechał, cała obsługa pociągu była niemiecka.

Dostaliśmy przydział pod Tczew. Wykonywaliśmy różne prace. Pewnego razu wzięli nas do kopania okopów - tatę, mnie i siostrę Jadwigę. Uciekliśmy stamtąd. Ojciec uciekał w stronę Tczewa, gdzie była mama z moją siostrą Józią, złapali go i jeszcze raz wysłali na okopy pod Morzeszczyn, tam

zginął, ale nawet nie wiemy jak i dokładnie gdzie. Ja z siostrą przesiedziałem kilka dni w przydrożnej stodole i przyszli Ruski. Odnaleźliśmy mamę i siostrę. Przez parę miesięcy mieszkaliśmy we wsi Szprudowo pod Gniewem, tam dołączyła do nas siostra Leontyna. Do Rodowa trafiliśmy przez przypadek.

Syn pani Domeradzkiej (pochodziła z Jasieńca, a po repatriacji mieszkała w Rodowie) oraz chłopak z rodziny, która przebywała z nami na robotach w Niemczech, nie chcieli służyć w wojsku, bo to rosyjskie wojsko było. Ktoś im powiedział, żeby palili herbatę, to zachorują i ich zwolnią, i tak zrobili. Zaczęli chorować na płuca i faktycznie z wojska zostali zwolnieni, ale po 3-4 miesiącach poumierali. Leżeli w szpitalu w Kwidzynie i tam się odbył pogrzeb, na którym spotkały się obie rodziny. Pani Domeradzka dowiedziała się wtedy, że my żyjemy i gdzie mieszkamy. Od razu po pogrzebie przyszła pieszo do naszej wioski oddalonej od Kwidzyna około 30 km. Mama akurat szła do kościoła i w drodze się spotkały. Płakały z radości, nie mogły uwierzyć, że się widzą. Ja z tą panią Domeradzką przyszedłem do Rodowa i dowiedziałem się, że mieszkają tu sąsiedzi z Jasieńca (Rabeszki, Bańkowscy, Margielewscy, Piaseccy, Szafrańscy), dlatego postanowiliśmy tu przyjechać, aby być razem. Z mamą i trzema siostrami dotarliśmy do Rodowa 1 maja 1946 roku. Lepsze gospodarstwa były już zajęte. Dostaliśmy ruderę, dlatego po latach musiałem się budować. Ciężko było. Prabuty to w większości gruzy. W rynku stała kruszarka, wybierano cegły na odbudowę Warszawy, gruz wywożono. Na obecnej ulicy Kraszewskiego (jak się zjeżdża z góry) stał czołg przez dobrych parę lat.

W Rodowie stał kościół i była szkoła, w której za Niemców mieściła się restauracja. Nie było księdza. Z Prabut dojeżdżał ksiądz Czesław Klimuszko. Kiedyś nawet wozem i końmi Zająca jechałem z nim do Prabut. Miał takie kędzierzawe włosy. Mógł mieć wtedy jakieś trzydzieści parę lat. Wróżył nawet mojej mamie na temat ojca. Twierdził, że on już nie żyje. Siostry powychodziły za mąż. Leontyna Próchnicka mieszka za Ostródą we wsi Tabórz (dwóch jej synów - Edward i Jerzy - powrócili do Prabut), Jadwiga Tomaszewska w Prabutach, a Józefa Kaczmarek we wsi Wynki (też za Ostródą).

Żonę moją Teresę Cichorską poznałem już w Rodowie, ślub wzięliśmy 18 maja 1952 roku w tutejszym kościele. Na świat przychodziły kolejno nasze dzieci: Bogumiła (1951 r.), Anna (1953 r.), Michał (1955 r.), Bogdan (1956 r.), Irena (1958 r.), Grażyna (1965 r.) i Krystyna (1968 r.).

Na Wołyń już nigdy nie wróciłem. Mam uraz. Chciałbym tylko samochodem przejechać, zobaczyć z daleka, ale nawet się nie zatrzymywać. Nawet teraz, jak zamknę oczy i pomyślę, to bardzo wyraźnie widzę wszystkie ścieżki w okolicy wioski.

Stefania
Cyganowska

Nazywam się Stefania Cyganowska. Urodziłam się 31 stycznia 1930 roku we wsi Podberezie, powiat łucki, województwo wołyńskie. Jestem córką Antoniego i Tekli. Mój tato był mieszkańcem Podberezia, a mama przyjechała z centralnej Polski. Ojciec mojej mamy był leśniczym i został pobity w lesie. Niestety następnego dnia umarł. Ponieważ moja babcia nie mogła sama zarobić na wykończenie domu, który budowali, wysłała swoje córki do pracy właśnie na Wołyń i w ten sposób się poznali. Mój tato był trenerem koni w pobliskim majątku. Jednak po ślubie kupił gospodarstwo we wsi Korszów i tam zamieszkali. Korszów[1] był typowo ukraińską, dużą wioską. Byliśmy tam jedyną polską rodziną. Obok były dwie polskie wsie Dziadowiec i Przyparów. Przed wojną nasze relacje z ukraińskimi sąsiadami były doskonałe. Mój ojciec był wyjątkowo zgodnym człowiekiem. Jak to się mówi „Psu z drogi się nawinął". Z Ukraińcami grywał w karty. Czasami w ten sposób spędzali całe zimowe noce. Wiosną i latem było inaczej, bo musiał pracować na gospodarce. Do pierwszej klasy zaczęłam chodzić w Korszowie, ale ponieważ mieszkaliśmy na uboczu wsi, zimą nie dawałam rady sama dochodzić do szkoły i w sumie to spędziłam w niej tylko kilka miesięcy. Jak wybuchła wojna i wkroczyli Ruskie, to nałożyli na nas bardzo wysokie podatki. Mojemu ojcu zabrali konia i krowę właśnie za niezapłacony podatek. Było zboże, ale co z tego, skoro nikt nie chciał go kupować. Ruscy równo traktowali i Polaków, i Ukraińców. Wszystkich równo łupili. Jak Ruskie kazali się do kołchozu zapisywać, to mój ojciec odmówił. Wtedy dostał pismo, że razem z rodziną zostanie wywieziony na Syberię. Mama napiekła sucharów, przygotowała ubrania, bo Ruskie wywozili nocami. Pukali i kazali w piętnaście minut być gotowym do wyjazdu. Nas mieli wywieźć w środę, a w niedzielę Niemcy napadli na Ruskich. Tato wyszedł rano przed dom, bo usłyszał jakiś hałas. Zobaczył, jak ruskie wojsko ucieka takim wąwozem, a niemieckie samoloty do nich strzelają. Przybiegł do domu, wszystkich nas wyściskał i powiedział, że nigdzie nie będziemy jechać. Po wkroczeniu Niemców nie było wcale lepiej. Też trzeba było wysokie kontyngenty

[1] Korszów - wieś ukraińska, w której żyła jedna polska rodzina (w: E.Siemaszko, W. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane*..., s. 598).

oddawać. Wtedy jakoś udawało się ojcu wywiązywać z kontyngentów i Niemcy zabrali tylko jedną krowę.

Te wszystkie napady i mordowania to w dużej mierze przez Niemców. Oni mówili Ukraińcom: „Bijcie Polaków, a dostaniecie Samostyjną Ukrainę". Mojego tatę zamordowali 19 marca 1943 roku. To była niedziela. Tato poszedł na zebranie do sołtysa. Po zebraniu jeszcze pograł z miejscowymi Ukraińcami w karty i ruszył do domu. To było gdzieś po dziewiątej wieczorem. Przed nim szło czterech miejscowych chłopaczków. Jak oni zobaczyli, że jedzie banda, to szybko uciekli w pobliskie sady. Natomiast tato miał zranioną nogę, bo go koń szarpnął i nie zdążył się ukryć. Nad ranem moja babcia poszła go szukać do sołtysa. Ten powiedział, że wyszedł razem z czterema miejscowymi chłopakami. Ale oni nie chcieli nic powiedzieć. Mówili, że szedł za nimi, ale co się z nim stało, tego nie wiedzą. Mama natychmiast powiadomiła rodzinę od strony taty. Około trzeciej po południu przyszła do nas ukraińska sąsiadka i mówi do mamy: „Galiniecka, wy szukacie męża, a idźcie zobaczcie koło mojego pola pełno krwi jest". Poszliśmy, ja też tam byłam i widziałam. Było wydeptane miejsce, całe zakrwawione i ślady kół też znaczone krwią. Jednak na drodze ślad się urywał. Z tego, co ludzie gadali, to wiemy, że ojca zawieziono na taką polską kolonię Dziadowiec i tam w rzece utopiono. Gdy byliśmy już w Łucku, to Ukrainki, które przyjeżdżały na targ, gadały, że trzy tygodnie po tej rzece pływał. Ale nie było nawet mowy, żeby tam pojechać i szukać ciała. Ukraińcy od razu by każdego zabili.

Po tym jak tatę zamordowali, przeprowadziliśmy się do babci. Tam dwa razy przyszedł ukraiński bandyta i pytał o mamę. Prawdopodobnie chciał ją zabić. Ale babcia schowała mamę pod łóżko, a bandycie powiedziała, że mama wyjechała do Łucka. W kilka dni później uciekliśmy do takiej wsi Orynów. Jak jechaliśmy do tej wsi, to przed przejazdem kolejowym wyszedł z lasu Ukrainiec. Podszedł do wozu i powiedział, że my mamy zsiąść, a mama ma go odwieźć do lasu. Moja babcia zaczęła go prosić: „Panie Gadomski, na litość boską. Ona ma troje dzieci, ja nie będę ich sama chować, już jestem na to za stara". Ten Ukrainiec spojrzał na zegarek, a mama w tym momencie

zdzieliła konie batem. Ukrainiec zdążył strzelić, ale na szczęście nie trafił. Konie przejechały przez tory i spłoszone biegły drogą. Mama zsunęła się z wozu i gdyby nie babcia i szwagierka, to wpadłaby pod koła. Wujkowie i jeszcze dwóch innych nie jechali z nami, ale szli lasem, bo Ukraińcy, jakby zobaczyli mężczyznę, to od razu by go zabili. Ten wujek wszystko widział i razem z pozostałymi wyskoczyli na drogę i złapali tego konia.

Do tego Orynowa zjeżdżali na noc Polacy z okolicznych wsi. Tam był uzbrojony oddział samoobrony i wszyscy spali w murowanym budynku właściciela majątku. Ukraińcy napadli na nas w nocy. Podchodząc palili wszystkie drewniane stodoły i obory. Była grupa siedemnastu ludzi, którzy zamiast schronić się w tym murowanym budynku, postanowiła spać w pobliskiej oborze. Gdy te budynki zaczęły płonąć, przenieśli się do sadu do takiej piwnicy. Ale jakiś Ukrainiec ich tam wytropił. Podszedł i mówi: „Bracia wychodźcie, Ukraińcy napadają, musimy uciekać". Z tych siedemnastu osób jedynie dwóch mężczyzn zdążyło się schować w pobliskie zarośla. Pozostałych położono na ziemi i zabijano siekierami, widłami, piłami. Była wśród nich taka Marysia Donysów, narzeczona jednego z Ukraińców. Gdy ten do niej podszedł, ona zaczęła go prosić o litość. Ten strzelił jej z pistoletu w obojczyk. Leżała ona wśród tych pomordowanych aż do rana. Dopiero, gdy Ukraińcy się wycofali, Polacy poszli zobaczyć, co tam się stało. Z wszystkich przeżyła tylko ta Marysia i dwóch, co schowali się w zaroślach. Pozostali zostali zmasakrowani. To była mieszanina ludzkiego mięsa, krwi i kości. Z Orynowa uciekliśmy do Łucka. Dopiero, gdy przyszły żniwa przyjechaliśmy do Orynowa zbierać zboże. Ten murowany budynek został w międzyczasie spalony i pozostały same ściany. Mieszkaliśmy więc w tych ruinach, a jak padał deszcz, chowaliśmy się pod taki blaszany daszek. Wtedy po raz drugi napadli na nas Ukraińcy. Niemcy kazali wszystkim uciekać do cerkwi, a sami odpierali atak. Tyle że tym razem Ukraińcy strzelali z automatów. Nie wszyscy jednak zdołali dotrzeć do cerkwi. Było takie młode małżeństwo, które schroniło się w wędzarni. Ukraińcy ich zamordowali, a kobietę dodatkowo strasznie zmasakrowali. To małżeństwo miało maleńkie dziecko, którego bandyci nie znaleźli. To dziecko wdrapało się na martwą matkę i ssało jej

pierś. Dzięki temu przeżyło. Po tym napadzie już na stałe wyjechaliśmy do Łucka i tam mieszkaliśmy. Do Korszowa, gdzie było nasze gospodarstwo, już nigdy nie wróciliśmy. Tylko mój wujek pojechał tam latem. Było to po tym, jak Ukraińcy zabili w Korszowie dwóch Niemców. Wtedy Niemcy pojechali wziąć odwet. Przy okazji powiedzieli, że kto ma tam gospodarkę, to może pojechać z nimi i zobaczyć, czy coś po niej zostało. Niemcy jechali i wszystko, co było na ich drodze, podpalali, a uciekających Ukraińców zabijali. Mój wujek złapał takiego młodego Ukraińca i kazał mu powiedzieć, gdzie jest ciało taty. Ten Ukrainiec przyznał, że zostało wrzucone do rzeki na Dziadowcu. Jednak zaraz zjawił się jakiś Niemiec i po prostu zastrzelił tego Ukraińca. Wujek bardzo żałował, że zatrzymał tego chłopaka. Gdyby tego nie zrobił, może tamten by uciekł. Niemcy spalili całą wieś w tym również nasz dom.

Pamiętam, że w Boże Narodzenie 1943 roku Ukraińcy napadli na Gnidawę. Stamtąd pochodził mój mąż. Zamordowali dziewięć rodzin. Polacy krzyczeli, wzywali pomocy, bo obok była cegielnia, w której stacjonowali Niemcy. Ale oni sobie popili przy okazji świąt. Gdyby nie jeden pijany Niemiec, który szedł i strzelał w powietrze z automatu, to całą wieś by wymordowali, a tak zostali wypłoszeni. W styczniu 1944 roku, gdy Niemcy uciekali przed nadchodzącym frontem, na kilka godzin Łuck był miastem niczyim. Wtedy przybiega do nas rosyjski partyzant i mówi, że Ukraińcy już wchodzą do miasta i będą mordować. Mama zabrała nas i pobiegliśmy do murowanego budynku szkoły. Ale w takich sytuacjach moja mama traciła pamięć i mój kilkumiesięczny brat został tam, gdzie mieszkaliśmy. W budynku mama załamuje ręce, że dziecko zostało. Jeden z mężczyzn mówi, że nie pójdzie, bo się boi. Moja starsza siostra pobiegła i szczęśliwie przyniosła do nas małego Antosia. Wszystkie kobiety i dzieci zostały ulokowane na piętrze, a mężczyźni z tym, co kto miał, obstawili na parterze drzwi i okna. Tam siedzieliśmy od popołudnia do czwartej nad ranem. Wtedy usłyszeliśmy radzieckie czołgi. Ale mimo to postanowiliśmy jeszcze nie opuszczać tego miejsca. Dopiero około dziesiątej rano zjawił się jakiś radziecki żołnierz i powiedział, że miasto jest wolne.

Do czasu repatriacji mieszkaliśmy już w Łucku. Transport, którym

jechaliśmy do Polski, był bardzo duży. Tak duży, że jedna lokomotywa nie dawała rady ciągnąć wagonów. Gdy wjechaliśmy na Polesie, transport został podzielony. Moja rodzina jechała w tej części, która została. Myśleliśmy, że pewnie znowu Ukraińcy na nas napadną, ale tym razem tak się nie stało. Po kilku godzinach przyjechały dwie lokomotywy i ruszyliśmy dalej. Jechaliśmy w takich węglarkach, a trwało to chyba z sześć tygodni. Po przyjeździe do Katowic okazało się, że w naszym wagonie zapaliła się panewka i na czas naprawy musieli nas odłączyć od transportu. Dopiero po kilku dniach ruszyliśmy dalej, ale już z innym transportem. Najpierw trafiliśmy do Malborka. Dopiero z Malborka przyjechaliśmy do Prabut. Zamieszkałam na ulicy Polnej i rozpoczęłam pracę w szpitalnej kuchni, gdzie przepracowałam 21 lat. Inni Kresowiacy otrzymali zadośćuczynienie za mienie pozostawione na Wołyniu, ale ci, którzy nie posiadali żadnych dokumentów, tak jak my, nic nie dostali.

Mam tylko jedno marzenie, żeby pojechać w miejsce, gdzie utopiono mojego tatę i choćby na tę wodę spojrzeć i wianek w nią rzucić.

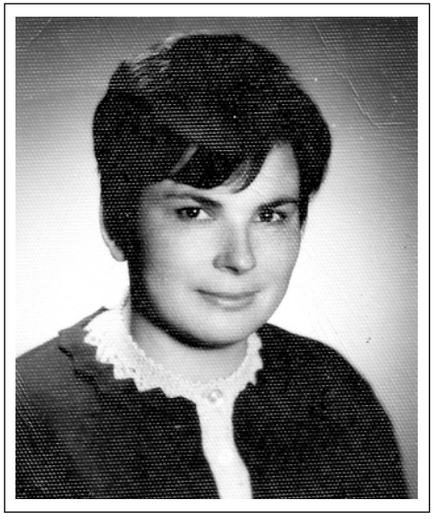

Franciszka
Dąbrowska

Ot, życie...
Na Wołyniu świat ujrzałam
I tam przejść przez życie miałam,
Co mnie czeka? - Nie wiedziałam,
A tam przejść przez życie miałam...

Nie był Wołyń mi pisany,
Ani domu mego ściany,
Ani pejzaż ukochany,
Nie był Wołyń mi pisany...

Konstantynówka - Janówka
- Radzież - Sarny na Wołyniu,
miła sercu strona, cóż...
kiedy się znalazły za „linią Curzona"!

Motto: *„Kto nie ceni przeszłości*
- nie wart jest przyszłości!"

Okruszki wołyńskiej historii

I. Powstanie miasta Sarny, okolicznych osad i wsi.

Sarny to miasto powiatowe z dużym węzłem kolejowym, położone w dorzeczu Horynia i Słuczy. Obie rzeki łączą się na północ od Sarn i wpadają do Prypeci. Pejzaż to dla reszty Polski egzotyka: bagna z kępami unikalnej roślinności, urokliwe jeziora, rozlewiska i potężne lasy z wielowiekowymi dębami. Jest to pogranicze Polesia i Wołynia.

Narodziny Sarn przypadają na lata 80-te XIX wieku. Wtedy to rozpoczęto budowę kolei żelaznej: Łuniniec - Sarny - Równe (1866-1890). Od 1883 r. powstawała kolejna magistrala kolejowa: Wilno - Kowel - Sarny - Równe - Kijów, po której pierwsze pociągi przejechały w 1902 roku. Budowę dworca kolejowego w Sarnach, o pięknej architekturze, zakończono w 1902 roku. Zdobi miasto do dziś.

Na przełomie XIX-XX wieku Sarny liczyły zaledwie około 3000 mieszkańców. Najstarsza ulica to Szeroka (później przez wiele komunistycznych lat

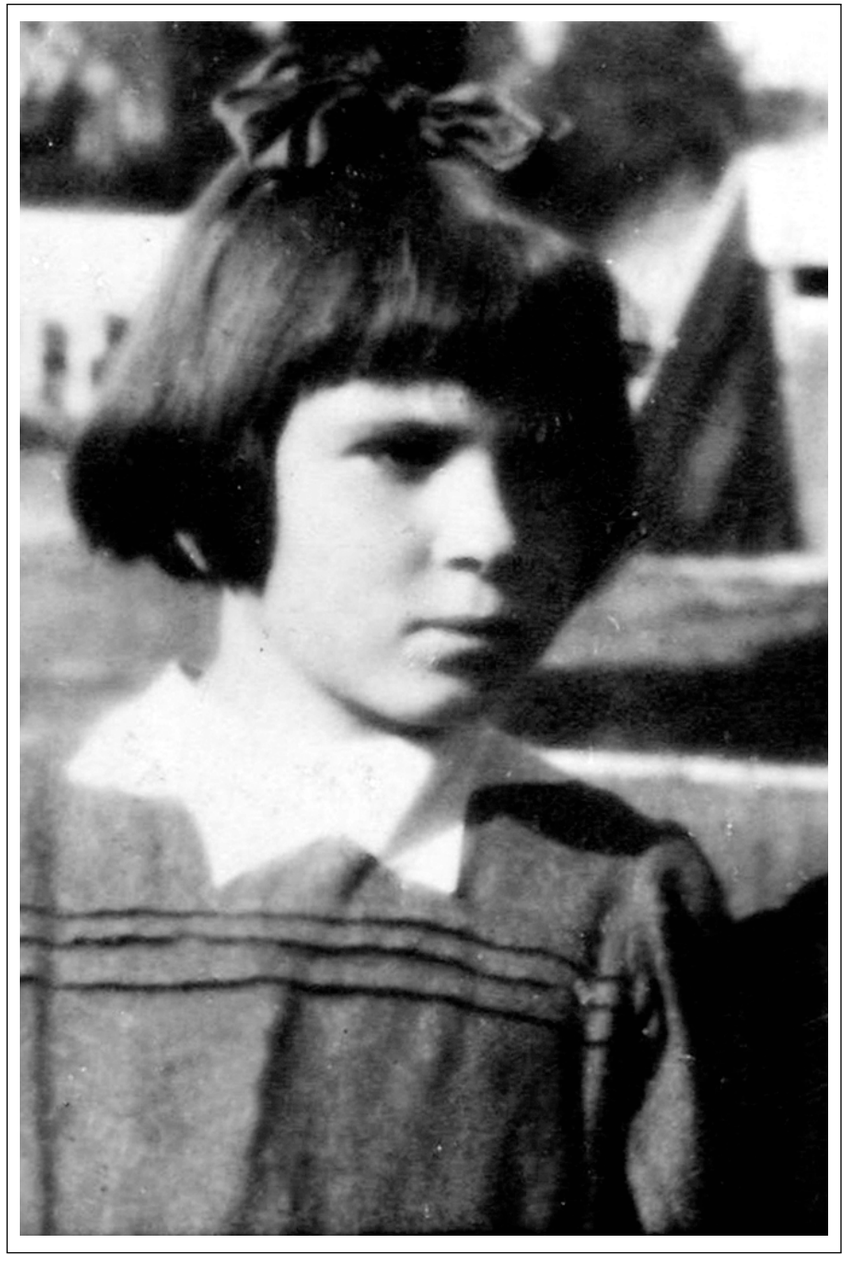

Franciszka Dąbrowska.

Praspiekt Lenina, z dziesięciometrowym pomnikiem „wodza" pośrodku; obecnie w miejscu tego „cudowiszcza" (dziwadła) - Amfiteatr i... znowu ulica Szeroka).

Na początku XX wieku Sarny liczyły około 6000 mieszkańców. Byli to głównie kolejarze i rzemieślnicy. Żydzi rozwijali handel. Miasto było wielonarodowościowe i wielokulturowe. Wokół miasta powstawały osady i wsie. Najstarsze z nich to: Dorotycze, Orłówka, Totowicze, Luchcza, Cepcewicze, Remczyce, Niemowicze, Ugły i Ubereż. W następnej kolejności pojawiły się: Konstantynówka, Janówka, Radzież, Osty, Folwark i inne.

Konstantynówka - Janówka to dwie duże osady połączone ze sobą. Ciągnęły się na południowy zachód od Sarn (7 km traktem i nieco mniej boczną drogą). Konstantynówkę zamieszkiwały głównie rodziny: Dąbrowskich, Szachniewiczów i Teodorowiczów. Inne nazwiska występowały pojedynczo. Ludność zajmowała się głównie rolnictwem - przede wszystkim uprawą lnu, gryki, prosa, truskawek, a także wykopem torfu i kamieniarstwem (liczne kamieniołomy). Hobby rodziny Dąbrowskich to polowania, pszczelarstwo i muzyka (Zygmunt - skrzypce, Franciszek - trąbka, Adam - klarnet).

Sąsiadami rodzin Dąbrowskich i Szachniewiczów były dwie rodziny ukraińskie: Andryj Kołyk i Mykita Kołyk. Z ich to potomkami utrzymuję wieloletni kontakt. Większa grupa ukraińskich gospodarstw rozmieszczona była pod lasem niemowickim. Tę część Konstantynówki w miejscowym żargonie nazywano „Bosa Kamanda". Tam to na początku 1942 roku z rozkazu UP-owca Stefana Borowca p.s. „Bulba", narodziło się „gniazdo żmij" zwanych bulbowcami. Na „Bosej" bulbowcami dowodzili bracia Bałdyńscy (UP-owcy). Jeden z nich zaginął wcześniej, drugi natomiast był schwytany pod koniec wojny i osądzony. Na pytanie sowieckiego prokuratora: „Jaką karę sam by sobie wymierzył?"- bandyta odparł: „Taką, na jaką zasługuję". Otrzymał karę śmierci przez rozstrzelanie.

Mój dziadek Feliks Dąbrowski był świadkiem w sprawie.

II. Wojna 1939-1945.

Polska w kleszczach dwóch zaborców: od zachodu - 1 IX 1939 r. Niemcy hitlerowskie, od wschodu - 17 IX 1939 r. - Związek Sowiecki z Armią Czerwoną.

Wołynianka z Pomorza w stroju kaszubskim.

Sarny czerwonoarmiści zajęli 20 IX 1939 r. Pod koniec grudnia tegoż roku woj. wołyńskie podzielono na dwa: woj. wołyńskie z siedzibą w Łucku (jak było) i woj. rówieńskie z siedzibą w Równem.

A oto jak zapamiętałam wkroczenie na Wołyń wschodnich zaborców: rodzice ciągle wystawali w kolejkach, a to po naftę do oświetlania mieszkania, a to po cukier (był w takich dużych bryłach różowego koloru). Prócz tego wszyscy mieszańcy mieli obowiązek uczestniczenia w zebraniach prowadzonych przez sowieckiego „politruka", bić brawo, wołać „uraaa" i skandować: „Chaj żywe batko Stalin!". Jednak rodzice opowiadali, że tych okrzyków nie wznosili, ale poruszając ustami, wypowiadali zupełnie inne słowa. Nie napiszę jakie...

Ponadto, w każdym domu, na widocznym miejscu, musiał być zawieszony portret „batka Stalina". U nas muchy tak go potraktowały, że wkrótce został usunięty.

W 1940 roku zaczęły się tak zwane wywózki na „nieludzką ziemię", tj. w głąb Związku Sowieckiego. 10 II 1940 r. wywieziono mojego wujka Stanisława Frydrycha z rodziną... daleko... w nieznane. Był legionistą, następnie osadnikiem w Józefpolu, z zawodu - leśnik. Najpierw przebywał gdzieś w nadwołżańskich lasach, w „gorkawskaj obłasti", a następnie przewieziony do Kazachstanu. Nie pomogły liczne paczki żywnościowe moich rodziców, bo wujek (z jedną ze swoich córek) zmarł z głodu i pracy ponad siły. Pozostałe dzieci wujka (dzięki akcji gen. Andersa) uratowały się: troje trafiło do USA, a najmłodsza z córek do Nowej Zelandii. To długa i tylko jedna z wielu historii Polaków, którzy trafili w sowieckie łapy. Młodszy wujek, Józef Frydrych, również leśnik, zdążył zbiec z rodziną na Lubelszczyznę. Moja rodzina miała być deportowana na tak zwane „białe niedźwiedzie" w kolejnej (już czwartej) turze wywózek pod koniec czerwca 1941 roku. Mama ususzyła dwa worki kromek chleba i trochę owoców... na tułaczkę. Mój ojciec Zygmunt Dąbrowski również był legionistą, następnie przez wiele lat pełnił funkcję komendanta „strzelców", był więc „poważnym zagrożeniem dla potężnego i niezwyciężonego Związku Sowieckiego". Nie wywieziono nas jednak, bowiem front niemiecki wkroczył na Wołyń,

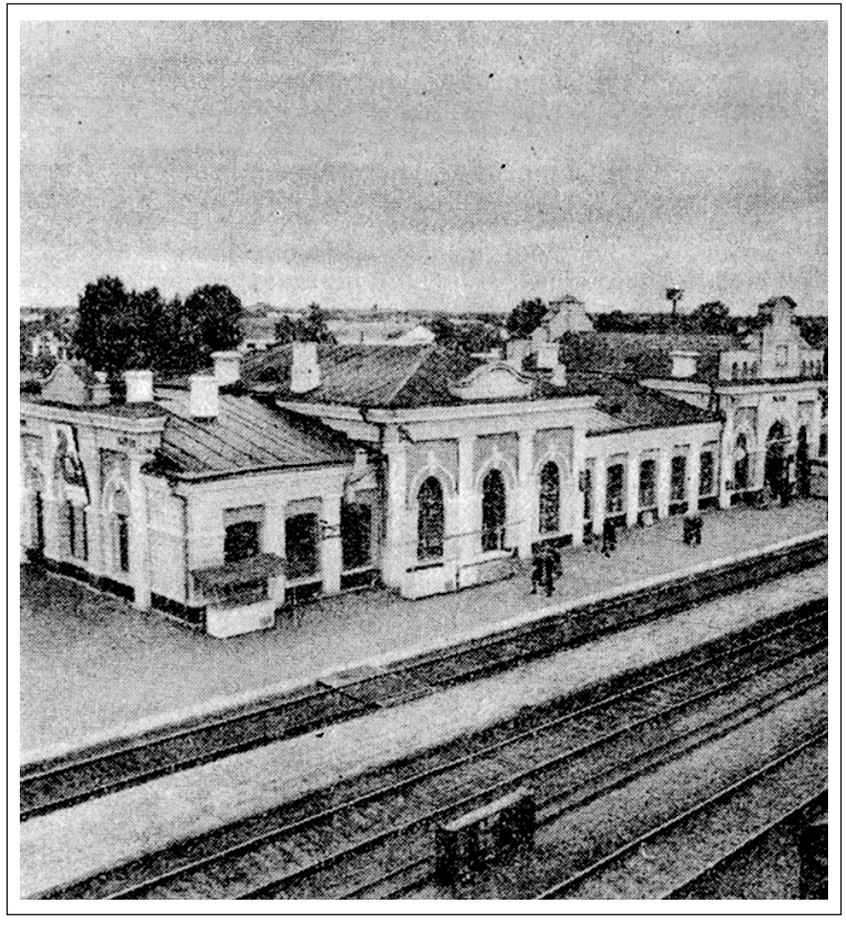

Dworzec PKP w Sarnach.

a „niezwyciężeni" musieli wziąć nogi za pas. Uciekając, spalili nową szkołę w Konstantynówce.

III. Nowi „goście" z Zachodu.

Do Sarn dotarli 6 lipca 1941 r.

Jako dziecko wyobrażałam sobie, że Niemcy to takie ogromne niedźwiedzie, które porywają małe dziewczynki i unoszą je w ciemny, bardzo ciemny las. A tymczasem Niemcy po prostu wjechali do Konstantynówki na czarnych motocyklach od strony lasu horodeckiego i Janówki, tj. od zachodu, sprawdzili w większości studni jakość wody i wybrali podwórze moich rodziców z najnowszą studnią we wsi. Rozgościli się tu na jakiś czas z kuchnią polową i ciągle polewali się wodą kolońską z powodu znanych wołyńskich komarów.

Tymczasem w Sarnach rozpoczął się terror. W ciągu kilku dni w mieście powstało getto, do którego zagnano kilka tysięcy Żydów, nie tylko miejscowych, ale i z pobliskich miasteczek. Rozstrzeliwano ich w pobliskim lesie sosnowym. Zawsze wczesnym rankiem. Kiedy wiatr wiał z północnego wschodu, to i w Konstantynówce słychać było serie z karabinów maszynowych, a następnie pojedyncze strzały. Było to dobijanie poruszających się, a jeszcze żywych nieszczęśników. Ziemia w tym lesie długi czas poruszała się, a odór był nie do zniesienia.

Nielicznym Żydom udawało się zbiec. Kryli się po okolicznych wsiach. W Konstantynówce również. Pamiętam imiona trojga zbiegów: Gienek, Sara i Lola. Byli krawcami. Ukrywanie ich równało się śmierci. Były częste obławy. Niemcy poszukiwali zbiegłych Żydów. Przed jedną z obław Żydzi uciekli. Zginęła Sara. Zakopano ją na łące sąsiada Kreja.

W czasie, kiedy „gospodarzami" Wołynia byli Niemcy, zaczęły się łapanki uliczne, a także wprowadzono kontyngenty na młodych ludzi - niewolników do pracy w Rzeszy. Z Konstantynówki wywieziono „na roboty" Mieczysława i Witolda Dąbrowskich oraz Jadwigę Witek (1942 r.).

W tym też czasie (1942 r.) ukraińscy nacjonaliści zapragnęli „samostyjnoj" (niepodległej) Ukrainy. Na Wołyniu rozpętało się piekło. Twarze rodziców

i osób, które u nas bywały, stawały się coraz bardziej zatroskane, bowiem zaczęły krążyć różne niewiarygodne pogłoski, które niebawem okazały się najprawdziwszą prawdą. W październiku 1942 r. w Janówce pod lasem horodeckim miała miejsce pierwsza w okolicy rzeź. Bulbowcy wymordowali siedmioosobową rodzinę Teodorowiczów i dwie osoby przybyłe po drobne zakupy (u p. Teodorowiczów był sklep). W czasie rzezi dwoje dorosłych dzieci z tej rodziny przebywało w sąsiedniej wsi na zabawie; córka pozostała na noc u cioci, syn natomiast wrócił do domu... po śmierć... Po rzezi bulbowcy pozostawili aż nadto widoczne ślady wesołej uczty.

Mieszkańcy Janówki, Konstantynówki, Radzieża i innych miejscowości, dowiedziawszy się o zdarzeniu, poszli na miejsce masakry organizować pogrzeb krewnym i sąsiadom. Po powrocie z Janówki kilka kobiet wstąpiło do nas, opowiadając o tym, co zaszło. Powtarzały wielokrotnie. Płakały. Ja, nasłuchawszy się makabrycznych opowieści, wzięłam moją lalę i inne zabawki, następnie haczykiem rozsunęłam fajerki na płycie kuchni i wrzuciłam wszystko do ognia. Po co zabawki, skoro i mnie zarąbią -- pomyślałam. Na widok mojego zachowania obecne kobiety podniosły ogólny lament: „Takie dziecko, a wszystko rozumie...". A tak! W czasie wojny dzieci, bez względu na wiek, stały się od razu dorosłe, bacznie obserwowały i wszystko zapamiętały.

Od dnia masakry rodziny Teodorowiczów zaczęto naradzać się, szeptać, organizować obronę, wystawiać warty. Organizatorami zalążka obrony byli: Zygmunt, Władysław, Adam, Józef, Bernard i 13-latkowie wówczas: Józio, Tadzio i Zbyszek Dąbrowscy oraz Bronisław, Fabian, Antoni i 12-letni Gienek Szachniewiczowie. Motorami organizacji bezpieczeństwa w Konstantynówce byli seniorzy rodu - Feliks i Jan Dąbrowscy. Ustalono, by przy drzwiach każdego domostwa zawiesić „coś" metalowego, żeby w razie napadu bandytów można było łatwiej obudzić śpiących mieszkańców. Prócz tego zaczęto zbierać się na noc po 3- 4 rodziny w jednym domu, a wartownicy mieli strzec spokoju.

A oto jeden z incydentów, a raczej horrorów.

Pewnego zimowego wieczoru (przełom 1942/43 r.) zebraliśmy się

u dziadka Jana Dąbrowskiego (brata mojego dziadka Feliksa). Było nas około 20-stu osób. Dzieci bawiły się, a dorośli „coś" ustalali. Dom, w którym przebywaliśmy, chyba chwilowo nie był strzeżony... Nagle stukanie do drzwi. Jak spod ziemi wyrosło dwóch bulbowców: na czapkach „tryzuby" (trójzęby), za pasem siekiery, przez ramię przerzucone „patrony" (naboje), a oczy przypominały spojrzenie wilków, ale... dość grzecznie zażądali od dziadka Jana... podwody. Wszyscy wstrzymaliśmy oddech... Dziadek, pożegnawszy się z nami wzrokiem (wychodził bowiem na niechybną śmierć), zaprzągł konie do sań i na rozkaz bandytów powiózł ich przez Janówkę do lasu horodeckiego. My, pozostali, chwilę siedzieliśmy jak sparaliżowani, a następnie zaczęliśmy się głośno modlić. Po niedługim czasie dziadek Jaśko wrócił. Po prostu wrócił. Zawiózł UP-owców do lasu, a ci, wysiadłszy z sań, kazali mu wracać do domu.

Codziennie obserwowało się szepty, narady i zamyślone twarze dorosłych. Co wieczór obserwowało się zaczerwienione niebo. To paliły się odległe wsie wołyńskie. To było dzieło UPA!

Coraz częściej i głośniej młodzież ukraińska podśpiewywała „Oj Lasze, Lasze, za Bukom wasze..." Tak było całą wczesną wiosną 1943 r.

W maju, wieśniaczym zwyczajem, zbieraliśmy się pod krzyżem na rozdrożu. Śpiewaliśmy „Litanię Loretańską" i „Pieśni Maryjne". Prowadzącymi owe „majówki" były panny: Jadzia, Władzia i Wandzia Dąbrowskie. Po kilku dniach nasi „wartownicy" zalecili przeniesienie „nabożeństw majowych" do jednego z domów, żeby rozlegające się echo pieśni nie drażniło bulbowców. Mój dom był duży i wówczas nowy, zatem „majówki" tu przeniesiono. Lecz nie na długo. W nocy z 12 na 13 maja 1943 r. przyszła kolej na rzeź Konstantynówki, Janówki i Radzieża. Ucieczka odbyła się według ustalonego planu: nie do lasu niemowieckiego i nie do Sarn... Tam bowiem spodziewano się zasadzki. Uciekaliśmy przez pola, w kierunku stacji kolejowej w Totowiczach.

Franciszka Dąbrowska przy pomniku w Sarnach w czasie wizyty na Wołyniu
(pomnik prawdopodobnie już nie istnieje).

A oto fragment mojego wiersza *Ogniem i siekierą*, napisanego w 50-rocznicę pożogi:

> ...To Taras Boroweć
> Zwan „Bulbą"- ten „had",
> To on ze swą bandą
> Zmieniał tamten świat.
> Orężem i ogniem,
> I siekiery mocą.
> Wszystko zrównał z ziemią,
> W pięknym maju. Nocą.
>
> Trzynastego to było,
> Bzy pachniały i sad,
> Kiedy błogi sen przerwał
> Ten bulbowski gad!
> Przerażona zdarzeniem
> Biegłam z Tatem przez żyto,
> A za nami świst dźwięczał
> Z karabinu bandytów.
>
> Przez kwitnące truskawki,
> Żółty łubin i proso,
> Biegłam z Tatem przez pola
> W koszulinie i boso.
> Mama z Jadzią tuż obok
> Popłakując zdążały,
> A przed nami był lasek,
> Dość bezpieczny, choć mały.

Franciszka Dąbrowska przy pomniku w Sarnach.

Tutaj było już wielu,
Każdy chciał się ocalić,
A dorobek ich życia
Bezpowrotnie się palił.
Krwawa łuna wciąż rosła,
Ogień wszystko pożerał,
A ryk bydła w płomieniach
Serca nasze rozdzierał!

I tak oto szalała
Ta „piekielna majówka”,
I tak oto znikała
Nasza Konstantynówka...
Później zgliszcza widziałam,
Popiół i martwą ciszę...
Kto by wtedy pomyślał,
Że kiedyś to opiszę?!...

Już kolejną rocznicę
Głucho zegar dziś bije,
A groza tamtej nocy
Wciąż w pamięci żyje.

Na stacji kolejowej w Totowiczach byli Niemcy. Częstowali nas chlebem z foremek i ciepłą, czarną kawą. Później przewieziono nas do Sarn. Dorośli w dzień wrócili do wsi obejrzeć zgliszcza. Spaliło się wszystko: domy, zabudowania gospodarcze, inwentarz żywy, wszystko… W tej części Konstantynówki, gdzie było największe skupisko domów, nie zapaliły się dwa: Zygmunta Dąbrowskiego i Bronisława Szachniewicza oraz jeden na uboczu- Adama Dąbrowskiego. Mój dom nie tylko nie zapalił się, ale jakiś „uprzejmy bandyta” wypuścił ze stajni i obory wszystkie żywe stworzenia.

I znowu fragment innego mojego wiersza *Najmilszy sercu pejzaż*

> …Jakimś cudem trzy domy
> Płomienie oszczędziły,
> Jakby świadków historii,
> By kiedyś przemówiły.
>
> Wśród nich - mój rodzinny,
> Do dziś tam dumnie trwa,
> Lecz wokół obcy ludzie
> I wioska już nie ta.
>
> Powstaje pejzaż nowy,
> I obca mowa brzmi,
> I nazwy pozmieniano,
> I coraz smutniej mi.
>
> Moja Konstantynówko!
> Moje rodowe siedlisko!
> Choć teraz tak odległe,
> To w sercu bardzo blisko…

Kolejne dni i tygodnie upływały na poszukiwaniu w Sarnach możliwie całych domów. Żydów Niemcy wymordowali, więc pustych mieszkań było całe mnóstwo. Jednak brakowało żywności. Trzeba więc było prawie codziennie wędrować do swoich spalonych wsi po warzywa okopowe i owoce. Wyprawy te nie należały do bezpiecznych, ale cóż… zmuszała groźba głodu.

Wiadomym też było, że „bulbowcy" w dzień byli mniej odważni, liczyli się bowiem z tym, że ich zakazane gęby mogą być rozpoznane i zapamiętane, a po wojnie - kto wie… może kula, może stryczek… Te „dzielne zuchy" spod znaku „tryzuba" tylko pod osłoną nocy zamieniały się w krwiożercze bestie.

Tymczasem mężczyźni i młodzież z Konstantynówki, Janówki, Radzieża

i Sarn w dalszym ciągu zbierali się na narady wojenne, planując dywersję przeciwko „gościom" z Zachodu i sąsiadom spod znaku „tryzuba".

A oto kolejne, dziwne wówczas dla mnie zdarzenie. Lubiłam bawić się w kukurydzy. To był mój dziecięcy las. Pewnego razu, kiedy tam poszłam, zobaczyłam jakieś „żelastwo" owinięte w szmatary (takie wąskie chodniki utkane na krosnach) i przykryte workami. Po chwili zastanowienia pobiegłam z wiadomością do Mamy. A Mama na to: „Nie chodź tam więcej i nikomu nie mów". Takie „żelastwo" widywałam później częściej. Była to broń zdobyta w potyczkach i z Niemcami, i z UP-owcami. W jednej z nich stryj Władysław Dąbrowski został ranny w nogę, w innej zginął Leonard Szachniewicz, a jeszcze innym razem podczas spodziewanej obławy niemieckiej, zginął Stefan Kłosiński, bardzo młody, zbyt młody chłopak.

O moich znaleziskach „żelastwa" przeczytałam po latach w książce J. Turowskiego *Pożoga* str. 82.

A oto co autor pisze:

„Następnie w miejscowości Konstantynówka - Janówka pod Sarnami zlikwidowano szefa SD powiatu Sarneńskiego wraz z jego ochroną liczącą 12-u ludzi, zdobywając rkm - broń krótką oraz kilka karabinów i amunicję".

Minęło krwawe lato 1943 r. Ustały wędrówki do wsi po żywność. Zamieszkaliśmy na dłużej w Sarnach obok kina (stoi do dziś). Mężczyźni ciągle gdzieś wychodzili lub zbierali się u nas. Wśród nich pojawili się dwaj Madziarzy (Węgrzy). Otóż pewnego wieczoru, po jakiejś poważnej rozmowie, zaczęły się żarty. Jeden z Madziarów - Josep, zabawiał się pistoletem, celując do poszczególnych obecnych. Nagle broń wypaliła. Kula przebiła rękę jego kolegi, przeszła przez drzwiczki szafki kuchennej, po czym utknęła w salaterce z masłem. Madziar zemdlał, a na drugi dzień przyszedł z ręką na temblaku.

W Sarnach wciąż panowali Niemcy. Były obławy i częste rewizje, ale „naszym" dopisywało szczęście: i broń zdobywali, i pociągi niemieckie wysadzali…

A oto kolejne zdarzenie, którego byłam świadkiem. Wieczór. Byłam

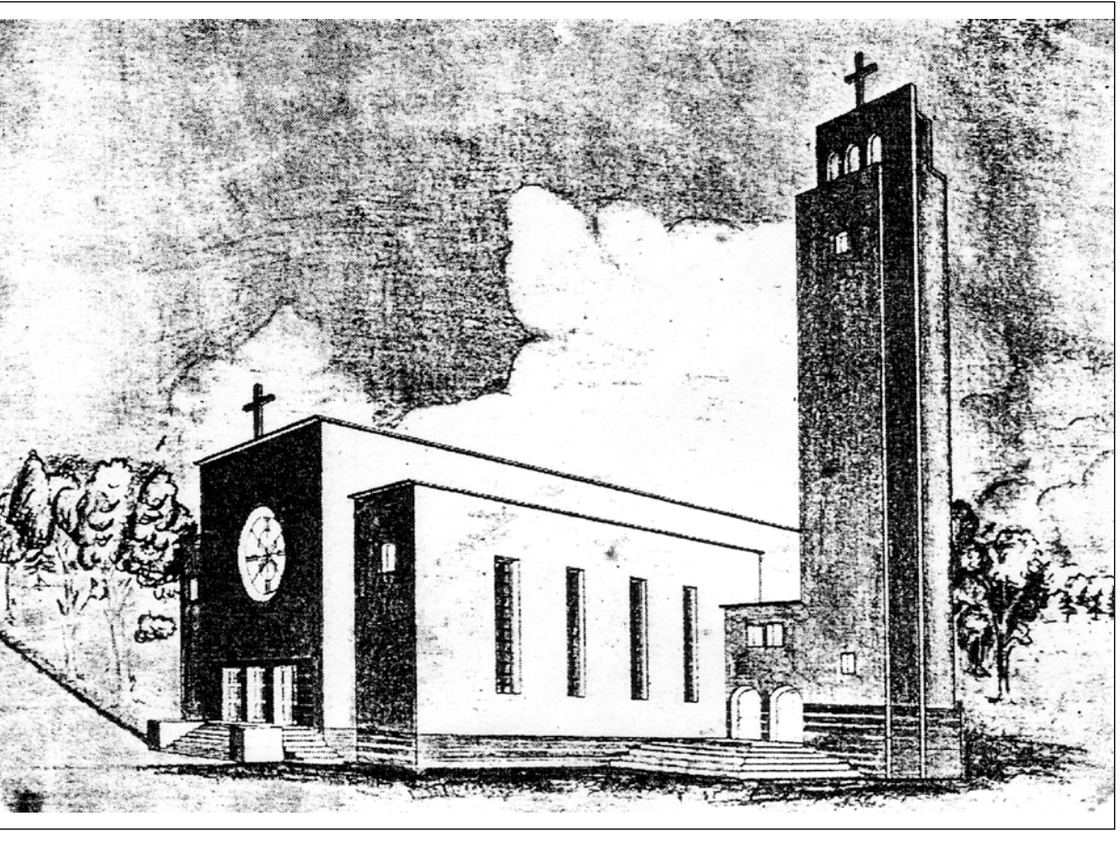

Kościół w Sarnach, początek XX wieku.

w domu ze starszą siostrą Jadwigą. Nagle z hałasem wpadło kilku SS--manów. Rewizja. Siostra była bardzo niespokojna. Najwyraźniej wiedziała, o co chodzi. Niespodziewanie jednak do drzwi zapukała dziewczynka, córka zaprzyjaźnionego inż. Szubertowskiego - Grażyna. Przyszła z kanką „niby" po mleko. Jadwiga napełniła kankę, ale przede wszystkim narzuciła na ramiona dziewczynki kurtkę naszego Ojca… W tej to kurtce, w tajemnych kieszeniach były ważne dokumenty konspiracyjne. Dziewczynka odeszła więc i z mlekiem, i z dokumentami. Udało się, bowiem dom był obserwowany przez naszych konspiratorów.

Rewizje stawały się coraz rzadsze. Niemców ubywało. Nadchodził kolejny piekielny rok - 1944!

IV. Powrót czerwonoarmistów (11 stycznia 1944 r.)

Mieszkaliśmy wówczas już w piątym z kolei domu w Sarnach, w pobliżu drewnianej cerkwi prawosławnej. Dom był ładny i duży. Dwa pomieszczenia zajęło dowództwo sowieckie. W jednym było biuro, w drugim przesłuchiwano schwytanych Niemców i UP-owców. Ci ostatni, po spaleniu setek wsi wołyńskich i wymordowaniu polskiej ludności, zabrali się za rąbanie żołnierzy sowieckich (np. stojących pojedynczo na warcie).

Pewnego dnia przyprowadzono dwóch UP-owców ze związanymi do tyłu rękoma… Nie wiem, co było dalej, bo Mama schowała mnie w pokoju. W tym domu pożegnaliśmy mojego Ojca, który wraz z braćmi, kuzynami i sąsiadami wyruszył na zgrupowanie frontowe najpierw do Przebraża, pod Łuckiem, a następnie do Sum. Była zima 1944 roku.

Do wiosny mieszkaliśmy w Sarnach z towarzyszeniem warkotu niemieckich bombowców, przeraźliwie wyjących syren, potężnych eksplozji bomb i jęków rannych. Kryliśmy się w piwnicach, schronach przeciwlotniczych i gdzie się dało… a śmierć nieubłagalnie krążyła nad miastem. Domów ubywało i ubywało. Sarny ginęły. Jedna z bomb trafiła w zabytkowy kościółek rzymskokatolicki. Spalił się. Inna bomba poważnie uszkodziła cerkiew prawosławną. Wierni około dwóch tygodni przenosili rekwizyty liturgiczne do mniejszej cerkwi przy cmentarzu. Natomiast nowy kościół rzymskokatolicki z początku lat

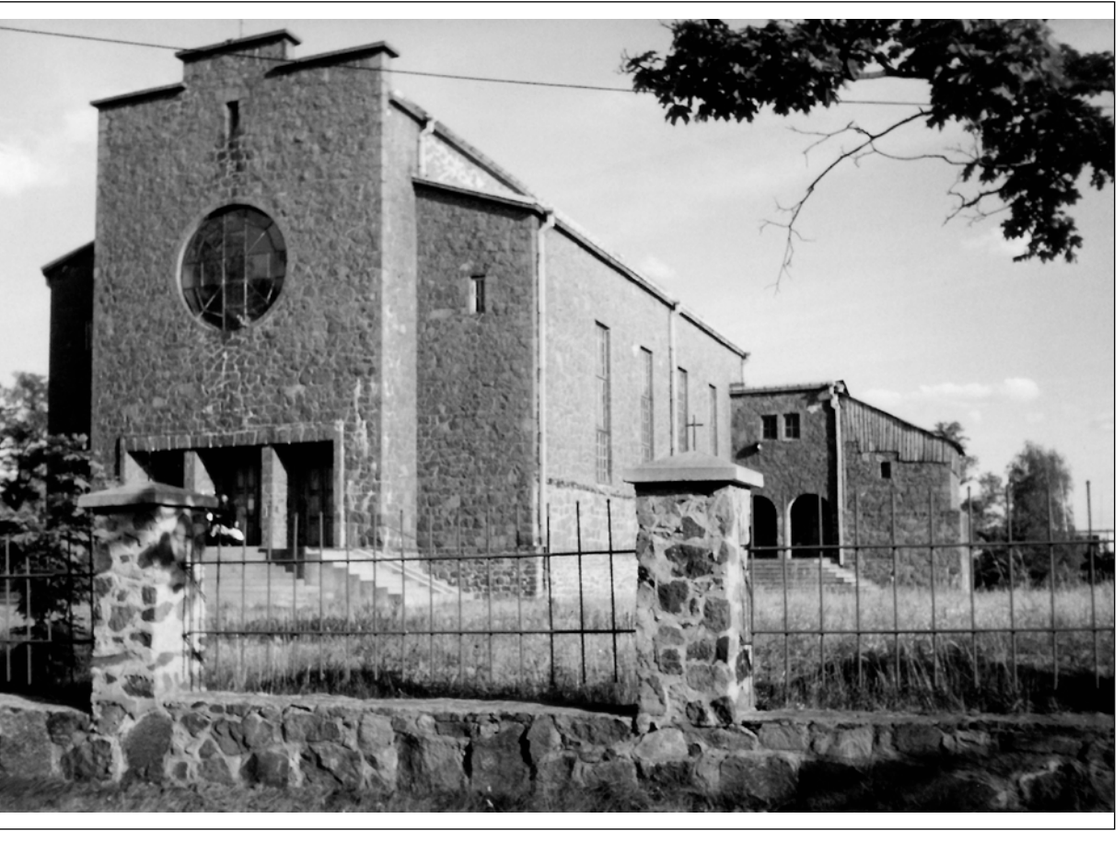

Kościół w Sarnach współcześnie.

30-tych XX w. (pw. Przemienienia Pańskiego) zbudowany z bazaltowych brył, szczęśliwie ocalał.

Po opuszczeniu Sarn przez Polaków ów kościół stał pusty do 1958 r. Opiekował się nim (13 lat) kościelny, który tam pozostał: dyżurował, pilnował, błagał, płakał… a niepowołanych osób nie wpuszczał. Po jego śmierci kościół zamieniono w magazyn: worki, pudła, skrzynie, śmieci, bluźnierstwa, a wokół - busz! Widziałam ten obraz wołający o pomstę do Nieba w latach: 1974, 1976, 1989! Prócz tego rozebrano wieżę - dzwonnicę, bo - jak opowiadali potomkowie ukraińskich sąsiadów - nie podobało się „sawietskaj własti", że polski budynek góruje nad miastem.

W kolejnym wierszu *Sarny* 1989 napisałam:

> …A kościółek nasz kochany
> Jest najbardziej zaniedbany,
> Teraz taki zapuszczony…
> Przez „bolszewię" zbezczeszczony.
>
> Zdjęto krzyże, dzwony zdjęto,
> Pohańbiono przystań świętą!
> Nie ma wieży, ni dzwonnicy,
> Są jedynie bolszewicy…

Wróćmy jednak jeszcze do zimy 1944 roku. Była to gorąca zima. Piekielna zima! Naloty niemieckich bombowców, zdawało się, nigdy nie ustaną. Życie stało się nie do zniesienia! I ten strach…

Kiedy ociepliło się nieco, zaczęliśmy powracać do swoich nieistniejących wsi. W Konstantynówce, w trzech ocalałych domach, mieszkało średnio po 25 osób. Nikt na ciasnotę nie narzekał. Bomby jednak i tu trafiały. Przepędzone bombowce przez sowieckie „zenitki" (armatki przeciwlotnicze) wysypywały zawartość samolotów na oślep, gdzie popadnie po drodze na

Zachód. Lejów było bez liku, przy trakcie, na polach, wszędzie…

W czerwcu 1944 r. w Konstantynówce spadł (na wcześniej wspomnianą łąkę p. Kreja) bombowiec niemiecki zestrzelony przez „zenitki" w Sarnach. Kiedy trafiony leciał nad naszymi sadami i ogrodami, ciągnął za sobą smugę czarnego dymu. Palił się, a kiedy z wielkim hukiem spadł, wszyscy, kto żyw, pobiegli obejrzeć pokonanego potwora. Trzech Niemców smażyło się przy silnikach, a czwarty leżał nieco dalej, już przykryty kocem. Widziałam to. Okropność!

A my, żyjąc w ciągłym strachu i niepewności jutra, otrzymywaliśmy od czasu do czasu listy z frontu. Były to kartki złożone w trójkącik z odpowiednim numerem poczty polowej. Nasi Ojcowie dawali znak, że żyją. Odpowiedzi przekazywano w taki sam sposób.

Przeżyliśmy jakoś piekło roku 1944!

Kiedy w Teheranie, a następnie w Jałcie, alianci ustalili nowe granice „wpływów"…, nasi nestorzy rodu: Feliks i Jan Dąbrowscy zarządzili wyjazd „na tymczasem" na Lubelszczyznę, która już była wolna od Niemców, ale nie od band UPA (Ukraińska Powstańcza Armia).

Sarny pożegnaliśmy 2 lutego 1945 roku Mszą Świętą w Dzień Matki Bożej Gromnicznej.

A dalej… Rozproszyli się Wołyniacy jak rozerwany różaniec.

> …Nie był Wołyń mi pisany,
> Ani domu mego ściany,
> Ani pejzaż ukochany,
> Nie był Wołyń mi pisany…

Przeżyła, zapamiętała i opowiedziała
Franciszka Dąbrowska

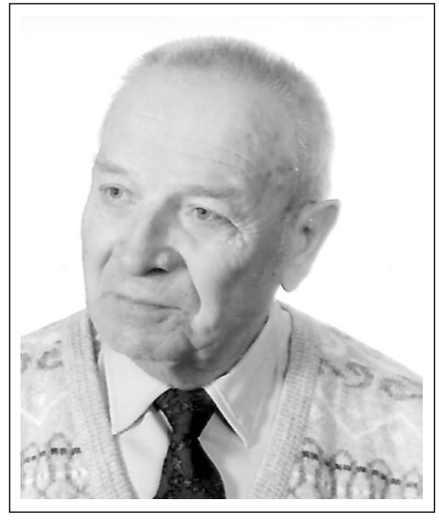

Antoni Dębiński

Nazywam się Antoni Dębiński, urodziłem się we Lwowie. Mój ojciec był hutnikiem w hucie szkła. Wszystkie huty szkła na tamtych terenach, a było ich cztery - dwie we Lwowie, jedna w Kostopolu i jedna w Rokitnie, należały do tego samego właściciela. Ponieważ mój ojciec był wybitnym fachowcem, mieliśmy służbowe mieszkanie obok huty. Poza tym mieliśmy jeszcze własny dom w Kostopolu, który podczas naszego pobytu we Lwowie wynajmowaliśmy. Niestety mój ojciec umarł, gdy byłem małym dzieckiem. Druga wojna światowa zastała mnie u mojego wujka, który był leśniczym. W sierpniu pojechałem do niego na wakacje i już tam zostałem. Moja mama z siostrą była we Lwowie, a ja u tego wujka. 10 lutego 1940 roku zjawili się w leśniczówce Rosjanie. Dali nam pół godziny na spakowanie i saniami powieźli do wsi Rymacze[1], niedaleko przedwojennej granicy polsko-radzieckiej. W tych Rymaczach Rosjanie zrobili taki punkt zborny, do którego zwozili tych, co mieli zostać wywiezieni na Syberię. Jeden z żołnierzy przyszedł do naszych sań i zapytał o nazwisko. Wujek powiedział, że nazywa się Rupniewski, a ja Dębiński. Ten Rusek spojrzał na listę, a nie znajdując mnie na niej, kazał wysiąść z sań. Wszyscy odjechali i zostałem sam, choć w polskiej, to jednak obcej dla mnie wsi, zamieszkanej przez Polaków i Ukraińców. Nie wiedząc, co począć, zacząłem chodzić od domu do domu i prosić o pomoc. Prosiłem, żeby mnie przez zimę przetrzymali, a jak przyjdzie wiosna, to może matka się dowie, gdzie jestem i po mnie przyjedzie. Przeszedłem całą wieś i nikt mnie nie przyjął. Nawet Polacy, którzy znali wujka, nie okazali mi pomocy. Na końcu wsi stała chałupa, bo domu to ona nie przypominała. Dosłownie kurna chata zbudowana z jakichś gałęzi, ogacona liśćmi. Poszedłem i mówię, że jeżeli mnie przyjmą, to ja latem będę krowy pasł, mogę ryb nałapać, grzybów nazbierać. Co prawda o łowieniu ryb to pojęcia nie miałem. Tam mnie przyjęto. Była to chyba najbiedniejsza ukraińska rodzina we wsi z siódemką własnych dzieci. Ta chałupinka miała tylko jedną izbę z taką wnęką kuchenną. Gdy szliśmy spać, to jedynie gospodarze spali na sienniku położonym na takim drewnianym podwyższeniu. Wszystkie dzieci, w tym ja, przynosiliśmy

[1] Rymacze - wieś polska, w której żyło po kilka rodzin ukraińskich i do 1942 roku żydowskich. (w: E.Siemaszko, W. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane*..., s. 497).

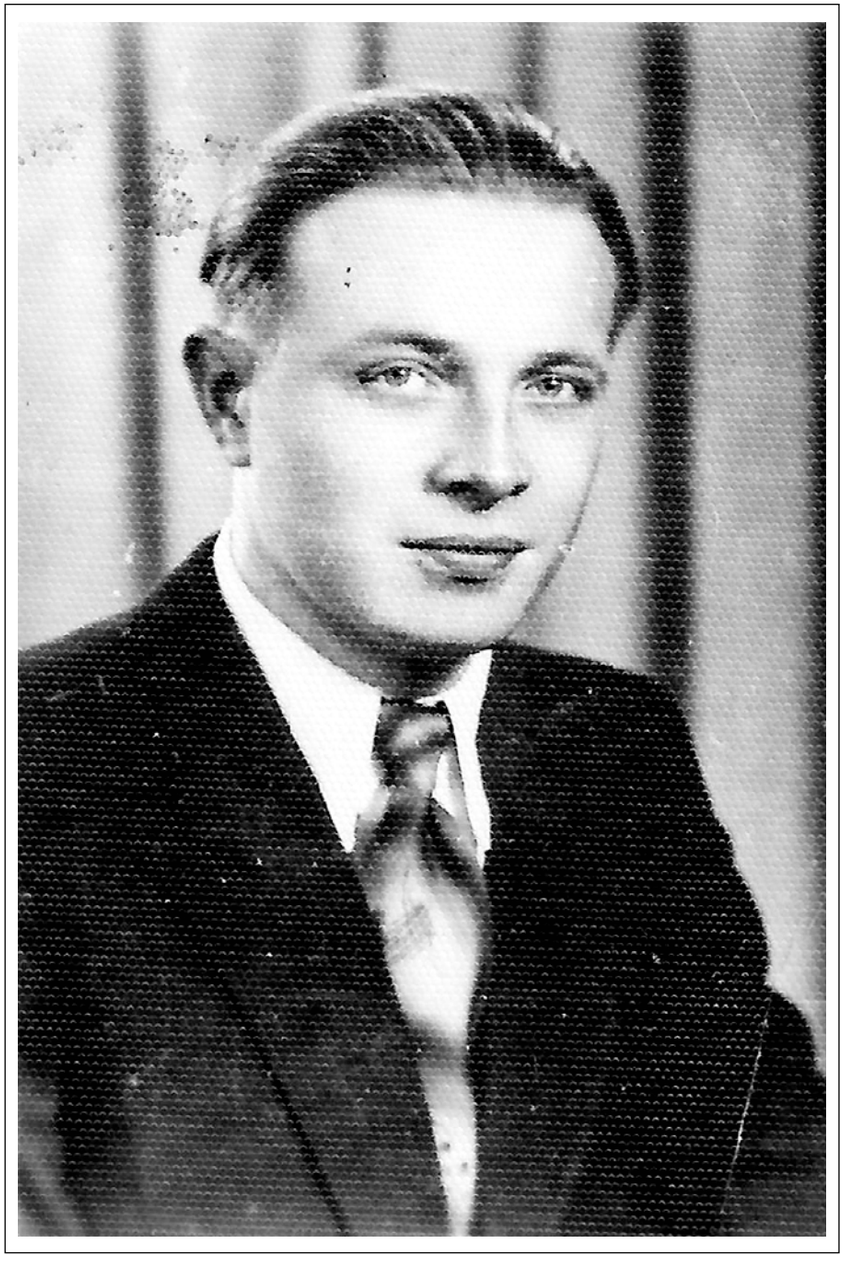

Antoni Dębiński, zdjęcie z młodości.

sobie materac ze stodoły, a był nim snopek słomy. Rano na powrót związywało się snopek i wynosiło do stodoły. Nie zapomnę zacierek żytnich spod żarn. Były one najczęściej podawane na śniadanie. Zacierka była gotowana na wodzie i tylko ledwie zabielana mlekiem. Te zacierki po prostu kłuły i raniły podniebienie, ale dziękowałem losowi za to, co miałem. Gdy przyszła wiosna, zacząłem paść krowy. Tam był taki zwyczaj, że kilku gospodarzy najmowało jednego pastucha i on im wypasał bydło. Na łące, gdzie pasałem krowy, stał ogromny, rozłożysty dąb wypalony w środku. Gdy padał deszcz, to do tej dziupli się chowałem. Takie samotne przebywanie jedynie w towarzystwie krów nie było zbyt interesujące. Tęskniłem za mamą. Nie wiedziałem, co się z nią dzieje, czy w ogóle żyje. Czasami nawet sobie popłakałem. Pewnego dnia, było to na początku lipca 1940 roku, gdy jak zwykle pasłem krowy, usłyszałem tak jakby z wnętrza tego wypalonego dębu wołanie: - „Antoś, Antoś". Poznałem głos, to była moja mama. Pierwsza myśl: „Boże, głos mamy, pewnie nie żyje, a to jej duch mnie woła." Zacząłem się przyglądać drzewu próbując zobaczyć tego ducha, ale niczego nie zobaczyłem. Znowu usłyszałem głos mamy, jak woła mnie po imieniu. Struchlały obróciłem się za siebie i wtedy ją zobaczyłem. Mama szła do mnie przez łąkę. Zemdlałem, nim do mnie doszła. Gdy doszedłem do siebie, mama tuliła mnie w ramionach i płakała. Okazało się, że wujek dopiero po przybyciu na miejsce zesłania, mógł do mamy napisać i donieść, że zostałem w Rymaczach. Poczta wtedy chodziła bardzo powoli. To i tak cud, że ten list doszedł. Mama zabrała mnie z powrotem do Lwowa.

We Lwowie nadal mieszkaliśmy w mieszkaniu służbowym utrzymując się z wynajmowania domu w Kostopolu i drobnych zajęć, jakie świadczyła mama. Okres okupacji sowieckiej wspominam jako czas wielkiego głodu. Głód był tak wielki, że w całym Lwowie trudno było znaleźć szczura, o psach i kotach nie mówiąc. Z tego okresu mam bardzo traumatyczne wspomnienie. Mój drugi wujek zaprosił nas na obiad. Daniem głównym był królik. Jakoś specjalnie nas to nie dziwiło, skąd wujek miał królika. Był bardzo obrotny i zaradny, więc potrafił załatwić wiele rzeczy. Ponieważ byłem potwornie głodny, zabrałem się ochoczo do jedzenia. Wujek miał niestety jedną

Antoni Dębiński, lata 90.

przykrą cechę, czasami lubił sobie wypić. Po obiedzie, gdy był już trochę wstawiony, zaczął bez powodu miauczeć. Zapytałem z ciekawości, dlaczego miauczy. Odpowiedział, że i ja za chwilę będę miauczał, bo właśnie zjadłem kota. Od tego czasu nie jadam żadnego białego mięsa.

Gdy Niemcy napadli na Ruskich[2], to obserwowałem wszystko z kilkoma kolegami ze wzgórza poza miastem. Widzieliśmy, jak Sowieci uciekali w popłochu, jak niemieckie samoloty bombardowały Lwów. W porównaniu z żołnierzami radzieckimi, którzy byli licho odziani, brudni i zarośnięci, wojsko niemieckie prezentowało się doskonale. Wszystkie wozy bojowe i czołgi czyściutkie, konie o wspaniałej prezencji. Niestety los ludności cywilnej nie uległ poprawie. Wtedy mama zdecydowała, że trzeba opuścić Lwów i jechać do Kostopola. Tym bardziej, że niemiecka bomba uszkodziła kamienicę, w której mieszkaliśmy. W Kostopolu było znacznie łatwiej przeżyć, ale też trzeba było kombinować. Mama sprzedawała wszystkie cenne przedmioty. Począwszy od odzieży, na biżuterii skończywszy, ale dzięki temu przetrwaliśmy.

16 maja 1943 roku wybraliśmy się z grupą kolegów na pobliskie kąpielisko, ale że woda była jeszcze zbyt zimna, z kąpieli nic nie wyszło. Wracając, już w Kostopolu zostaliśmy zatrzymani przez Polaka, który służył w niemieckiej policji. Ten człowiek bardzo dobrze znał się z moją mamą. Po wojnie nawet mieszkał w Prabutach. Wszystkich puścił wolno, a mnie zabrał i prowadził do punktu, skąd wysyłano na roboty przymusowe do Rzeszy. Pamiętam, że prosiłem, aby mnie wypuścił. Ale on tylko w odpowiedzi przycisnął mi lufę karabinu do żeber. Ci, którzy byli ze mną, natychmiast donieśli mojej mamie. Mama od razu poszła do księdza proboszcza o nazwisku Werbachowski. Ten ksiądz po wojnie też przyjechał razem z nami, wysiadł jednak w Kwidzynie i krótko po tym osiedlił się gdzieś za Kwidzynem. Proboszcz wystawił mi fałszywą metrykę, z której wynikało, że nie mam jeszcze czternastu lat. Tylko dzięki temu uniknąłem wywózki do Niemiec, ale nie uniknąłem pracy dla Rzeszy. Zostałem skierowany do pobliskiej fabryki, która wykonywała

[2] 22 VI 1941 r. - agresja Niemiec na ZSRR.

Antoni Dębiński z kuzynką Danutą Paczkowską, Lwów 1964 r.

skrzynie na amunicję. Pracowaliśmy tam po dwanaście godzin, wszyscy nieletni. Dyscyplina była taka, że jak ktoś chociaż minutę spóźnił się do pracy, to na obiad nie miał co liczyć, a jeszcze musiał batem swoje dostać.

Ponieważ nawet Niemcom dawała się we znaki bieda, bardzo często wypuszczali się do pobliskich wsi i rabowali żywy inwentarz. Pewnego dnia kazali mi jechać z sobą do takiej wsi Jankiewicze. Pojechało kilku żandarmów, jeden z kierowników fabryki o nazwisku Miler oraz kilku Polaków. Ja miałem powozić końmi. Po wkroczeniu do wsi Niemcy zaraz zaczęli zabijać zwierzęta i pakować na wozy. Wtedy od strony cerkwi padły strzały. Strzelano z ciężkiego karabinu maszynowego. Niemcy odpowiedzieli ogniem, ale widząc przewagę Ukraińców, zarządzili odwrót. Konie, którymi powoziłem, spłoszyły się i poniosły. Widziałem jak Miler dobiegał do mojego wozu, ale nie zdążył i został. Opanowałem konie dopiero w pobliskim lesie i wróciłem do Kostopola. Grupa odwetowa, która udała się do wsi, znalazła zmasakrowane ciała Niemców. Millera okaleczono szczególnie. Niemcy podejrzewali nawet, że celowo nie zatrzymałem koni i tylko dzięki wielkiemu szczęściu i długim wyjaśnieniom uszedłem z życiem.

Gdy bandy UPA na całego rozpoczęły mordowanie Polaków, oddalenie się od Kostopola na więcej niż jeden kilometr było niebezpieczne. Kogo złapali, ten miał małe szanse na powrót. Późnym latem 1943 roku razem z kilkoma kolegami oraz moim kuzynem wybraliśmy się do lasu na jagody. Dla bezpieczeństwa zbieraliśmy te jagody przy linii kolejowej do Równego. Niemcy często patrolowali tory uzbrojoną drezyną, więc wydawało nam się, że będzie bezpiecznie. Tego dnia Ukraińcy napadli na niemiecki patrol. Ponieważ jednak byli słabiej uzbrojeni od Niemców, musieli ustąpić i wycofali się do lasu. Myśmy całe zajście obserwowali z krzaków oddalonych od torów o jakieś 150 metrów. Po wszystkim podniosłem się i widzę, że nikogo nie ma, zostałem sam. Ale jakieś pięćdziesiąt metrów ode mnie zobaczyłem, że mój kuzyn jakby nigdy nic dalej zbiera jagody. Więc też dalej zbierałem. Naraz wyrosło przede mną ośmiu czy dziesięciu uzbrojonych bandytów. Zarośnięci, śmierdzący. Pomyślałem sobie, że to już koniec. Oni nikogo nie oszczędzali. Jeden z nich, widocznie dowódca, podszedł bliżej.

Trening kolarski na obecnej ulicy Westerplatte w Prabutach.

– Polak? Zapytał, bacznie mnie obserwując. O ucieczce nie miałem nawet, co myśleć. Odpowiedziałem odważnie: - Nie, Ukrainiec. Te bandy to w większości składały się z prostych chłopów. Najczęściej stosowanym sposobem na sprawdzenie, czy ktoś jest Ukraińcem było żądanie, aby się przeżegnać. Ja miałem sporo szczęścia, bo służąca tego wujka leśniczego, którego wywieźli na Syberię, była Ukrainką i widziałem, w jaki sposób robi znak krzyża. Przeżegnałem się jak Ukrainiec i banda zostawiła mnie w spokoju. Gdy zniknęli w lesie, widzę, że kuzyn dalej zbiera jagody. Podszedłem bliżej, a to nie był kuzyn, tylko mały krzak leszczyny poruszany wiatrem sprawiał wrażenie, jakby się ktoś nachylał. Wtedy to mnie dopiero strach ogarnął. O zbieraniu jagód nawet mowy nie było. Powoli dotarłem do ścieżki, a stamtąd biegiem do miasta. Na przejeździe kolejowym przed Kostopolem zobaczyłem sporą grupę ludzi. Wśród nich była też moja mama. Chłopcy, którzy uciekli jak tylko zaczęła się strzelanina, powiedzieli, że ja zostałem i prawdopodobnie mnie zabili. Widziałem transport z Janowej Doliny, gdzie Ukraińcy urządzili prawdziwą masakrę. Platformy kolejowe, którymi zwożono rannych, dosłownie ociekały krwią. Niemcy nie byli wcale lepsi. Gdy likwidowali żydowskie getto w Kostopolu, to kilka tysięcy ludzi popędzili cztery kilometry od Kostopola, wszystkich zabili i zakopali. Ten zbiorowy grobowiec to jeszcze kilka dni się ruszał, bo niektórych rannych to żywcem zakopali.

Czas repatriacji wspominam jako wielkie oczekiwanie. To nieprawda, że Rosjanie nas wypędzili. My sami stamtąd uciekaliśmy. Gdy tylko na stacji pojawiały się wagony i listy repatriacyjne, biegliśmy sprawdzać, czy jesteśmy na liście. Nasz transport liczył ponad pięćdziesiąt wagonów. Część z nich to były węglarki, a reszta to zwykłe wagony bydlęce. Kostopol opuściliśmy pod koniec kwietnia 1945 roku.

20 maja 1945 roku dojechaliśmy do Kwidzyna. Ponieważ nasz transport liczył pięćdziesiąt dwa wagony, a rampa na stacji w Kwidzynie była zbyt krótka, rozdzielono nas na dwie części. Jedną ustawiono przy rampie, a drugą przetoczono na peron. W oczekiwaniu na to, co się wydarzy dalej, poszliśmy zobaczyć miasto. Nikt z nas nie chciał osiedlać się na terenach, które kiedyś należały do Niemiec. Baliśmy się, że Niemcy jeszcze wrócą. Przecież nie dalej

Antoni Dębiński na motocyklu Wanderer 1953r.

jak dwa tygodnie wcześniej zakończyła się wojna. Wyszedłem z dworca na obecną ulicę Chopina. Wszedłem do pierwszego budynku. Wszędzie było pełno mebli, jakichś papierów. Ogólnie mówiąc bałagan. Otworzyłem jedne z drzwi na pierwszym piętrze, a w środku na podłodze leżało kilka trupów. Natychmiast stamtąd uciekłem i powiedziałem swoim, że tu jeszcze niemieckie trupy są. Za wszelką cenę chcieliśmy dostać się na tereny polskie. Choćby do Działdowa, tam już była Polska.

Zaraz po wojnie najlepszym środkiem płatniczym był bimber. Każdy z nas miał pewien jego zapas. Zrobiliśmy zrzutkę i dogadaliśmy się z kolejarzami. Następnego dnia znalazł się parowóz. Nasze wagony zostały podpięte i ruszyliśmy w kierunku Iławy. Myśleliśmy, że zawiozą nas do Działdowa, a oni przywieźli nas pod rampę w Prabutach, odpięli parowóz i odjechali. Mimo to jeszcze przez tydzień siedzieliśmy w wagonach mając nadzieję na wydostanie się na tereny polskie. W tym czasie nie było jeszcze w Prabutach Polaków, przyjeżdżali tu szabrownicy z centralnej Polski. Ci szabrownicy przekupili radzieckich żołnierzy, którzy zabierali maszyny z cukrowni przy pomocy niemieckich jeńców, aby nas z tych wagonów wykurzyli. Ruscy przyszli z tymi Niemcami i kazali im wyrzucić nasz dobytek z wagonów. Byliśmy tym oburzeni. Jeszcze niedawno Niemiec nas bił, a teraz nas z wagonów wyrzuca. Mimo to nadal nie opuszczaliśmy rampy. Pamiętam, że na budynku stacyjnym wisiała jeszcze tablica z niemiecką nazwą Riesenburg. Nie pamiętam dokładnie, ale tablicę z polską nazwą Prabuty powieszono za miesiąc czy dwa. Dopiero, gdy nadeszły pierwsze ulewy, trzeba było szukać schronienia. Zamieszkaliśmy najpierw w budynkach koszar. Do miasta absolutnie nie chcieliśmy chodzić. Sytuacja przestawała być dobra. Kończyły się zapasy. Można powiedzieć, że uratował nas Klinkiewicz, który otworzył pierwszą w Prabutach piekarnię. Było to na obecnej ulicy Szkolnej. Przywiózł nam chleb. Taki czarny z mąki mielonej śrutownikiem. A jedyny śrutownik był w siedzibie NKWD. Oni śrutowali nim ziarno dla koni. Widocznie ten piekarz jakoś się z nimi dogadał.

Gdy nie było już widoków na opuszczenie Prabut, zaczęliśmy się rozchodzić i szukać mieszkań w mieście. Jednak i tak staraliśmy się trzymać

Antoni Dębiński na motocyklu Iż 350, Motocross na boisku sportowym.

w większych grupach. W budynku na obecnej ulicy Łuckiej 16, ostatni dom po prawej stronie zamieszkało pięć rodzin. Nadal panował strach przed napadami, których tyle doświadczyliśmy na Kresach. Później stopniowo każdy szukał jakiegoś schronienia, pomieszczeń, gdzie można było bezpiecznie zamieszkać. Na drzwiach budynku pisało się kredą duży napis „zajęty" i dom był już zarezerwowany.

Z tego okresu mam takie wspomnienie, jak mnie Ruscy w łapance zgarnęli do kopania ziemniaków. Ja to w ogóle miałem szczęście do łapanek. Niemcy mnie złapali w czasie wojny, a Ruscy już po wojnie. Jechałem na rowerze do Stańkowa szukając białej koniczyny dla naszej krowy. Ja tam się na koniczynie nie znałem, ale mówiono, że czerwona jest niedobra i musi być biała. Tuż przed Stańkowem zatrzymał mnie Rusek z pepeszą. Mówi do mnie: „Ty kradłeś kartofle". Ja mu na to, że niby gdzie je schowałem, skoro nie mam przy sobie żadnej torby czy worka. Ale on swoje i kazał iść z sobą. Zapędził mnie do kołchozu, a tam już było kilkanaście innych osób z Prabut. Kazali nam kopać ziemniaki. Robiliśmy to przez prawie dwa tygodnie. Dopiero wtedy nas wypuszczono. W domu zmartwienie, bo nie wiedzieli, co się ze mną dzieje.

Największy problem był z wodą. Wieża ciśnień nieczynna, wodociągi nie działały. Trzeba było szukać czynnych pomp. Na początku braliśmy wodę od Marciniaka, ale z czasem pompa przestała działać. Wtedy po wodę jeździliśmy aż na róg ulicy Ogrodowej i Grunwaldzkiej do pana Drapały. Wodę woziliśmy w dużych blaszanych wannach umieszczonych na samodzielnie zrobionych wózkach.

W Sanatorium działał szpital, który Rosjanie nazywali „Łabaj". Nie wiem, czy była to nazwa, czy żargonowe określenie. W 1945 roku działał on jako szpital dla weneryków. Przebywali tam wyłącznie zarażeni chorobami wenerycznymi. Byli tam nie tylko szeregowcy, ale nawet pułkownicy. Przywozili ich z różnych stron. Cały teren szpitala był dokładnie ogrodzony i teoretycznie nie mieli oni prawa wychodzić do miasta, za oddalenie groził sąd polowy. Byli jednak tacy, co uciekali i w mieście wyprawiali różne ekscesy. Były też sądy polowe i rozstrzeliwano ich.

Zawody Motocross na stadionie w Sanatorium w Prabutach, Antoni Dębiński.

W grudniu 1945 roku uruchomiono elektrownię wodną na drugim młynie i tam się zatrudniłem. Jaki tam był wspaniały pensjonat, piękna muszla koncertowa, wszystko zadbane i wcale nie zniszczone. Muszlę przeniesiono do Sanatorium i ustawiono obok szpitala, a pensjonat to z czasem okoliczna ludność zdewastowała. Z elektrownią na drugim młynie wiąże się jeszcze jedna historia. Pewnego dnia radzieccy żołnierze przyjechali i ukradli taki skórzany pas transmisyjny, przy okazji pobili dozorcę o nazwisku Ziemczonek. Był on Polakiem z terenów Litwy i bardzo kaleczył polski język. Godzinę później do naszego biura, które mieściło się na ulicy Barczewskiego, przyszło kilku z NKWD z pretensjami, że nie ma prądu. My im na to, że nie ma, bo wasi zabrali pas. W kilka godzin pas się odnalazł i elektrownia znowu działała. Za drugim razem, jak pas został skradziony, już go nie odzyskaliśmy i trzeba było przenieść elektrownię do Prabut.

Z takich ciekawostek to na ulicy Kraszewskiego stał spalony niemiecki czołg. Tarasował całą ulicę tak, że jedynie chodnikiem można było chodzić. Taki Romanow, człowiek złota rączka, lewarkiem kolejowym sam zepchnął ten czołg w dół do zniszczonej mleczarni i tym samym uruchomił ulicę.

Osobną historią jest ksiądz Klimuszko, który zaraz po wojnie przyszedł do Prabut. Człowiek niezwykle otwarty, wesoły i o niezwykłych zdolnościach. Do niego to prawdziwe tłumy przyjeżdżały z prośbą o pomoc w odnalezieniu krewnych. Sam znam osoby, którym pomógł. Z Prabut pomógł rodzinie Markiewiczów, którzy poszukiwali córki. Pisali wszędzie, gdzie było można i nic. Gdy przynieśli Klimuszce jej zdjęcie, powiedział, że mieszka w Argentynie i nawet podał miasto. Napisali i po jakimś czasie tam ją odnaleźli.

Początkowo życie w nowej Polsce, w Prabutach nie było łatwe. Nowe miejsce, bieda i wszechpanujący Ruscy. Tak naprawdę to dopiero po odejściu wojsk radzieckich w 1946 roku zaczęliśmy się czuć nieco swobodniej. Musiało upłynąć jednak wiele lat, aby traktować Prabuty jak nasz nowy dom. Panowało wtedy jeszcze ogólne przeświadczenie, że Niemcy wrócą i upomną się o swoje.

Motocross na strzelnicy w Prabutach, Antoni Dębiński na Junaku.

Motocross w Prabutach 1959r. Antoni Dębiński na Junaku.

Antoni Dębiński w mundurze harcerskim. Lata 60. / 70.

Pomnik Adama Mickiewicza we Lwowie. 1964 r.

Teatr we Lwowie 1964 r.

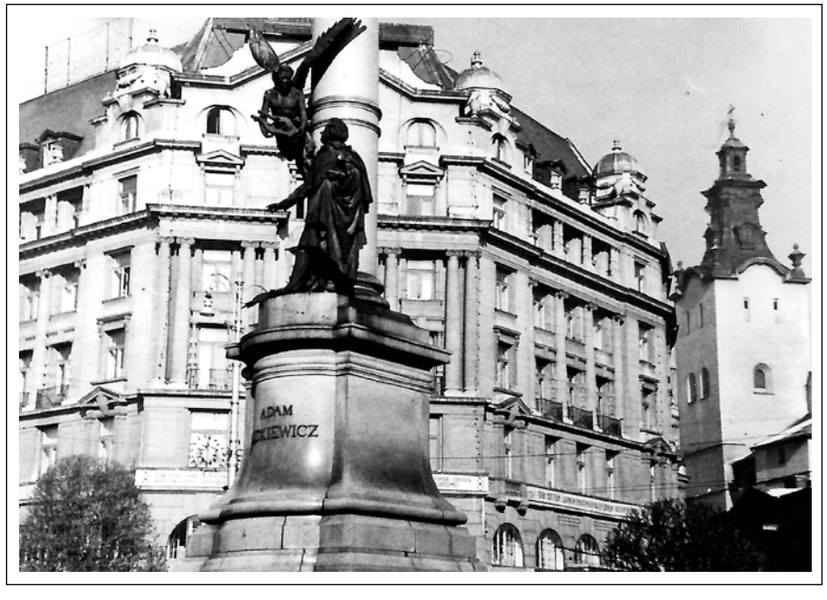

Pomnik Adama Mickiewicza we Lwowie. 1964 r.

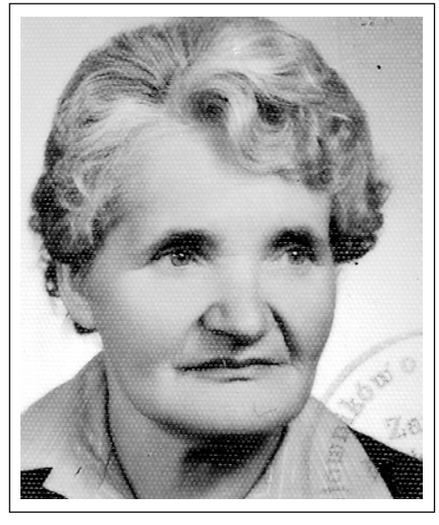

Anna Drozdowska

Nazywam się Anna Drozdowska z domu Rabeszko. Jestem córką Marii i Władysława. Urodziłam się 20 lutego 1928 roku w Jasieńcu, gmina Dąbrowica, powiat Sarny. Mojej mamy nie pamiętam, ponieważ umarła, gdy miałam zaledwie kilka lat. Miałam dwóch braci, Edward urodzony w 1910 roku i Tadeusz urodzony w 1923 roku, oraz dwie siostry - Janina urodzona w 1913 roku oraz Zofia urodzona w 1920 roku.

Jasieniec był wsią w większości zamieszkaną przez Ukraińców. Polskich rodzin było zaledwie kilkanaście. Moi rodzice i dziadkowie mieszkali tam od kilku pokoleń. Utrzymywaliśmy się z gospodarstwa rolnego. Nie było ono specjalnie duże, bo miało tylko osiem hektarów, ale dawało się z niego wyżyć. W Jasieńcu nie było ani kościoła, ani cerkwi. Najbliższa cerkiew i kościół były w Dąbrowicy. Tam byłam ochrzczona i przyjęta do Pierwszej Komunii Świętej. Do pierwszej i drugiej klasy szkoły podstawowej chodziłam do wsi Sielec, oddalonej od nas o jakieś trzy kilometry. Później już w Jasieńcu wynajmowano od gospodarza pomieszczenia i tam była szkoła. Naszym nauczycielem w Jasieńcu był nauczyciel z Pomorza. Nazywał się Bernard Kieszkowski. Relacje między Polakami a Ukraińcami wspominam bardzo dobrze. Przed wybuchem wojny można powiedzieć, że obie narodowości żyły z sobą jak bracia. Gdy oni świętowali, to zapraszali Polaków i odwrotnie. Wtedy nikt by nie pomyślał, że za kilka lat dojdzie do takich mordów. Gdy 17 września weszli Rosjanie, właściwie od początku rozpoczęły się czystki. Moich dwóch wujów, którzy byli gajowymi, wywieziono na Syberię. Polaków, którzy zostali, namawiano do wstępowania do tworzonych kołchozów. Tym, co nie chcieli, zabierano ziemię albo nakładano na nich duże kontyngenty. Nam zabrano część ziemi i również nałożono na nas wysokie kontyngenty. Musieliśmy oddawać ustaloną ilość zboża, ziemniaków, mięsa i mleka. Grożono nam nawet wywozem na Syberię, ale ojciec, który służył jeszcze w carskim wojsku i dobrze znał język rosyjski, uprosił urzędników, żeby dali mu jeszcze trochę czasu, a on w tym czasie przygotuje konie i maszyny, aby przyłączyć się do kołchozu. Dzięki temu pewnie uniknęliśmy wywózki. Potem przyszli Niemcy i wcale nie było lepiej. Oni też wywozili, tyle, że w odwrotnym kierunku. Zabrali na roboty przymusowe moją siostrę Janinę. Na tych robo-

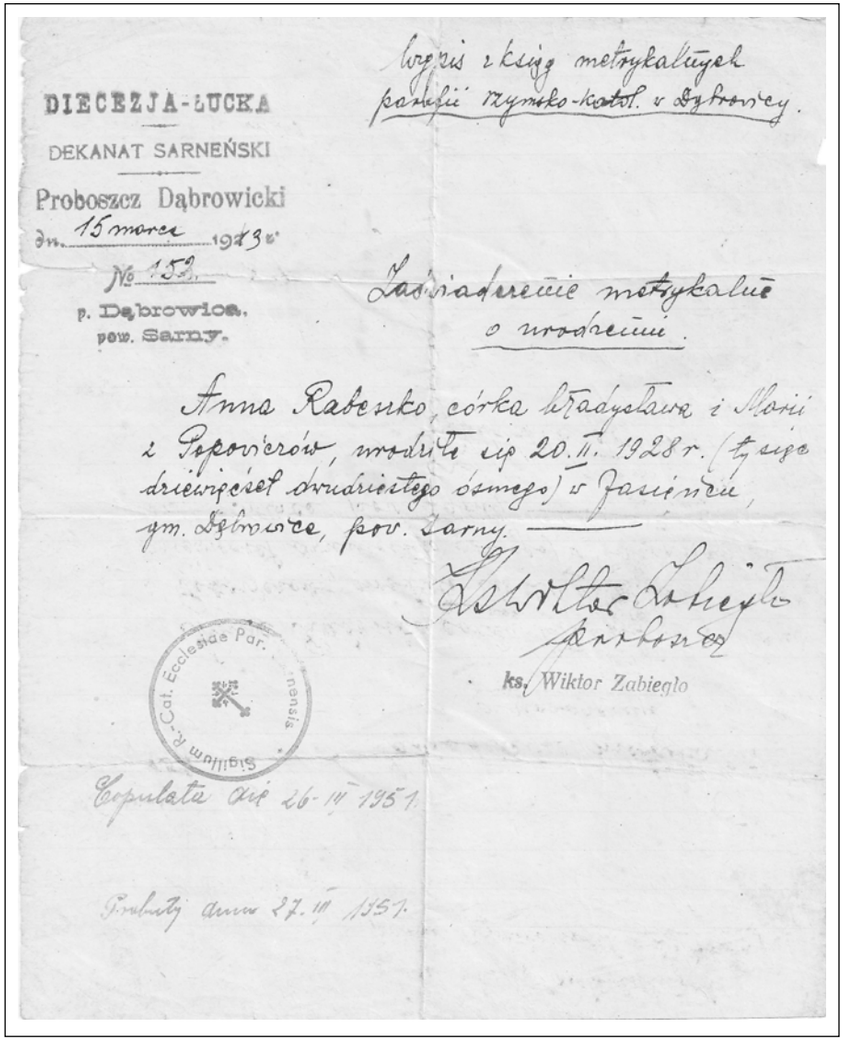

DIECEZJA-ŁUCKA
DEKANAT SARNEŃSKI
Proboszcz Dąbrowicki
dn. 15 marca 1943 r.
№ 152.
p. Dąbrowica,
pow. Sarny.

Wypis z ksiąg metrykalnych parafii rzymsko-katol. w Dąbrowicy.

Zaświadczenie metrykalne o urodzeniu.

Anna Rabeszko, córka Władysława i Marii z Popowiczów, urodziła się 20.II. 1928 r. (tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego) w Jasieńcu, gm. Dąbrowice, pow. Sarny.

Ks. Wiktor Zabiegło
proboszcz
ks. Wiktor Zabiegło

Sigillum R.-Cat. Ecclesiae Par. ...nensis

Copulata die 26-IV 1951

Probuty anno 27.III 1951.

Zaświadczenie metrykalne o urodzeniu Anny Drozdowskiej.

tach to ona się rozchorowała. Ponieważ nie była już im potrzebna, odesłali ją do domu. Po kilku tygodniach zapisali na roboty mnie i moją drugą siostrę, Zofię. Z rodzin ukraińskich zapisywano przeważnie po jednej osobie, a były i takie rodziny, z których nikt nie był brany do Rzeszy. Niemcy też Ukraińców mniej gnębili niż Polaków. Mój tato opracował plan, który miał mnie uchronić przed wywózką na roboty. Na początku Dąbrowicy mieszkała taka znajoma wdowa. Tato załatwił z nią, że ona mnie ukryje. Potem pod osłoną nocy miałam wrócić do domu, a tato miał załatwić u księdza nową metrykę, z której wynikało, że miałam dwa lata mniej niż w rzeczywistości. Tak też się stało. W dniu odjazdu na roboty tato wiózł nas wozem na stację kolejową. Na początku Dąbrowicy wysiadłam i ukryłam się u tej wdowy. Tam przeczekałam aż do nocy i wróciłam do domu. Następnego dnia tato załatwił u proboszcza fałszywą metrykę. Moja siostra, która została zabrana na roboty, do nas już nie wróciła. Przeżyła wojnę i wyjechała do Włoch. Kilka razy napisała do nas. Jacyś znajomi, którzy później zostali wywiezieni, powiedzieli jej, że my wszyscy zostaliśmy zabici przez Ukraińców. Pewnie dlatego nie wróciła do domu. Czasami sobie myślę, że gdyby nie Niemcy, to może do tych mordów by nie dochodziło. Ukraińcy bardzo przymilali się faszystom. Wstępowali do ukraińskiej policji utworzonej przez Niemców. Wielu z nich po pewnym czasie uciekało do lasu z bronią. Te bandy nie tylko mordowały Polaków, zabijali również Niemców. Niedaleko Jasieńca był taki majątek Worobin. W tym majątku Ukraińcy zabili pięciu Niemców. Wiosną 1943 roku, pamiętam, że była to niedziela, wczesnym rankiem przyjechał do nas mój starszy brat z żoną, dziećmi i teściową. Ten brat mieszkał w Zaleszanach, było to od nas jakieś trzydzieści kilometrów. Zaczął opowiadać, że poprzedniego dnia przyjechał do niego ukraiński sąsiad i radził, żeby uciekał, bo nocą będą Polaków zarzynać. Brat niewiele myśląc zapakował całą rodzinę na wóz i przyjechał do nas. Pamiętam, że mój tato nie wierzył w mordowanie. Mówił, że może Polacy Ukraińcom jakąś krzywdę zrobili albo pokłócili się o miedzę. A u nas wszyscy żyli w zgodzie, więc dlaczego by nas mieli mordować? Tego samego wieczoru ojciec wyszedł na dwór, po pewnym czasie wrócił i mówi: „Dzieci, niebo się pali". Wyszliśmy zobaczyć. Na niebie błyszczała

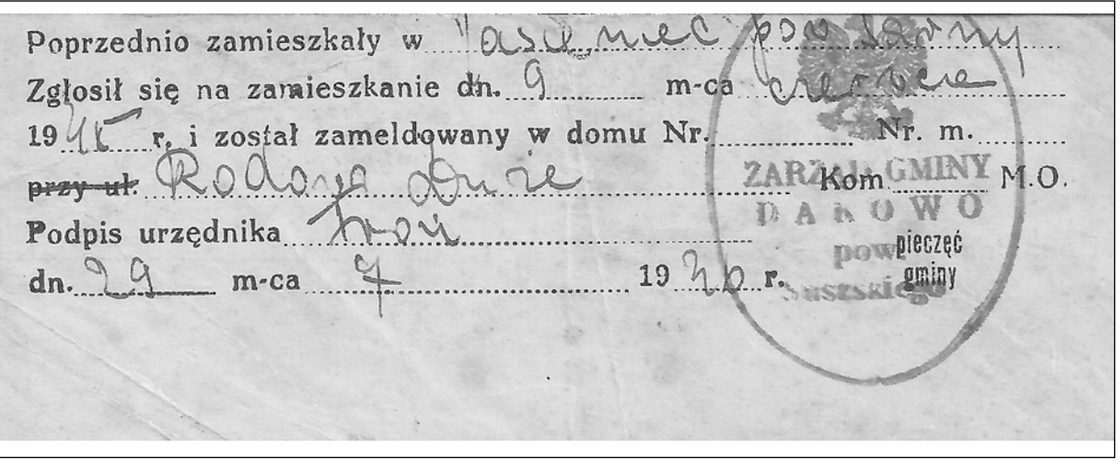
Poprzednio zamieszkały w Jasieniec powiatowy
Zgłosił się na zamieszkanie dn. 9 m-ca czerwca
1945 r. i został zameldowany w domu Nr. Nr. m.
~~przy ul.~~ Rodowa Duże Kom M.O.
Podpis urzędnika [illegible]
dn. 29 m-ca 7 1946 r.
ZARZĄD GMINY DAKOWO pow. Suszskiego pieczęć gminy

Dowód zameldowania w Rodowie z 29.07.1946 r.

pomarańczowa poświata. O świcie następnego dnia obudziło nas walenie do drzwi. Ojciec zerwał się i poszedł otworzyć. W progu stało kilku bandytów z trójzębem na czapkach. Jeden z nich rozejrzał się po domu i zadowolony powiedział: „Dobrze my trafili, na ścianach polskie obrazy. Znaczy, że mieszkają tu Polaczki." Wszyscy potruchleliśmy. Myślimy już - będzie po nas. Po chwili na podwórko zajechało kilka wozów wyładowanych wszystkim, co bandyci prędzej zrabowali. Przynieśli z wozu kawały mięsa. Nie wiem, czy była to wołowina, czy wieprzowina. Jeden z nich zajął się gotowaniem, a reszta kazała sobie słomy nanieść i tak jak stała, poszła spać, tacy byli pomęczeni. Jeden z nich to nawet położył się w ojca łóżku. Inny na to powiedział: „No taka wasza mać. Jak popa syn, to do łóżka się pakuje, a nam każe po podłodze spać". U naszego stryjka zatrzymał się ich sztab. Miał on piękny, duży, nowy dom. Było ich tam chyba z piętnastu. Dom tego stryja sąsiadował z naszym sadem. Gdy ojciec wyszedł na podwórko, ten stryj przywołał go do płotu. „Szykujcie się na śmierć. Ukraińcy ustalili na naradzie, że teraz odpoczywają, a wieczorem będą wszystkich Polaków szatkować"- oznajmił zapłakanym głosem. O ucieczce nie było mowy. Cała wieś była dokładnie okrążona. Bandyci stali co kilkanaście metrów. Ojciec wszystko nam powiedział. Niektórzy płakali po kryjomu, ale nic nie można było zrobić. Czekamy więc tego wieczora. Niektórzy bandyci obudzili się, coś zjedli i na powrót poszli spać. Już zaczynało zmierzchać, gdy Ukraińcy zaczęli się budzić na dobre. Chodzą takie nerwowe. Widać, że już by chcieli mordować. Ojciec mówił do nas, żebyśmy tylko nie dały się wyprowadzać z domu, bo będą chcieli nam zrobić krzywdę. Gdyby chcieli nas gdzieś prowadzić, miałyśmy krzyczeć, wyrywać się i kopać. Pewnie zaczęliby nas mordować, ale w pewnej chwili któryś z nich zobaczył czerwoną łunę nad pobliską wsią. To ich zainteresowało i przestraszyło. Bandyci bali się nie tylko Niemców, ale i polskiej partyzantki. Po jakimś czasie od strony tego pożaru przyjechał chłop na koniu. Bandyci go zatrzymali i zaczęli przepytywać, co to za pożar. Ten im powiedział, że pali się stacja kolejowa we wsi Biała, gdzie Niemcy biją się z partyzantami. Ukraińcy, jak to usłyszeli, takiego strachu nabrali, że w kwadrans już ich u nas nie było. Pojechali do takiej wsi

Drozdowski.

Rudnia. Po drodze zabili leśniczego i gajowego z całą rodziną, strasznie ich przy tym okaleczając. Później pojechali do takiego małego miasteczka Wysock. W tym Wysocku było trochę Niemców. Bandyci o tym nie wiedzieli i na obrzeżach zamordowali kilka polskich rodzin. Dopiero jak Niemcy zaczęli do nich strzelać, wycofali się do takiej małej osady Prasówka. Tam było kilka domów. Postanowili w niej przeczekać dzień. W międzyczasie Niemcy z Wysocka ściągnęli posiłki z Dąbrowicy i miasta powiatowego Stolin. Ten oddział zaskoczył Ukraińców we śnie. Podobno tylko kilku uciekło. Reszta została zabita na miejscu. Potem jeszcze inne oddziały Ukraińców przychodziły do naszej wsi. Ojciec postanowił, że trzeba uciekać, bo drugim razem takiego szczęścia to możemy nie mieć. Brat z rodziną pojechał do takiej wsi Jeziorany. To było już na Polesiu, gdzie tak nie mordowano Polaków. Tam wstąpił do polskiej partyzantki. My natomiast zamieszkaliśmy w Dąbrowicy[1]. Ojciec znalazł kwaterę u pana Radwańskiego. Ta kwatera mieściła się w starym hotelu. Pełno nas tam było z okolicznych wiosek. W Dąbrowicy to Ukraińcy nawet na ulicy w biały dzień zaczęli nas zabijać. Taka Pani, Skrzydło jej było na nazwisko, wyszła tylko na rynek po coś do jedzenia. Miała dwoje dzieci, była wdową i prowadziła piekarnię. Jak wracała z tego rynku z gęsią pod pachą, podbiegł do niej Ukrainiec, strzelił w plecy, zabrał gęś i uciekł. To wszystko zdarzyło się na naszych oczach. Gdy w Dąbrowicy zrobiło się niebezpiecznie, przenieśliśmy się na stację kolejową. Była ona położona za miastem i stacjonowali tam Niemcy. Na tej stacji też nie było zbyt bezpiecznie. Mieszkaliśmy w takim opuszczonym budynku bez drzwi, z nielicznymi oknami. Ten budynek stał na uboczu. Do zabudowań, gdzie byli Niemcy, mieliśmy około sto metrów. Ukraińcy zaczęli nam podrzucać ulotki o takiej treści: „Uciekajcie Lachy, póki odkryte szlaki. Bo jak was dopadniemy, to jajka z waszej krwi malować będziemy". Było to tuż przed Wielkanocą 1943 roku. Bandyci zaczęli też do nas podchodzić i strzelać, aby nas wypłoszyć. A dokąd my mieliśmy uciekać? Znalazł się wśród nas jeden taki, co umiał trochę po

[1] Dąbrowica - Do 1937 roku miasto liczyło 7500 mieszkańców, w tym 43% Żydów. Pozostali mieszkańcy to Ukraińcy i Polacy. W maju 1942 roku zostało utworzone getto. 26 sierpnia 1942 r. Niemcy z policją ukraińską wywieźli Żydów do getta w Sarnach, gdzie zostali zamordowani podczas „likwidacji" getta (w: E.Siemaszko, W. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane*..., s. 752).

niemiecku. Poszedł z tymi ulotkami do dowódcy stacji i zapytał, co mamy teraz robić. Niemiec odpowiedział, że oni mogą nas bronić, ale muszą wiedzieć, kiedy Ukraińcy podchodzą. Na jednym z takich wysokich słupów zawieszono metalowy lemiesz. Gdy bandyci podchodzili, nasi uderzali w ten lemiesz, a wtedy zaalarmowani Niemcy otwierali do Ukraińców ogień. Na tej stacji była bieda. Nie można było wyjść do miasta, żeby coś kupić, bo mogli zabić. Taka moja stryjenka namówiła jeszcze jedną kobietę i postanowiły jechać do Jasieńca. Był już koniec lata i wszystko, co posadziliśmy, wydawało plon. Ja usłyszałam ich rozmowę i poszłam do ojca prosić o zgodę na wyjazd razem z nimi. Tato powiedział, że jak chcę, to mogę jechać. Taka pani Margielewska pożyczyła im wóz i konia. Uczesałam się, ubrałam, wzięłam kilka worków i idę do tego wozu. Moja stryjenka siedziała już na wozie. „Ty też jedziesz?"- zapytała zdziwiona. - „A jadę, przecież my też nic nie mamy, to chociaż ukopię kartofli i narwę warzyw". Wtedy przyszła ta druga kobieta. Nazywała się Helena Szafrańska. - „A ty co tu robisz?" Odpowiedziałam, że też chcę jechać. Na to ona stanowczym tonem. - „Nigdzie nie pojedziesz. Zsiadaj z wozu." – „A dlaczego nie mogę z wami jechać? Przecież my też nie mamy nic do jedzenia." - zaprotestowałam siedząc dalej na wozie. – „Mówię ci, że nie pojedziesz i koniec!"- upierała się ta Szafrańska. – „Dlaczego pani mnie nie chce zabrać, przecież to nie pani wóz?"- odpowiedziałam twardo. - „Nie pojedziesz i już. Wyczesałaś grzyweczkę, ubrałaś najlepszą sukieneczkę. Od razu powiedzą, że to Lachówki przyjechały. A my widzisz ubrałyśmy najgorsze fartuchy, podziurawione bluzki, żeby nas nie poznali." - „Skoro pani nie chce, abym z wami jechała, to ja pójdę po ojca i wtedy będzie pani musiała mnie zabrać." Pobiegłam po ojca i mówię mu: „Tato, Helena nie chce mnie zabrać. Stryjenka się zgadza, a Helena nie." Ojciec przyszedł do wozu i tak mówi: „Helena, co ty zgłupiałaś? Przecież my też nic nie mamy do jedzenia." – „Ona nie pojedzie. My wiemy, gdzie wasz ogród, to we dwie wam nazrywamy, ale ona tu zostaje, bo przez nią to my zginiemy." Więc one pojechały, a ja zostałam. Czekaliśmy do wieczora, a ich nie ma. Nastał ranek, a ich wciąż nie ma. Nigdy już ich nie zobaczyłam. To, co się wydarzyło

w Jasieńcu wiemy z opowieści tych Ukraińców, którzy sprzyjali Polakom. Jak tylko wjechały do wsi i postawiły wóz przy pierwszym domu, w którym mieszkała nasza daleka kuzynka, natychmiast zjawili się Ukraińcy. Ukrainiec, który był w bandach, wypatrzył ich ze swojej chałupy. Poznał konia, który był bardzo elegancki. Taki rasowy. Ten pan Margielewski przed wojną służył w kawalerii i kupił sobie takiego pięknego konia. Nie dali im nawet dwóch kroków zrobić. Z powrotem wsadzili na wóz i podobno wywieźli do takiej wsi Orwenica, gdzie w okrutny sposób zamordowali. Ciała porąbali i utopili w pobliskiej rzece.

Ze stacji w Dąbrowicy przeprowadziliśmy się do Sarn. Tam było znacznie lepiej, bandyci do dużych miast praktycznie nie zaglądali. W Sarnach było w miarę bezpiecznie do momentu, gdy nie zbliżył się radziecki front. Niemcy na odchodne ostrzeliwali miasto w dzień i w nocy. Nawet schron, w którym się chowaliśmy w czasie ostrzału i nalotów, pewnego dnia się zawalił. Później do ostrzału miasta przyłączyli się Ruskie. Ile w tych Sarnach domów było zburzonych, to trudno policzyć. Gdy już Rosjanie zajęli Sarny, zrobili coś w rodzaju łapanki. Zatrzymali kilkadziesiąt dziewcząt, prawie wszystkie Polki i głównie te, co uciekły z wiosek. Nie wiem, czy nas ktoś wydawał, ale w naszej grupie nie było żadnej dziewczyny z Sarn. Zapędzili nas do szpitala i kazali przygotowywać szpital do przyjęcia rannych. Kilka dni szorowałyśmy podłogi, ubierałyśmy pościel itd. Gdy szpital był już gotowy, to ten, który nas nadzorował, powiedział, że jak przyjadą ranni, to będziemy ich myć, golić i opatrywać. Tak się tego wystraszyłam, że razem z koleżanką na piechotę uciekłyśmy po torach do Dąbrowicy. Wtedy Ruskie przyszły do mojego taty i pytają, gdzie ja jestem. Ojciec mówi, że pojechałam do Dąbrowicy do rodziny. Oni kazali mu następnego dnia przyjść za mnie do szpitala albo znaleźć kogoś na moje miejsce. Na szczęście do tej kobiety, u której wynajmowaliśmy mieszkanie przyjechała jej siostra. Taka fest kobieta. Ojciec poszedł do niej i pyta, czy by nie chciała pracować w szpitalu. Przekonało ją to, że dostanie nowe ubranie, buty i na miejscu będzie miała wyżywienie. W kilka dni później ojciec przyszedł piechotą, bo pociąg nie jeździł do Dąbrowicy i mówi: „Wracaj do Sarn, znalazłem za

ciebie zastępstwo do szpitala". Niemcy wciąż bombardowali i ostrzeliwali miasto, i to do takiego stopnia, że w Sarnach nie było możliwości bezpiecznego mieszkania. Ludzie wyprowadzali się do osiedli na obrzeżach miasta. Najczęściej do Konstantynówki albo do Orłówki. Tam było sporo Ruskich, więc nie obawialiśmy się napadów ukraińskich band. Pewnego dnia moja siostra zaczęła rodzić. Było to ponad miesiąc przed terminem, ale widocznie z tego strachu dzieciak postanowił szybciej zjawić się na świecie. Ojciec zaprowadził ją do szpitala i mówi do tego głównego lekarza: „Córka rodzić będzie. Nie ma się gdzie podziać, wszędzie bombardowania, przyjmijcie ją. To pierwsze dziecko i ja się boję, żeby się coś nie stało." Ten Rusek do niego: „Jak ty sobie myślisz? Tu wojsko leży, pełno rannych, a ty chcesz tu nam kobietę wsadzić." Ojciec twardo „Muszę ją tu zostawić i koniec, bo nie mam jej gdzie zaprowadzić." Ten lekarz mówi: „Dobrze, ale ja mam teraz inne zajęcia. Na sali leży jeden martwy żołnierz. Jak go wyniesiesz, to możesz tam położyć córkę." Ojciec jeszcze za cara, jak był w carskim wojsku, to przez pięć lat służył jako sanitariusz w szpitalu polowym. Nieboszczyków się nie bał. Zarzucił sobie tego trupa na ramię i wyniósł do kostnicy. Siostra urodziła synka, było przy porodzie trochę komplikacji, ale szczęśliwie wszystko dobrze się skończyło. Po powrocie do domu ojciec mówi do mnie: „Zaczyń chleb, jutro upieczesz i jak będziemy szli po Jankę do szpitala, to weźmiemy. Przecież ona tam nic do jedzenia nie dostanie". To było w sobotę wieczorem, przed Niedzielą Palmową. Zrobiłam jak tato powiedział. Zazwyczaj na noc chodziliśmy do tych osiedli na obrzeżu miasta, ale tego dnia, mimo że była wiosna, zaczął bardzo mocno padać śnieg. Grube, ciężkie, mokre płaty dosłownie oblepiały wszystko. „Dzisiaj nigdzie nie będziemy szli, pogoda taka paskudna, że Niemcy na pewno nie będą bombardować"- powiedział ojciec. Ja już się rozebrałam i leżałam w łóżku. Ojciec jeszcze się modlił. Gdy naraz ktoś wali do drzwi. Tato przerwał i podszedł do drzwi. - „Kto tam?" - „Panie Rabeszko, to ja, Soliński, może pan otworzyć?" – „Ale my już spać idziemy"- odparł ojciec. – „Ja tylko chciałem zapałek pożyczyć" - odpowiedział tamten. Ojciec otworzył drzwi i wpuścił go do środka. – „Panie Rabeszko, ja nie chcę zapałek,

tylko chcę, żebyście ze mną szli na Konstantynówkę przenocować". Ojciec jak na niego nie huknie. – „Panie Soliński, czyś pan zwariował? Przecież tak pada, że własnego nosa nie widać. Nie będzie żadnego bombardowania." – „Dla nich to żadna różnica, oświetlą reflektorami z samolotu i będą walić" - upierał się ten Soliński. – „Przecież taki gęsty śnieg, że niczego nie dojrzą" - odparł ojciec. – „Ja tu po was zaszedłem i bez was się nie ruszę." Ojciec już się trochę zdenerwował. – „Soliński, my już spać idziemy, a poza tym moja córka ma podarte buty." – „To będzie stąpała w moje ślady i jakoś zajdziemy" - nie dawał za wygraną ten Soliński. – „Panie Soliński, idź pan sam, a nas zostaw w spokoju" - powiedział już mocno zdenerwowany ojciec. – „Bóg mi miły, że bez was się z chałupy nie ruszę" - powiedział twardo Soliński. Zrezygnowany ojciec powiedział, żebym się ubrała. Założyłam trzy pary skarpet i te podarte buty, żeby było choć trochę cieplej. – „No, teraz będę szła za panem, jak pan obiecał" - powiedziałam, gdy byłam już gotowa do wyjścia. – „To będziesz szła, ale nic ci się nie stanie" - odpowiedział Soliński i wyruszyliśmy do tej Konstantynówki. Zachodzimy do pewnej kobiety, u której już kilka razy nocowaliśmy, a ona mówi, że Ruskie zabroniły cywilów przyjmować, bo panuje tyfus i oni się go boją. Ojciec jej na to, że przeczekamy noc w piwnicy na kartoflach. Ta kobieta się zgodziła, nawet przyniosła kilka snopków słomy. Do tej piwnicy doszło jeszcze kilka innych osób. Siedzimy i czekamy. Po jedenastej ojciec wyszedł na dwór. Po powrocie mówi do tego Solińskiego: - „No i co Soliński? Wyciągnąłeś nas w środku nocy, a nad Sarnami spokój, żadnego samolotu nie słychać." A Soliński na to: - „No i co z tego. Krzywda wam tu na tych kartoflach?" – „No niby nie krzywda, ale po co było iść?" - odparł ojciec. Krótko przed północą, jak gdzieś nie huknie, aż się piwnica zatrzęsła. A Soliński zadowolony: - „A co, Rabeszko, już bombardują". Wylecieli wszyscy, słuchają, ale następnych wybuchów nie słychać. „To pewnie na kolei" - powiedział ojciec wracając do piwnicy. Partyzanci bardzo często podkładali bomby na torach i czekali na pociąg. Doczekaliśmy w tej piwnicy do rana, zaszliśmy po siostrę do szpitala i wracamy do domu. Ja niosłam to dziecko, bo siostra po porodzie bardzo słaba była. Przychodzimy do domu, a naszej chałupy nie ma. Dach z gontu

leżał jakieś piętnaście metrów dalej. Po domu został lej tak głęboki, że widać było piasek i wodę. Po chwili zjawił się Soliński. – „No i co, panie Rabeszko? Jak pan myśli, gdzie teraz by pan był?" Ludzie szli do kościoła z palmami, a myśmy płakali nad lejem. Trzeba było szukać nowego domu. Zabraliśmy siostrę, to maleństwo i po śniegu ruszyliśmy z powrotem do Dąbrowicy. Po drodze mijaliśmy mnóstwo ruskiego wojska. Siostra bardzo słaba, szła z trudem. Po jakichś trzech kilometrach usiadła i mówi, że nie ma siły dalej iść. Wokół pola zasypane śniegiem, daleko od drogi kilka domów. Ojciec mówi: - „Siedźcie tutaj, a ja pójdę zapytać, czy nas przenocują". Okazało się, że mieszkała tam jakaś samotna kobieta. Czy jej mąż był w lesie, czy na froncie, tego nie powiedziała. Ojciec powiedział, że jesteśmy Ukraińcami i idziemy z nowonarodzonym dzieckiem. Ta Ukrainka przyjęła nas bardzo gościnnie. Pobiegła wydoić krowę, przygotowała ciepłą strawę, wykąpała dziecko, które od chwili narodzin nie było kąpane. Gdyby ojciec powiedział prawdę, że jesteśmy Polakami, nie wiem, czy ta kobieta okazałaby nam pomoc. Przenocowaliśmy tam i następnego ranka wyruszyliśmy dalej. Tym razem przeszliśmy około pięć kilometrów. Ja niosłam dziecko, a ojciec pomagał iść siostrze. Znowu poprosiliśmy o nocleg podając się za Ukraińców. W ten sposób po kilku dniach dotarliśmy do Dąbrowicy. Na stacji spotkaliśmy znajomego z Jasieńca. On był Ukraińcem, a jego żona Polką. Powiedział, żebyśmy szli do jego żony, ona się nami zajmie. Poszliśmy więc do Jasieńca. We wsi była cała masa Rosjan. Zajęli nawet dom tej znajomej, u której mieliśmy mieszkać. Przenocowaliśmy jakoś u niej dwie noce. W międzyczasie ojciec znalazł kwaterę u innej kobiety, której mąż był na froncie. Miała ona czworo własnych dzieci. Po przenocowaniu jednej nocy synek mojej siostry dostał takiej dziwnej wysypki. Krosty miał na całym ciele. Muszę przyznać, że był to wyjątkowo spokojny dzieciak. Prawie wcale nie płakał. Mimo że było widać, że go to swędzi, tylko się wiercił, ale płakać, to nie płakał. Ojciec poszedł do Ruskich szukać lekarza. Po pewnym czasie przyszedł z lekarką. Ta obejrzała malca i powiedziała, że to świerzb. Jak się okazało, dzieci tej kobiety, u której mieszkaliśmy, miały świerzb i zaraziły dziecko mojej siostry. - „Pani idzie ze mną, dam ja pani takie mydło. Wykąpie pani dziecko kilka

razy i wszystko będzie dobrze". Siostra poszła i przyniosła to mydło. Śmierdziało ono jak pies, ale po kilku kąpielach krosty znikły jak ręką odjął. Po kilku tygodniach nadszedł front i przeniesiono nas do miejscowości Kurasz[2]. Była to ogromna ukraińska wioska. Kilka ulic, dom przy domu. Z tego Kurasza pochodziła moja ciocia, której męża bestialsko zamordowali tylko dlatego, że był gajowym. Ciotka uciekła do mojej kuzynki do takiej wsi Brzeziny. Mąż tej kuzynki też był gajowym, ale jego Ruscy wywieźli na Syberię. Jej nie zabrali, bo właśnie rodziła. Jak później Ukraińcy napadli na te Brzeziny, to zamordowali moją ciocię. Kuzynka, która uciekała z dzieckiem na rękach, została trafiona dzidą w plecy tak mocno, że ostrze przebiło ją i tego dzieciaka. Dopiero po wojnie dowiedzieliśmy się, że leżała na środku wsi, konała przez kilka godzin, a nikt jej nie pomógł. Jak ojciec zorientował się, gdzie jesteśmy, powiedział, że od dzisiaj musimy być Ukraińcami. Żadnych rozmów po polsku, żadnych polskich modlitw, bo jeżeli Ukraińcy dowiedzą się, że my Polacy, to od razu nas zabiją. Chodziliśmy po wsi szukając kwatery. Wieś była ogromna, na środku wsi duża cerkiew, usypany kurhan z krzyżem, w który wmurowano metalowy trójząb, znak band UPA. Na każdym domu kartka z informacją „Tu panuje tyfus". Po jakiejś godzinie zjawił się ukraiński sołtys i tak do nas mówi: - „Tu wszędzie tyfus, gdzie ja was ulokuję?" – „To po co kazali nam tu jechać? Przywiózł nas jakiś radziecki żołnierz ciężarówką i zostawił" - odpowiedział mu ojciec. Ten sołtys oprowadził nas po całej wsi. W końcu zatrzymał się obok jednego z większych domów i mówi: - „Skoro wszędzie tyfus, to zostańcie tu". Trafiło nam zamieszkać u gospodarza o nazwisku Niczypor. Miał on duży, nowy dom, żonę i dwoje dzieci. Ciągle chodził z poduszką pod koszulą i udawał chorego, żeby nie iść na wojnę i rzeczywiście nie poszedł. Ten Niczypor jednak nie bardzo nam wierzył. Nie był taki głupi. Czasami nawet opowiadał historię, że ma jakąś polską rodzinę w Sarnach, ale boi się tam jechać, bo go Ukraińcy zabiją. – „Wy to chyba jednak nie Ukraińcy?" - powiedział pewnego dnia do ojca.

[2] Wieś i majątek Kurasz - wieś ukraińska, majątek był własnością Aleksandra Kaszowskiego, mieszkało w nim kilku Polaków (w: E.Siemaszko, W. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane...*, s. 753).

– „A dlaczego tak uważacie?" - zapytał ojciec. – „Inaczej się ubieracie, inaczej zachowujecie". – „Oj ty durny, my jesteśmy ukraińską szlachtą i u nas cała wieś taka" - odpowiedział ojciec. Którejś nocy do Niczyporuka przyszli Ukraińcy z lasu. Ojciec mówi do nas. – „Ale my tu wpadli. Niby nas od frontu odwieźli, ale trafiliśmy w gorsze miejsce". Żeby nas bardziej uwiarygodnić, ojciec nawet odmawiał z gospodarzami modlitwę. Po pewnym czasie Niczypor nabrał do nas zaufania. Często opowiadał, jak to ukraińscy bohaterowie zamordowali polskiego gajowego. My tego słuchamy, a skóra nam cierpnie. Gdyby tylko wyszło na jaw, że jesteśmy z nim spokrewnieni, to od razu by nas zamordowali. Tym bardziej, że Niemcy w odwecie zabili ośmiu Ukraińców z Kurasza. Musieliśmy bardzo uważać na wszystko, co robiliśmy i mówiliśmy. Jedno muszę temu Niczyporowi przyznać, że dbał o nas bardzo dobrze. Nie zaznaliśmy tam ani głodu, ani chłodu. Pewnego dnia Niczypor zawołał nas na podwórze. Okazało się, że miał on w stodole ukryty schron dla banderowców. Prowadził do niego tunel z komórki przy domu. Patrzymy, a Niczypor wyprowadza z tego tunelu zarośniętego Ukraińca ubranego w damskie ciuchy, kładzie go na wozie, przykrywa słomą, na słomę rzuca obornik. – „To jeden z naszych chłopaków, muszę go wywieźć, bo Sowiety zaczynają przeszukiwać domy" - powiedział gospodarz i pojechał wozem w nieznanym kierunku. To wydarzenie przekonało nas, że uważa naszą rodzinę za Ukraińców. W tym schronie było jeszcze więcej bandytów, których przemycano do innych ukraińskich wsi. W jednej z rozmów wyszło na jaw, że synek mojej siostry jeszcze nie jest ochrzczony. Niczypor jak tylko to usłyszał, zaraz zaproponował wyprawienie chrzcin. – „Tu u nas jest piękna cerkiew, samogonu ja napędzę, świniaka zabiję, a nawet ojcem chrzestnym zostanę". Na nas padł blady strach. Jak to dziecko katolickie chrzcić w cerkwi, toż to grzech. Wieczorem usiedliśmy z ojcem i radzimy, co tu zrobić. Jak odmówimy, to zacznie on coś podejrzewać, jak się zgodzimy, to jeszcze gorzej. Po naradzie siostra tak mówi gospodarzowi: - „Bardzo jest nam miło, że chcecie chrzciny wyprawić, a nawet zostać ojcem chrzestnym. Ale w naszej wsi jest taki zwyczaj, że na chrzcinach powinna być cała familia. Ojciec dziecka, jego dziadkowie i wszyscy krewni. Mój mąż jeszcze z wojny nie wrócił i gdybym

teraz chrzciny wyprawiła, to by się bardzo rozgniewał". To wyjaśnienie załatwiło całą sprawę związaną z niedoszłymi chrzcinami. Po dwóch miesiącach spędzonych w Kuraszu ojciec postanowił, że wracamy do Dąbrowicy. Obszedł całą wieś, ale żaden z Ukraińców nie chciał nas zawieść. Dopiero taki Ukrainiec, który, podobnie jak my, został przywieziony do Kurasza z linii frontu, zgodził się nas zawieźć za worek żyta. Na powrót zamieszkaliśmy w Dąbrowicy. Sowieci już na poważnie zabrali się do Ukraińców. Wywozili na Syberię, rozstrzeliwali. Karali nawet tych, którzy pomagali banderowcom. Po jakimś czasie na rynek w Dąbrowicy przyjeżdża Niczypor. Przywiózł na sprzedaż masło, jaja i sery. Traf chciał, że tego dnia również mój tato wybrał się na targ. Jak tylko zobaczył Niczypora, podszedł do niego i się przywitał. – „Co tam u ciebie słychać? Przyjechałeś coś zarobić?" - zaczął mój ojciec. – „Ano przywiozłem jajka, masło i ser. Może i ty kupisz?" Ojciec na to: - „Kupiłbym, ale nie mam, za co". Po chwili dodał: - „Niczypor, czy wy wiecie, kto ja jestem?" – „No jak to kto, taki sam Ukrainiec jak ja." – „Nie taki jak ty. Ja jestem Polakiem, trzymałeś pod swoim dachem polską rodzinę. Widziałem wszystkich bandytów, których u siebie chowałeś. Gdybym ja teraz chciał ci kawał zrobić, to byś z całą familią pojechał na Syberię". Niczypor pobladł i zaczął się trząść. – „Ale że byłeś dobry dla mojej rodziny, dałeś nam dach nad głową i karmiłeś nas, to ja ci żadnej krzywdy robić nie zamierzam" - powiedział do niego ojciec. Wtedy Niczypor padł na kolana i całował mojego tatę po butach.

Pod koniec kwietnia 1945 roku wyruszyliśmy w drogę do Polski. Tam dla nas już życia nie było. Nie wiedzieliśmy dokładnie, gdzie jedziemy, ale byle dalej od Ukraińców. Cały transport składał się z ponad siedemdziesięciu wagonów. W jednym wagonie jechały po trzy lub cztery rodziny razem z żywym inwentarzem. Ci, co wyjeżdżali z gospodarstwa, zabrali jeszcze coś do jedzenia, ale my byliśmy na ucieczce. Skąd mieliśmy wziąć żywność? Jedynie mieliśmy z sobą krowę, którą nam ukraiński sąsiad przechował i przyprowadził na stację. Głównie dzięki niej przeżyliśmy podróż. Tak o głodzie jechaliśmy ponad dwa tygodnie. Po drodze kilka razy były postoje i proponowano odłączenie wagonów, ale myśmy nie chcieli wysiadać. Wszędzie lasy, tereny poniemieckie,

normalnie strach. 19 Maja 1945 roku przywieziono nas do Gdakowa. Powiedziano, że transport dalej nie będzie jechał i tutaj musimy poszukać sobie domów. Kobiety z dziećmi i dobytkiem zostały na peronie, a mężczyźni poszli się rozejrzeć po okolicy. Mój ojciec zaszedł aż do Rodowa. Zobaczył, że okolica ładna, to zdecydował się na osiedlenie. W Rodowie było wtedy jeszcze kilku Niemców. Było też sporo Polaków, głównie z krakowskiego, którzy nosili biało-czerwone opaski na ramieniu, mieli karabiny i pod przykrywką obywatelskiej milicji po prostu szabrowali. Po dwóch latach od osiedlenia umarł mój ojciec. Mój starszy brat przejął po nim gospodarstwo, a ja kupiłam budynek po starej gminie i zajęłam się gospodarstwem.

Trzy lata temu odwiedziłam rodzinną miejscowość. Jasieniec bardzo się zmienił. Rozrósł się. Teraz to prawie miasteczko. Na miejscu naszego gospodarstwa stoją trzy domy. Oznak polskości prawie nie widać. Nie ma już też ludzi, którzy by mnie pamiętali. Tych natomiast, co mordowali, osądzi historia i Bóg.

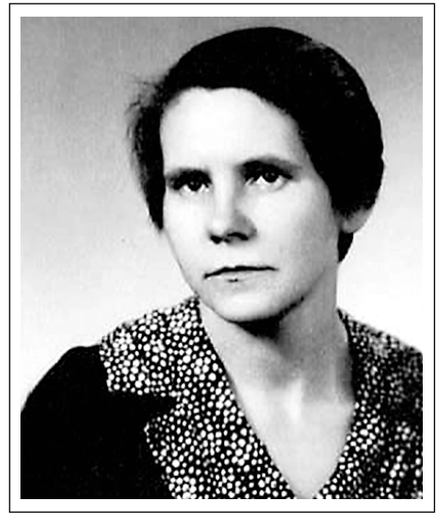

Jadwiga Gdula

Nazywam się Jadwiga Gdula. Urodziłam się 27 października 1930 roku w miejscowości Huta Perejma obok wsi Kolonia Płoskie. Moi rodzice to Andrzej Kida oraz mama Maria z domu Pokrywka, przyjechali na Kresy w maju 1930 roku z okolic Poznania, ale prędzej przez piętnaście lat przebywali w Ameryce w mieście Detroit. W tej Ameryce urodziły się moje dwie siostry (Helena i Anna) oraz brat Władysław. Z moimi rodzicami to taka sprawa była, że oboje pochodzili z okolic Jarosławia. Gdy mieli po czternaście lat, wyjechali najpierw do Prus Wschodnich, żeby tam zarobić na bilet do Ameryki, a potem popłynęli do Ameryki i dopiero tam się poznali. Po powrocie do Polski kupili domek gdzieś w poznańskim. W 1924 roku urodził się mój brat Michał, później brat Piotr. W tym czasie grasowały po Polsce takie szajki, które namawiały do kupowania ziemi na Wołyniu. Mówili, że tam na Polesiu taka żyzna ziemia, że tylko kupować i gospodarzyć. A że moim rodzicom zostało jeszcze sporo pieniędzy z tej Ameryki, dali się skusić i kupili gospodarstwo. Był tam dom, który z jednej strony miał stodołę, a z drugiej strony chlew. Wyglądało to jak taka litera U. Do tego były cztery hektary ziemi. Ale to było jedno wielkie oszukaństwo. Nie żadna dobra ziemia, ale same piaski. Skoro już kupili, to zostali i zaczęli gospodarzyć. Urodziłam się na jesieni tego samego roku. Było biednie, ale spokojnie i dobrze, aż do czasu tych band, ale o tym to później opowiem.

Do szkoły chodziłam w Hucie Perejmie. Przed wojną skończyłam 3 klasy. Szkoła była w mieszkaniu Maśnickiej Genowefy. Nauczycielem był Bronisław Mucha, który pochodził z poznańskiego, w wakacje jeździł do Poznania do swoich rodziców, wracał tylko na rok szkolny. Oprócz niego w szkole uczyła jeszcze Helena Misztal. Jej mąż uczył w Katarynówce. Do szkoły chodziły z nami też dzieci ukraińskie, ale niewiele. Największa ukraińska wieś była oddalona jakieś 7 kilometrów od nas, to Niemowicze, jakieś 300 numerów (Ukraińcy mówili Nemowiczi). Do klasy chodzili ze mną: Mitia Bochan (Białorusin), Stefan Kil - mój serdeczny kolega z pierwszej ławki (obecnie przebywa w Kanadzie), Andrzej Kil, Władek Maśnicki, Piotr Jędrzejewski, Hela Łozińska - moja przyjaciółka, siedziałyśmy w jednej ławce, Wiesia Łączka (córka zawiadowcy stacji w Niemowiczach przed wojną), Zosia Maśnicka,

Jadwiga Gdula (stojąca w pierwszym rzędzie) z rodziną.

Władek Nakonieczny z Huty Perejmy. Gdy wybuchła wojna, to miałam iść do trzeciej klasy. Pamiętam, że przed wojną to nasze stosunki z Ukraińcami były bardzo dobre. Żenili się, Polak wziął Ukrainkę, Ukrainiec Polkę. Jakiś kilometr od nas mieszkały rodziny ukraińskie - Djaczuk Leon i Mikołaj Hyc, ale bardzo ładnie mówili po polsku i byli dobrymi sąsiadami, nie można na nich złego słowa powiedzieć. Nawet w noc napadu na Hutę Perejmę nocowałam wraz z braćmi Władkiem i Michałem u Djaczuków. Obok nas mieszkał Polak Piotr Wrzesiński. On pracował na kolei jako torowy. Jego żona Józefa to nawet była moją chrzestną, a Antoni Maśnicki chrzestnym. U nas to była przewaga Ukraińców, ale jak już mówiłam, żyliśmy w zgodzie. Czasami, jak jakiś Ukraiński sąsiad jechał do Sarn do cerkwi, to nas podwoził do kościoła, bo najbliższy kościół i cerkiew były w Sarnach. Co prawda Ukraińcy mieli jeszcze cerkiew we wsi Niemowicze, ale to było w drugą stronę. Do I Komunii przystąpiłam już za Bolszewików. Potajemnie w nocy do Maśnickich przywieźli księdza z Sarn, zebrano trochę dzieci, m. in. Janek Czarnecki, Antek Maśnicki. Spowiedź polegała na rozmowie z księdzem, bez konfesjonału. W czasie wojny nie jeździliśmy do Sarn do kościoła w obawie o własne życie. Przed wojną ksiądz przyjeżdżał do Genowefy Maśnickiej do szkoły, religii uczył nauczyciel, a ksiądz nieraz pytał i egzaminował nas (ja nigdy nie wytrzymałam, zawsze musiałam być pierwsza, nieraz ze śmiechem mówił: „Ty Jadziu się zamkniesz? Ja ciebie nie pytam"), ale już w czasie wojny nie przyjeżdżał. Jak już Niemcy weszli, to wybudowano drewnianą kapliczkę bliżej torów, blisko budki kolejowej, jak się skręcało na Hutę Perejmę. Tam było przed wojną wyświęcane, bo mieli kościół budować. Jak już Ukraińcy zaczęli grasować, to rozebrali tę kapliczkę. Nie było kontaktu z Bogiem w kościele, ale my modliliśmy się w domach, mama uczyła nas pacierza, ja do dziś różne modlitwy przez nią wyuczone pamiętam. Byłam nawet z moją mamą na odpuście na Matki Boskiej Zielnej w Kazimierce, było tam bardzo dużo ludzi, wiózł nas tam jakiś parowozik z odkrytymi wagonami. Nawet się tam zgubiłam, ależ ja płakałam. Znalazł mnie pan Burzyński, zapytał: „Czyje ty dziecko jesteś?" Ja mówię, że Kidów, a on: „To dobrze, trzymaj się mnie", za rękę wziął i znaleźliśmy mamę. Kiedyś w Hucie Perejmie był duży tartak. Pamiętam

Michał Kida w wieku 19 lat - zamordowany brat Jadwigi Guli.

jeszcze leżące sterty gruzu i cegieł po zabudowaniach. Drugi tartak znajdował się na stacji, kto był właścicielem, tego nie wiem, ale obok niego Żydówka Humka prowadziła sklep. W tym tartaku pracowało bardzo dużo ludzi.

Jak do nas wkroczyli Bolszewicy, to najpierw zlikwidowali lekcje w naszym języku. Oni nienawidzili Polaków, naszego języka, wszystkiego, co polskie. W szkole uczono jedynie po ukraińsku i niemiecku. Wbijali nam do głowy, że Boga nie ma, że jedynym Bogiem jest Stalin i w niego należy wierzyć. Pamiętam, że pierwszego dnia zamordowali Romiszewskiego, który był przed wojną sędzią w Sarnach, z domu został wyprowadzony tak z pół kilometra od majątku, bliżej szosy i tam go zastrzelili. Pełno było tych bulbowców, wszyscy z karabinami, ludzie się ich bardzo bali. Przynieśli jakieś koryto i w tym go tam pochowali. Już później Polacy sami mu postawili mogiłę. Przez jakiś czas moja cioteczna siostra, starsza o dwa lata ode mnie, doglądała jego grobu. Za naszym domem była polana. Przyjechali tam Bolszewicy, nawet kuchnię mieli swoją i czołg jakiś, kilka samochodów. Jeden z nich przyszedł do nas, mimo że ich pilnowali, bo nie chcieli, żeby do nikogo zachodzili. Wyrwał się taki młody chłopaczek, karabinek miał na sznurku, a na tym karabinie jeszcze bagnet, na nogach buty, takie parciane, marną kufajkę. Mama ukroiła mu kawałek słoniny i chleba, a on patrzy i pyta, co to takiego, mama mówi, że słonina. Zdziwił się i zapytał, gdzie to rośnie, a mój brat Michał, wielki żartowniś, powiedział, że u nas to rośnie w sadzie na drzewach. Chłopak się obruszył, że to niemożliwe, bo u nich nie rośnie. W ogóle mój brat był moim najlepszym przyjacielem. Bardzo zdolny, chodził już do szóstej klasy w Niemowiczach, bardzo dobrze się uczył, pięknie rysował (na konkursie w Krakowie jego rysunek zajął II miejsce, nagrodę mu później przysłali), a do tego zawsze żartował i był wesoły. Lubił robić różne dowcipy innym. Jak jeszcze teraz przypomnę sobie brata Michała, to mnie taki żal i tęsknota ogarnia, że nie mogę sobie z tym poradzić.

Pamiętam też, że jak wkroczyli Bolszewicy, to prawie od razu zaczęli wywozić na Syberię. To nigdy nie będzie zapomniane, jak oni tych biednych ludzi wywozili. A że nasz dom był oddalony od wsi, stał obok torów, to widzieliśmy te transporty, było ich bardzo dużo. Mróz, śnieg, a oni

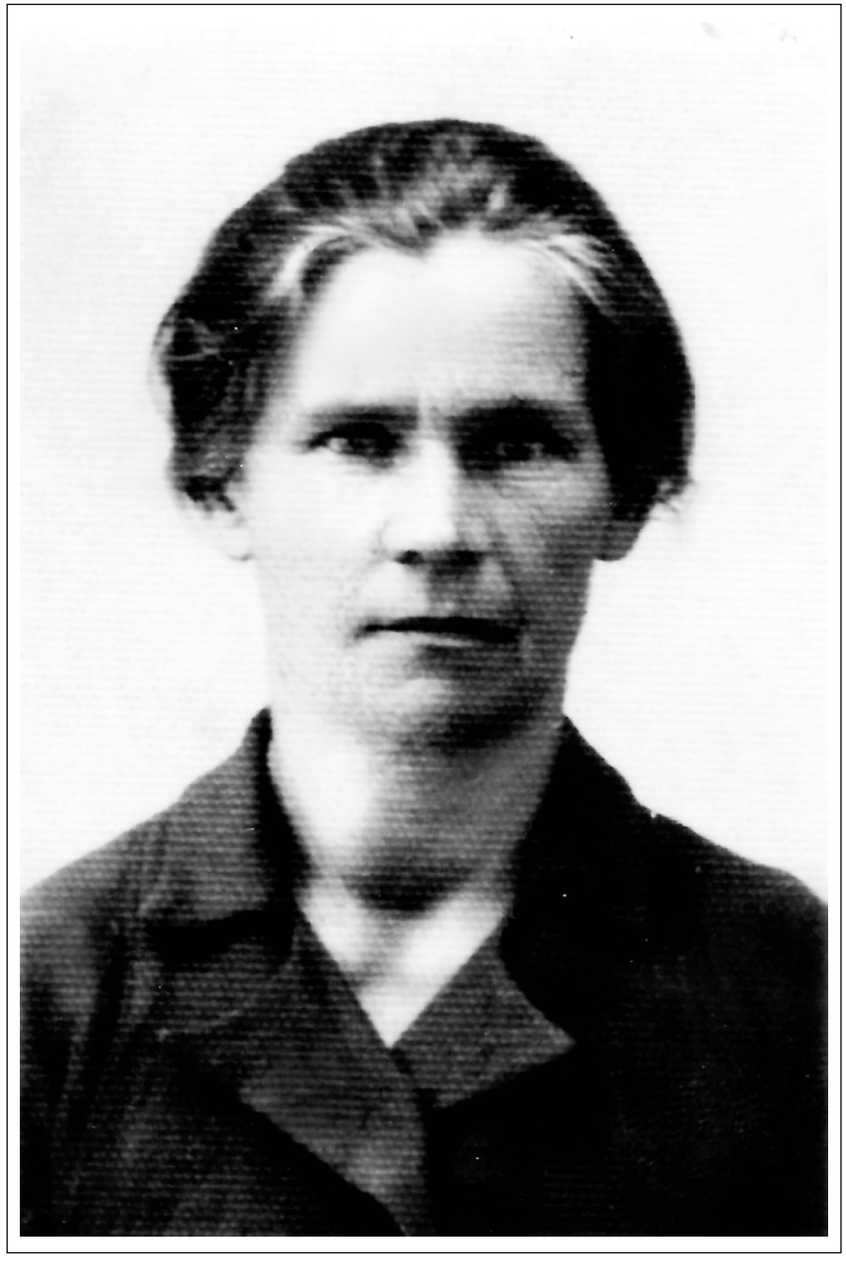

Maria Kida - 49 lat - zamordowana mama Jadwigi Gduli.

ściśnięci w tych bydlęcych wagonach. Jak ktoś umarł, to go za nogi brali i wyrzucali na śnieg przy torach. Na spakowanie dawali godzinę i nie obchodziło ich, czy wszystko zabrane, czy dobrze spakowane i przygotowane do wyjazdu. Zresztą, ile można było ze sobą wziąć? Tyle, co do przeżycia niezbędne i tylko tyle, żeby zmieściło się w rękę. Wywozili, kogo popadło. Gajowych, rodziny policjantów, nauczycieli, urzędników, że to niby jacyś uczeni. Taki gajowy to jaki on wykształcony. To ciemny człowiek, ledwie się umiał podpisać albo i nawet nie. Tyle że na drzewach się znał i nie pozwalał go z lasu kraść. Niedaleko nas mieszkał taki ukraiński gajowy Pacoła. Jego też z calutką rodziną wywieźli. My też byliśmy przeznaczeni na Sybir. Dlatego że Bolszewicy Ameryki początkowo nienawidzili, a moi rodzice piętnaście lat spędzili w Ameryce i po dziesięciu latach mogli się starać o amerykańskie obywatelstwo. Tak więc moi rodzice mieli dwa obywatelstwa. Dodatkowo troje mojego rodzeństwa urodziło się w Ameryce. Dwoje w Detroit, a jedno w Filadelfii. Gdyby Ruskie to odkryły, na pewno by nas wywieźli. A jeszcze mój tato należał do szlachty zagrodowej, co jeszcze bardziej by Ruskich wnerwiło. Pamiętam, że z naszej wioski wywieźli Adama Czarneckiego z całą rodziną (dzięki Armii gen. Andersa wyjechali z Syberii, on zginął i został pochowany pod górą Synaj, rodzina wróciła do Polski), Adolfa (gajowego), Kotową - żonę Witkowskiego, która żyła z komendantem Niemowicz (tam był posterunek), jego zabrali, prawdopodobnie zginął w Katyniu, a później ją wywieźli z dwojgiem dzieci, po wojnie trafiła do Polski, ale z dzieci tylko jedno przeżyło.

Potem wkroczyli Niemcy. Oni w przeciwieństwie do Ruskich to chociaż wyglądali jak ludzie. Umyci, zadbani, dobrze uzbrojeni. Niedaleko nas, jakieś dwa kilometry, stał most kolejowy Rudnia. Tam była taka grupa Niemców, którzy pilnowali, żeby go partyzantka nie wysadziła, bo to była główna trasa kolejowa ze Lwowa do Sarn i dalej na Kowel. Ci Niemcy, jak się dowiedzieli, że moi rodzice umieją po niemiecku (nauczyli w czasie pracy w Prusach), to czasami podczas obchodu zachodzili do nas trochę pogadać, herbaty się napić. Niestety za Niemca natworzyło się tych bulbowców. Jak byli Ruskie, to Ukraińcy siedzieli cicho. A po wkroczeniu Niemców, to masowo zaczęli

Władysław Kida - 24 lata - zamordowany brat Jadwigi Guli.

mordować Polaków. Pamiętam, że jak był napad na Hutę Perejmę, to większości naszych udało się uciec. Jak napadli na Ugły oddalone od nas o jakieś siedem kilometrów, to u nas było widać ogromną łunę, a nawet słyszeliśmy potworny ryk zwierząt i ludzi. Oni nie strzelali, było im żal pocisków. Oni mordowali czym popadnie. Siekierami, widłami, bagnetami. Jakiś czas przed napadem zostaliśmy ostrzeżeni przez takiego znajomego Ukraińca, kiedy w lesie złapali moją mamę i siostrę. Jak mama go zobaczyła, to krzyknęła: „O Boże, Sierioża Konduszów". Wypuścił je i kazał mamie zebrać broń od Sochackich (a przecież oni nic nie mieli) i powiedział, że za dwa tygodnie po tę broń przyjdą. Do dzisiaj nie wiem, dlaczego moi rodzice wtedy nie uciekli z wioski. Na nas napadnięto 3 grudnia 1943 roku. Dwa tygodnie po zdarzeniu w lesie. Było to w biały dzień. Już wtedy w obawie przed napadem nie nocowaliśmy w domu, tylko w lesie. Do domu przychodziliśmy rano. Tego dnia, gdy nas napadli, w domu byłam ja, moi rodzice oraz dwóch moich braci. Ukraińcy okrążyli całe gospodarstwo. To, że na ich oczach uciekłam do Niemców, to prawdziwy cud. Matka Boska musiała ich tak oślepić, że nie widzieli, jak uciekam. Widocznie Bóg mnie ocalił, abym była świadkiem tego, co się działo. W chwili napadu wszyscy byliśmy na dworze. Mama została uderzona siekierą w głowę. Czaszka pękła na pół. Cały mózg wypłynął. Teraz to już mogę mówić o tym bez emocji, ale prędzej nie mogłam. To wszystko gdzieś we mnie siedziało. Jak tylko zaczynałam o tym mówić, stawały mi w oczach tamte wspomnienia. Tato leżał trochę dalej obok stodoły. Był tak cały pokłuty widłami i bagnetami, że nie do opowiedzenia. Z tego bólu to aż mu język na wierzch wysadziło. Obrączkę miał złotą, jeszcze z Ameryki, jak tam brali ślub. Obrączka była szeroka, gruba z amerykańskiego złota. Jak moje siostry Ania i Hela wychodziły za mąż, to mama swoją obrączkę zaniosła do złotnika w Sarnach i z jednej zrobił dwie piękne obrączki. Tato swoją obrączkę obiecał synowi, który pierwszy się ożeni. To te bandyty, żeby mu tę obrączkę zdjąć, to aż palec wyłamali. Jeden brat uciekał w stronę, gdzie akurat nie było żadnego bulbowca. Jeszcze kilka kroków, a by uciekł, to go kulą trafili. On jeden nie cierpiał. Brata Michała to dosłownie poćwiartowali. Odrąbali obie ręce, nogę. Jego to dopiero po pogrzebie znaleźliśmy.

Ja uciekłam do tych Niemców, co mostu pilnowali, a potem do mojej siostry. Ona mi powiedziała, żebym poszła do Niemowicz na stację, gdzie stacjonowało niemieckie wojsko, prosić o pomoc w pochowaniu rodziców i rodzeństwa. Rozchodziło się o to, żeby Niemcy dali obstawę, z którą można by pojechać po ciała. Bez takiej obstawy to te bandyty zabiliby każdego, kto się zjawi. To ja poszłam na tę stację prosić o pomoc. Ten komendant, co tam dowodził, wysłuchał mnie i dał wojsko. Wyznaczył chyba ze dwudziestu żołnierzy, a uzbrojeni byli po zęby. Pojechaliśmy takim wózkiem do wożenia podkładów kolejowych aż do przejazdu, przy którym stał nasz dom. Ci żołnierze taczkami przewieźli ciała do torów. A potem zawieźli je tym wózkiem na stację. Tam już czekał znajomy z konnym wozem. Następnego dnia na cmentarzu w Kolonii Płoska odbył się pogrzeb. Wzięli w nim też udział żołnierze niemieccy. Chowano bez trumien. Tak, jak zostali pomordowani, bez ubierania. Tylko taką jakby podłogę z desek zrobiono i ciała kocem przykryto. Ja na pogrzebie nie byłam. Siedziałam u siostry w domu za piecem. Mieszkała na stacji. Nie mogłam dojść do siebie. Ta siostra to mi mamę zastąpiła, a szwagier Leonard Sochacki był dla mnie jak tato. Oni mnie wychowali i każdego dnia się za nich modlę.

Do Polski wyruszyliśmy jakoś na początku maja 1945 roku. Jechaliśmy w bydlęcych wagonach, ale wtedy było ciepło. Każdy zabierał to, co zdołał ocalić. Siostra i szwagier mieli krowę i konia. Transport był bardzo duży. Odjeżdżaliśmy ze stacji Niemowicze. W transporcie jechali też repatrianci z Dąbrowicy. W wagonie byli z nami Orlińscy, Czarneccy, Sochaccy. Wszystkimi zarządzał Zygmunt Krasiński. Jechaliśmy przez Równe i Lwów. Pamiętam, jak zobaczyłam w nocy na stacji tablicę z napisem Lwów w języku polskim, to bardzo płakałam z radości, że po tylu latach zobaczyłam polski napis. Nie pamiętam w jakim mieście mieliśmy tygodniowy postój, a stamtąd skierowano nas do Prabut, które wtedy były prawie całe puste. Ja z moimi siostrami trafiłam do Gdakowa. Po wojnie wójtem gminy był Zygmunt Krasiński, sołtysem zaś mój szwagier Leonard Sochacki. W Gdakowie mieszkały dwie siostry Niemki - wdowy, jedna z nich to Marta Morfa. Była jeszcze jedna młoda Niemka, też wdowa z dzieckiem, ale nie wiem, jak się nazywała. We wsi

stacjonowali jeszcze Rosjanie. Napadali na te Niemki. Wójt z sołtysem poszli bronić tych kobiet i szwagier mój o mało nie zginął. Wszystkie duże majątki we wsi były spalone przez Rosjan. My zajęliśmy jeden z domów, mieszkaliśmy w nim około czterech lat, później szwagier wziął gospodarkę pod lasem. W okolicach było dużo partyzantów. Kiedyś poszłam pod las do mojej siostry, a u niej w obejściu było pełno mężczyzn, to byli żołnierze AK. Całej nocy nie spałam, bo miałam w głowie bulbowców, bałam się, a szwagier mnie uspokajał mówiąc, że to polskie wojsko. Rano zrobili odprawę, zmówili modlitwę, podziękowali za gościnę, pożegnali się i odjechali. Siostra wypuściła mnie od siebie dopiero po kilku godzinach, żebym czasami gdzieś się przez przypadek nie wygadała. Niedługo po wojnie w Gdakowie uruchomiono mleczarnię z maszynami po Niemcach, a niektóre jeszcze dowieźli. Robiono masło, śmietanę i sery, nie pamiętam nazwiska kierownika, ale był fachowcem w tym, co robił. W budynku mleczarni znajdował się także posterunek milicji. We wsi był też kowal, pan Ziółkowski, zza Buga przyjechał do Antonina, później przeprowadził się do Gdakowa. Koło Kółka Rolniczego wybudował sobie domek. Był bardzo dobrym kowalem. Pierwszym księdzem, który przyjeżdżał z Prabut, był ksiądz Batowski (pierwszy proboszcz parafii) pochodzący z Kazimierki, po nim był ksiądz Czesław Klimuszko. Ślub brałam w Prabutach. Wesele zrobiła mi siostra ze szwagrem na stacji, gdzie jeszcze mieszkała. W posagu dostałam krowę, świnię i inne potrzebne rzeczy. Byli dla mnie jak rodzice. W Gdakowie skończyłam szkołę. Była to taka wieczorowa szkoła dla wielu roczników. Mieściła się w biurach mleczarni. Przerabialiśmy kilka klas jednocześnie. Inspektorat był w Suszu i stamtąd przyjeżdżali nas egzaminować, zdałam siódmą klasę. Razem z siostrą i jej mężem prowadziliśmy duże dwunastohektarowe gospodarstwo. Kilkanaście świnek, kilka krów, więc było co robić. Ale po pewnym czasie szwagier znalazł robotę na kolei. Wtedy zdali gospodarkę i przeprowadzili się do bloku. Ja poznałam chłopaka z Gdakowa Antoniego Gdulę pochodzącego spod Lublina, który miał dwóch braci: Franciszka i Mieczysława (za bulbowców poszli pod Równe i słuch po nich zaginął) oraz dwie siostry: Marię (po mężu Paluszek) i Henrykę (po mężu Skrzypek), teściowa Anna Gdula z domu

Kuriata. Za mąż wyszłam w 1953 roku. Mój mąż pracował na kolei. Był manewrowym w Mikołajkach Pomorskich. Przeprowadziłam się do męża. W szkole nie było woźnej i pani Romanowska zaproponowała mi tu pracę, otrzymałam mieszkanie, które potem wykupiłam i mieszkam w nim do dzisiaj. Z nauczycieli szkoły w Gdakowie pamiętam Szynakę Jana i jego żonę Jadwigę, szanowali wszystkich i tak samo wychowali swoje dzieci.

W 1955 roku urodziłam córkę Agnieszkę, w 1957 r. Małgorzatę, w 1958 r. Michała, a Ignacy urodził się w 1962 roku.

Ja nigdy na Kresy nie jeździłam. Już nie to zdrowie. Ale moja córka była tam kilka razy. Na grobie moich rodziców kazałam postawić kamienne, piękne tablice. Teraz to już nie ma sensu ścigać tych bandziorów. Jeżeli jeszcze nie umarli, to już niedużo im zostało. A sprawiedliwość to jedynie na tamtym świecie jest i każdy jej kiedyś zazna.

Jadwiga Kaczorowska

Nazywam się Jadwiga Kaczorowska z domu Sawicka. Urodziłam się w 1940 roku w Jezioranach Polskich[1], gmina Połonka, powiat Łuck, jestem jedynaczką. Ojciec Władysław (zmarł, gdy miałam około dwóch i pół roku), matka Janina z domu Kolcowska, babcia z domu Babinicz. Moja mama i jej rodzeństwo (sześcioro) zostali wychowani przez ojca i swoją najstarszą siostrę Annę Szarłowską (po mężu, w wieku 28 lat wyszła za mąż, wyprowadziła się do niego, przez jakiś czas przechowywali u siebie młodą Żydówkę). Dziadek mój, gdy wojsko austriackie konfiskowało mu konie, nie chciał oddać ich na poniewierkę i poszedł razem do niewoli, aby o nie dbać. Babcia postanowiła go wykupić i poszła zabierając ze sobą najmłodszą córkę Zosię. Niestety okradli ją ze wszystkiego, co miała, dziadka i tak nie wypuścili, a ona tak przemarzła, że dostała galopujących suchot (jak kiedyś mówili) i zmarła, dziecko także.

Nasza rodzina mieszkała na Kresach od kilku pokoleń. Po sąsiedzku z nami mieszkali między innymi Traczewscy i Cybulscy. Kościół, cmentarz oraz szkoła znajdowały się w sąsiedniej Sienkiewiczówce. To, co działo się na Wołyniu, znam wyłącznie z opowiadań mamy. Relacje Ukraińców i Polaków jeszcze przed wojną były przyjacielskie. Mimo różnych wyznań razem obchodzili święta religijne, sąsiad pomagał sąsiadowi bez względu na narodowość. Bardzo często bawiłam się z córką sąsiadów Ukraińców, z którymi dobrze się znaliśmy i przyjaźniliśmy. Dziewczynka miała na imię Nadia, była jakieś półtora roku ode mnie młodsza. Mama mi opowiadała, że jak miałam około trzech lat, to pewnego razu, pod wieczór, wzięłam za rękę tę młodszą koleżankę i szłam z nią do lasu w stronę Sienkiewiczówki, a drogę znałam, bo często tam się chowaliśmy przed bandziorami. Tłumaczyłam jej po drodze, że tam nie ma bulbowców, bo tam jest polskie wojsko i nas będzie pilnowało. Szukali nas już wtedy jej rodzice i moja mama, a znalazła i do nich odprowadziła jakaś kobieta Ukrainka.

[1] Kolonia Jeziorany Polskie - kolonia polska powstała na początku XX wieku. W 1943 roku kolonia liczyła około 80 gospodarstw i około 300 mieszkańców, Polaków. Ludność była na ogół biedna, dorabiała podczas prac polowych w Jezioranach Czeskich i Maczkowcach. Liczba ofiar zbrodni nacjonalistów ukraińskich: 20 Polaków. Liczba zabitych w odwecie: 15 Ukraińców (w: E.Siemaszko, W. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane...*, s. 597).

Rodzina Kolcowskich, po lewej ciocia.

Te dobre relacje zaczęły się psuć po wybuchu wojny, a nasilenie działań Ukraińców przeciw Polakom nastąpiło, gdy Wołyń zajęli Niemcy. Mój wujek Antoni Kolcowski należał do oddziału samoobrony w Sienkiewiczówce. Te oddziały powstały z myślą o obronie ludności polskiej przed napadami ze strony band UPA. Pewnego dnia, gdy wracał do domu, został porwany przez swojego sąsiada, który należał do band - tego samego sąsiada, z którym się przyjaźniliśmy, ojca Nadii. Ten sąsiad razem z innymi chcieli wydobyć od wujka informację, jak liczna jest polska samoobrona i jaką posiadają broń. Wujek mimo strasznych tortur mówił jedynie, że samoobrona jest bardzo liczna i doskonale uzbrojona, i że Ukraińcy nie dadzą jej rady. Po kilkunastu godzinach znęcania zamordowali wujka, a ciało wywieźli do lasu i wrzucili do dołu.[2] Gdyby nie informacja jednego z przyjacielsko nastawionych Ukraińców, ciocia nigdy nie dowiedziałaby się, gdzie wujek leży. A tak chociaż wyprawiono mu katolicki pogrzeb.

Z kolei mojego dziadka Sawickiego Ukraińcy spalili żywcem w jego własnym domu. Moja ciocia Stanisława z domu Sawicka, niestety nie pamiętam jak miała po mężu, uciekła razem z rodziną do Łucka. Jednak gdy zaczęło im brakować jedzenia, pojechali do swojego gospodarstwa, żeby przywieźć warzyw i zboża. Gdy dorośli napełniali worki, kilkuletnia córeczka mojej cioci bawiła się kilkadziesiąt metrów od nich w grządkach z kartoflami. Właśnie wtedy przyszła banda UPA i zaczęła mordować. Ukraiński sąsiad, który wszystko widział, pobiegł i zabrał tę córeczkę do domu, a wieczorem odwiózł do Łucka do rodziny. Gdyby nie on, czekałby ją taki sam los jak jej rodziców.

Trzeba jednak przyznać, że mimo iż to Niemcy uzbroili Ukraińców, to po pewnym czasie Ukraińcy zaczęli atakować również Niemców. Podczas jednego z napadów, dzięki temu, że jeden z Niemców mieszkających w Jezioranach, pan Gampel, zdążył powiadomić posterunek w Łucku i wezwać

[2] „W maju 1943 roku został zamordowany przez upowców z Radomyśla (gm. Połonka) na drodze powracający z sąsiedniej wsi od swojej siostry - Antoni Kolcowski, s. Ignacego, lat ok. 30. Na ciele miał liczne rany kłute." (w: E.Siemaszko, W. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane...*, s. 598).

Po lewej wujek Antoni Kolcowski.

pomoc, uratowało się kilkuset Polaków z trzech sąsiednich wsi. Miałam wtedy trzy lata, ale do dzisiaj pamiętam te wozy z pierzynami i siedzącymi na nich kobietami. Jechaliśmy do Łucka. Był rok 1944. Ciekawa tego, co się dzieje, wystawiłam głowę spod pierzyny. Do naszego wozu biegł jeden z bandytów. Zarośnięty, brudny. Już był przy naszym wozie, ale wtedy ktoś do niego strzelił i on osunął się na ziemię. Mieliśmy niemiecką obstawę.

W Łucku mieszkaliśmy u jakiejś cioci. Tam poznaliśmy niemieckiego lekarza, pochodzącego z dobrze urodzonej rodziny. Byłam bardzo podobna do jego córki, za którą tęsknił. Pamiętam dobrze jego biały fartuch i sygnet na palcu, często się ze mną bawił. Wtedy zachorowałam na dyfteryt, on wziął mnie do niemieckiej jednostki do szpitala i tam dostałam odpowiednie leki. Dzięki niemu przeżyłam. Później załatwił nam mieszkanie, mojej mamie pracę na niemieckiej kuchni, a wujkowi Szarłowskiemu posadę woźnego.

W 1945 roku wyjechaliśmy z Łucka, bo nie chcieliśmy przyjąć obywatelstwa rosyjskiego. Przywieźliśmy ze sobą konia, krowę, kury, zboże, mąkę, dzięki temu nie cierpieliśmy głodu. W wagonach było dużo innych rodzin. Najpierw załadowano bydło. Wujek jechał z końmi, mama z krowami. Ja, ciocia i babcia (teściowa mojej cioci) byłyśmy w innym wagonie.

Po przyjeździe do Prabut, a było to wiosną, przez koło trzech tygodni siedzieliśmy na stacji, bo mieliśmy nadzieję, że zawiozą nas gdzie indziej. Jednak musieliśmy zostać. Z mamą zajęłyśmy dom na ulicy Krańcowej. Wujek chciał dalej gospodarować i zajął gospodarstwo za torami na Kisielice, jednak mieszkali razem ze mną i mamą. Niestety długo nie pogodził się z wyjazdem z Kresów, nie inwestował w dom i gospodarstwo, nie kupował nawet mebli, ponieważ cały czas był pewien tego, że wróci na swoje gospodarstwo na Wołyniu. Dopiero po latach zaczął odnawiać gospodarstwo i się do niego przeprowadził.

Pamiętam, że Prabuty były bardzo zniszczone. Ci, którzy przyjechali z Wołynia, zajmowali domy blisko siebie. Jechała z nami i później blisko zamieszkała pani Bednarska z rodziną, pochodząca z okolic Łucka.

Do szkoły chodziłam w Prabutach (obecne gimnazjum). Pamiętam moje wychowawczynie: p. Gajewską i p. Jadwigę Rodziewicz. Proboszczem parafii

był ksiądz Klimuszko.

Męża Tadeusza Kaczorowskiego poznałam w Prabutach. Również pochodził z Kresów, przyjechał z Kostopola do Działdowa. Później przeprowadzili się do Prabut. Powołano go do wojska w Międzyrzeczu. Ślub wzięliśmy w 1956 roku. Urodziły się nasze dzieci: w 1957 r. Jolanta, w 1960 r. Krzysztof, Michał w 1968 r. Po wojsku mąż pracował w Hydrosterze aż do przejścia na rentę. Zmarł w 2010 r. Ja pracowałam w Zakładach Ozdób Choinkowych, przeszłam na rentę, a po 5 latach na emeryturę.

Kresy odwiedziłam w latach osiemdziesiątych. Mieszkający tam ludzie okazali się bardzo życzliwi i gościnni. Z gospodarstwa naszej rodziny prawie nic nie zostało, tylko bez otaczający dom i niewielkie ruiny. U cioci Ani tylko pusty plac po domu, ziemia i las. Ja praktycznie wychowałam się w Prabutach, dlatego nawet nigdy nie myślałam o tym, aby wracać na stałe na Kresy.

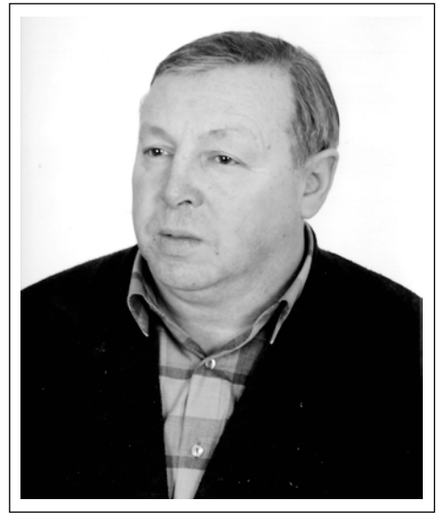

Bogusław Kasicki

Nazywam się Bogusław Kasicki, urodziłem się w roku 1940 w miejscowości Skurcze[1], powiat Łuck, gmina Czarnków. Matka moja wywodzi się z rodziny Strobel (szlachta austriacka). Po ślubie moi rodzice zamieszkali w majątku dziadków, rodziców mojej matki. Pierwsze, co pamiętam, a miałem wtedy lat 3,5, to aleja prowadząca do zabudowań, wysadzana wiśniami. Pamiętam, jak dziadek brał mnie na ręce, a ja wtedy te dojrzałe wiśnie rwałem. Byłem dzieckiem dość ciekawym świata i wścibskim, więc nosiło mnie wszędzie tam, gdzie coś przyciągało moją uwagę lub budziło duże zainteresowanie. Jedna z takich moich dziecięcych eskapad mogła skończyć się dla mnie źle, kiedy to po zawieszonej na dachu drabinie (wyjętej z wozu drabiniastego) usiłowałem wejść do bocianiego gniazda, które znajdowało się na szczycie dachu stodoły. W ostatniej chwili, gdy już byłem tuż, tuż, 1,5 m od celu – bocianiego gniazda, zostałem zauważony i zdjęty przez mojego wuja Wacława, brata mojej matki, który był moim chrzestnym. Kolejnym moim „występkiem" było wypuszczenie świń z okólnika (zagroda dla świń), z którymi był potem nie lada problem, aby je z powrotem zagonić. Odbywało się to przy moim wrzaskliwym proteście, ponieważ świnie w trakcie zaganiania były bite i strasznie kwiczały. Następnym moim wyczynem było wbijanie łusek po nabojach karabinowych w dynie. Dynie były zwożone tego dnia do gospodarstwa. Wbijanie łusek w dynie sprawiało mi, jako dziecku, frajdę. Młodszy brat mojej matki, wuj Lambert, który był wtedy nastoletnim chłopcem, obiecał mi dać więcej łusek do zabawy pod warunkiem, że nie będę ich wbijał w dynie. Zaprowadził mnie na tył domu, gdzie z otworu po wyjętej cegle wyjął garść łusek i wręczając mi je jeszcze raz zakazał wbijania w dynie. Kiedy jednak Lambert się oddalił, ja znowu wbijałem te łuski w dynie, bo była to dla mnie przyjemna zabawa.

Ojciec mój, Stanisław Kasicki, pochodził ze wsi Leonówka, w której to dziadkowie, rodzice mojego ojca wraz z całą rodziną (rodzeństwem ojca) mieli duże gospodarstwo. Mój ojciec, jako najstarszy, prowadził to gospodarstwo. W związku z tym przeprowadził nas, mnie i mamę, do Leonówki jesienią 1942 roku. Zamieszkaliśmy w domu rodzinnym mojego ojca, zajmując tam jeden z pokoi. Jeszcze tego samego roku mój ojciec rozpoczął budowę własnego domu, który znajdował się w odległości około 150 m od domu

[1] Skurcze - wieś polsko-ukraińska z przewagą ludności ukraińskiej, licząca około 150 gospodarstw. Liczba ofiar zbrodni nacjonalistów ukraińskich: 14 Polaków (w: E.Siemaszko, W. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane...*, s. 547).

1929 r. Łuck – Wołyń. Kurs sadowniczo – pszczelarski.

dziadków. Dom został postawiony na ziemi, która memu ojcu została odpisana jako przypadająca na niego część majątku. Pamiętam, jak w trakcie budowy domu, bawiąc się z moim młodszym bratem, dwuletnim wówczas, Franciszkiem, usłyszałem piękny śpiew idących po drugiej strony stawu robotników, Ukraińców. Staw ten znajdował się około 100 m od domu.

Kiedy na Wołyń wkroczyli Sowieci, ojciec mój wyznaczony został przez nich do prowadzenia skupu mleka w miejscowej mleczarni. Przy tej mleczarni był składowany lód dla potrzeb mleczarskich. Kobieta, która zmywała mleczarnię, zużytą wodę wylewała tak, że niefortunnie ta woda podciekała pod składowany lód. Kiedy Sowieci potrzebowali tego lodu, okazało się, że lodu nie ma. Po prostu, pod wpływem wylewanej wody, rozpuścił się. Zawisła nad naszą rodziną groźba wywózki na Sybir, o czym zapewniał rodziców sowiecki „naczalnik". Kiedy wywózka miała nastąpić, nieoczekiwanie wybuchła woja sowiecko-niemiecka i to nas - paradoksalnie - uratowało.

Po wkroczeniu Niemców zaczęła narastać wrogość Ukraińców do Polaków, gdyż Niemcy obiecywali Ukraińcom wolną Ukrainę, wolną od Polaków i obcych. Zaczęły się nocne napady na polską ludność cywilną.

Ojciec mój, jako podoficer Wojska Polskiego, został zaprzysiężony w szeregi AK. Składając przysięgę przed majorem „Krzysztofem", ojciec trzymał mnie na rękach, czemu major się nie sprzeciwiał, więc niejako i ja brałem udział w tej przysiędze. W sprawach organizacji AK mój ojciec często jeździł do Łucka. Mnie, małe dziecko, kładł na wóz jako chorego i w razie zatrzymania, miałem być pretekstem, że jedzie ze mną do szpitala. W powrotnej drodze na wozie często była korespondencja i broń przykryta słomą i derką, na której z kolei ja leżałem. W razie kontroli miałem być chory na tyfus. Aby uwiarygodnić moją chorobę, dostawałem coś z maku, co powodowało, że spałem i zawsze szczęśliwie wracaliśmy do domu. Ojciec mój zaprzysięgał innych Polaków wstępujących do AK. Byli to także koledzy i znajomi ojca. W AK na Wołyniu ojciec mój miał pseudonim „Gałązka".

Kiedy rozpoczęły się napady band UPA, a mieszkaliśmy już w nowo wybudowanym własnym domu, ojciec mój przy drzwiach zawsze stawiał siekierę i widły, aby w razie napadu zginąć, broniąc rodziny, by nie widzieć mordowania swoich bliskich. Bandyci ukraińscy mieli taki zwyczaj, że zanim zamordowali rodziców, najpierw mordowali w okrutny sposób dzieci, aby sprawić więcej cierpienia.

W czasie jednego z takich napadów banda Ukraińców była na podwórzu

1937 r. Leonówka w sadzie. Z lewej Stanisław Kasicki.

naszego domu, a my w domu wszyscy siedzieliśmy cicho, aby dom wydawał się opuszczony. Byli to obcy, nietutejsi, więc sąsiadka Ukrainka poinformowała ich, że tu mieszkają sami Ukraińcy, tylko teraz ich nie ma, bo pojechali do Ukraińca Balasa (u którego ojciec mój był chrzestnym jego syna). Informacja była zatem po części prawdziwa. W tym czasie matka moja cały czas czuwała nad nami (mną i moim młodszym bratem Franciszkiem), aby któryś z nas nie krzyknął przez sen, bo mojemu bratu czasami się to zdarzało, a to mogło nas zdradzić. Napady odbywały się nocą, więc przed następnym napadem udaliśmy się na noc do domu mojego dziadka Józefa Kasickiego. W tę noc po obejściu kręciło się wielu bandytów. Byli oni jednak przekonani, że tu mieszkają Ukraińcy, w czym utwierdzała ich nasza sąsiadka o nazwisku Krawiec. Mojej matce radzono, aby na wszelki wypadek uciekła ze mną i bratem w zboże, dla większego bezpieczeństwa, bo wszyscy ludzie przebywający w domu będą się bronić i nie wiadomo, co może się stać. Matka moja jednak tego nie zrobiła i całe szczęście, bo gdyby wtedy wyszła, mogło się wydać, że tu są Polacy i koniec nasz byłby tragiczny. A tak wszyscy szczęśliwie doczekaliśmy przybycia z Sienkiewiczówki pomocy uzbrojonych Polaków z utworzonych do ochrony ludności polskiej oddziałów samoobrony.

W Leonówce był majątek Leona Zwolińskiego. Majątku pilnowało dwóch Niemców, a do pomocy mieli 17 mężczyzn, Polaków, wyposażonych w broń. Tak to powstała samoobrona. Do tego majątku schodzili się na noc Polacy z okolic, bo wiedzieli, że tam będą pod ochroną. Także nasza rodzina. Jeden z napadów zapamiętałem. Było to 17 albo 18 czerwca 1943 roku. Matkę i mnie z bratem ojciec ukrył na strychu, bo sam był w samoobronie. Kiedy matka ułożyła nas na słomie, nie mogłem zasnąć, ponieważ słoma mnie kłuła i uwierała, ale w końcu coś mi podłożono i zasnąłem. Około północy obudziła nas strzelanina, która trwała niemal do rana. Oprócz strzelaniny słychać było krzyki mordowanych ludzi i kwik palonych świń. Pod budynki gospodarstw polskich Ukraińcy podłożyli ogień. Ukraińcy mieli taką taktykę, że część z nich strzelała, a druga część, tzw. nożownicy i siekiernicy, pod osłoną tego ostrzału, czołgali się do zabudowań, przy których schronieni byli Polacy, a nie wszyscy mieścili się w budynkach. Tych nożownicy dopadali i mordowali. Kiedy napad się skończył, zeszliśmy na dziedziniec. Zobaczyłem gromadki ludzi rozpaczających nad pomordowanymi bliskimi. Jak mi przekazali rodzice, zamordowano wtedy 13 osób. Moim wielkim przeżyciem był widok zamordowanego 4-5 letniego chłopca, leżącego z rozprutym brzuchem,

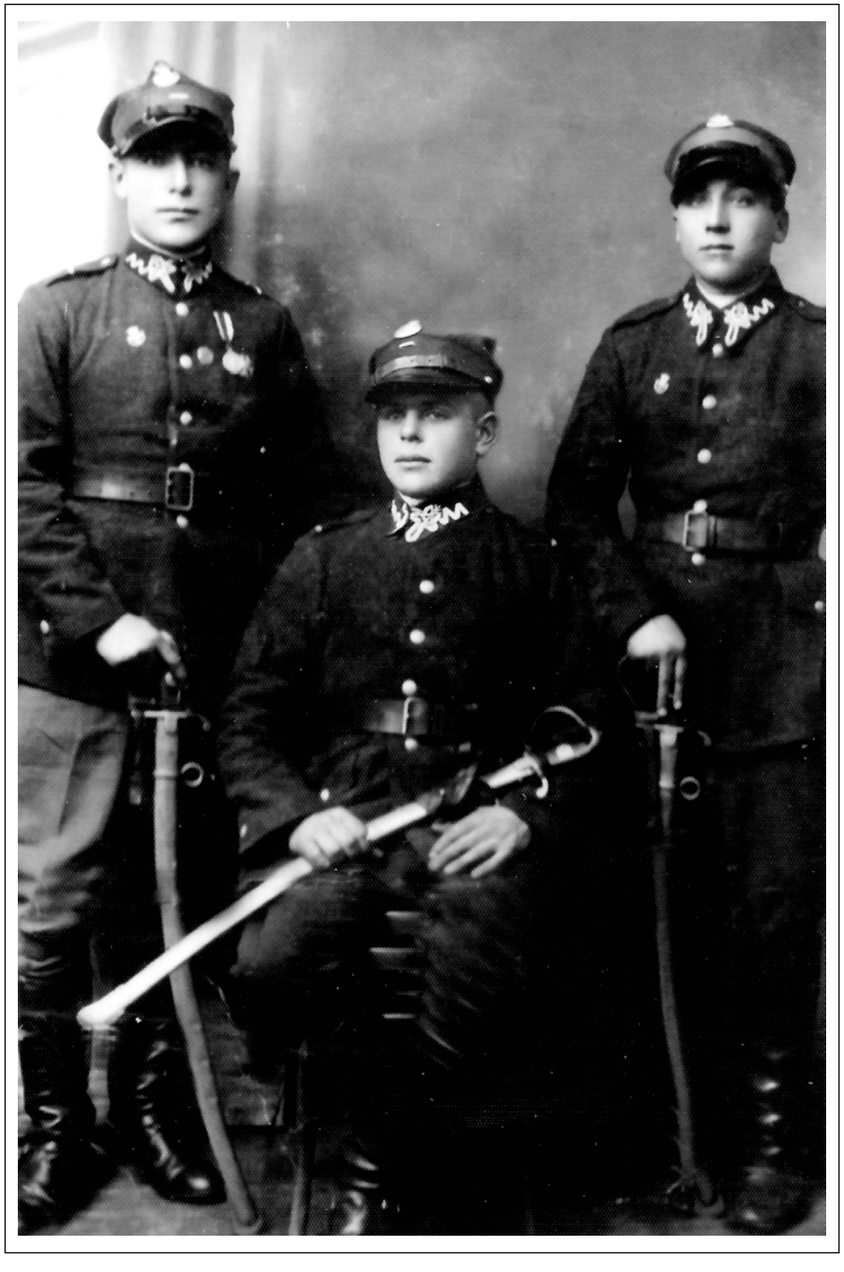

1934 r. Równe. Siedzi Stanisław Kasicki.

podtrzymującego rękoma wypływające wnętrzności.

Po tym napadzie moi rodzice i inni Polacy postanowili wyjechać do Łucka. Jedną krowę dali moi rodzice na przechowanie sąsiadce Ukrainice o nazwisku Baszuk. Jadąc do Łucka widzieliśmy po drodze wiele pożarów. W Łucku znaleźliśmy mieszkanie po wymordowanych Żydach. Pamiętam, że dokuczały tam nam bardzo pluskwy. Matka moja starała się je unicestwić za pomocą nafty wylewanej we wszystkie możliwe miejsca łóżek. Któregoś dnia, bawiąc się na ulicy przed domem, zacząłem iść za Niemcem i zbierać obierki z jabłka, które Niemiec właśnie obierał. Niemiec widząc to, wziął mnie na ręce, pogłaskał, dał jabłko i wypuścił. Widząc całą tę scenę moja matka bardzo się przestraszyła, ale wszystko skończyło się dobrze. Jako dziecko miałem jasne blond włosy i to zapewne Niemca ujęło. Natomiast ojciec mój, widząc całą tę sytuację, bardzo się wzruszył, z żalu miał aż łzy w oczach. Poszedł gdzieś na obrzeża miasta i w jakimś sadzie nazbierał jabłek. Zobaczył to jeden Ukrainiec, tzw. „Czarny Kruk" (policja ukraińska, służąca Niemcom, nazwana czarnymi krukami z powodu czarnego umundurowania) i chciał mego ojca zastrzelić. Na szczęście zjawił się jakiś żołnierz niemiecki i ojca wyratował. Brak żywności spowodował, że ojciec postanowił jechać do Leonówki i sprowadzić stamtąd naszą krowę, zostawioną u zaprzyjaźnionych Ukraińców. Matka moja bardzo była tym zmartwiona i niespokojna, bo taka wyprawa była bardzo niebezpieczna, a ojca nie było cały dzień, aż do wieczora. Wieczorem jednak ojciec wrócił, a za furmanką przyprowadził krowę. Ojciec mój bardzo dobrze znał język ukraiński. Nawet modlić się umiał po ukraińsku. Tak, że w razie spotkania z banderowcami, mógł podać się za Ukraińca, bo często jako dowodu żądano modlitwy, co upewniało, że mają do czynienia z prawdziwym Ukraińcem.

Z krową chodziliśmy za rzekę Styr na Hnidawę, na łąki, gdzie ludzie tacy jak my paśli swoje krowy, a my z bratem przy tej okazji często kąpaliśmy się w rzece. Pewnego dnia na te łąki wkroczyli Ukraińcy, tzw. „Czarne Kruki" i zaczęli zabierać krowy. Naszą krowę matka prędko wpędziła do Styru. Krowa szczęśliwie przepłynęła na drugi brzeg i tam pewien człowiek przywiązał ją do drzewa, skąd ją później zabraliśmy. Z następnej takiej „obławy" nasza krowa sama oderwała się od pędzonego stada i sama uciekła do miejsca, gdzie miała swoją „kwaterę".

Z okresu pobytu w Łucku zapamiętałem takie przeżycie. Z ojcem poszliśmy do młyna, gdzie ojciec chciał zdobyć trochę mąki. Nie zapamiętałem,

Wrzesień 1934 r. Łuck. Po promocji. Podoficerska Szkoła Artylerii Konnej.
Z prawej Stanisław Kasicki z kolegą Antonim Kownackim.

czy to było w Hnidawie czy w Krosnym, ale pamiętam wypływającą w staw z urządzeń młyńskich wodę. Na rozlanym stawie pływały ludzkie zwłoki, które jakiś człowiek bosakiem przyciągał do brzegu. Ogromne wrażenie zrobił na mnie widok i wygląd tych ciał. Wszystkie miały rozcięte usta od ucha do ucha, a ręce związane z przodu, bo pływały na wznak. Jak później wspominał mój ojciec, wyłowiono wtedy ze stawu młyńskiego 9 ciał. Ten widok i to przeżycie pozostawiło w mej pamięci głęboki ślad, tak, że jako dziecko nie mogłem w nocy spać.

Wkrótce przyjechał do Łucka wuj Wacław, brat mojej matki i zabrał nas do Skurcza, gdzie była silna samoobrona. Ojciec mój jako zaprzysiężony miał przydział do Horochowa, dokąd jesienią 1943 roku odwiózł nas ojciec matki, dziadek Eugeniusz Strobel. Z czasu pobytu w Horochowie zapamiętałem taki obraz. Na stole ustawiony był karabin maszynowy, a przy nim cała masa naboi, z których jeden sobie przywłaszczyłem, bo mi się podobał. Ojciec nasz często wychodził na patrole, bo był dowódcą drużyny, która miała przydzielony odcinek do zabezpieczania. Istniejąca formacja samoobrony miała oparcie także w Niemcach. Dopóki w Horochowie byli Niemcy, była szansa przetrwania, ale kiedy Horochów opuścili, bezpieczeństwo ludności cywilnej znacznie się pogorszyło, zbliżał się front. Pamiętam taką sytuację. Na podwórzu przed kwaterą, w której mieszkaliśmy, pokazała się mała dziewczynka w wieku 2-3 lat w samej koszulce i boso. Zapewne przez nieuwagę rodziców opuściła mieszkanie. Po kilku dniach matka pokazała nam jadący wóz, a na nim małą trumienkę, w której jechała zmarła dziewczynka. Rodzina wiozła ją na cmentarz.

Z pobytu w Horochowie zapamiętałem jeszcze jeden obraz. Przychodził do nas pewien Ukrainiec o nazwisku Buhalczuk, który pracował u Niemców. Przynosił ze sobą gramofon oraz płyty. Melodie, jakie płynęły z płyt gramofonowych, bardzo mi się podobały.

Z Horochowa wyjechaliśmy na początku stycznia 1944 roku saniami zaprzężonymi w konie. W miejscowości Stojanow niewiele brakowało, a dostalibyśmy się do transportu wywożącego ludzi do Niemiec. Żandarm, który nakazał nam kierunek jazdy w stronę rampy załadunkowej, został zawołany przez księdza z pobliskiej plebani na gorącą herbatę. Ten moment wykorzystał mój ojciec i wraz z kilkoma innymi zaprzęgami skręcił w boczną uliczkę i tam gdzieś w tych uliczkach ukryliśmy się u miejscowego kolejarza. Tu wraz z kilkoma rodzinami ojciec załatwił wagon kolejowy, którym

1934 r. Równe. Podoficerska Szkoła Artylerii Konnej. Stanisław Kasicki.

poprzez Lwów dotarliśmy do Łańcuta. Na dworcu w Łańcucie zostaliśmy przyjęci przez komitet opiekuńczy zakonnic i tu spotkaliśmy hrabiego Edwarda Potockiego, który ten komitet wspierał. Pan Potocki, widząc mnie i mego brata Franciszka, wręczył nam po 300 marek. Widocznie mieliśmy bardzo żałosne miny. Potocki ładował na wagony swoje dobra, szykował się do wyjazdu, bo zbliżał się sowiecki front.

W Łańcucie zamieszkaliśmy na piętrze w kamienicy w rynku. W mieście panowali Niemcy. Także naszym sąsiadem był volksdeutsch, który chadzał w mundurze i z bronią. Ja bawiąc się z jego córką Adelą, któregoś razu uderzyłem ją, a ona straszyła mnie, że jej ojciec mnie zastrzeli, więc jak go widziałem, to uciekałem. W Łańcucie miałem kolegę Alka, który zakradał się do kurnika i wybierał jajka. Układał te jajka na murku, a kiedy szedł po następne, ja i mój brat zabraliśmy te jajka i uciekliśmy do domu. Dowiedziałem się, że jego matkę zastrzelili partyzanci, bo współpracowała z gestapo, a jemu dziadkowie mówili, że wyjechała.

W Łańcucie przeżyłem dramatyczne wydarzenie. Otóż został zabity jakiś niemiecki dygnitarz. W odwecie za jego śmierć przywieziono z Jarosławia 10 zakładników do rozstrzelania. Niemcy zorganizowali pokazową egzekucję zakładników, na którą spędzono mieszkańców, żeby ich zastraszyć. Byłem także ja z matką. Kiedy ustawiono skazańców do rozstrzelania, jeden z nich zaczął bardzo krzyczeć, a matka moja zasłoniła mi oczy, abym nie patrzył, ale ja odchyliłem głowę i widziałem moment rozstrzeliwania i jak skazańcy padali na ziemię. Chłopak, który krzyczał, miał 16 lat. Tak przekazała mi później moja matka. To wydarzenie odbiło się bardzo na mojej psychice. Długo bałem się huku wystrzałów. Nawet wtedy, kiedy wkroczyli Sowieci i strzelali na strzelnicy, ja zatykałem uszy i uciekałem do domu. Ten lęk i uraz do huku wystrzałów przełamałem dopiero jako dorosły podczas mojej służby w wojsku.

Kiedy mieszkaliśmy w Łańcucie przy rynku, ojciec mój pracował w tartaku. Pewnego dnia do naszego mieszkania wszedł gestapowiec w mundurze z jakimś cywilem i zażądał od matki dokumentów. Matka niestety dokumentów nie miała, bo miał je ojciec, który był w tym czasie w pracy w tartaku. Gestapowiec poprzez cywila dopytywał, czy tu mieszka Staszek. Matka kategorycznie zaprzeczyła. Wtedy gestapowiec zdenerwowany krzycząc na matkę wyjął pistolet i zaczął straszyć. Ja z bratem, jak to wystraszone dzieci, bardzo się popłakaliśmy. Matka tłumaczyła, że jesteśmy Kasiccy.

1934 r. Równe. Po ukończeniu Podoficerskiej Szkoły Artylerii.
W drugim rzędzie od góry, od prawej piąty stoi (z szablą przy głowie)
Stanisław Kasicki - ojciec Bogusława Kasickiego.

Nie wiadomo, jak by to się skończyło, gdyby nie ten cywil, który w pewnym momencie oznajmił gestapowcowi, że ten, którego szukają, był kawalerem, a tu przecież kobieta z trójką dzieci, bo nasza siostra Aneczka była już wtedy na świecie, w kołysce. Sprawa na szczęście dla nas się wyjaśniła. Osoba poszukiwana przez gestapo nosiła nazwisko Staszek, a na mojego ojca wołano pan Staszek. Stąd pomyłka, która mogła się skończyć dla nas tragicznie.

W Łańcucie mieliśmy kozę, której mlekiem wszyscy się żywiliśmy. Kozę wypasaliśmy w tzw. bażantarni. Raz, podczas gdy paśliśmy kozę w tej bażantarni, przeżyliśmy nalot na sowieckie wojsko, które stało nieopodal na polanie. My z bratem i kozą schowaliśmy się pod drzewo i stamtąd obserwowaliśmy całe bombardowanie. Widzieliśmy padających sowieckich żołnierzy, których martwe ciała mijaliśmy wracając do domu z kozą. Wśród zabitych była jedna kobieta.

W czasie, gdy do miasta wkroczyli Sowieci, mieszkaliśmy już na ulicy Zardeckiego. W Łańcucie miałem jeszcze kilku kolegów, m.in. Wieśka Stępkowskiego i Wieśka Rezlera. Gdy dostaliśmy wiadomość, że nasi Wołyniacy: Krajewscy, Rodziewicze i Stroblowie zamieszkali na ziemiach odzyskanych, w Prabutach, to w maju 1946 roku dołączyliśmy do nich.

1936 r. Leonówka – przed domem Kasickich (nie wykończony).

1934 rok, Równe. Podoficerska Szkoła Artylerii Konnej.

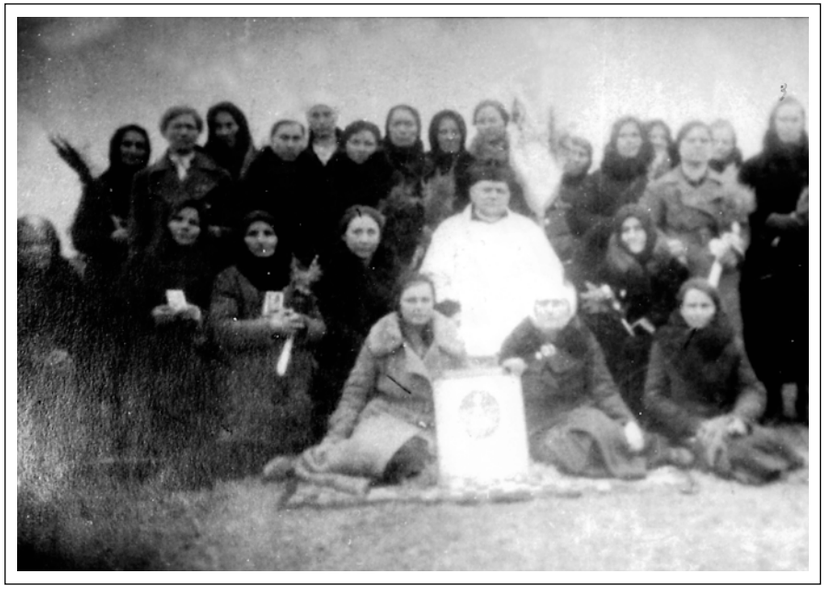

1937 r. Skurcze. Plac przed Kościołem. Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej. Na zdjęciu w rzędzie u góry, od lewej, trzecia Suprukiewicz Teofilia, czwarta Krajewska Maria, ostatnia w rzędzie Strobel Ludwika, pośrodku ubrany na biało siedzi ks. Pejkert.

1937 r. Skurcze. Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej. Na zdjęciu od lewej, zaczynając od górnego rzędu: Paradowska, Studzińska Bronisława, Pytkówna Helena – – Rezler, Strobel Maria – Kasicka, Romanowska Zofia, ks. Pejkert, Rodziewicz Hela, Rodziewicz Maryla, Bogdańska Franciszka, Rodziewicz Genowefa, Gremela Nadia, Gremela Wiera.

1933 r. Skurcze. I Komunia Św. z ks. Pejkertem.
W środkowym rzędzie, od lewej ostatni siedzi Strobel Lambert.

1938 r. Torczyń. Powiat Łuck. Zdjęcie rodziny Stroblów - moich dziadków oraz kuzynów Krajewskich. Na zdjęciu od lewej, zaczynając od górnego rzędu, stoi Strobel Eugeniusz – – mój dziadek, Stanisław Krajewski, Narcyz Krajewski, mały Lambert Strobel, Ludwika Strobel żona Eugeniusza, Krajewska Maria z córką Basią, Janina Krajewska – siedzi.

1937 r. Skurcze. Parafia Skurcze – Wołyń przed Kościołem.
Od lewej siedzą: Eugeniusz Strobel (mój dziadek), ks. Pejkert

Po prawej, wujek Antoni.

Listy rodziny Wołyniaków z frontu do rodzin w Skurczu

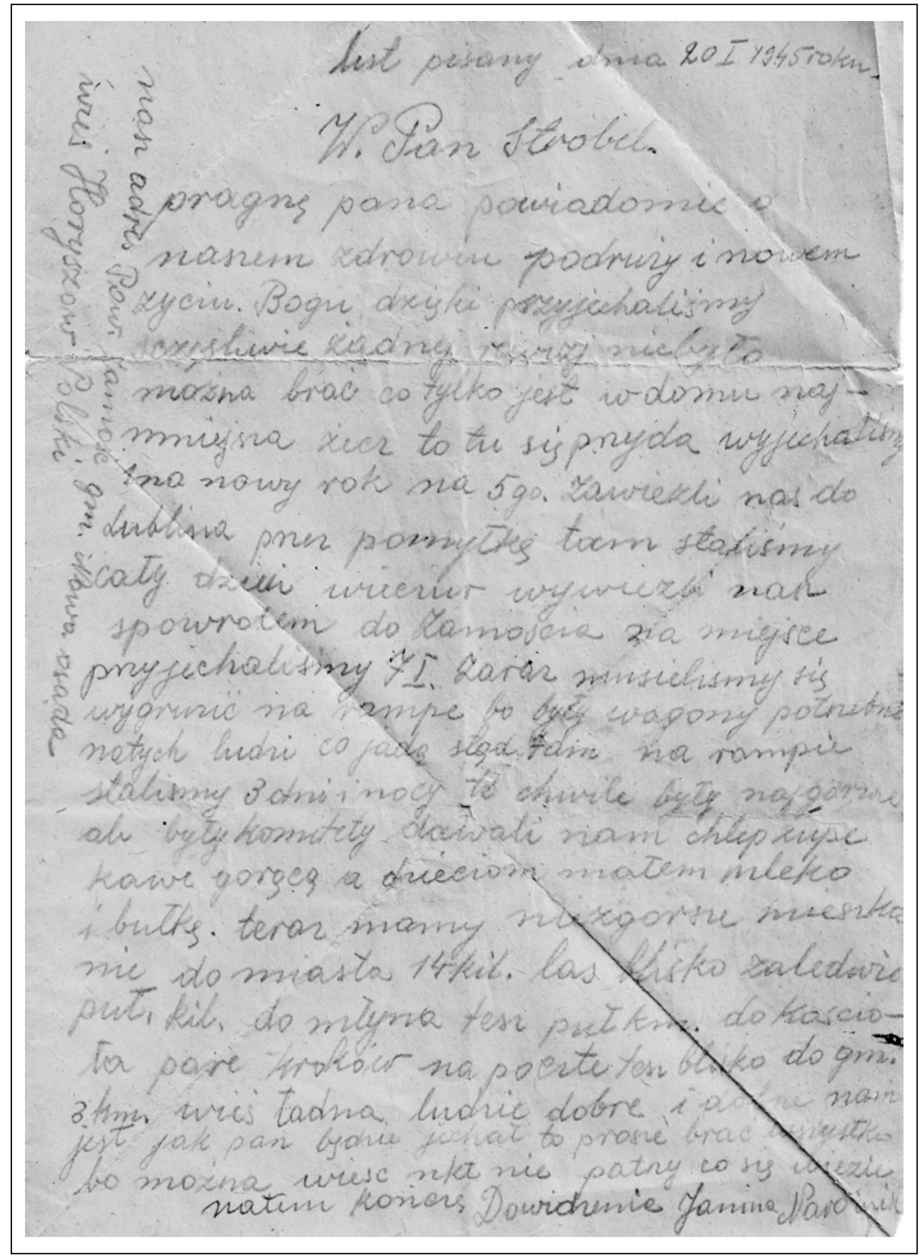

list pisany dnia 20 I 1945 roku

W. Pan Strobel

pragnę pana powiadomić o
naszem zdrowiu podruży i nowem
życiu. Bogu dzięki przyjechaliśmy
szczęśliwie żadnej [illegible] niebyło
można brać co tylko jest w domu naj-
mniejsza rzecz to tu się przyda wyjechaliśmy
na nowy rok na 5go. Zawiezli nas do
Lublina przez pomyłkę tam staliśmy
cały dzień wieczór wywiezli nas
spowrotem do Zamościa na miejsce
przyjechaliśmy 7 I. Zaraz musieliśmy się
wygrużić na rampe bo były wagony potrzebne
netych ludzi co jadą stąd. Zdim na rampie
staliśmy 3 dni i nocy te chwile były najgorsze
ale były komitety dawali nam chlep zupę
kawe gorącą a dzieciom małem mleko
i bułkę. teraz mamy niezgorsze mieszka-
nie do miasta 14 kil. las blisko zaledwie
puł kil. do młyna tesz puł km. do kościo-
ła pare kroków na poczte tesz blisko do gm.
3 km. wieś ładna ludzie dobre i dobrze nam
jest jak pan będzie jechał to prosze brać wszystko
bo można wiesc nikt nie patrzy co się wiezie
natem kończę Dowidzenie Janina Nawrocik

nasz adres Pow. Zamość gm. [illegible] Nowa osada
wieś Horyszów-Polski

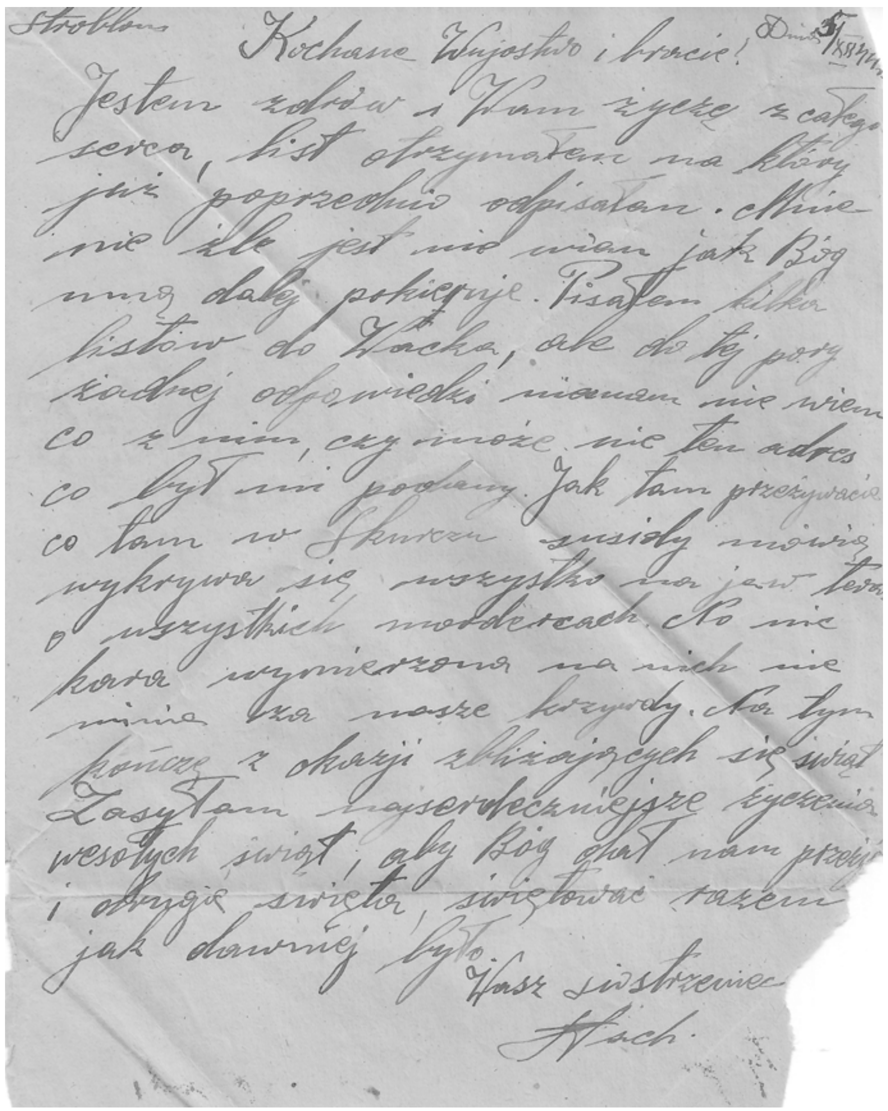

Stroblow Kochane Wujostwo i bracie! Dnia 5/XII 44
Jestem zdrów i Wam życzę z całego
serca, list otrzymałem na który
już poprzednio odpisałem. Mnie
nie źle jest nie wiem jak Bóg
mną dalej pokieruje. Pisałem kilka
listów do Wacka, ale do tej pory
żadnej odpowiedzi niemam nie wiem
co z nim, czy może nie ten adres
co był mi podany. Jak tam przeżywacie
co tam w Skurczu sąsiady mówią
wykrywa się wszystko na jaw teraz
o wszystkich mordercach. Bo nie
kara wymierzona na nich nie
minie za nasze krzywdy. Na tym
kończę z okazji zbliżających się świąt
Zasyłam najserdeczniejsze życzenia
wesołych świąt, aby Bóg dał nam przeżyć
i drugie święta, świętować razem
jak dawniej było.
Wasz siostrzeniec
Stach.

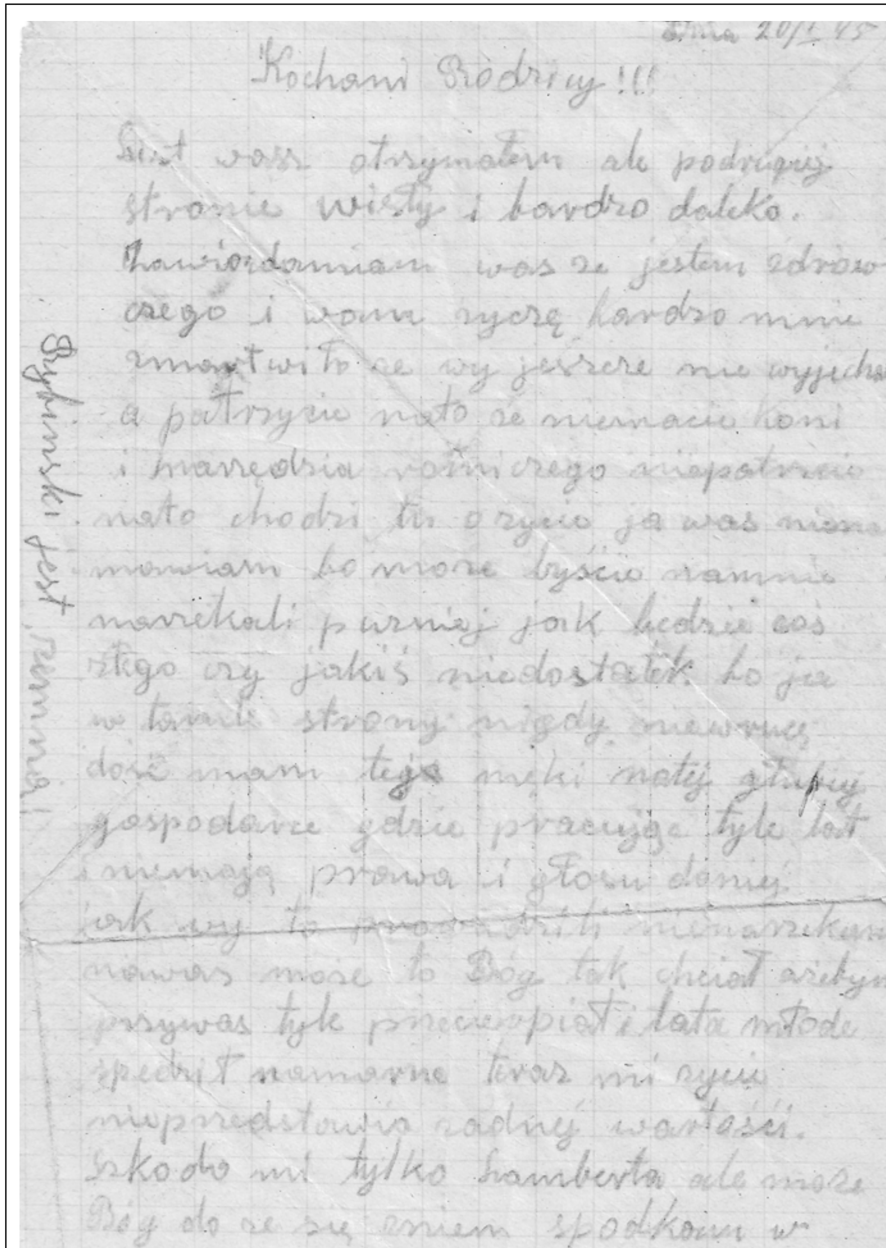

Dnia 20/I 45
Kochani Rodzicy!!!
List wasz otrzymałem ale podrugiej
stronie wisty i bardzo daleko.
Zawiadomiam was że jestem zdrowo
czego i wam życzę bardzo mnie
zmartwiło że wy jeszcze nie wyjechali
a patrzyście na to że niemacie koni
i narzędzia rolniczego niepatrzcie
na to chodzi tu o życie ja was niename
mowiam bo może byście nammie
narzekali pużniej jak będzie coś
złego czy jakiś niedostatek. bo jez
w tamtej strony nigdy niewrócę
dość mam tej męki na tej głupiej
gospodarce gdzie pracuje tyle lat
i niemają prawa i głosu danej.
jak wy to przeżyli z niemcami
nawas może to Bóg tak chciał a z tym
przy was tylko przeżyłem piętnaście lata młode
spędził niemarnie teraz mi życie
nieprzedstawia żadnej wartości.
Szkoda mi tylko Lamberta ale może
Bóg da że się z nim spodkam w

Bykowski jest Niemcem!

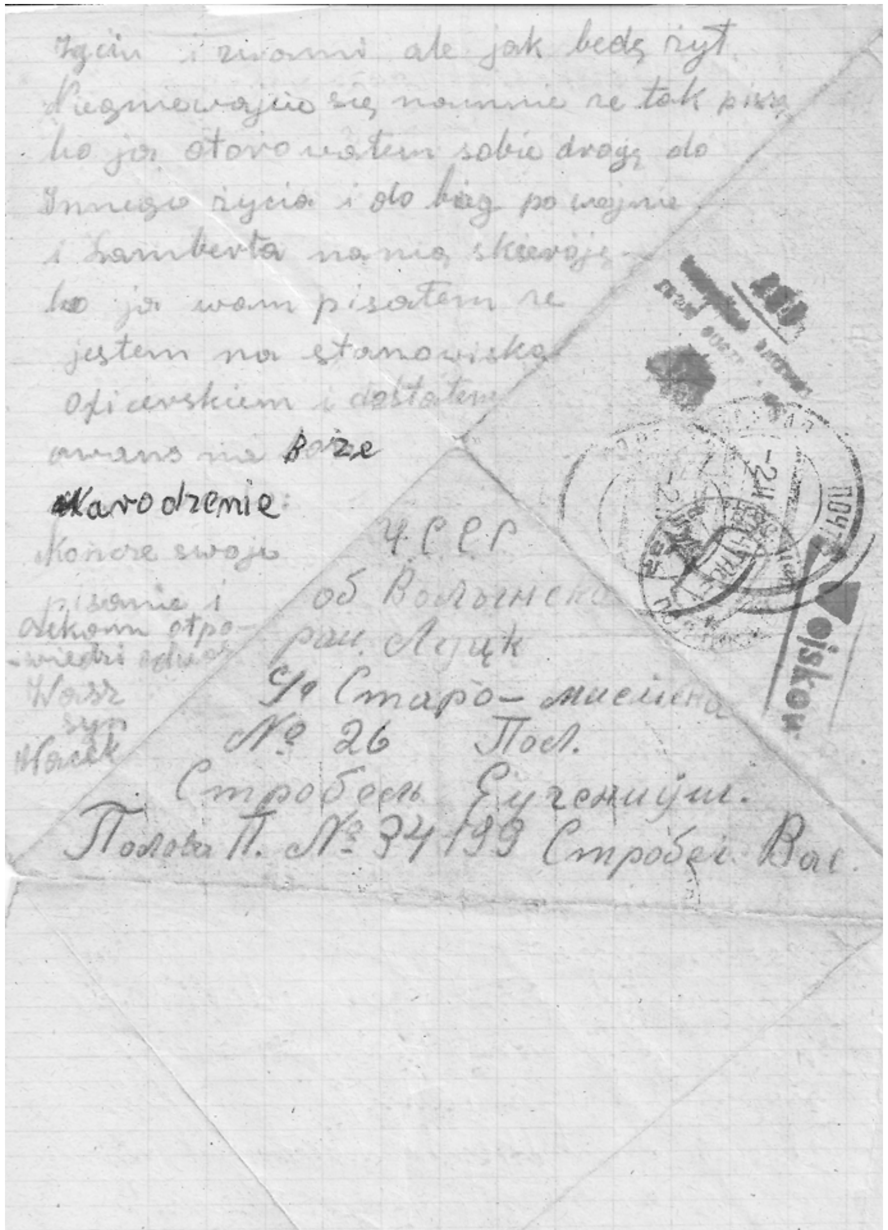

życiu i zdrowiu ale jak będę żył.
Niegniewajcie się na mnie że tak piszę
bo już otworzyłem sobie drogę do
innego życia i do bieg po wojnie
i Lamberta na nią skieruję
bo już wam pisałem że
jestem na stanowisku
oficerskim i dostałem
awans nie Boże
Narodzenie
Kończę swoje
pisanie i
czekam odpo-
wiedzi zdrów
Wasz
syn
Marek

УССР
об Ворошиловград
рай. Луцк
с/ Старо- мисино
№ 26 Пол.
Стробель Евгению
Полевая П. № 34199 Стробел Вас.

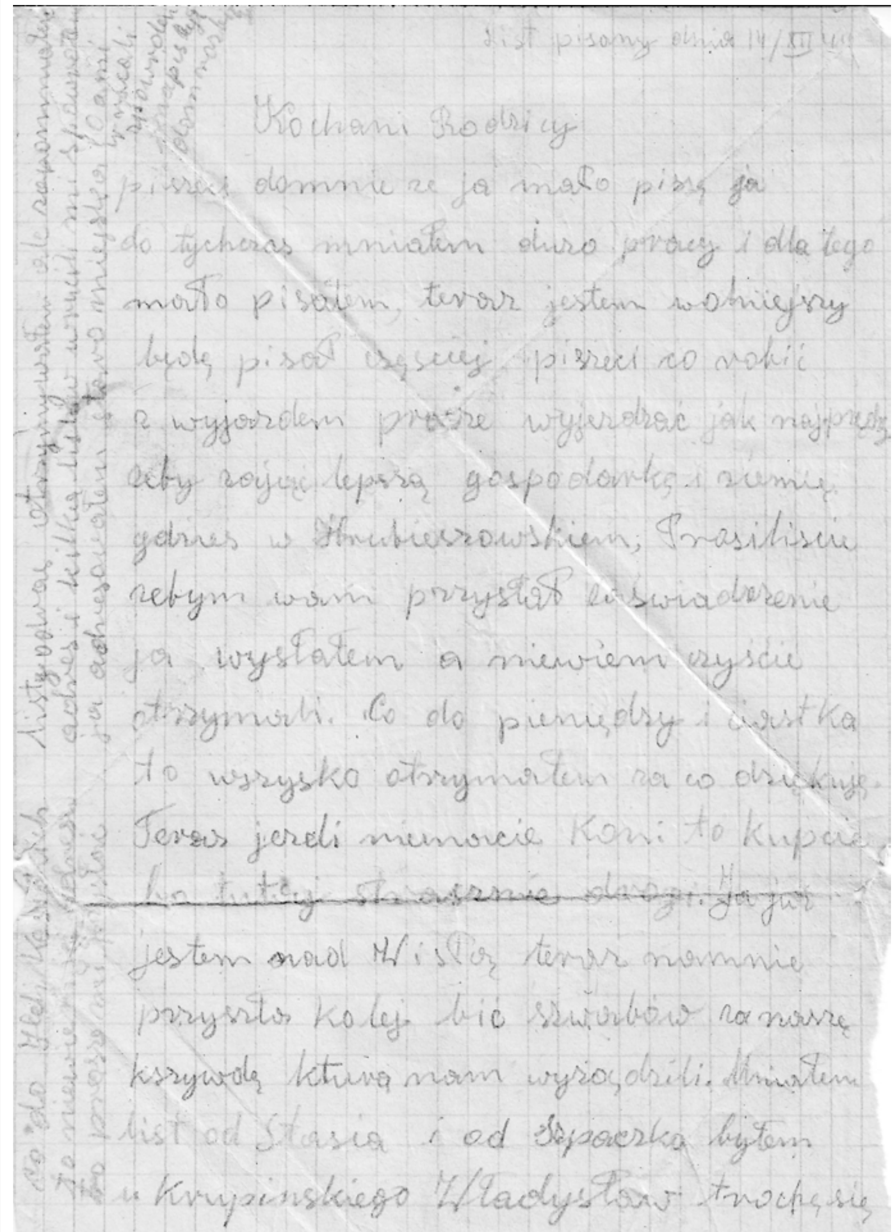

list pisany dnia 14/XII 44

Kochani Rodzice
piszecie do mnie że ja mało piszę ja
do tychczas miałem dużo pracy i dla tego
mało pisałem, teraz jestem wolniejszy
będę pisał częściej, piszecie co robić
z wyjazdem proszę wyjeżdżać jak najprędzej
żeby zająć lepszą gospodarkę i ziemię
gdzieś w Hrubieszowskiem; prosiliście
żebym wam przysłał zaświadczenie
ja wysłałem a niewiem czyście
otrzymali. Co do pieniędzy i zestka
to wszystko otrzymałem za co dziękuję.
Teraz jeżeli niemacie Koni to kupcie
~~bo tutaj strasznie drogo.~~ Ja już
jestem nad Wisłą teraz na mnie
przyszła kolej bić szwabów za naszą
krzywdę którą nam wyrządzili. Miałem
list od Stasia i od Szpaczka byłem
u Krupińskiego Władysław trochę się

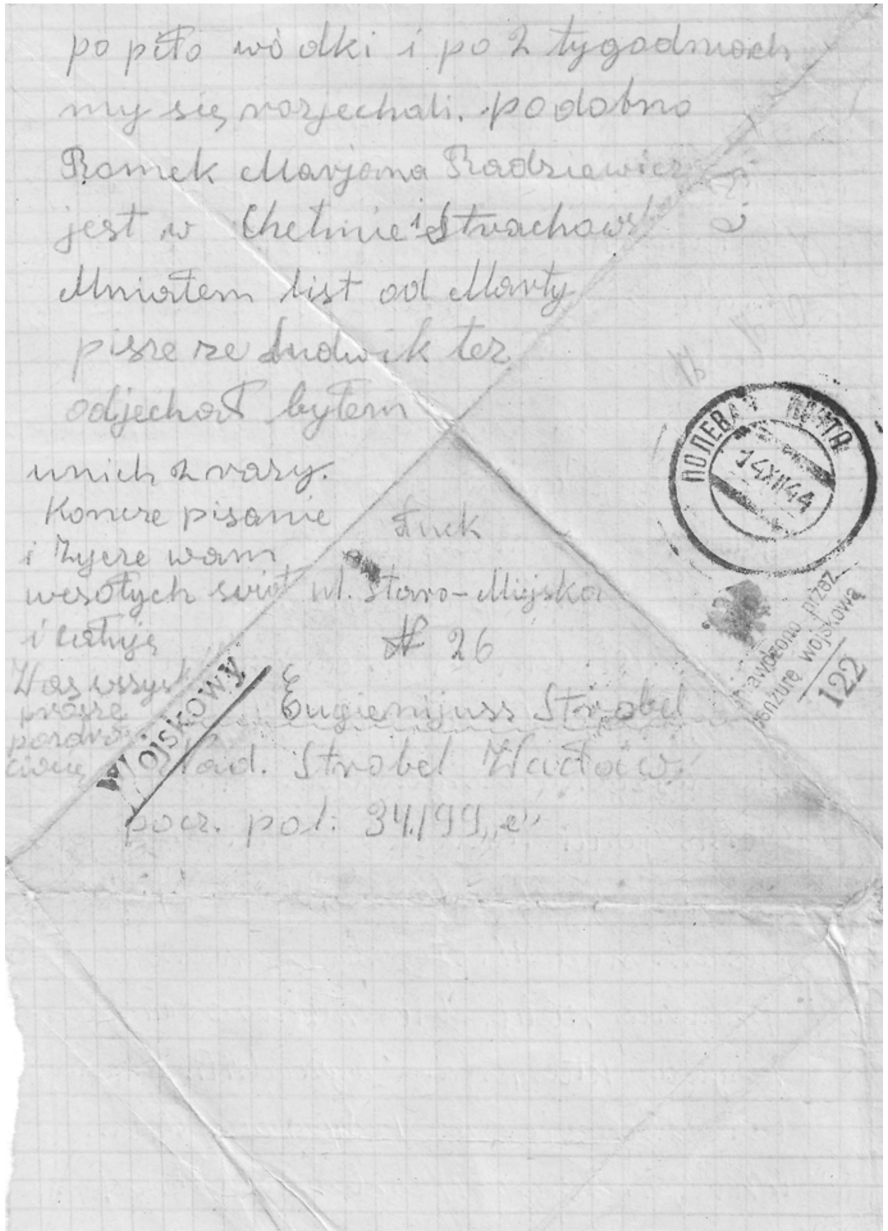
po pełło wódki i po 2 tygodniach
my się rozjechali. podobno
Romek Maryjana Radziewicz
jest w Chełmie i Strachowski
Mniałem list od Marty
pisze że Ludwik też
odjechał byłem
u nich 2 razy.
Kończę pisanie
i życzę wam
wesołych świąt
i całuję
Was wszystkich
proszę
pozdrowić
ciocię

Łuck
ul. Staro-Miejska
№ 26
Eugieniusz Strobel
Nad. Strobel Wacław
pocz. pol: 34199 „e"

ПОЛЕВАЯ ПОЧТА
14 XII 44

WOJSKOWY

Sprawdzono przez
cenzurę wojskową
122

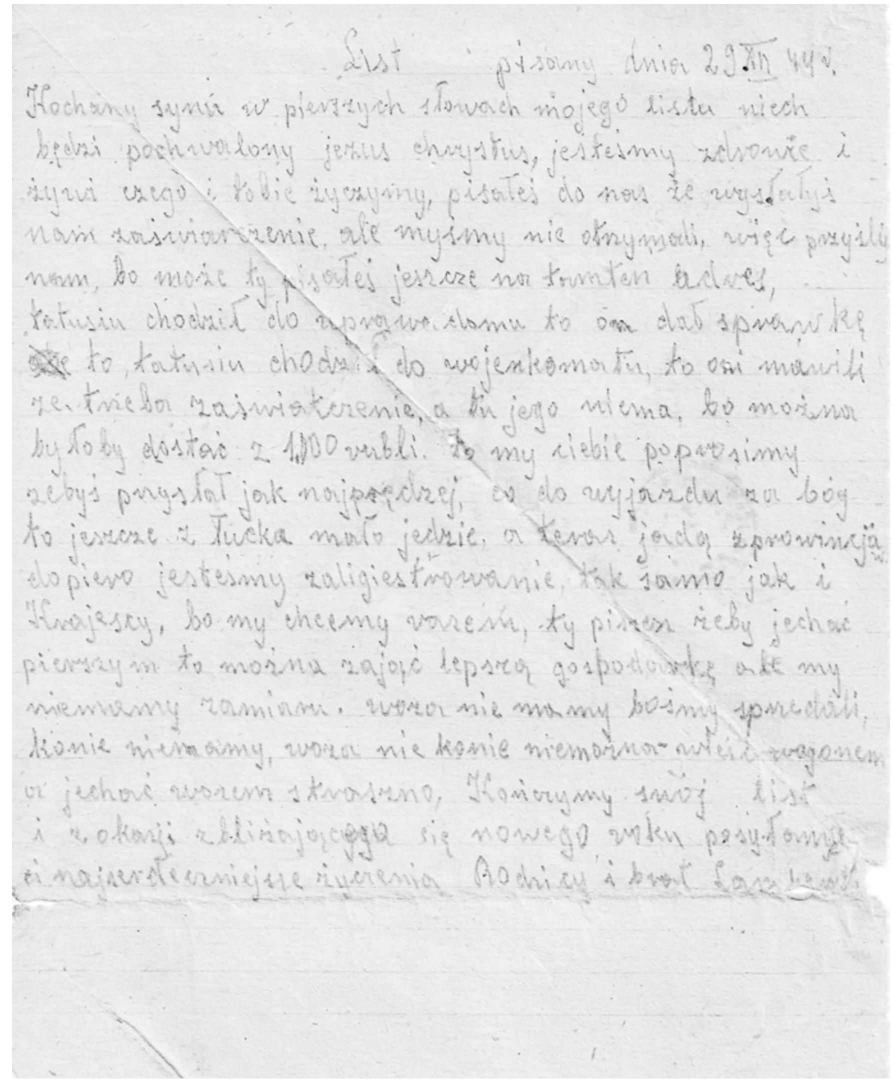
List pisany dnia 29 XII 44 r.
Kochany synu w pierszych słowach mojego listu niech
będzi pochwalony jezus chrystus, jesteśmy zdrowie i
żywi czego i tobie życzymy, pisałeś do nas że wysłałeś
nam zaświadczenie, ale myśmy nie otrzymali, więc przyślij
nam, bo może ty pisałeś jeszcze na tamten adres,
tatusiu chodził do upraw. domu to on dał sprawkę
to, tatusiu chodził do wojenkomatu, to oni mówili
że trzeba zaświadczenie, a tu jego niema, bo można
byłoby dostać z 1.000 rubli. to my ciebie poprosimy
żebyś przysłał jak najprędzej, co do wyjazdu za bóg
to jeszcze z Łucka mało jedzie, a teraz jadą z prowincji
dopiero jesteśmy zaligiestrowanie, tak samo jak i
Krajescy, bo my chcemy razem, ty piszesz żeby jechać
pierszym to można zająć lepszą gospodarkę ale my
niemamy zamiaru. woza nie mamy bośmy sprzedali,
konie niemamy, woza nie konie niemożna wleść wagonem
a jechać wozem strasznie, Kończymy swój list
i z okazji zbliżającego się nowego roku przesyłamy
ci najserdeczniejsze życzenia Rodzicy i brat [illegible]

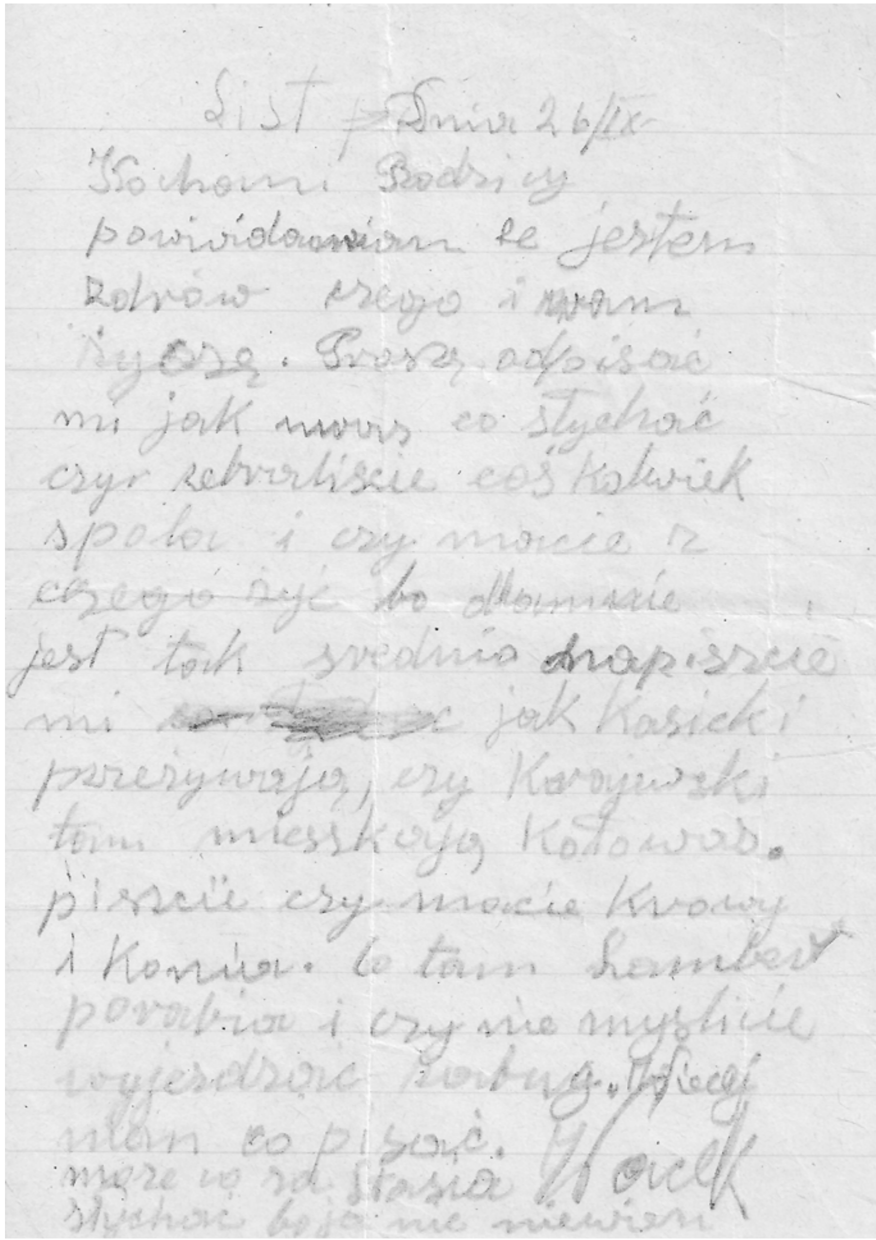
List ~~p~~ Dnia 26/IX
Kochani Rodzice
powiadamiam że jestem
zdrów czego i wam
życzę. Proszę odpisać
mi jak mam co słychać
czy zebraliście coś kolwiek
z pola i czy macie z
czego żyć bo u mnie
jest tak średnio napiszcie
mi ~~[illegible]~~ jak Kasiccy
przeżywają, czy Korajewski
tam mieszkają Kołowrot.
piszcie czy macie krowy
i konia. Co tam Lambert
porabia i czy nie myślicie
wyjeżdżać z Rotbug. Więcej
nie mam co pisać. Wacek
może u was Stasia
słychać bo ja nie wiem

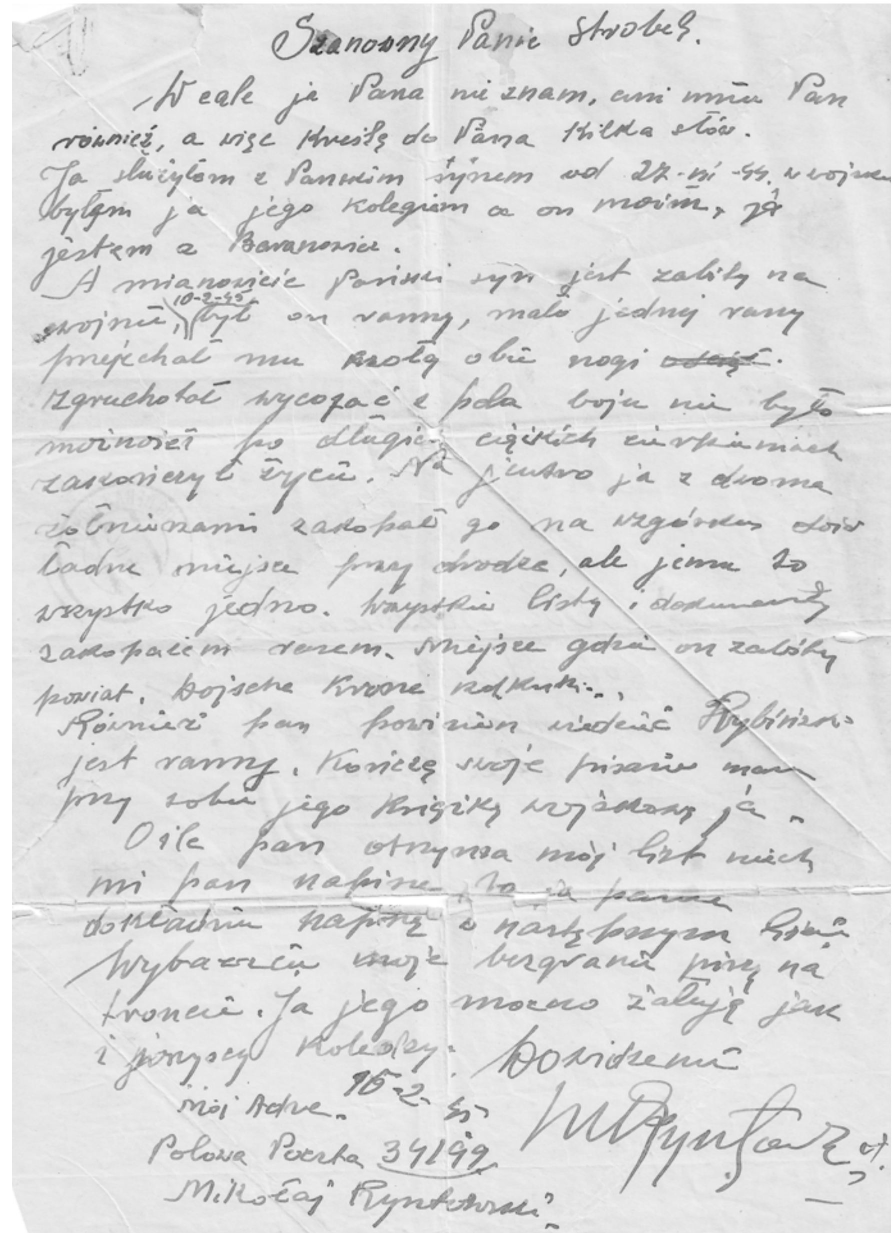
Szanowny Panie Strobel.
Wcale ja Pana nie znam, ani mnie Pan
również, a więc kreślę do Pana kilka słów.
Ja służyłem z Pańskim synem od 27-XII-44 w wojsku
byłem ja jego kolegiem a on moim, ja
jestem z Baranowic.
A mianowicie Pański syn jest zabity na
wojnie, 10-2-45 był on ranny, miał jedną rany
przejechał mu ~~[illegible]~~ obie nogi ~~[illegible]~~.
Zgruchotał wycofać z pola boju nie było
możności po długich ciężkich cierpieniach
zakończył życie. Na jutro ja z dwoma
żołnierzami zakopali go na wzgórku dość
ładne miejsce przy drodze, ale jemu to
wszystko jedno. Wszystkie listy i dokumenty
zakopałem razem. Miejsce gdzie on zabity
powiat. Wojsche Krowe [illegible]..
Również pan powinien wiedzieć Rybiński
jest ranny. Kończę swoje pisanie mam
przy sobie jego książkę wojskową ja.
O ile pan otrzyma mój list niech
mi pan napisze, to ja panu
dokładnie napiszę o następnym kroku.
Wybaczcie moje brzydkie pismo na
froncie. Ja jego mocno żałuję jak
i innych kolegów. Do widzenia
15-2-45
mój Adres.
Polowa Poczta 34199
Mikołaj Rynkowski
M. Rynkowski

Drawsko, dn. 8.IV.70.

Szanowna Pani Mario!

W związku z ogłoszeniem w dziale - poszukiwani w czasopiśmie „Za wolność i lud" pragnę poinformować Sz. Panią jak niżej:

Jestem b/ żołnierzem 4-go Samodz. Pułku Czołgów Ciężkich, kompania fizylierów II pluton. Braciszek Pani S.p. Wacław Strobel w stopniu plutonowego był dowódcą III-go plutonu tej kompanii. Razem przechodziliśmy wszystkie okresy wojskowej tułaczki t.z. służby począwszy od terenów ZSSR od sierpnia 44 r.

Na front wyjechaliśmy, Brat Pani w III-ej komp. czołgów, ja w drugiej. Brata Pani znałem dobrze i zawsze z jaknajwiększym uznaniem wspominam Go - poprostu lubiłem Go. Był oddanym starszym i imponował wojskowym rzemiosłem.

Znam taką oto, prawdę Jego bohaterską śmierć, którą na gorąco słyszałem na którym tam dzień od żołnierzy.

Było to gdzieś około 10.II.45 dokładnie już teraz niepamiętam, dowiedzieliśmy się a było to po jakimś odparciu kontrodarzenia niemieckiego, że zginął D-ca III-go plutonu fizylierów Wacław Strobel. Działo się to w dramatycznej i ciężkiej chwili dla naszych pozycji, bo czołg

przy którym był Brat Pani został silnie zaatakowany przez broń pancerną i piechotę n-la. Brat Pani widząc niebezpieczną sytuację po wystrzeleniu posiadanej amunicji przez siebie i swoich żołnierzy, zdjął karabin maszynowy z czołgu i prowadził sam ogień, (~~[illegible]~~) wstrzymując w ten sposób atak piechoty niemieckiej, o co w danej chwili chodziło. Do tego celu wykorzystał miejsce pod czołgiem, w międzyczasie zostaje ranny. Lecz dalej prowadzi skuteczny ostrzał przedpola. W tym czasie załoga czołgu prawdopodobnie nie wiedziała że ktoś jest pod nim i przy nawracaniu czołgu stało się właśnie nieszczęście. Czołg zrobił obrót w miejscu ażeby zmienić pozycję swoją, wciągnął przy tym Brata Pani pod jedną gąsienicę i tam został Brat już bez życia. Taka sprawa od początku jest w mojej świadomości, a oto druga wersja:

Wg. książki p.t. „Płonące Pantery" autor Henryk Kacała wydanie MON 1969 r. z serii „Tygrysa"

Według tej wersji Brat Pani zginął w czasie naszego ataku na Mirosławiec, podczas bombardowania i ostrzeliwania przez samoloty niemieckie naszych wojsk w tym i III-ej komp. czołgów. Książkę tą czytałem i to jest jak dotąd pierwsze wydanie o 4-ym pułku czołgów.

Przypominam sobie również i to że został On oddznaczony krzyżem „Virtuti Militari" IV klasy.

Łączę wyrazy szacunku i serdeczne pozdrawiam

A. Putresza

Mój adres:
Antoni Putresza
Drawsko-Pom.
ul. Moniuszki 14/1

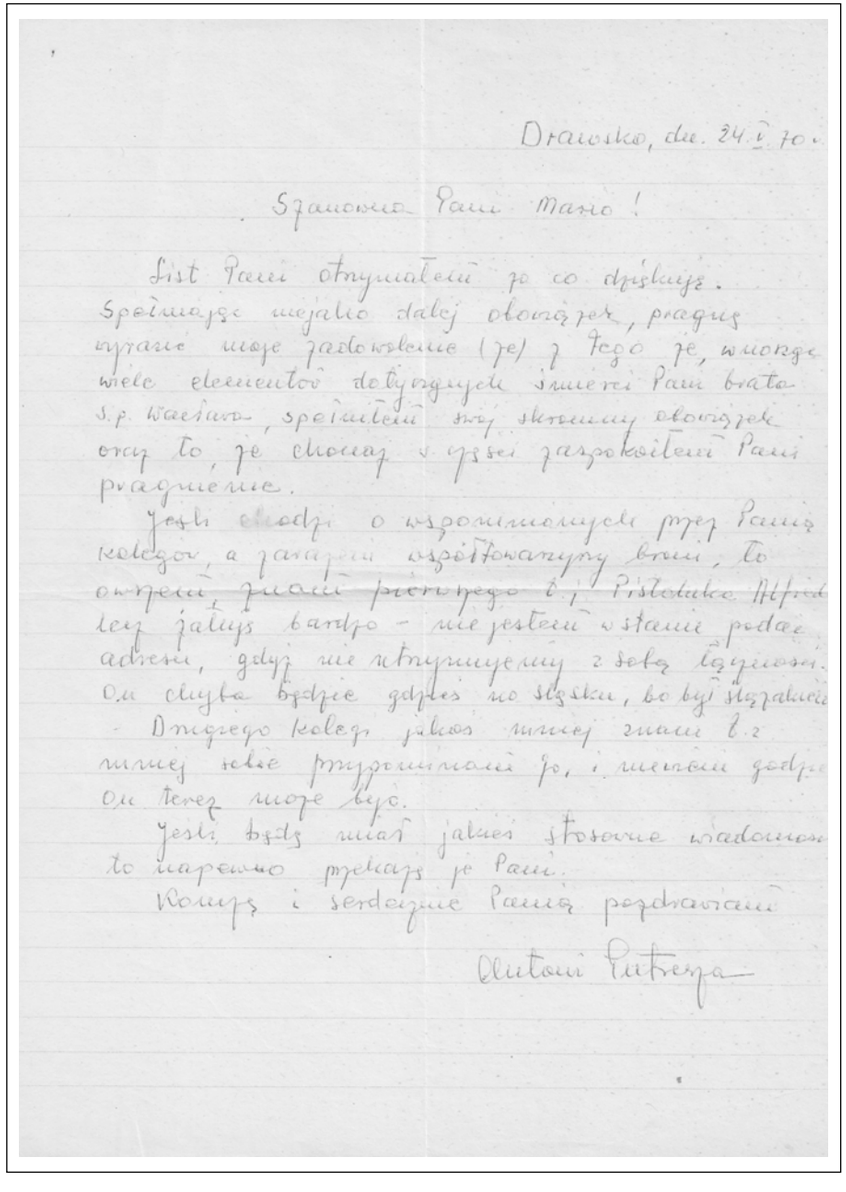

Drawsko, dn. 24.V.70.

Szanowna Pani Mario!

List Pani otrzymałem za co dziękuję. Spełniając niejako dalej obowiązek, pragnę wyrazić moje zadowolenie (że) z tego że, wnosząc wiele elementów dotyczących śmierci Pani brata ś.p. Wacława, spełniłem swój skromny obowiązek oraz to, że chociaż w części zaspokoiłem Pani pragnienie.

Jeśli chodzi o wspomnianych przez Panią kolegów, a zarazem współtowarzyszy broni, to owszem znam pierwszego t.j. Pistoluka Alfred lecz żałuję bardzo - nie jestem w stanie podać adresu, gdyż nie utrzymujemy z sobą łączności. On chyba będzie gdzieś na Śląsku, bo był Ślązakiem.

Drugiego kolegi jakoś mniej znam t.z. mniej sobie przypominam go, i niewiem gdzie on teraz może być.

Jeśli będę miał jakieś stosowne wiadomości to napewno przekażę je Pani.

Kończę i serdecznie Panią pozdrawiam

Antoni Putrezza

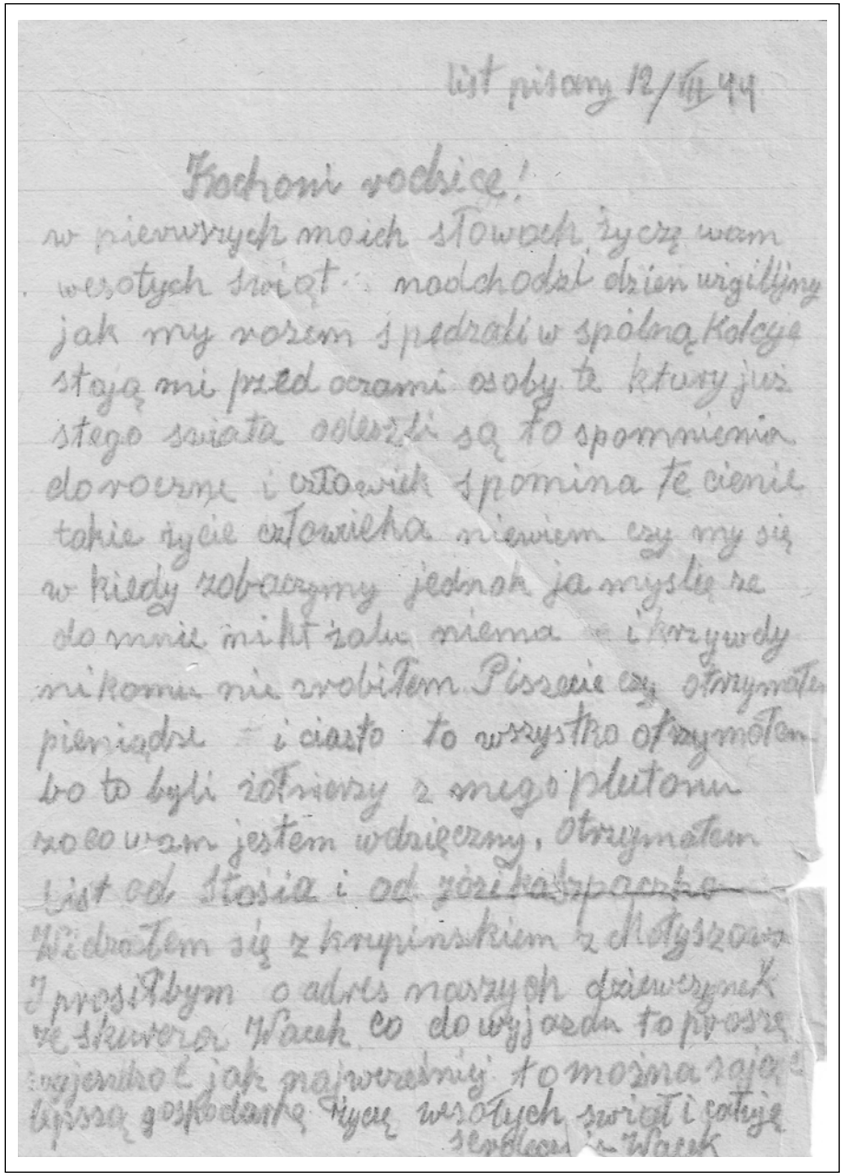

list pisany 12/VII 44

Kochani rodzice!

w pierwszych moich słowach życzę wam wesołych świąt nadchodzi dzień wigilijny jak my razem spędzali w spólną kolcye stoją mi przed oczami osoby te który już stego świata odeszli są to spomnienia doroczne i człowiek spomina te cienie takie życie człowieka niewiem czy my się w kiedy zobaczymy jednak ja myślę że do mnie nikt żalu niema i krzywdy nikomu nie zrobiłem. Piszecie czy otrzymałem pieniądze i ciasto to wszystko otrzymałem bo to byli żołnierzy z mego plutonu za co wam jestem wdzięczny, otrzymałem list od Stasia i od Józika Szpaczka. Widziałem się z Krupińskiem z Mołyszowa I prosiłbym o adres naszych dziewczynek ze Skurcza Wacek co do wyjazdu to proszę wyjeżdżać jak najwcześniej to można zająć lepszą gospodarkę życzę wesołych świąt i całuję serdecznie Wacek

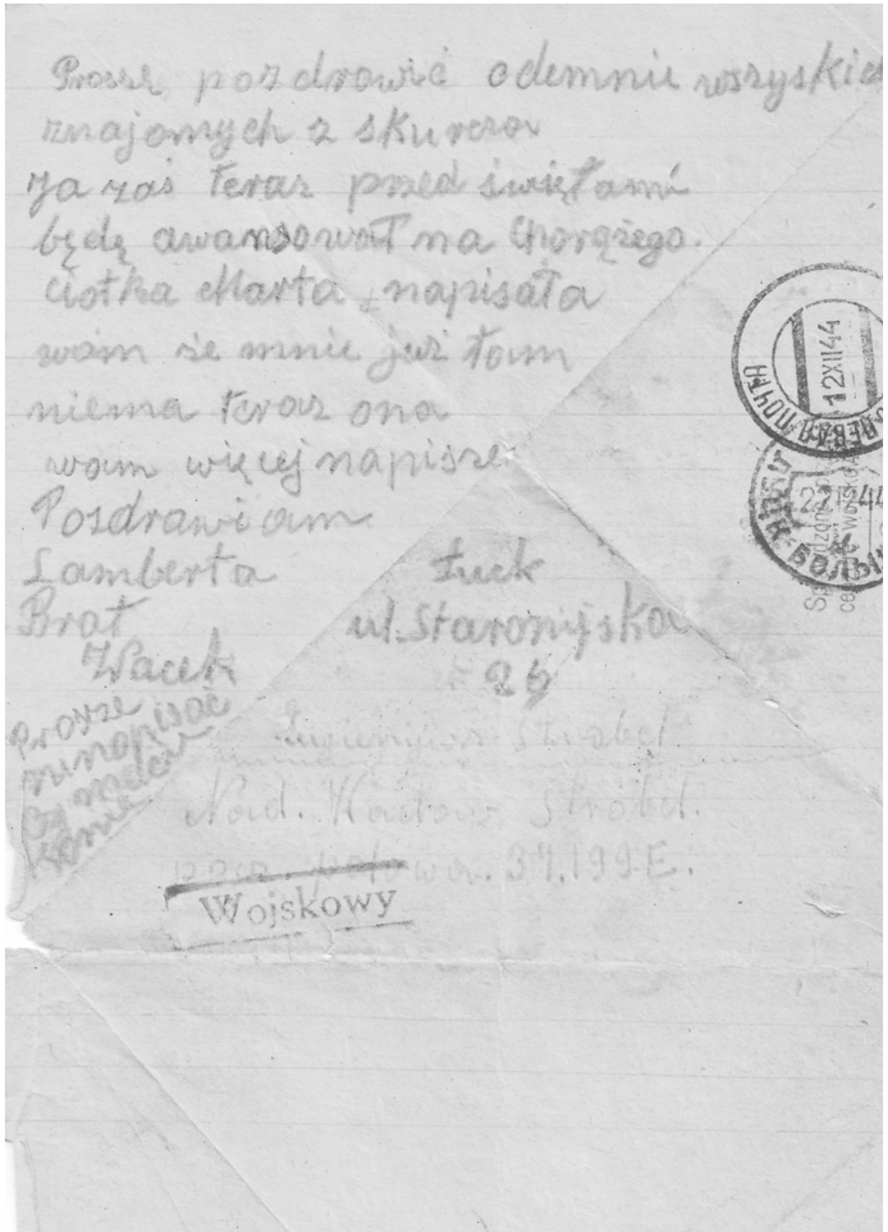
Proszę pozdrowić odemnie wszyskich
znajomych z Skurcza
Ja zaś teraz przed świętami
będę awansował na Chorążego.
ciotka Marta napisała
wam że mnie już tam
niema teraz ona
wam więcej napisze
Pozdrawiam
Lamberta
Brat
Wacek

Łuck
ul. Staromiejska
26

proszę mi napisać [illegible]

Nad. Wacław Strobel.
p.p. poł. wa. 37199 E.

Wojskowy

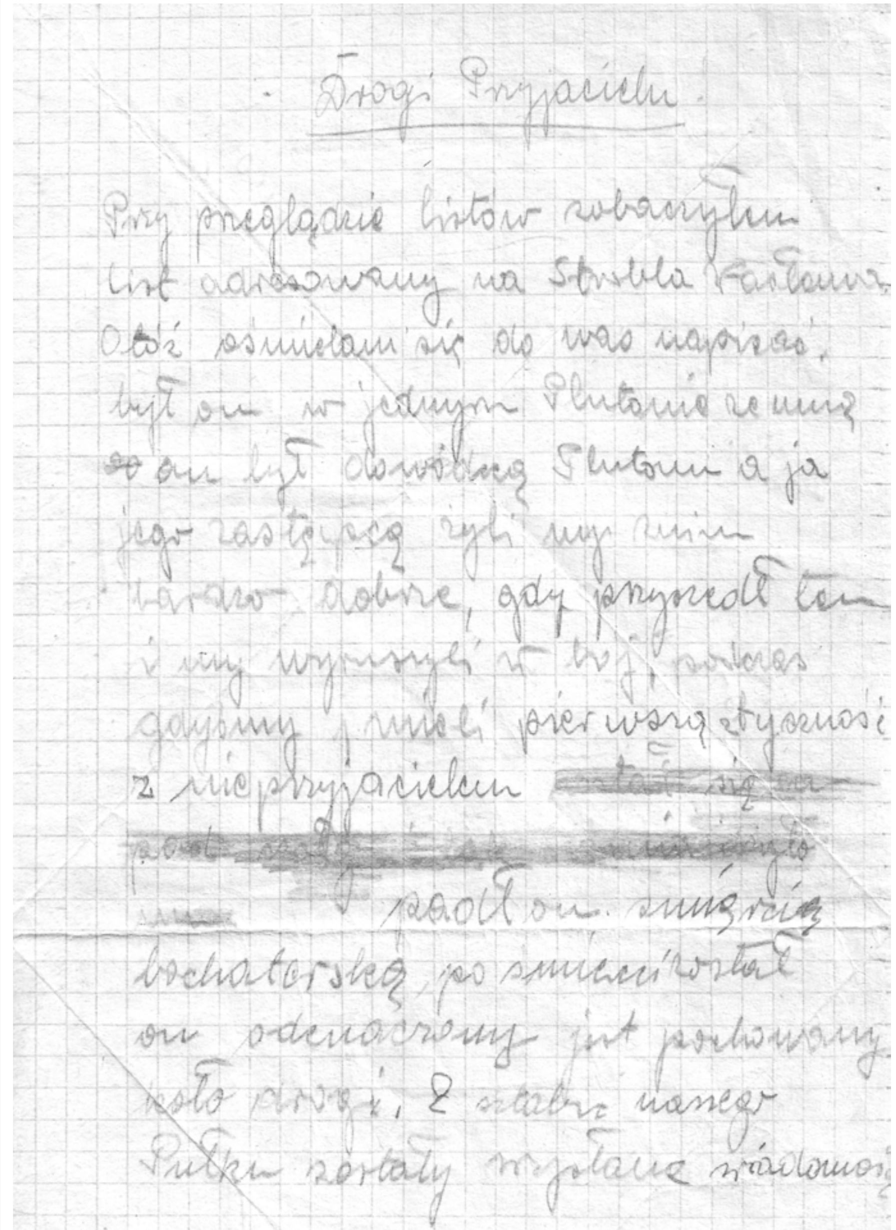
Drogi Przyjacielu

Przy przeglądaniu listów zabranych
list adresowany na Strobla Kazimierza
Otóż ośmielam się do was napisać.
był on w jednym Plutonie ze mną
on był dowódcą Plutonu a ja
jego zastępcą żyli my z nim
bardzo dobrze, gdy przyszedł tam
i my wyruszyli w bój, podczas
gdyśmy mieli pierwsze potyczki
z nie przyjacielem [illegible]
[illegible]
padł on śmiercią
bohaterską, po śmierci został
on odznaczony jest pochowany
koło drogi. Z sztabu naszego
Pułku zostały wysłane wiadomości

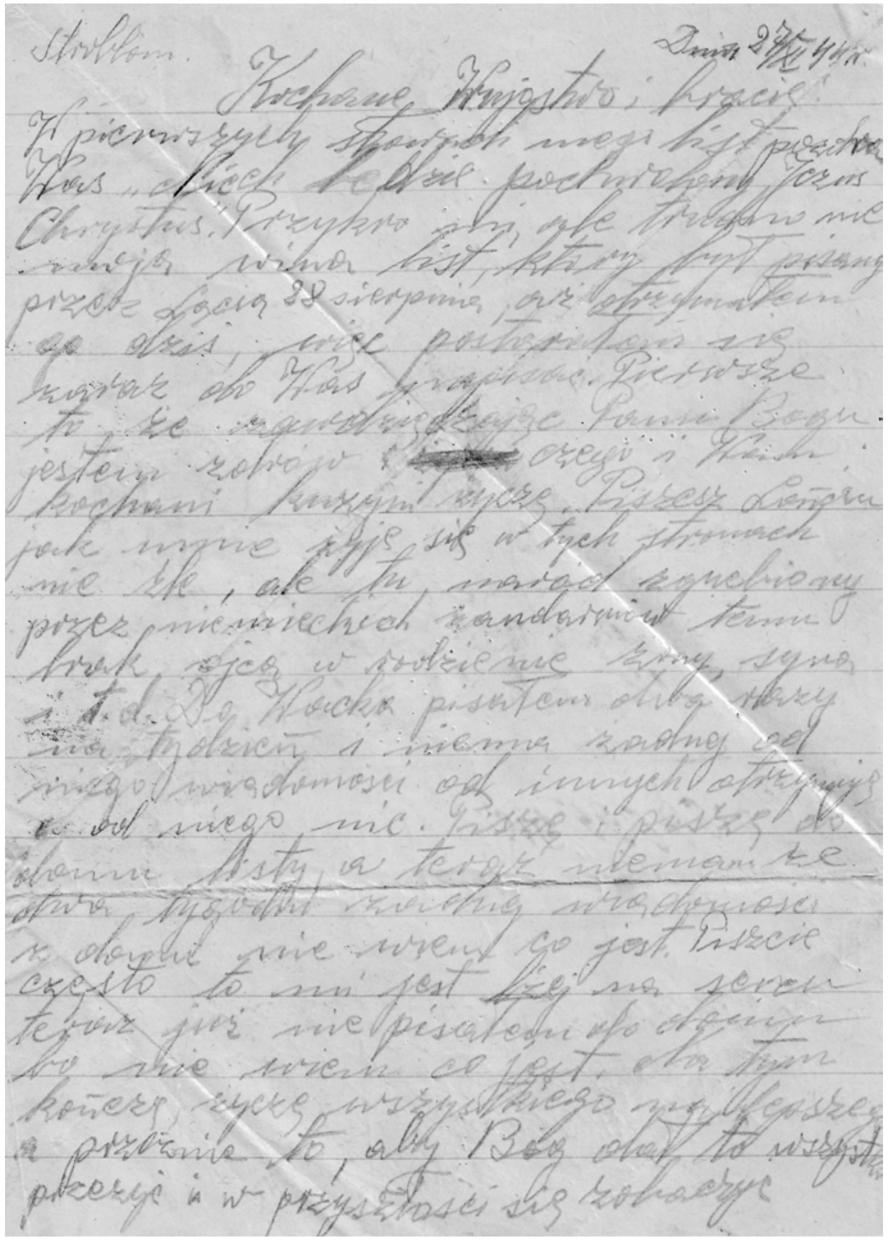

Strzałów(?). Dnia 27/XI 44 r.

Kochane Wujostwo i [illegible]!

W pierwszych słowach mego listu pozdrawiam Was „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus". Przykro mi, ale trudno nie [illegible] list, który był pisany przez Józia 28 sierpnia, aż otrzymałem go dziś, więc postanowiłem się zaraz do Was napisać. Pierwsze to, że z łaski Pana Boga jesteśmy zdrowi [illegible] czego i Wam kochani krewni życzę. Piszesz Józiu jak [illegible] się w tych stronach nie źle, ale tu naród zgnębiony przez niemieckich żandarmów, temu brak ojca w rodzinie, żony, syna i t.d. Do Władka pisałem dwa razy na tydzień i nie mam żadnej od niego wiadomości, od innych otrzymuję a od niego nic. Piszę i piszę do niego listy, a teraz nie mam też od tygodni żadnej wiadomości z domu, nie wiem co jest. Piszcie często to mi jest lżej na sercu, teraz już nie pisałem do domu bo nie wiem co jest. Na tym kończę, życzę wszystkiego najlepszego a przede wszystkim to, aby Bóg dał to wszystko przeżyć i w przyszłości się zobaczyć

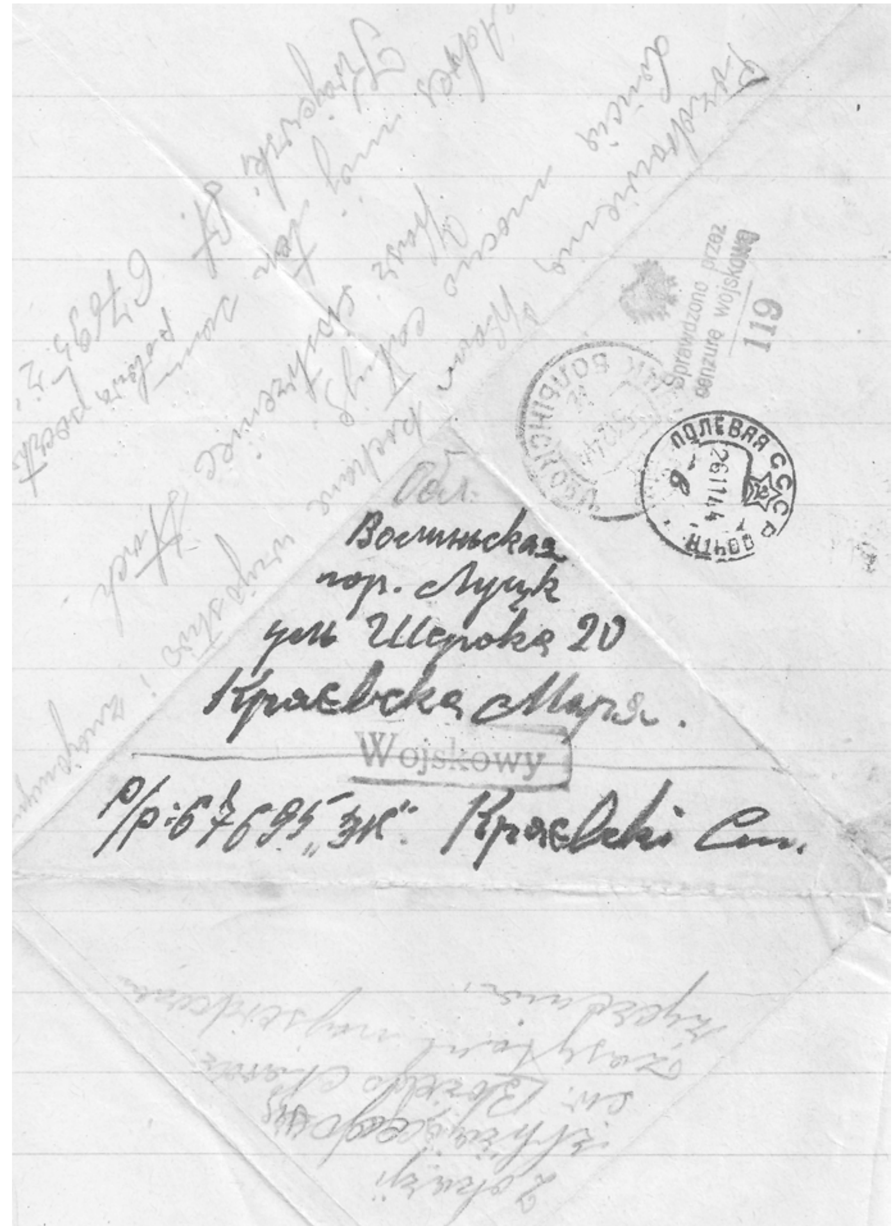

Обл. Волынская
гор. Луцк
ул. Щорса 20
Кравецка Мария.

Wojskowy

П/п 67695 „ЗК" Кравецки Ст.

ПОЛЕВАЯ ПОЧТА СССР 26.11.44

Sprawdzono przez cenzurę wojskową 119

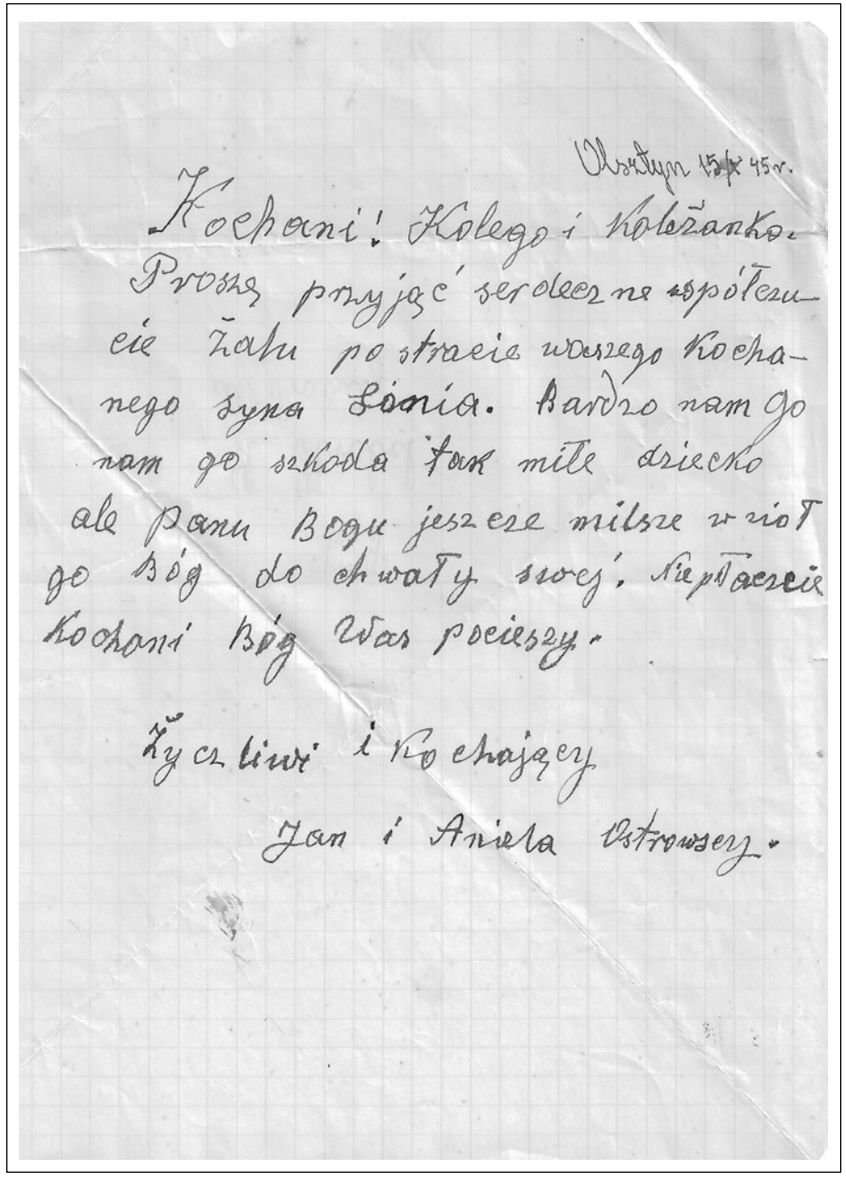

Olsztyn 15/X 45 r.

Kochani! Kolego i Koleżanko.
Proszę przyjąć serdeczne współczucie żalu po stracie waszego Kochanego syna Lonia. Bardzo nam go nam go szkoda tak miłe dziecko ale panu Bogu jeszcze milsze wziął go Bóg do chwały swej. Nie płaczcie Kochani Bóg Was pocieszy.

Życzliwi i Kochający

Jan i Aniela Ostrowscy.

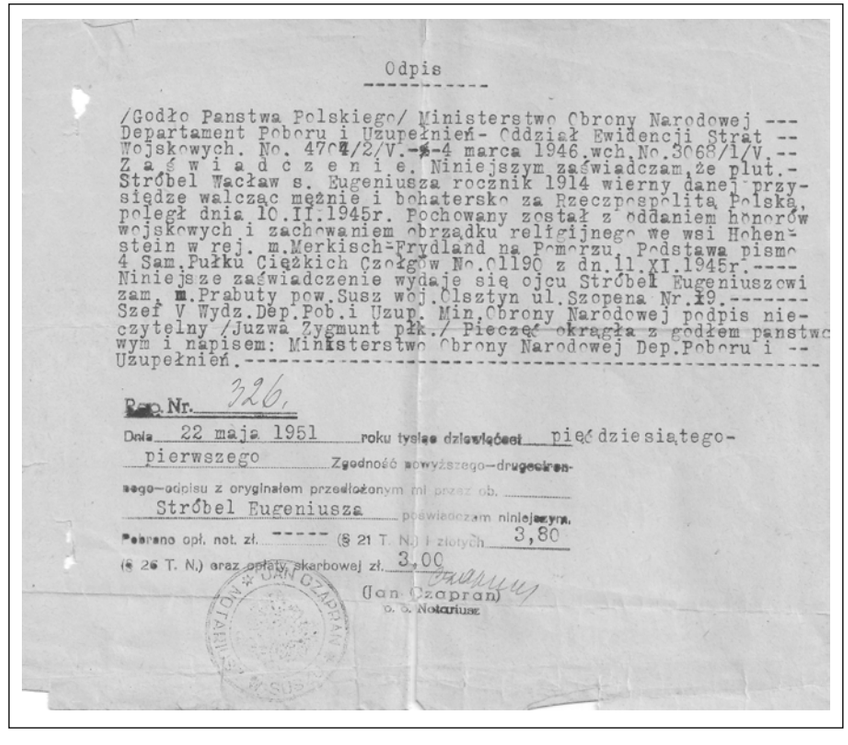

Odpis

/Godło Panstwa Polskiego/ Ministerstwo Obrony Narodowej --- Departament Poboru i Uzupełnień- Oddział Ewidencji Strat -- Wojskowych. No. 4704/2/V.-4 marca 1946.wch.No.3068/1/V.-- Z a ś w i a d c z e n i e. Niniejszym zaświadczam,że plut.- Stróbel Wacław s. Eugeniusza rocznik 1914 wierny danej przysiędze walcząc mężnie i bohatersko za Rzeczpospolitą Polską, poległ dnia 10.II.1945r. Pochowany został z oddaniem honorów wojskowych i zachowaniem obrządku religijnego we wsi Hohenstein w rej. m.Merkisch-Frydland na Pomorzu. Podstawa pismo 4 Sam.Pułku Ciężkich Czołgów No.01190 z dn.11.XI.1945r.---- Niniejsze zaświadczenie wydaje się ojcu Stróbel Eugeniuszowi zam. m.Prabuty pow.Susz woj.Olsztyn ul.Szopena Nr.19.------- Szef V Wydz.Dep.Pob.i Uzup. Min.Obrony Narodowej podpis nieczytelny /Juzwa Zygmunt płk./ Pieczęć okrągła z godłem panstwowym i napisem: Ministerstwo Obrony Narodowej Dep.Poboru i -- Uzupełnień.----------

Rep. Nr. 326.

Dnia 22 maja 1951 roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego-pierwszego Zgodność powyższego-drugocennego-odpisu z oryginałem przedłożonym mi przez ob. Stróbel Eugeniusza poświadczam niniejszym.

Pobrano opł. not. zł. ----- (§ 21 T. N.) i złotych 3,80 (§ 26 T. N.) oraz opłaty skarbowej zł. 3,00

(Jan Czapran)
p. o. Notariusz

Odpis zaświadczenia o śmierci Wacława Stróbla, który poległ 10 lutego 1945r. w walce i został pochowany we wsi Hohenstein na Pomorzu, wydany ojcu Eugeniuszowi 22 maja 1951r.

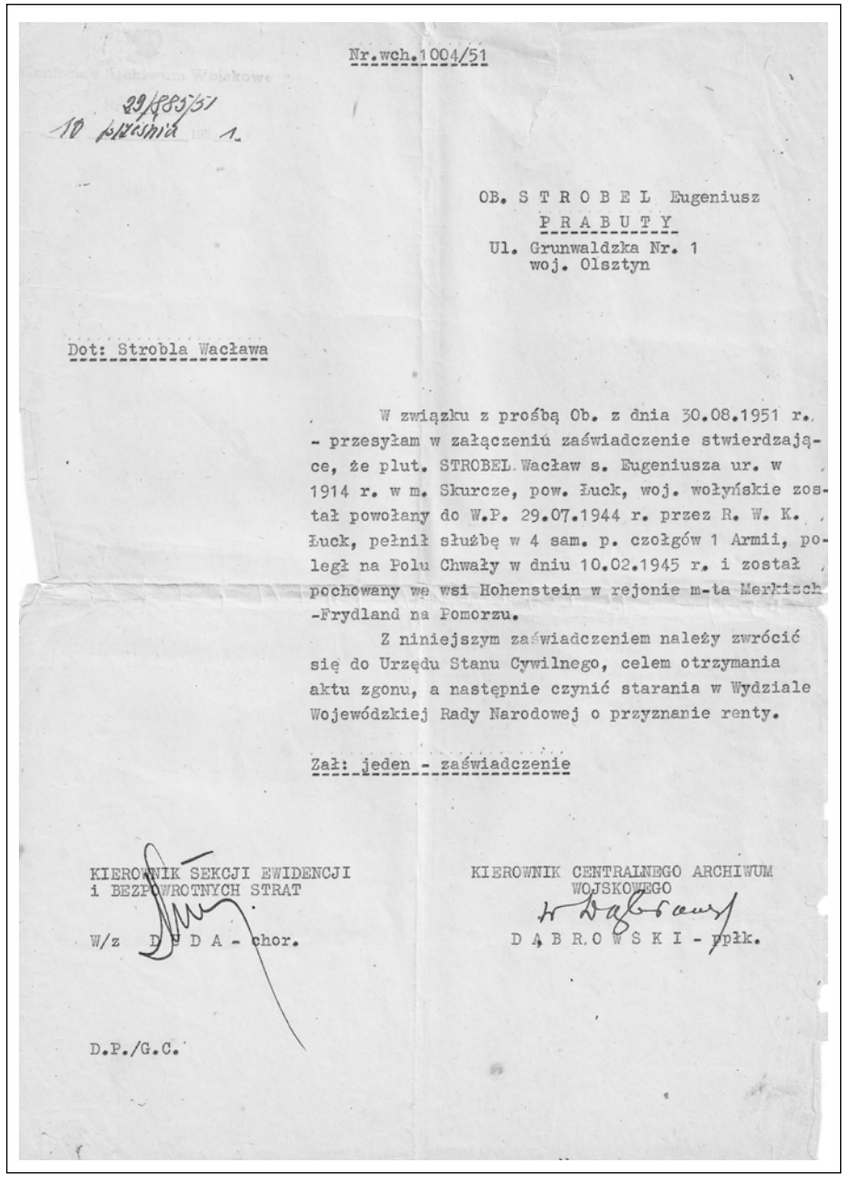

Nr.wch.1004/51

29/885/51
10 września 1951

OB. S T R O B E L Eugeniusz
P R A B U T Y
Ul. Grunwaldzka Nr. 1
woj. Olsztyn

Dot: Strobla Wacława

W związku z prośbą Ob. z dnia 30.08.1951 r. - przesyłam w załączeniu zaświadczenie stwierdzające, że plut. STROBEL Wacław s. Eugeniusza ur. w 1914 r. w m. Skurcze, pow. Łuck, woj. wołyńskie został powołany do W.P. 29.07.1944 r. przez R. W. K. Łuck, pełnił służbę w 4 sam. p. czołgów 1 Armii, poległ na Polu Chwały w dniu 10.02.1945 r. i został pochowany we wsi Hohenstein w rejonie m-ta Merkisch -Frydland na Pomorzu.

Z niniejszym zaświadczeniem należy zwrócić się do Urzędu Stanu Cywilnego, celem otrzymania aktu zgonu, a następnie czynić starania w Wydziale Wojewódzkiej Rady Narodowej o przyznanie renty.

Zał: jeden - zaświadczenie

KIEROWNIK SEKCJI EWIDENCJI
i BEZPOWROTNYCH STRAT

W/z D U D A - chor.

KIEROWNIK CENTRALNEGO ARCHIWUM
WOJSKOWEGO

D Ą B R O W S K I - ppłk.

D.P./G.C.

Pismo urzędowe do Eugeniusza Strobla z 1951r.

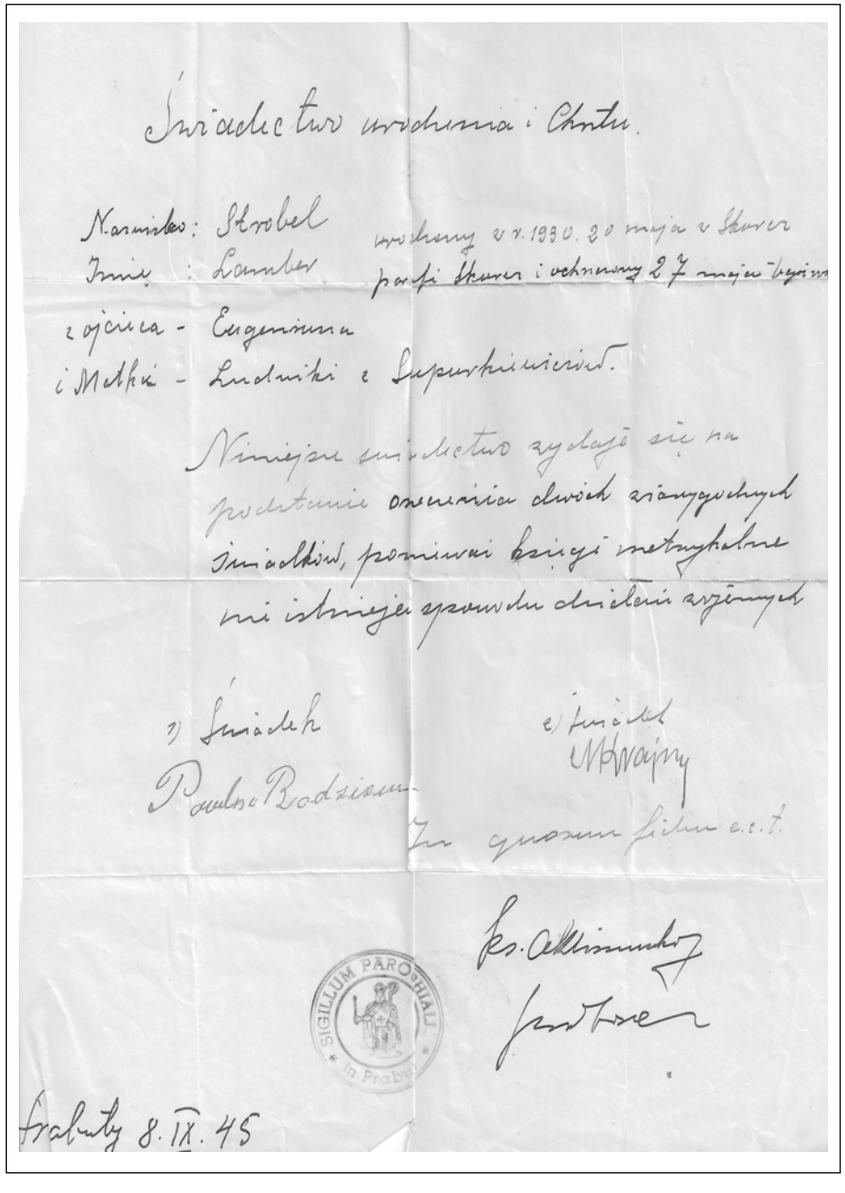

Świadectwo urodzenia i Chrztu.

Nazwisko: Strobel
Imię: Lamber
urodzony w r. 1930. 20 maja w Skurcz
parafi Skurcz i ochrzczony 27 maja tegoż
z ojciec - Eugeniusza
i Matki - Ludwiki z Supurkiewiczów.

Niniejsze świadectwo wydaje się na podstawie orzeczenia dwóch wiarygodnych świadków, ponieważ księgi metrykalne nie istnieją z powodu działań wojennych

1) Świadek
Paweł Rodziewicz

2) Świadek
[illegible]

In quorum fidem e.c.t.

Ks. Aklimowicz
[illegible]

SIGILLUM PAROCHIALI in Prabuty

Prabuty 8.IX.45

Świadectwo urodzenia i chrztu Lamberta Strobla wydane w Prabutach 8 IX 1945r.

Życiorys

Strobel Lambert
m. Porabuty

Urodziłem się 20 maja 1929 roku w Skurczu
pow. Łuck. Rodzice mój zawodu byli rolnicy.
Do szkoły powszechnej chodziłem w rodzinnej
wsi Skurcze. Gdy wybuchła wojna polsko-niemiecka
otrzymałem promocję do klasy piątej.
Za rządu sowieckiego w 1939-40 roku chodziłem
do sowieckiej szkoły. W roku 1942 przeszłem do
klasy piątej w sowieckiej szkole. Za okupacji
niemieckiej do szkoły nie chodziłem. Po napadzie
dewersyjnej bandy ukraińskiej na moją wieś
przeniosłem się razem z rodzicami do m. Łucka.
Po wyzwoleniu przez Armię Czerwoną 2-II-44
miasta Łucka wstąpiłem do polskiej średniej
szkoły w Łucku i ukończyłem klasę piątą.
Po zawarciu umowy między rządem ZSRR. a Polską
razem z rodzicami wyjechałem do Polski.

/ Strobel. Lambert.

Życiorys Lamberta Strobla.

Feliksa Kocejko

Nazywam się Feliksa Kocejko. Pierwsze moje wspomnienia związane z Ugłami[1] to pójście do szkoły. Było tak, że starsze dziewczynki, z którymi się bawiłam, poszły do szkoły, a ja, ponieważ nie miałam jeszcze sześciu lat, jestem urodzona w listopadzie, zostałam w domu. Pamiętam, że bardzo płakałam i chciałam też iść do tej szkoły. W końcu rodzice zgodzili się mnie wysłać, ale do szkoły chodziłam trochę nielegalnie, bo oficjalnie nie byłam zapisana. Rodzice pomyśleli, że po miesiącu czy dwóch szkoła mnie znudzi. Jednak tak się nie stało. Dzięki temu, jak nas w 1940 roku wywieźli, miałam skończone cztery klasy.

Mój tato pochodził z Siepania, ale jak poznał moją mamę, tego nie wiem. Ja urodziłam się w Ługach i przez siedem lat tam mieszkałam. Później przeprowadziliśmy się do Siepania. W Siepaniu moi rodzice aż do wybuchu wojny prowadzili restaurację. Ponieważ mój tato był podoficerem rezerwy, to pierwszego września 1939 roku został zmobilizowany. Skierowano go do policji w Kostopolu. Krótko po wkroczeniu wojsk radzieckich tatę wraz z innymi policjantami aresztowano i wywieziono do Ostaszkowa. Otrzymaliśmy od niego tylko jeden list. Został zamordowany w Ostaszkowie wiosną 1940 roku. Zaraz po aresztowaniu taty przyjechał dziadek od strony mamy i zabrał nas z powrotem do Ugieł. Zamieszkaliśmy w takim małym domku naprzeciw moich dziadków. Niestety w kwietniu 1940 roku przyjechano i po nas. Było to w nocy z 12 na 13 kwietnia. Dano nam pół godziny na spakowanie się. Pozwolono zabrać jedynie po jednej walizce na osobę. Moi dziadkowie i brat mojej mamy chcieli się z nami pożegnać, ale nawet ich do nas nie dopuścili. Gdy nas wywożono, ja miałam nieco ponad dziewięć lat, moja siostra miała cztery i pół roku. Moja mama była bardzo młoda, miała wtedy dwadzieścia siedem lat. I takich to przestępców wywieziono do Kazachstanu. W okolicy, gdzie nas zawieziono, były same kołchozy. Ulokowano nas w takim drewnianym baraku przy lesie. Obok był tartak

[1] Kolonia Ugły (Uhły) - gmina Stepań, powiat kostopolski - kolonia polska z nielicznymi kolonistami niemieckimi (w 1940 roku władze sowieckie na ich miejsce osiedliły 5 rodzin białoruskich). W 1943 roku kolonia liczyła około 320 mieszkańców. Liczba ofiar zbrodni nacjonalistów ukraińskich wyniosła 104 Polaków. W miejscu, gdzie stała w Ugłach kaplica, pochowano 72 ofiary w zbiorowej mogile (w: E.Siemaszko, W. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane*..., s. 302-303).

Feliks Grabka wśród kolegów.

i mama pracowała w tym lesie i tartaku. Razem z nami były jeszcze dwie inne kobiety. Jedna z nich była - podobnie jak mama - żoną policjanta, a druga żoną jakiegoś urzędnika państwowego. Jedna miała dwoje dzieci. Syna trochę starszego ode mnie i córkę w wieku mojej siostry. Druga miała troje dzieci. Dwóch chłopców trochę starszych niż ja i dziewczynkę nieco młodszą od mojej siostry. Nasze mamy zostały od razu wysłane do pracy. Pracowały bardzo ciężko i długo. Czasami nawet więcej niż dwanaście godzin dziennie. Nie było czegoś takiego jak niedziela. Tam pracowano siedem dni w tygodniu. Tylko co jakiś czas dostawało się tzw. „wychadnoje". Wtedy nasze mamy nie szły do pracy i było to dla nas wielkie święto. Ta kolonia, gdzie zostałyśmy wywiezione, znajdowała się przy takiej niewielkiej wiosce. Na początku w kolonii przebywali sami Polacy, ale po pewnym czasie przywieziono jeszcze Czeczenów, a po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej rosyjskich Niemców. Do szkoły tam nie chodziłam. Po pierwsze nie było w czym. Panowała taka bieda, że praktycznie nie miałyśmy czegoś, co można by nazwać ubraniem. Po drugie najbliższa szkoła znajdowała się sześć kilometrów od nas. Tak więc przez sześć lat mieszkałam w obcym miejscu, z mamą widywałyśmy się jedynie wieczorami, jak wróciła z pracy. Rad nierad musiałyśmy zajmować się same sobą. Dzięki codziennym kontaktom z dziećmi mówiącymi po rosyjsku dobrze opanowałam ten język, a nawet nauczyłam się pisać po rosyjsku.

Do Polski wróciłyśmy w 1946 roku. Wiedziałyśmy, że dziadkowie i rodzeństwo mamy przebywają w Prabutach i tutaj przyjechałyśmy. Zamieszkałyśmy z dziadkami, a w kilka miesięcy później przeprowadziłyśmy się do takiego małego domku na ulicy Chopina. Początki były dość ciężkie. Te kilka lat w Kazachstanie zrobiły swoje. Czasami zapominałam, jak jakieś słowo brzmi po polsku. Musiałam odświeżyć ojczysty język. Mama bez przerwy pisała, gdzie tylko można było, w poszukiwaniu informacji o tacie. Dochodziły do nas plotki, że sporo jeńców polskich jest nadal na Uralu i niebawem mają wrócić do Polski. Mama wciąż wierzyła, że tato jednak żyje. Nawet, gdy w jakiś czas po powrocie, nie pamiętam dokładnie kiedy to było, ktoś z Anglii przywiózł nam listę pomordowanych i na tej liście było nazwisko mojego taty, to mama

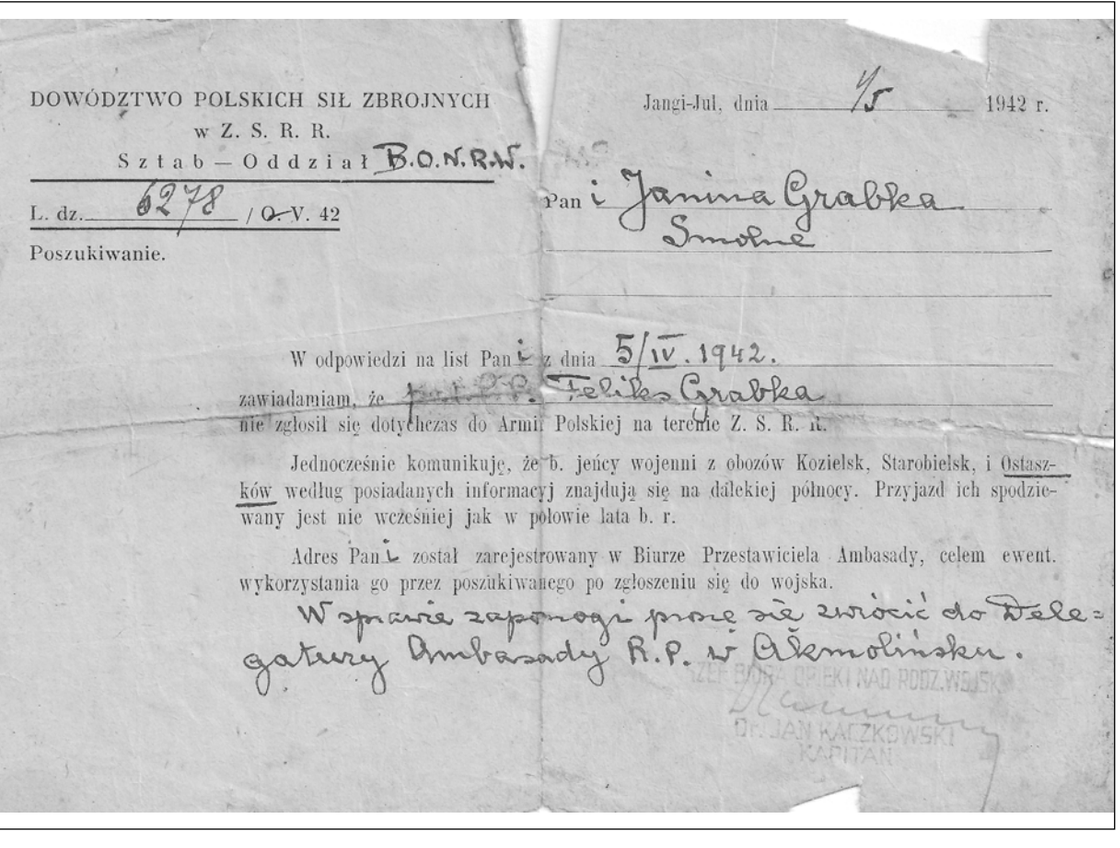

DOWÓDZTWO POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH
w Z. S. R. R.
Sztab — Oddział B.O.N.R.W.

L. dz. 6278 / O. V. 42

Poszukiwanie.

Jangi-Jul, dnia 15 1942 r.

Pan i Janina Grabka
Smoleńsk

W odpowiedzi na list Pani z dnia 5/IV. 1942.
zawiadamiam, że p. Feliks Grabka
nie zgłosił się dotychczas do Armii Polskiej na terenie Z. S. R. R.

Jednocześnie komunikuję, że b. jeńcy wojenni z obozów Kozielsk, Starobielsk, i Ostaszków według posiadanych informacyj znajdują się na dalekiej północy. Przyjazd ich spodziewany jest nie wcześniej jak w połowie lata b. r.

Adres Pani został zarejestrowany w Biurze Przestawiciela Ambasady, celem ewent. wykorzystania go przez poszukiwanego po zgłoszeniu się do wojska.

W sprawie zapomogi proszę się zwrócić do Delegatury Ambasady R.P. w Akmolińsku.

SZEF BIURA OPIEKI NAD RODZ. WOJSK.
DR. JAN KACZKOWSKI
KAPITAN

Zawiadomienie z Dowództwa Polskich Sił Zbrojnych w Z.S.R.R.

nie dawała temu wiary. Pamiętam jednak, że mama surowo zakazała nam opowiadać, że byłyśmy wywiezione do Kazachstanu. Argumentowała to tym, że jeżeli będziemy o tym mówić, to nie znajdziemy pracy, a nasze dzieci nie dostaną się na studia.

Nigdy nie chciałam odwiedzać Kresów. Wschód zawsze będzie mi się kojarzył ze śmiercią taty i piekłem, jakie przeszłam w Kazachstanie. Wiem, że za żadne skarby nie przekroczę granicy z Rosją.

1995 -05- 19

Warszawa, dnia ..... 199 ... r.
Mokotowska 14. Tel. 628-52-01
Adres pocztowy:
00-950 Warszawa, skrytka poczt. Nr 47.

POLSKI CZERWONY KRZYŻ
ZARZĄD GŁÓWNY
BIURO INFORMACJI I POSZUKIWAŃ
Nr B.Inf.522/158

Bank Gdański z siedzibą w Gdańsku
IV Oddział Warszawa
Nr konta 300009-4444-132

Pani Janina GRABKA
82-551 Prabuty

W nawiązaniu do prowadzonej korespondencji w latach ubiegłych w sprawie ustalenia losu męża Feliksa GRABKI ur.1.II. 1906r.s.Konstantego uprzejmie informujemy, że obecnie Biuro nasze jest w posiadaniu następujących informacji:

GRABKA FELIKS ur.w 1906r.s.Konstantego, pezebywający w obozie dla jeńców wojennych w Ostaszkowie figuruje na wykazie 058/3 sporządzonym przez NKWD w Moskwie z maja 1940r./str.331 poz.78/ z poleceniem przekazania do dyspozycji szefa Zarządu NKWD Kalinińskiej obł.
Nr.akt sprawy:4743

Podstawa:L.Str.PCK-73050
kserokopie dokumentów przekazanych w kwietniu 1990r.przez władze radzieckie.

Jednocześnie informujemy, że w dniach od 15-31 VIII 1991r. odbyła się niepełna, mająca charakter śledczy ekshumacja jeńców przebywających w obozie w Ostaszkowie w klasztorze na wyspie na jeziorze Seliger, zamordowanych wiosną 1940r.i pochowanych w lesie około 4 km.od wsi Miednoje, rejon miasta Twer.
Miejsce to zostało upamiętnione, postawiony jest duży krzyż i tablica informacyjna.

Kierownik Biura
Informacji i Poszukiwań
Elżbieta Rejf

POLSKI CZERWONY KRZYŻ
Biuro Informacyjne
Zarząd Główny

List z Polskiego Czerwonego Krzyża. Potwierdzenie pobytu Feliksa Grabki w obozie w Ostaszkowie.

Feliks Grabka. Przebywał w obozie dla jeńców wojennych w Ostaszkowie, zamordowany w 1940r. w Twerze i pochowany we wsi Miednoje.

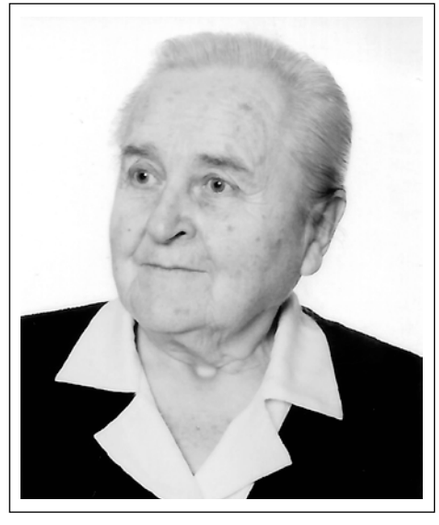

Anastazja
Kuriata

Nazywam się Anastazja Kuriata z domu Nakonieczna. Urodziłam się 1 marca 1924 roku we wsi Huta Perejma, powiat sarneński, województwo wołyńskie. Mama na imię miała Honorata, z domu nazywała się Maśnicka. Mój tata nazywał się Antonii Nakonieczny. Dziadkowie ze strony mamy Antonii i Anastazja Maśniccy. Ze strony ojca pamiętam tylko dziadka, jak po śmierci w trumnie leżał, przykryty białym prześcieradłem. Miałam tylko jedną siostrę, Helenę. W dzieciństwie niczego nam nie brakowało z tego względu, że byłyśmy tylko z siostrą we dwie. Mieliśmy wszystko – jedzenie oraz ubranie, trudniej było w rodzinach wielodzietnych, tam była większa bieda. Z dzieciństwa zapamiętałam, jak w stodole mojego dziadka wyświetlano film na rozwieszonym prześcieradle. Obok mnie siedział mój ojciec i mi tłumaczył, że tam widać góry Alpy, opowiadał, że tam był.

Mój ojciec podczas I wojny światowej służył w carskim wojsku. Często z wielkim żalem opowiadał historię, jak trafił do niewoli. Podczas długiego marszu zarządzono przerwę. Żołnierze byli tak umęczeni, że kładli się spać tam, gdzie się zatrzymali. Mój tata mocno zasnął i nie słyszał, kiedy zarządzono dalszy marsz. Mijali go inni żołnierze, a jednak nikt go nie trącił, żeby go obudzić. Wstał w nocy, zobaczył, że księżyc świeci, zobaczył kałużę rozdeptanego błota i nie wiedział, gdzie iść, w którą stronę. Ruszył, coś go tknęło i zaczął przyglądać się śladom. Okazało się, że ślady prowadzą w drugą stronę. Zaczął iść z powrotem i dopiero nad ranem ich dogonił. Miał wielki żal, że nikt go nie obudził, że nikomu serce nie skruszało, że człowiek sam zostaje. Często o tym wspominał.

Kino przyjeżdżało do naszej wsi raz na pół roku, kiedy poszłam do szkoły, to tam częściej filmy wyświetlano. Z dzieciństwa pamiętam jeszcze, jak się bawiliśmy w chowanego i w piekarza. W Hucie Perejmie mieszkali sami Polacy. Huta Perejma miała kolonie: Płoskie i Maciejowo. Pamiętam, że przed wojną osiedliły się tam 2 rodziny białoruskie. Wieś należała do parafii Sarny. Cmentarz, na którym chowano naszych zmarłych, znajdował się w ukraińskiej wsi Niemowicze. W czasie wojny ze strachu przed Ukraińcami został założony cmentarz obok wsi Płoskie. Pomysłodawcą tego był ks. Sąsiadek, który z Sarn został przeniesiony do pracy w Klewaniu. Pamiętam jeszcze ks. Lewiń-

1940 r. od lewej - Helena Nakonieczna, Honorata Nakonieczna, Antoni Nakonieczny, Anastazja Nakonieczna.

kiego, który wywiózł księgi parafialne i obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej z kościoła w Sarnach. Pamiętam, że jak byłam u przyjęcia, było nas bardzo dużo. Jeszcze w starym kościele drewnianym w Sarnach i na placu przed kościołem zrobiono nam wspólne zdjęcie.

Do szkoły chodziłam w Hucie Perejmie. Kiedy poszłam do pierwszej klasy, uczyliśmy się w domu u Adola Czarneckiego, tam były tylko dwa pomieszczenia. W kuchni mieszkali gospodarze, a w pokoju urządzono dla nas klasę. W drugiej, trzeciej i czwartej klasie uczyłam się w domu Czarneckiej Justyny. Wcześniej, przed rozpoczęciem mojej nauki, szkoła mieściła się w mieszkaniu Kulmanowskich. Pierwszy nauczyciel, który mnie uczył, nazywał się Tadeusz Tazreiter – był bardzo okrzesany. Mieszkał w takim małym domu, jakby baraczku. Później sobie wybudował w Katerynówce dom. W czasie wojny ślad po nim zaginął. Pamiętam też nauczyciela z Gdańska, który nazywał się Mucha. Kiedy zaczęła się wojna, wzięli go do wojska polskiego. Po kilku dniach przyjechała do niego matka i go już nie zastała. Widzę jak ona szła ze stacji z takim pakuneczkiem. A gdzie ona się później podziała, to też nie wiem.

Pamiętam też nauczycielkę, która była bardzo fajna – była Ukrainką. Nazywała się Anna Moskalkówna. Jako dziecko trafiła do majątku bogatego pana, który nazywał się Purbej. Była tam na służbie. On zauważył sam, że jest taka zdolna dziewczyna i na swoją rękę, i za swoje pieniądze wykształcił ją, i właśnie ona mnie uczyła. Przed samą wojną wyjechała do Sarn. Mój kuzyn służył w wojsku w Sarnach i spotkał ją tam. Była już wtedy mężatką. I też nie wiem, co się z nią potem stało.

W czasie wojny w szkole uczyła Żydówka. Uczyła rosyjskiego i ukraińskiego. Pamiętam jeszcze nauczycielkę, taką starszą panią, która nazywała się Surowiecka.

Przed wojną od czasu do czasu urządzano zabawy. Wystarczył bębenek i skrzypce, żeby się dobrze pobawić. W rodzinie Wrońskich mieli radio, co było wielką rzadkością na wsi.

Mieszkańcy Huty Perejmy głównie pracowali na roli. Dużo mężczyzn pracowało na kolei, bo wieś leżała przy stacji kolejowej o nazwie Niemowicze. We wsi był duży tartak, którego właścicielem był Żyd. Nazywał się Fester.

Wacław Kuriata przy pracy w gospodarstwie w Gdakowie około 1950 r.

Rosjanie, jak uciekali przed Niemcami, to spalili ten tartak. U Festera w lesie pracowało wielu mężczyzn z Huty Perejmy. Głównym zarządcą i księgowym był Żyd, który się nazywał Grajwer. Pracownicy często brali pieniądze na kreskę – jak dostawali wypłatę, to chodzili oddać. Obok stacji był hotel, z rosyjskiego nazywali go Kantora. Było tam chyba 10 pokoi i mieszkanie dla człowieka, który tym zarządzał. Budynek został wybudowany po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Ja tam chodziłam do pracy pomagać w kuchni, kucharka była ze Stepania. Pieniędzy za pracę nie dostawałam, tylko kwit, który pozwalał paść konie i krowy, i wtedy pieniądze zarabiać. Na wczasy przyjeżdżali tam ludzie z całej Polski. W czasie wojny Rosjanie to rozebrali i podobno gdzieś wywieźli do Stepania. Fester, właściciel tartaku i tych lasów dookoła, mieszkał w Warszawie i pewnie jak nie zdążył nigdzie wyjechać, to zginął.

Nasza wieś leżała niedaleko Kazimierki. Tam był taki nieduży kościół, w którym był cudowny obraz Matki Boskiej Kazimierskiej. Raz w roku odbywały się odpusty. Na odpusty przychodziło mnóstwo ludzi. Trudno mi powiedzieć, ile tam ludzi było, ale bardzo dużo (cały plac). Chodziliśmy tam poprzedniego dnia i nocowaliśmy u ludzi. To była ukraińska wieś. Rano przed świtem wchodziliśmy do kościoła się pomodlić, bo potem nie można było się dostać do środka – było tak wielu wiernych. Nasza parafia, jak wcześniej powiedziałam, była w Sarnach. Na msze święte chodziliśmy pieszo – 16 km po torach, dlatego że torami było najbliżej. Chodziliśmy boso, buty trzymaliśmy w rękach, żeby się nie niszczyły, bo w tamtych czasach były luksusem.

Za mąż wyszłam w 1943 roku 6 kwietnia (to była Wielkanoc) za Wacława Kuriatę. Ślub braliśmy w kościele pod wezwaniem Przemienienia Pańskiego w Sarnach. Ślubu udzielał mi ks. Sąsiadek. Był to nowy kościół garnizonowy wybudowany przed samą wojną. Wesele odbywało się w moim rodzinnym domu w Hucie Perejmie. Swojego męża poznałam na miejscu. Mieszkał on w miejscowości Płoskie. Chociaż była wojna – takie nie wiadomo co – długo ze sobą chodziliśmy i wzięliśmy ślub. Wtedy już bulbowcy zaczynali mordować Polaków.

Jak rodziłam pierwszą córkę Anię, to przywieziono położną – taką starszą

Anastazja Kuriata z mężem Wacławem i dziećmi Mieczysławem, Romualdą i Heleną.

panią, która już nie pracowała, ale jak ktoś poprosił, to pomagała przy porodzie. I wtedy ktoś przyszedł i powiedział, że jest alarm, że bulbowcy idą. Położna powiedziała: „Mnie zaprowadźcie pod żłób koński, ja tam wejdę i się schowam", a ja sobie pomyślałam: „Boże, Boże, co będzie ze mną?". Jak o tym mówię, to i teraz cała drżę. Po wojnie, jak już przyjechaliśmy do Gdakowa, jak zaczęli mówić o tych wszystkich morderstwach na Wołyniu, o tych wszystkich przejściach, to prosiłam, żeby zmienili temat albo wychodziłam, bo cała się trzęsłam. Do tej pory się tego boję i na samą myśl cała drżę i w nocy mi się te okropności śnią. Mój ojciec w 1938 zaczął budować nowy dom na miejscu starego, który został rozebrany. W czasie budowy mieszkaliśmy w stodole. Dom został bardzo szybko zbudowany – pamiętam, że wykańczaliśmy go już w czasie wojny, jak Sowieci przyszli. Mieszkałam z mężem u swoich rodziców. Kiedy w 1943-44 roku zaczęły się napady ukraińskich band, chowaliśmy się w różnych miejscach - w krzakach, w szałasie, w lesie, żeby nas nie wymordowano. Całe gospodarstwo zostało rozkradzione. Cały dobytek, zwierzęta, sprzęt. Najgorzej ja miałam z małym dzieckiem. Starszy człowiek to się skulił i cicho siedział, a małe dziecko zaczynało płakać – Boże, jakie to było życie. Ale wróćmy do tego, jak wojna się zaczęła i Sowieci weszli. Pamiętam, jak poszłam na pole ze swoją stryjenką, patrzymy, wojsko idzie. Schowałyśmy się za stogiem siana, żołnierze doszli już do naszego domu. Jeden z żołnierzy zdjął karabin i chciał do nas strzelać, bo krzyczał, że wrogowie tam są. Mój ojciec zaczął prosić, żeby nie strzelali, bo tam jest jego córka i jakoś tak uprosił, że ten nie strzelał. Pamiętam, że następnego dnia samoloty latały, kukuryźniki. A mój ojciec poszedł karczować, łozę wycinać, żeby trawy było więcej. Pilot z samolotu go zobaczył i puścił serię, bo tam się coś ruszało w trawie. Mój ojciec miał wielkie szczęście, że go nie trafił. Żołnierze ruscy wyglądali tak, że lepiej nie mówić. Karabin taki długi, po piętach bije się, na sznurku zawiązany. Koszula po szyję, soroczka do kolan. Buty takie śmierdzące, na dole na stopach ze skóry, a cholewki z jakiejś kirzy. Stąd mówili, że to buty kirzowe. Pamiętam, że zanim się sami napili wody ze studni, kazali nam próbować, bo rzekomo miała być zatruta ta woda. Ludzie Bogu ducha winni byli, nic nie słyszeli, nic nie widzieli,

Anastazja Kuriata z mężem Wacławem.
1953 r. przed zakładem fotograficznym.

że dziadostwo idzie.

W lutym 1940 roku zaczęły się wywózki na Syberię. Ja byłam w Mokwinie u swojej cioci. Miałam tam dwóch kuzynów, którzy nasłuchiwali różnych wiadomości. Przyszli i powiedzieli, że księdza zabrali na Syberię. Wsiadłam do pociągu i przyjechałam do domu. Był straszny mróz. Było tak smutno. Idę przez wieś, jest bardzo cicho. Przyszłam do domu, a mama mówi, że taty mojego nie ma, że zawiózł do Sarn rodzinę Czarneckiego Adola. Szóstkę dzieci, w tym dwoje bardzo malutkich. Na wieczór wrócił mój ojciec. Był smutny i mówi: „Boże, mój Boże, jak ta Adolowa zajedzie z tymi dziećmi. Oni ich powsadzali w bydlęce wagony". Jedno dziecko było karmione piersią. Ona nazywała się Maria Czarnecka, z domu Maśnicka. Wróciła z najstarszą córką i synem, a czworo dzieci tam umarło. Jej mąż też nie wrócił, on walczył pod Monte Casino. Później zachorował, umarł i tam we Włoszech jest pochowany. W Elblągu mieszka jeszcze Zofia – wnuczka Marii Czarneckiej. Obok nas leżała miejscowość, która nazywała się Józefpol. Mieszkali tam osadnicy wojskowi. Ja z nazwiska ich nie znam, ale prawie wszystkich Sowieci wywieźli na Syberię. Rosjanie jak weszli, to pierwszego dnia zamordowali emerytowanego sędziego z Sarn – Romiszewskiego. Ktoś się zlitował i go tam pochował przy drodze. Pamiętam jeszcze, że przyjeżdżał politruk sowiecki i zebrania propagandowe robili w Niemowiczach, wszyscy musieli tam być, bo kto nie przyjdzie na zebranie, będzie karę płacił. Na koniec zebrania politruk krzyczał: „Haj żywe baćko Stalin", a Ukraińcy mu odpowiadali: „Haj żywe i pasetsa".

W 1941 roku Niemcy napadli na Sowietów. Niemcy zaczęli tworzyć getta żydowskie. W Sarnach było getto. Pamiętam, że Żydzi nosili żółte naszywki na plecach. Dzielili Żydów na grupy. Tymi grupami zarządzali starsi Żydzi, którzy zbierali złoto od pozostałych. Mówiło się, że dawali złoto za ocalenie życia. Jak wyciągnęli od Żydów złoto, to od strony poleskiej Sarn, gdzie takie marne sosenki rosły, wykopali dół i zaczęli ich mordować. Zorganizowali młodych Ukraińców, dali im mundury i obiecali, że jak zrobią czystkę z Żydami, to będą mieli „samostijną Ukrainę". Ukraińcy naiwnie myśleli, że to prawda. Żydów tam zabijali, warstwami układali i piachem zasypywali. Jak mój mąż

Odpust w Kazimierce. Z lewej Anastazja Kuriata.

był ranny i leżał w szpitalu, to tamtędy trzeba było przechodzić. Kiedy przechodziłam, głowę odwracałam, bo bałam się tam patrzeć. W 1943 roku mieszkaliśmy na stacji w Niemowiczach w takim dużym budynku, bo w swoim domu baliśmy się spać, już wtedy był on rozgrabiony i rozkradziony. A na stacji nie było już Niemców, tylko stacjonował oddział Węgrów.

Na sylwestra Węgrzy zaprosili nas do siebie na kolację. Mama coś przyszykowała do jedzenia, ale praktycznie nie było co jeść, pewnie było to mleko i chleb. Pamiętam, że usiadłam na pryczy razem z mężem. Dowódca Węgrów przemawiał, a mój mąż mnie trącił w bok. Patrzę, a portret Hitlera stoi za piecem, zdjęli go ze ściany i powiesili swojego przywódcę. W pewnym momencie weszli szeregowi żołnierze przebrani za kolędników. Zaczęli śpiewać po swojemu kolędy, atmosfera zrobiła się bardzo podniosła, ale też bardzo smutna. Ten dowódca mówi do żołnierzy-kolędników: „Ja przepraszam, ale niczym Was nie poczęstuję, bo nic nie mam". Nabrał każdemu z wiadra po kubku wody, jeden po drugim łykali tę wodę i poszli. To było smutne i straszne. Jak Węgrzy odeszli, latały często samoloty i bombardowały węzeł kolejowy w Sarnach. Wtedy zbudowaliśmy szałas w lesie daleko od wsi i tam mieszkaliśmy, bo baliśmy się band ukraińskich i bombardowań rosyjskich. Pamiętam, że była to zima – mróz, śnieg. W szałasie mieszkaliśmy kilkanaście dni. Po tym wróciliśmy z powrotem na stację w Niemowiczach.

Ukraińcy zaczęli mordować na całego Polaków w 1943 roku. Pamiętam, że pierwszą wsią, którą wymordowali była Parośla. Strach ludzi ogarnął, wszyscy się bali, uszu nastawiali. W Józefpolu wyprowadzili dwójkę dorosłych mężczyzn z domu i szli z nimi do lasu. Pozostali domownicy zaczęli ich śledzić, gdzie oni idą. Ukraińcy się zorientowali, złapali tych śledzących i całą czwórkę zamordowali. Wtedy mordowanie zaczęło się na dobre. Pamiętam, jak wymordowali Ugły. Ogromny pożar, straszne krzyki mordowanych ludzi. Rano z różnych stron biegną do nas ludzie, jedni proszą wody, inni proszą chleba. I wtedy zaczęliśmy się chować. Jesienią 1943 roku, chyba we wrześniu, nagle zaczęła się strzelanina, chwyciłam córkę Anię na ręce i zaczynam uciekać w kierunku stacji. Jak biegłam przy płocie, to słyszałam gwizdanie i świst kul. Za mną biegła moja babunia i ciągle powtarzała: „Boże mój,

U góry matka Anastazji Kuriaty – Honorata, na dole siostra Helena
z mężem Włodzimierzem Lewczenko.

Boże mój". Wszyscy uciekliśmy z naszego domu, jednak na noc część rodziny wróciła. Moi dziadkowie Maśniccy, ich syn Mikołaj Maśnicki, jego żona i moi rodzice. Ktoś z Ukraińców ten dom obserwował. Dziadek się pomodlił i poszedł spać do łóżka w domu, a babcia poszła z całą rodziną na strych. Drabinę wciągnęli za sobą. Ukraińcy jak weszli do domu, zorientowali się, że nie ma drabiny. Przynieśli skądś drugą i zaczęli wchodzić na strych. Nasi się zorientowali, wyrwali strzechę z dachu i przez tę dziurę wyskoczyli na podwórko. Niedaleko były krzaki, bagno. I uciekli do bagna. Mojego dziadka Antoniego zarąbali siekierą w łóżku, a babcię Anastazję, która najwidoczniej nie miała siły uciekać przez dziurę w dachu, zamordowali na strychu. W Hucie Perejmie zamordowali Orlińskiego, kolejarza Wrzesińskiego oraz Czarneckiego. Razem ich zabili i zakopali gdzieś w lesie. To Ukrainiec wskazał, gdzie oni byli zakopani. Ich ciała przyniesiono na cmentarz w Płoskiem. Na Rudni był most, którego pilnowali Kozacy. Ukraińcy ich też wszystkich zamordowali. Było ich, jeśli dobrze pamiętam, dwudziestu siedmiu.

2 lutego 1944 roku (wiem, że Matki Boskiej Gromnicznej było) po przyjściu na stację z szałasu, o którym wcześniej mówiłam, że tam się chowaliśmy w lesie, wzięłam swoją córeczkę Anię i poszłam do mojej rodziny do Maciejowa. To był czas, że było trochę spokoju i coraz częściej ludzie nocowali w swoich domach. Tydzień wcześniej przez tę wieś przechodzili jacyś obcy ludzie i pytali „Gdzie droga do Sarn?". Jak się okazało, to chcieli się zorientować, czy tutaj ktoś mieszka. Pamiętam, że mieliliśmy zboże na mąkę na żarnach. Raptem taki szum się zrobił. Chmara ludzi okrążyła dom, a to był duży bliźniaczy dom. Mieszkało tam dwóch braci Maśnickich ze swoimi rodzinami. Położyli nas na podłodze, ja z małym dzieckiem, obok mnie moja mama, już nie pamiętam, kto tam więcej był. Pod ścianą siadł taki oszmulaniec, karabin w naszą stronę skierował i mówi, że jak ktoś tylko się ruszy, to będzie strzelał, mówił po ukraińsku. Z drugiej strony zostali mężczyźni, Antonii Maśnicki, Jan i mój ojciec. Mój ojciec prawdopodobnie poznał któregoś z tych Ukraińców, że to są mordercy. Wyskoczył przez okno. Jednak go złapali i zamordowali. Znaleziono go dopiero na jesieni. Był zagrzebany

Helena Lewczenko z domu Nakonieczna, siostra Anastazji Kuriaty.

w drewnie. Zabraliśmy go stamtąd i pochowaliśmy na cmentarzu w Płoskiem. Wtedy stamtąd uciekliśmy i do końca mieszkaliśmy na stacji w Niemowiczach. Nazajutrz po tych wydarzeniach mój mąż poszedł zobaczyć nasz dom, czy on jeszcze w ogóle stoi, czy go jeszcze nie spalono. Kiedy wracał, zaczęło się ponowne bombardowanie i odłamek trafił go w kolano. Było to gdzieś 500 m od domu, w którym przebywaliśmy. Miał jeszcze na tyle siły, żeby doczołgać się do domu i w domu zemdlał cały zakrwawiony. Do rana zatamowaliśmy krew. Nie było żadnej pomocy, do nikogo nie można było się zgłosić. Kolejarze dali drezynę i kilku chłopców się zgłosiło, żeby zawieźć go do Sarn. Pamiętam, że jednym z nich był brat Benedykta Maśnickiego. Jak jechali z powrotem, to wypadł z tej drezyny i zabił się. Został pochowany na cmentarzu w Płoskiem. Mój mąż leżał w Sarnach w szpitalu miesiąc czasu, ale nie było żadnych lekarstw. Ja chodziłam do rosyjskich żołnierzy po bandaże. Oni się litowali i czasami mi coś dali. W dzień się opiekowałam mężem w szpitalu, a w nocy spałam w opuszczonych przez Żydów mieszkaniach.

Moja starsza córka umarła jak miała rok i siedem miesięcy. Umarła na tyfus. Zawieźliśmy ją pożyczonymi od sąsiada końmi do Sarn. Kiedy przyjeżdżaliśmy przez bród na rzece, było tak głęboko, że nie mogliśmy przejechać. Konie po szyje stały w wodzie. Moja mama trzymała moją córkę na rękach, a mąż próbował wyciągnąć konie. Obok stała chata ukraińska i ja poszłam prosić tych Ukraińców o pomoc. Strasznie się bałam, bo ukraiński dobrze rozumiałam, ale mówić w ogóle nie umiałam. Weszłam do tej chałupy, otwieram drzwi i widzę jak dziś, przy takim dużym stole siedzi 7 mężczyzn. Pewnie po polsku mówiłam, że konie stoją w wodzie i z dzieckiem do lekarza jedziemy. Gospodarz popatrzył, wziął swoje narzędzie, konie i pomógł nam. Poszliśmy do lekarza, ale co ten lekarz mógł pomóc. Córka dostała takich sinych plam. Przenocowaliśmy w Sarnach. Kiedy wracaliśmy do domu, na drodze dziecinka umarła. Brat mojego ojca Eugeniusz Nakonieczny zrobił trumienkę, z nieużywanej koszuli nocnej uszyliśmy dla niej sukieneczkę. Do rąk włożyliśmy święty obrazek i tak ją pochowaliśmy na cmentarzu w Płoskiem. W czasie wojny na cmentarzu w Płoskiem sami chowaliśmy zmarłych, bo księża bali się z Sarn wyjeżdżać.

W 1945 roku ktoś przyniósł gazetę, w której było napisane, że możemy organizować się i wyjeżdżać. Nam było wszystko jedno, żeby tylko ujść z życiem. Im bliżej wiosny i lata, coraz częściej namawiano, żeby wyjeżdżać. Zygmunt Krasiński podjął się zorganizować wyjazd, wyrobiliśmy papiery i wyruszyliśmy w nieznane. Wiedzieliśmy, że wiozą nas na tereny po Niemcach. Podstawiono nam bydlęce wagony. Nie mieliśmy prawie żadnego dobytku. Krowy braliśmy, pęki z sianem. 22 kwietnia urodziła się moja córka Romualda, a 23 maja ze stacji w Niemowiczach wyruszyliśmy w podróż. To będę pamiętała do śmierci. Moja mama owinęła ją w taką ciepłą pierzynę. Dziecko się spociło, trochę wiatr ją owiał, dostała kataru. Ruszyliśmy pociągiem na południe, przez Równe, Lwów. Miesiąc czasu jechaliśmy. Około 20 czerwca trafiliśmy do Gdakowa. Pamiętam, że wcześniej pociąg nas ciągnął w stronę Kwidzyna, tam takie lasy. Ludzie zaczęli krzyczeć, że nie chcą w te lasy, nie chcą w nich mieszkać znowu. I maszynista wrócił na stację do Prabut. Jak mieszkaliśmy na stacji w Prabutach, to ludzie sobie już pozajmowali gospodarstwa, jeździli konno do Gdakowa i zajmowali gospodarstwa. Gdakowo wybraliśmy dlatego, że stacja kolejowa była blisko i kościół był we wsi. Kucner był kolegą mojego męża i my razem z Kucnerami zamieszkaliśmy na kolonii w Gdakowie. Ja nie bardzo od razu chciałam tam mieszkać, bałam się, że to jest tak z boku, że znowu nas napadną. Pamiętam, że sprzątaliśmy siano szybko przed deszczem. Pomagałam mężowi układać siano w stodole, jak przyszła nasza sąsiadka Kucnerowa i powiedziała: „Wy tutaj pracujecie, a tam ruski żołnierz was okrada". Chociaż prawie nic nie mieliśmy, bo na Hucie Perejmie Ukraińcy nam już wszystko ukradli, to jednak kilka rzeczy do ubrania było. Mój mąż wybiegł ze stodoły i pobiegł za tym rosyjskim żołnierzem, który poszedł do wsi do Gdakowa. Mój mąż poszedł do Zygmunta Krasińskiego, który był wójtem i powiedział, że Ruski zabrali coś z domu. Nawet nie wiedział, co zostało zabrane. Zauważyli, że w zabudowaniach u Trochymiuka stoi ten ruski żołnierz. Poszli tam, a ten Rusek mówi do tego Trochymiuka „Pakupicie towariszcz". Zabrali mu te wszystkie rzeczy. Kiedy wracał obok naszego domu i zobaczył naszą sąsiadkę Kucnerową, wygrażał się jej „Ty pani jop twoju mać". Około tygodnia mieliśmy spokój.

Wieczorem, kiedy mąż się modlił i córkę lulał, ja usłyszałam jakiś trzask od zewnątrz. Wjechali ruscy żołnierze na podwórko. Wszyscy pijani. I walą do drzwi „At kroj chazjain". Między naszym mieszkaniem a sąsiadów były drzwi. Rosjanie wyłamali te drzwi. Ja dziecko złapałam i uciekliśmy z domu przez chwasty. Po drodze Kucnerowa pomagała nam nieść dziecko i uciekliśmy do Sochackich. Po tym wydarzeniu powiedziałam, że chcę mieszkać we wsi i nigdzie nie pójdę. Zajęliśmy ten dom, w którym mieszkałam przez całe moje życie w Gdakowie. Z reformy rolnej dostaliśmy 9 hektarów i 90 arów ziemi. Mój mąż był bardzo dobrym gospodarzem, był bardzo pracowity. Mieliśmy 6 krów, parę koni. Wóz taki mocny, zdrowy. Jak wracał, to z daleka słyszałam ten wóz. W nodze męża cały czas tkwił odłamek, trochę to zaniedbaliśmy. W 1955 roku na wiosnę zachorował, noga zaczęła go boleć. Leżał w szpitalu w Suszu. Dostał zakażenia krwi. Pociągiem zawiozłam go jeszcze do Gdańska, ale nie było już szans na ratunek i tam zmarł. Zostałam sama z piątką dzieci. Radziłam sobie jak mogłam. Chodziłam do ludzi pracować. Sołtysem w Gdakowie był Leonard Sochacki, później Trochymiuk, a później długo sołtysem był Jan Maśnicki. Zaraz po wojnie uruchomiono szkołę w mleczarni. Pierwsza nauczycielka pochodziła z Warszawy, nazywała się Gorzka. Przypominam sobie taką historię, że uczyło małżeństwo, nazywali się chyba Krzemińscy. On wrócił z zesłania z Syberii. Miał trochę rzeczy osobistych, papierów, które porwał i wyrzucił gdzieś do śmietnika. Jednak Olek Orliński poskładał porwane zdjęcie i okazało się, że na zdjęciu stoi on w mundurze niemieckim. Nie pamiętam, czy go aresztowano, czy uciekł. Zaraz w 1945 roku została uruchomiona mleczarnia, jeszcze wtedy możliwa była własność prywatna. Prowadził ją Waluk. W 1948 roku zniesiono wszelką własność prywatną i mleczarnię przejął Zakład Mleczarski w Suszu. Produkowano tam masło i sery tylżyckie. Budynek, w którym przed wojną mieściła się szkoła niemiecka, był spalony, odbudowany został około 1952 roku. I tam z mleczarni przeniesiono zajęcia szkolne. Pierwszym kierownikiem szkoły został Tylicki, następnie Szynaka. Kółko rolnicze założono w 1964 roku.

Gdakowo do 1981 należało do parafii Prabuty. Pierwszym proboszczem

był ksiądz Czesław Klimuszko. W Prabutach pracował też ksiądz Batowski, który był wikarym w Kazimierce na Wołyniu. Pamiętam, że kiedyś jeździł z nami na odpust do Postolina, ale on był krótko. Kościół w Gdakowie nie został w ogóle zniszczony. Chór był dookoła kościoła, a na chórze stały organy, które zostały zabrane do kościoła parafialnego w Prabutach.

Moja siostra zachorowała i nie mogła z nami tutaj przyjechać. Została z mamą w Hucie Perejmie. Strasznie kręgosłup ją bolał. Pojechała do lekarza, a lekarz powiedział, że jeśli chcą, żeby żyła, to muszą ją włożyć w gips, żeby poleżała. Miała prawdopodobnie gruźlicę kości. Rok czasu leżała w gipsie. Jak wyjęli ją z gipsu, to nawet jeść nie umiała, musiała się długo rehabilitować. Okazało się, że choroba ustąpiła. Wyszła tam za mąż za rosyjskiego żołnierza, który wracał z frontu - Włodzimierza Lewczenko, który pochodził z Kubania. Kiedy tam się wszystko uspokoiło, siostra z mężem zaczęli szukać mieszkania w Równem, jednak miasto było zniszczone i nic nie mogli znaleźć. Postanowili przenieść do Równego dom, który mój tata wybudował przed wojną. Było to możliwe, bo dom był drewniany. Rozłożyli go belka po belce, pociągiem przewieźli do Równego i tam od nowa go zbudowali. Córka mojej siostry z dziećmi mieszka w nim do dzisiaj.

Byłam na Kresach trzy razy. Jak sobie przypominam, w mojej wsi było tak miło, fajnie. A jak zajechałam, okazało się, że wszystko jest zarośnięte i zniszczone.

Genowefa Lange

Nazywam się Genowefa Lange, urodziłam się w 1929 roku w kolonii Pendyki[1], gmina Derażne, powiat Kostopol. Moimi rodzicami byli Piotr i Aleksandra Zawistowscy (mama z domu Kirkicka). Skąd pochodził tato, tego nie wiem, ale mama pochodziła gdzieś z okolic Grodna. Miałam siostrę Karolinę urodzoną w 1919 roku oraz brata Józefa, urodzonego w 1933 roku. Do dzisiaj pamiętam, jak pewnego dnia przyszedł do mojej mamy sołtys prosić, abym na trybunie mówiła o Piłsudskim. Miałam wtedy sześć lat, ale do dzisiaj znam ten wierszyk.

> „Łzy nam jeszcze nie obeschły po Wodza pogrzebie.
> Gdy Wódz u pana Boga meldował się w niebie.
> Pan Bóg Wodza mile witał, o wszystko go pytał
> i niebieskim słodkim chlebem nakarmił do syta.
> - Znam ja ciebie, bom cię nieraz podczas bitwy wspierał.
> Znam twój naród, boć są polskie najszczersze modlitwy.
> Pan Marszałek podziękował, ostrogami brzęknął,
> a tu niosą aniołowie nową szablę piękną.
> Piękny mundur marszałkowski grzecznie mu podają.
> Do munduru najpiękniejsze gwiazdy przypinają.
> Pan Marszałek patrzy smutnie, białe czoło marszczy:
> - Niepotrzebne mi te gwiazdy, mili aniołowie.
> Nie dla gwiazd żołnierze moi na wojnę chodzili.
> Jednej tylko rzeczy memu sercu trzeba:
> byście pięknej mej ojczyźnie przychylili nieba.
> Byście dali moc i wolę mojemu krajowi -
> jeszcze tylko tyle pragnę, mili aniołowie."

Jak powiedziałam ten wiersz, to sam starosta z zachwytu nosił mnie na rękach.

[1] Pendyki - duża kolonia polska, w której mieszkała tylko jedna rodzina ukraińska. 29 marca 1943 roku uzbrojeni upowcy wcześnie rano, przez zaskoczenie, otoczyli sąsiadujące ze sobą kolonie Pendyki (Małe i Duże) oraz Pieńki. Szacuje się, że w Pendykach zginęło wtedy około 150 osób (w: E.Siemaszko, W. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane*..., s. 223).

Moja mama pochodziła z Grodna, ale gdzie poznała tatę, tego nie wiem. Po ślubie kupili duże gospodarstwo o powierzchni 15 dziesięcin ziemi. Mieliśmy siedem krów, kilka koni, bo mój tato prócz prowadzenia gospodarstwa zajmował się również handlem końmi. Pendyki były w większości zamieszkane przez Polaków, jednak pamiętam tylko dwa nazwiska: Zaborscy i Sawiccy. Dwie zapamiętane przeze mnie ukraińskie rodziny to Sacharkowie i Siańkowie, było ich zaledwie kilka. Do wybuchu drugiej wojny światowej Polacy bardzo dobrze żyli z Ukraińcami. Kościoła we wsi nie było. Znajdował się on w Derażnem, gdzie była także cerkiew i cmentarz. W Derażnem przystępowałam do I Komunii, proboszczem był ks. Masalski. Pamiętam, że pewnego razu z moją starszą koleżanką wybrałam się do cerkwi. Koniecznie chciałam skosztować prosfory, którą pop rozdawał podczas komunii. Jak później powiedziałam to mamie, to mama bardzo na mnie nakrzyczała, że po co chodziłam do ukraińskiej cerkwi. Nawet chciała mi wlać, ale na groźbie się skończyło. Ja miałam wtedy jakieś osiem lat i po prostu byłam ciekawa, jak to smakuje.

Gdy w 1939 roku wkroczyły wojska sowieckie, to prawie od razu zaczęto konfiskować bydło i świnie. Tato, w obawie, że nie będziemy mieli co jeść, po kryjomu zabił świniaka, uwędził i dzięki temu mieliśmy jedzenie. Tych najbardziej bogatych gospodarzy to Sowiety wywozili. Potem przyszli Niemcy i wcale nie było lepiej, a nawet gorzej, bo tak na dobre zaczęły się napady tych ukraińskich band. Mój tato należał do samoobrony zorganizowanej w 1943 roku i bardzo często chodził na warty. Przychodzi pewnej nocy i mówi do mojej mamy: „Olesia, bierz dzieciaki, co ważniejsze dokumenty i uciekamy, bo Ukraińcy już atakują wieś." W naszym domu nocowało wtedy kilka kobiet z okolicy, a że moja mama była ogromnie pobożna, uklękła i wraz z pozostałymi kobietami zaczęły odmawiać różaniec, żeby nas Najświętsza Panienka ocaliła. Naraz usłyszeliśmy strzały. Po chwili dach naszego domu już płonął, a mama dalej klęczy i odmawia różaniec. Dopiero jak tata krzyknął, że musimy uciekać, to tak jak staliśmy, opuściliśmy dom. Był marzec, a ja na boso uciekałam do lasu. Wokół tylko kule świstały, to cud, że któraś mnie nie trafiła. Z mojej najbliższej rodziny zginęła ciocia,

pozostałym szczęśliwie udało się uciec. Zimno panowało okropne, a my przez kilka dni nocowaliśmy w lesie na takich prymitywnych posłaniach z mchu. Całe nasze gospodarstwo spłonęło. Dom, stodoła, szopa z bydłem. Wszystko strawił ogień. Mój tata i inni mężczyźni to chodzili na te zgliszcza i z tych spalonych krów wycinali mięso, żebyśmy mieli co w tym lesie jeść. Nawet dobre to było.

Później Niemcy ewakuowali nas do Cumania[2]. Był to wielki tartak w lesie, mieszkali tam na stałe pracownicy leśni, był tam nawet kościół. Z tego Cumania to pamiętam taką zupę z gryczanej kaszy, którą nam każdego dnia dawali i chleb z kasztana. Ale jak człowiek głodny, to nawet chleb z kasztana i codziennie taka sama zupa były dobre. Niemcy dali też obstawę, aby można było wrócić i pochować zabitych. Tato opowiadał, że cała wieś była spalona, a trupy to wszędzie leżały. Tych zamordowanych była ponad setka. Nie mogę powiedzieć, ale jacy Szwabi byli, to byli, ale nami się zaopiekowali. Potem znowu przyszli Ruskie i w kwietniu 1945 roku wyruszyliśmy w bydlęcym wagonie do Polski.

Wyruszyliśmy z Łucka przez Lwów. Najpierw przywieziono nas do jakiegoś miasta, ale jego nazwy nie pamiętam. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że w Prabutach jest brat mojego taty, Jan Zawistowski, i tutaj przyjechaliśmy. Stryj odebrał nas ze stacji. Prabuty z tamtych lat pamiętam jako bardzo zniszczone. Cały rynek był w gruzach. Stopniowo go odgruzowywano, a oczyszczoną cegłę wysyłano do odbudowy Warszawy. Nawet ten dom, w którym teraz mieszkam, to była rudera. Środek cały wypalony, jakby tu jaka bomba wpadła. Powoli zaczęliśmy remont domu, ja pracowałam jako krawcowa. W 1951 roku wyszłam za mąż za Alfonsa Lange, w 1952 r. urodził się syn Andrzej, w 1955 r. Wiktor, Edmund w 1957 r. Mąż pracował na składnicy drewna. Pamiętam, że rodzice czuli obawę, że Niemcy tu wrócą i znowu będziemy musieli szukać swojego miejsca. W latach pięćdzie-

[2] Cumań - gmina Silno, powiat Łuck - duża wieś ukraińska, w której Polacy stanowili kilkanaście procent ogółu ludności (w: E.Siemaszko, W. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane*..., s. 619).

siątych, czy sześćdziesiątych odwiedziła nas niemiecka właścicielka tego domu. Była bardzo zadowolona, że tak go odremontowaliśmy. Tacie powiedziała, że nie ma się czego bać, bo ona za ten dom dostała w Niemczech piękne gospodarstwo.

Kiedyś chciałam nawet pojechać na Wołyń, ale zdrowie już nie takie jak dawniej. Wiem, że po Pendykach to już nawet śladu nie ma, ale podobno mieszkają jeszcze w tamtych okolicach Ukraińcy, którzy pamiętają czasy napadów. Nawet jeżeli wśród nich są tacy, co brali w tych napadach udział, to sam Pan Bóg wymierzy im sprawiedliwość.

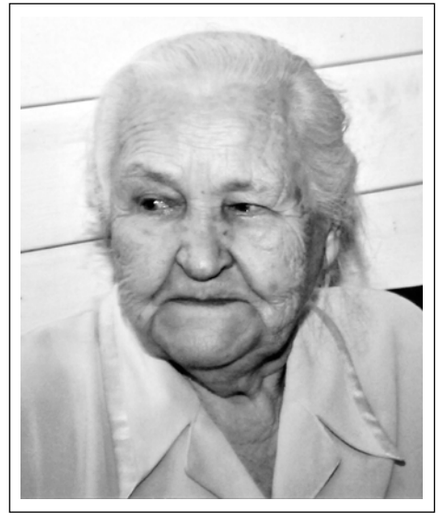

Antonina Łukaszczyk

Nazywam się Antonina Łukaszczyk, urodziłam się w 1921 roku we wsi Ugły, gmina Stepań, powiat kostopolski. Z tego, co zapamiętałam z dzieciństwa to, że mieszkaliśmy na gospodarce. Pamiętam, jak nowy dom postawiliśmy. Dom był duży, parterowy, drewniany, ale jako pierwszy w naszej wiosce kryty blachą, a nie papą czy słomą. Wokół było pełno lasów i ludzie stawiali domy drewniane, a nie murowane. Dokładnie nie pamiętam, ile rodzin mieszkało w naszej wsi, ale było tego coś około pięćdziesiąt. To wszystko byli Polacy. Ukraińców nie było wcale. Dopiero w latach trzydziestych pojawiły się pierwsze rodziny ukraińskie. Było też kilka rodzin niemieckich, ale skąd one się wzięły, tego nie wiem. Pamiętam jednak, że niektórzy z tych Niemców wcale nie mówili po polsku. To była taka forma obrony. Moi dziadkowie osiedlili się w Ugłach[1], ale kiedy i skąd przyjechali, tego nie wiem. Jakoś wtedy mnie to nie interesowało. Mieliśmy dwunastohektarowe gospodarstwo. Połowa to były grunty orne, a druga połowa łąki i lasy. Najwięcej hodowaliśmy świń. Zawsze też było kilka krów, para koni i drób. W domu było nas pięcioro. Miałam brata starszego o dwa lata (1919), brata młodszego o dwa lata (1923), siostrę młodszą o pięć lat (1926) i jeszcze jednego brata młodszego o piętnaście lat (1936).

W naszej wsi była czteroklasowa szkoła, do której poszłam dość wcześnie. Miałam wtedy siedem lat. Na początku uczył nauczyciel, ale po jakimś czasie na jego miejsce przyszła nauczycielka. Ona pochodziła gdzieś z krakowskiego. Była dość gruba i wesoła. Bardzo lubiłam szkołę, nie miałam też większych problemów z nauką. Szczególnie lubiłam czytać. U nas było tak, że po skończeniu czwartej klasy mogłam jeszcze dalej chodzić do szkoły. To się liczyło jako piąta i szósta klasa. Niektórzy z nas chodzili do tej szkoły aż siedem lat. Nauka była tak trochę w kratkę. Latem było więcej pracy w polu, więc czasu na naukę nie było zbyt wiele. Ale zimą to po kilka godzin dziennie siedzieliśmy w szkole. Szkoła siedmioklasowa była w sąsiedniej ukraińskiej wsi. Jednak mało kto kończył siedem klas. Ze wsi do gimnazjum nikt nie chodził, a przynajmniej nikt kogo znałam. Trzeba było pomagać w gospodarstwie.

[1] Kolonia Ugły (Uhły) - gmina Stepań, powiat kostopolski - kolonia polska z nielicznymi kolonistami niemieckimi (w 1940 roku władze sowieckie na ich miejsce osiedliły 5 rodzin białoruskich). W 1943 roku kolonia liczyła około 320 mieszkańców. Liczba ofiar zbrodni nacjonalistów ukraińskich wyniosła 104 Polaków. W miejscu, gdzie stała w Ugłach kaplica, pochowano 72 ofiary w zbiorowej mogile (w: E.Siemaszko, W. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane*..., s. 302-303).

Zdjęcie ślubne - Janina i Feliks Grabka, 1929 r.

Ugły nie były jakąś odludną wioską. Co prawda do miasta Sarny, gdzie znajdował się kościół i cmentarz, było osiemnaście kilometrów, a do naszej gminy Stepań dwadzieścia dwa kilometry. Dopiero kilka lat przed wybuchem wojny postawiono w Ugłach małą kaplicę.

Pamiętam, że raz czy dwa razy w tygodniu przyjeżdżał do nas listonosz. Oprócz listów przywoził też gazety i książki z biblioteki. Gdy dostawaliśmy książkę, to schodzili się sąsiedzi i ja im czytałam. Wtedy to była dla nas rozrywka. Nie było radia, więc jakoś trzeba było wolny czas sobie organizować.

Większość mieszkańców miała swoje gospodarstwa. Była też u nas taka mała fabryczka smoły i terpentyny. Jak przyszła zima, to chłopi, w tym mój ojciec, wozili z lasu drewno do tej fabryczki. Moja mama była bardzo zaradna i obrotna. Zawsze myślała, jak tu nam polepszyć los. Chciała, abyśmy mieli lepsze warunki niż ona sama. Jak się dowiedziała, że właściciel sklepu spożywczego w naszej wsi chce go sprzedać, to uparła się, żeby go kupić. Zazwyczaj sklepy po wsiach mieli Żydzi, ale u nas właścicielem był Polak. Mama zapożyczyła się po sąsiadach i kupiła sklep. Ponieważ mój tato był legionistą[2], miał prawo trzymać w sklepie alkohol i papierosy. Mama jeździła do miasta do znajomych Żydów. Brała od nich towar na weksel, a płaciła po sprzedaży. Od chwili, gdy mama zajęła się sklepem, nasza sytuacja materialna bardzo się polepszyła. Na dwa lata przed wybuchem wojny mój tato razem z moim kuzynem zaczęli prowadzić w Stepaniu restaurację. Ja im w tym pomagałam i do samej wojny mieszkałam w mieście. Tam też chodziłam do jednej krawcowej na kurs szycia. Później się okazało, że dzięki temu mogłam przeżyć ostatni rok wojny. Jak weszli Sowieci[3], tato musiał zamknąć restaurację i wróciliśmy na wieś. Po kilku dniach Sowieci przejęli też sklep mojej mamy i od tej pory mieliśmy tylko gospodarkę.

Sowieci zaraz po zajęciu naszej wsi mianowali swojego sołtysa. Nie pamiętam, aby stosowali represje. Owszem, wiosną 1940 roku wywieziono kilka rodzin, ale były to pojedyncze przypadki. Po ataku Niemców w lasach pojawiła się sowiecka partyzantka. Partyzanci bardzo często przychodzili do naszej wsi po żywność i odzież. W zamian bronili nas

[2] Legionista - żołnierz walczący w czasie I wojny światowej.

[3] Wkroczenie wojsk sowieckich nastąpiło 17 września 1939 roku.

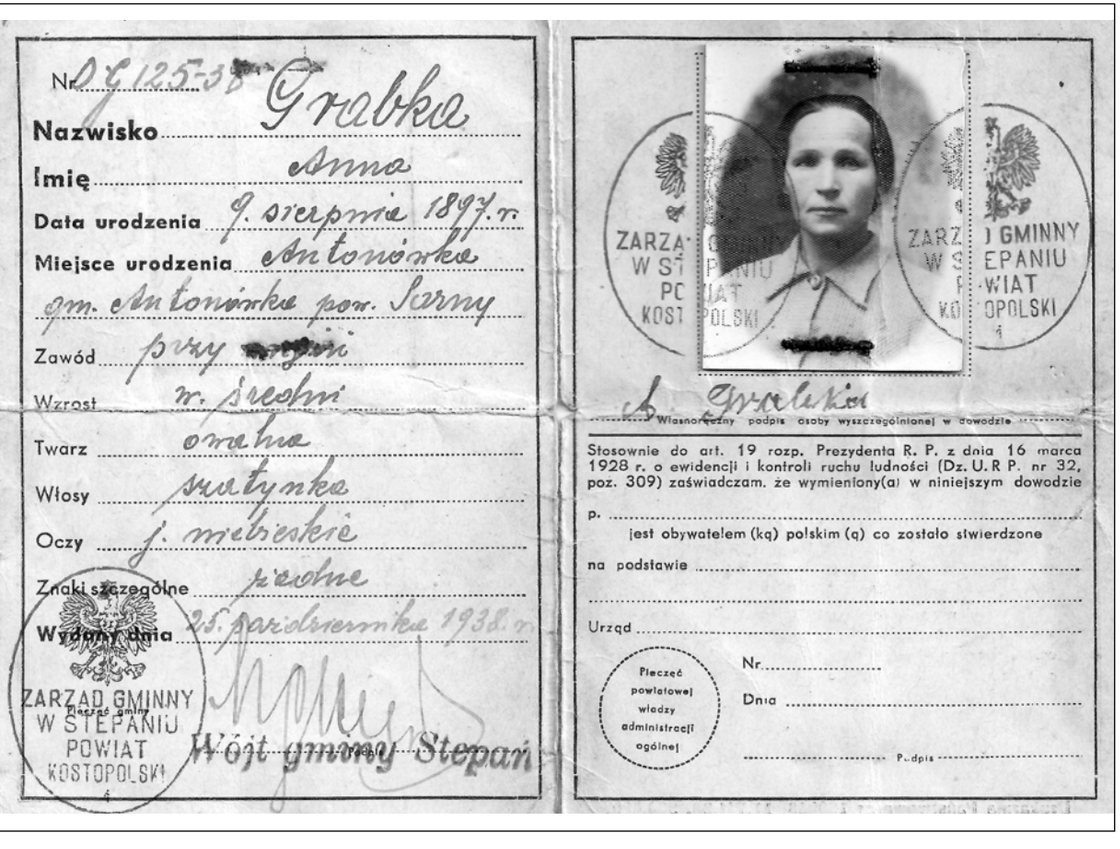

Nr DG 125-38

Nazwisko Grabka

Imię Anna

Data urodzenia 9. sierpnia 1897 r.

Miejsce urodzenia Antonówka

gm. Antonówka pow. Sarny

Zawód przy [redacted]

Wzrost w. średni

Twarz owalna

Włosy szatynka

Oczy j. niebieskie

Znaki szczególne żadne

Wydany dnia 25. października 1938 r.

ZARZĄD GMINNY W STEPANIU POWIAT KOSTOPOLSKI

Pieczęć gminy

Wójt gminy Stepań

ZARZĄD GMINNY W STEPANIU POWIAT KOSTOPOLSKI

ZARZĄD GMINNY W STEPANIU POWIAT KOSTOPOLSKI

A. Grabka

Własnoręczny podpis osoby wyszczególnionej w dowodzie

Stosownie do art. 19 rozp. Prezydenta R. P. z dnia 16 marca 1928 r. o ewidencji i kontroli ruchu ludności (Dz. U. R P. nr 32, poz. 309) zaświadczam, że wymieniony(a) w niniejszym dowodzie

p. .....

jest obywatelem (ką) polskim (q) co zostało stwierdzone

na podstawie .....

Urząd .....

Pieczęć powiatowej władzy administracji ogólnej

Nr .....

Dnia .....

Podpis .....

Dowód osobisty Anny Grabki, mamy Feliksy - wydany 25 października 1938r.

przed Niemcami. Niechęć Ukraińców do Polaków wzrosła po wkroczeniu Niemców. Tym bardziej, że sami Niemcy stworzyli ukraińską policję, która szykanowała Polaków. Ukraińscy księża też buntowali ludność przeciw nam. Nie podobało im się, że niektórzy z Polaków żenili się z Ukrainkami albo odwrotnie. Były przypadki, że Ukrainiec, który wziął Polkę za żonę, miał nakazane, aby ją zabił, a jeżeli nie chciał, to sam ginął. Starzy Ukraińcy odnosili się do nas przychylnie. Bardzo często nawet ostrzegali przed napadami. Gdy zaczęło być już bardzo niebezpiecznie, dużo Polaków uciekło do miasta. Jednak ponad połowa została na swoich gospodarkach. Zostały utworzone takie drużyny samoobrony, które patrolowały okolicę wioski po zmroku. W lasach zostały zbudowane takie budy, do których mieliśmy uciekać, gdyby nas napadli. Napad nastąpił w maju 1943 roku[4]. Sam napad nie był dla nas zaskoczeniem. Poprzedniego dnia wieczorem przyszedł do nas ukraiński sąsiad, niestety nie pamiętam jego nazwiska i ostrzegł nas, że nad ranem będzie napad. Około szóstej rano mama pobudziła nas wszystkich i kazała się szybko ubierać. We wsi było już słychać strzały. Strzelano od strony smolarni znajdującej się na drugim końcu wioski. Razem z rodzeństwem pobiegliśmy do lasu, a mama z tatą zostali w obejściu. Musieliśmy przebiec przez pole, a potem jeszcze przez łąkę. Gdy byliśmy w połowie łąki, Ukraińcy nas zobaczyli i zaczęli strzelać. Na szczęście niedaleko był rów, w którym się schowaliśmy. Gdy przestali strzelać, pobiegliśmy do lasu. Tam byli już inni sąsiedzi. Po jakimś czasie przyszła jedna z naszych sąsiadek i powiedziała, że moi rodzice nie żyją. Po kilku godzinach, gdy nie było już słychać strzałów, wróciliśmy do wsi. Nasz dom był kompletnie spalony. W obejściu zastaliśmy już mojego młodszego brata, który tego dnia był na warcie. Nasz dom stał przy drodze, która w jedną stronę prowadziła do Sarn, a w drugą do centrum wsi i dalej na stację kolejową. Rodzice zdążyli jeszcze zaprzęgnąć do wozu konie. Powynosili z domu wszystko, co się dało i zapakowali na wóz. Gdyby pojechali w stronę miasta, to pewnie by przeżyli, ale oni pojechali w kierunku stacji kolejowej. Rodziców znaleźliśmy w środku wioski. Mama była bardzo pokłuta bagnetami, a tatę trafiła kula prosto w twarz. Około jedenastej przyjechali

[4] „12 maja 1943 roku „pierwsza sotnia" UPA pod dowództwem „Jaremy" uderzyła na kolonię Ugły. Miejscowość najpierw ostrzelano pociskami zapalającymi, po czym zaatakowano. (...) Spośród około 320 mieszkańców wsi zginęło ponad stu ludzi." (w: Grzegorz Motyka *Od rzezi wołyńskiej do akcji „Wisła"*, s.118-119).

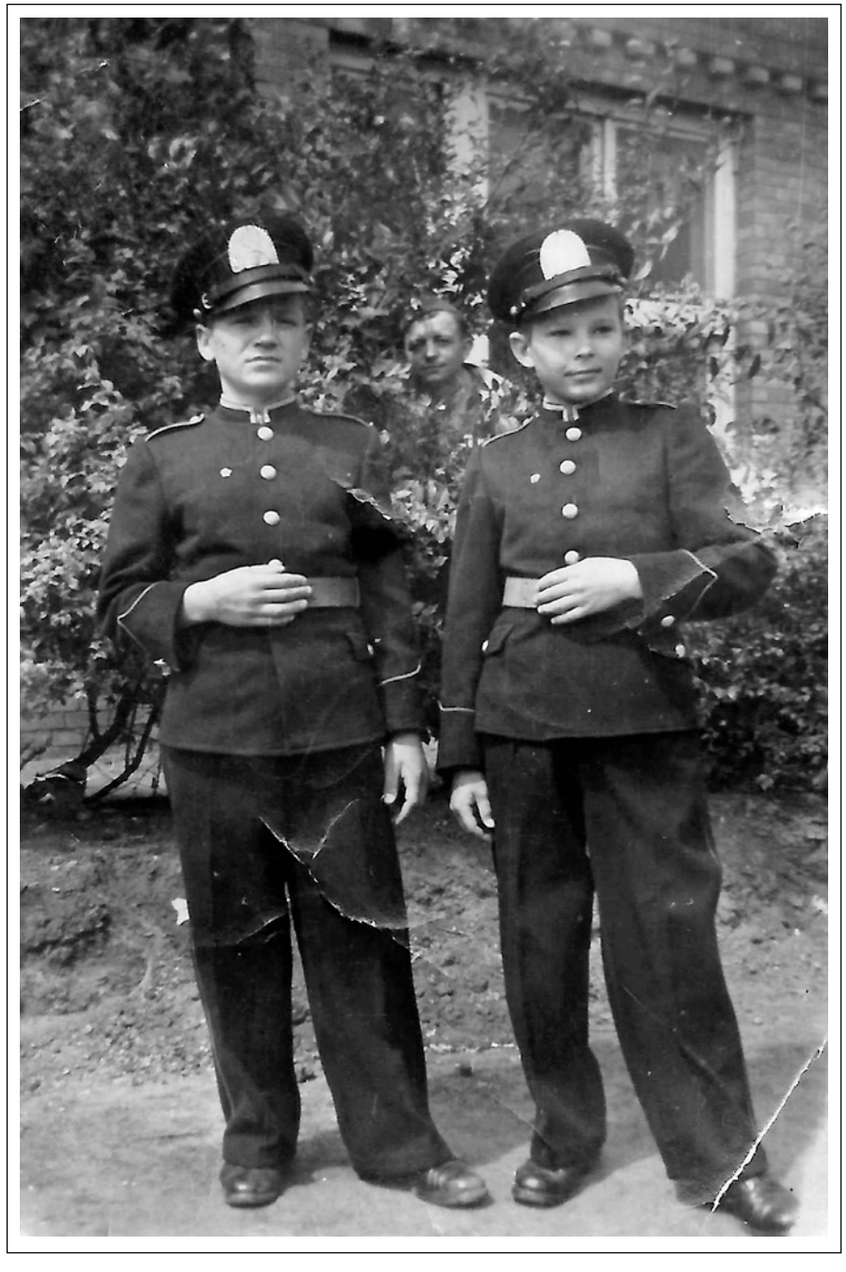

Longin Grabka (po lewej) z kolegą, Szkoła Kadetów, Warszawa 1946 r.

samochodem niemieccy żołnierze. Pozbierali rannych i zabrali ich do miasta. Dokładnie nie pamiętam ilu było rannych i zabitych, ale było ich bardzo dużo. Większość została zamordowana bagnetami, siekierami albo widłami. Nie wszyscy bandyci mieli broń. Poza tym wśród napadających byli również zwykli chłopi z pobliskich wsi. Tych, którzy zginęli, pochowano w zbiorowym grobie obok kaplicy. Niemcy, jak odjeżdżali, to jeszcze zebrali całe bydło, co się pasło i popędzili do miasta. My też jeszcze tego samego dnia poszliśmy do Sarn. W mieście było bardzo dużo pustych mieszkań po Żydach, więc ze znalezieniem mieszkania nie było kłopotu. Gorzej było z pracą. Mój młodszy brat poszedł do polskiej policji organizowanej przez Niemców, ale po kilku tygodniach uciekł do partyzantów. Ja trochę sprzątałam u niemieckich kolejarzy. Niemcy z tego bydła, jakie spędzili do miasta, dali każdej rodzinie po jednej krowie. Dzięki temu mieliśmy mleko. Poza tym razem z kuzynką chodziłyśmy do Ugieł na nasze pole, gdzie było posiane zboże i posadzone ziemniaki. Dzięki temu jakoś udało nam się przeżyć. Po wkroczeniu Sowietów dorabiałam sobie szyciem dla nich ubrań. Za uszycie czapki dostawałam pół litra, a to można było wymienić na bochenek chleba.

Gdy zaczęto organizować transporty repatriacyjne, to pierwszym z nich wyjechaliśmy do Polski. Najpierw zawieziono nas na Śląsk, ale tam nie chcieliśmy zostać. Po kilku dniach dojechaliśmy do Kwidzyna, gdzie byliśmy około tygodnia. Wreszcie w połowie maja 1945 roku przywieziono nas do Prabut. Miasto, zwłaszcza centrum, było bardzo zniszczone, ale było też sporo całych domów. Najpierw razem z kuzynką zajęłyśmy dom na ulicy Kuracyjnej, a po tym, jak mój narzeczony wrócił z wojska i wzięliśmy ślub, zamieszkaliśmy na Kolonii (dzielnicy Prabut). Jednak on koniecznie chciał mieć gospodarkę i po pewnym czasie przeprowadziliśmy się na ulicę Kisielicką, gdzie otrzymaliśmy gospodarstwo.

Pierwsze lata wspominam jako dość ciężkie. Prawie niczego nie było. Wszystko, od ziarna do zasiewu po nawozy, trzeba było załatwiać. Jednak jakoś sobie dawaliśmy radę. Wychowaliśmy i wykształciliśmy dzieci. Po śmierci męża zdałam gospodarkę i przeszłam na rentę rolniczą.

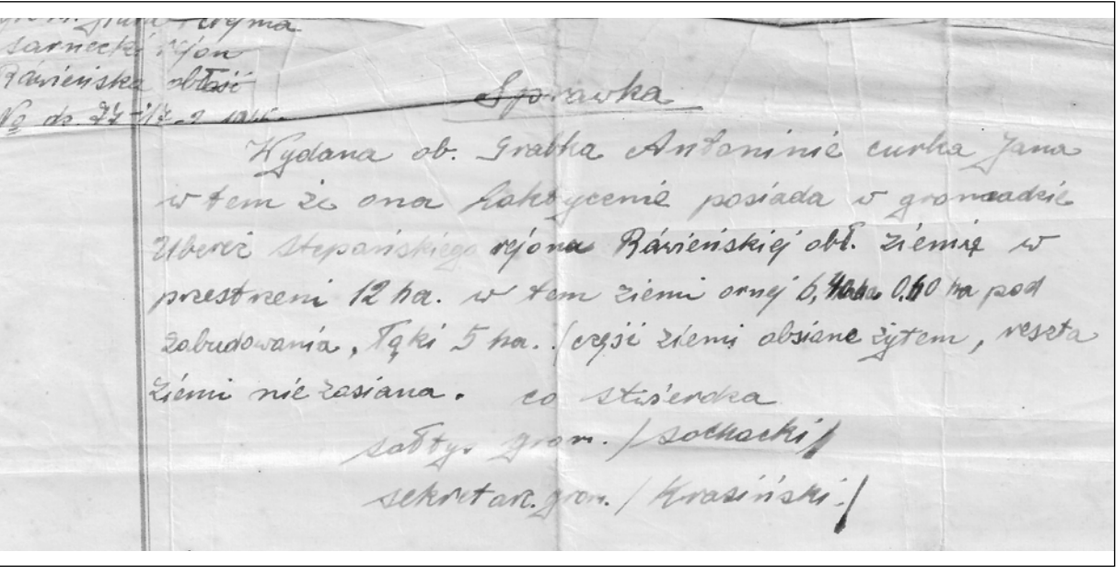

Zaświadczenie o posiadaniu ziemi.

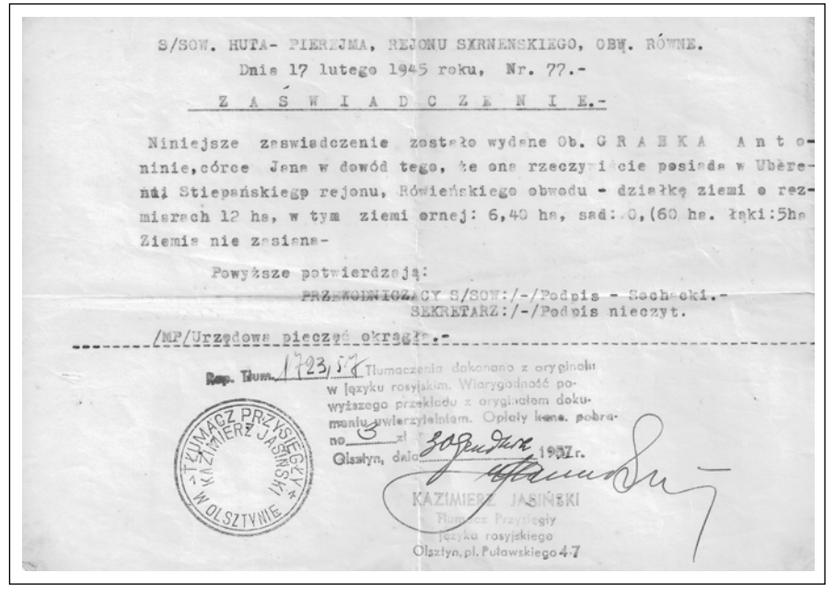

S/SOW. HUTA- PIERZEJMA, REJONU SARNENSKIEGO, OBW. RÓWNE.

Dnia 17 lutego 1945 roku, Nr. 77.-

Z A Ś W I A D C Z E N I E.-

Niniejsze zaswiadczenie zostało wydane Ob. G R A B K A A n t o-
ninie, córce Jana w dowód tego, że ona rzeczywiście posiada w Ubère-
ni Stiepańskiegp rejonu, Równieńskiego obwodu - działkę ziemi o rez-
miarach 12 ha, w tym ziemi ornej: 6,40 ha, sad: 0,(60 ha. łąki:5ha
Ziemia nie zasiana-

Powyższe potwierdzają:

PRZEWODNICZĄCY S/SOW:/-/Podpis - Sochacki.-
SEKRETARZ:/-/Podpis nieczyt.

/MP/Urzędowa pieczęć okręgu.-

Rep. Tłum. 1723/57 Tłumaczenia dokonano z oryginału w języku rosyjskim. Wiarygodność powyższego przekładu z oryginałem dokumentu zaświadczam. Opłaty kons. pobrano 5 zł 30 grudnia 1957 r.

Olsztyn, dnia

TŁUMACZ PRZYSIĘGŁY KAZIMIERZ JAŚNIŃSKI W OLSZTYNIE

KAZIMIERZ JAŚNIŃSKI
Tłumacz Przysięgły
języka rosyjskiego
Olsztyn, pl. Pułaskiego 4-7

Zaświadczenie o posiadaniu ziemi.

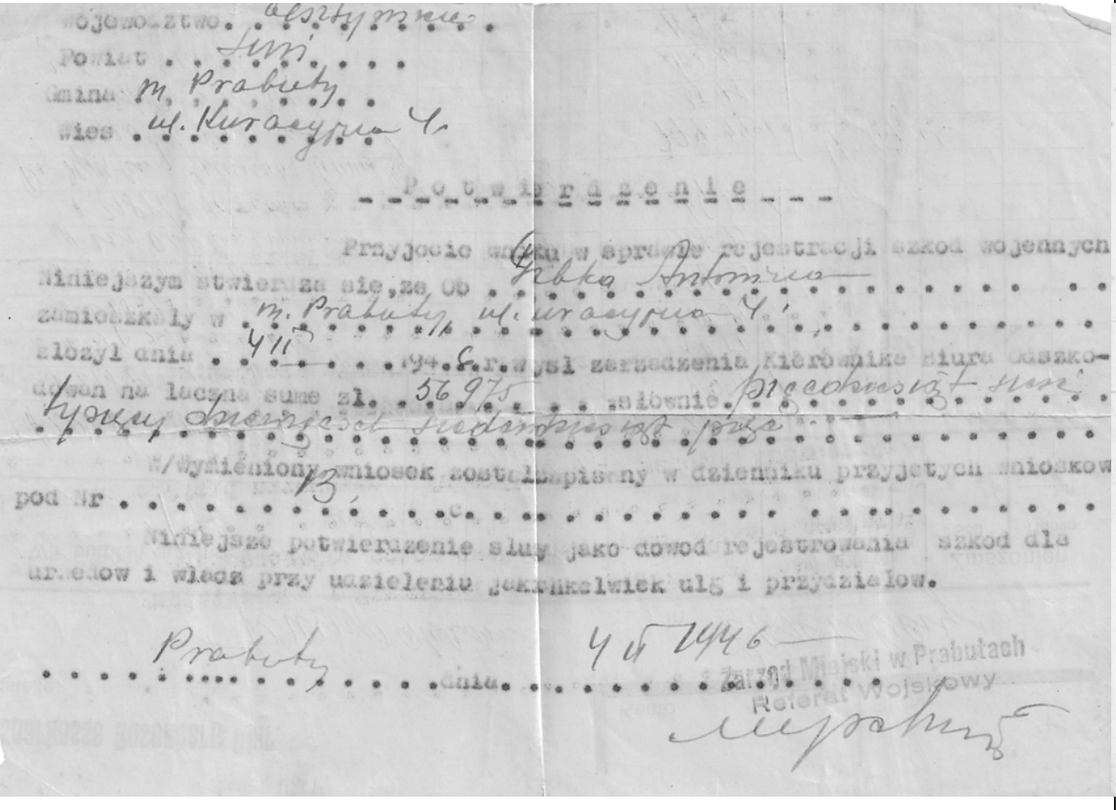

Wojewodztwo olsztyńskie
Powiat Sini
Gmina m. Prabuty
Wieś ul. Kuracyjna 4

Potwierdzenie

Przyjęcie wniosku w sprawie rejestracji szkód wojennych

Niniejszym stwierdza się, że Ob. Grabka Antonina zamieszkały w m. Prabuty ul. Kuracyjna 4 złożył dnia 4/II 1946 r. wysł zarządzenia Kierownika Biura Odszkodowań na łączną sumę zł. 56975 słownie pięćdziesiąt sześć tysięcy dziewięćset siedemdziesiąt pięć

W/wymieniony wniosek został zapisany w dzienniku przyjętych wniosków pod Nr 13

Niniejsze potwierdzenie służy jako dowód rejestrowania szkód dla urzędów i władz przy udzieleniu jakichkolwiek ulg i przydziałów.

Prabuty dnia 4 II 1946

Zarząd Miejski w Prabutach
Referat Wojskowy

Potwierdzenie przyjęcia wniosku w sprawie rejestracji szkód wojennych.

S/SOW. HUTA-PIEREJMA. REJONU SARNENSKIEGO, OBWODU ROWIEŃSKIEGO

Dnia 17 kwietnia 1945r.-

Niniejszy akt został sporządzony o tym, że u mieszkanki s/sow.Huta-Pierejma, rej. Sarny, obw.Równe - G R A B K A A n t o n i n y, córki Jana zostało rozgrabione przez bandy hitlerowskie - bulbowskie mienie ruchome i nieruchome, a mianowicie:

1/Dom mieszkalny, drewniany, pobudowany w 1927r.	wartości....	10,000ru
2/Budynki gospodarcze, gumno, chlew, skład	wartości....	25.000ru
3/Dwa konie, w wieku 8 lat oraz nowy wóz.....	wartości....	25.000ru
4/ Uprząż na konie.....	wartości....	1.500ru
5/Dwie krowy w wieku po 5 lat każda.....	wartości....	20.000ru
6/Dwie jałówki -roczne	wartości....	6.000ru
7/Jednego wieprza, 2 letniego, wagi 34kg.....	wartości	8.000ru
8/10 kur.....	wartości....	1.000 r
9/Inwentarz gospodarczy./sobie,.brona,sieczkar/.	wartości....	20.000ru
10/Rower, seperator mleczny	wartości....	9.000ru
11/Parnik, wagi duże i małe	wartości....	5.000ru
12/Całkowite umeblowanie mieszkania.....	wartości....	18.000ru

Powyższe potwierdzają: Przewodniczący S/Sow./-/Podpis Sochacki
SEKRETARZ:/-/Podpis nieczyt. /MP/Urzędowa pieczęć okrągła.-

Rep. Tłum. 1724/57 Tłumaczenia dokonano z oryginału w języku rosyjskim. Wiarygodność powyższego przekładu z oryginałem dokumentu uwierzytelniam. Opłaty konc. pobrano 3 zł

Olsztyn, dnia 30 grudnia 1957 r.

TŁUMACZ PRZYSIĘGŁY KAZIMIERZ JASIŃSKI W OLSZTYNIE

KAZIMIERZ JASIŃSKI
Tłumacz Przysięgły
języka rosyjskiego
Olsztyn, pl. Puławskiego 4-7

Akt potwierdzający rozgrabienie mienia przez bandy hitlerowskie na terenie posiadłości Antoniny Grabki.

RZECZPOSPOLITA POLSKA

Województwo Poleskie

Powiat Sarneński

Gmina

Rz.-Kat. Parafja Sarneńska

Miasto Sarny

~~Wieś~~

Poczta Sarny

Do wojskowości Ksiąg ludności

№ 66 aktu.

Rok 1921

ŚWIADECTWO URODZENIA

Wydane na zasadzie ksiąg metrycznych

Zaświadczam, że Antonina Grabkówna

w Uglach tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego

dnia 24 sierpnia 1921 r. 1921 r.

z ojca Jana Grabki

z matki Anny z domu Ugorowo

Z oryginałem zgodne:

dnia 3 m-ca czerwca 1928 r.

Prowadzący akta Stanu Cywilnego:

Proboszcz Sarneński

Świadectwo urodzenia z 1921r.

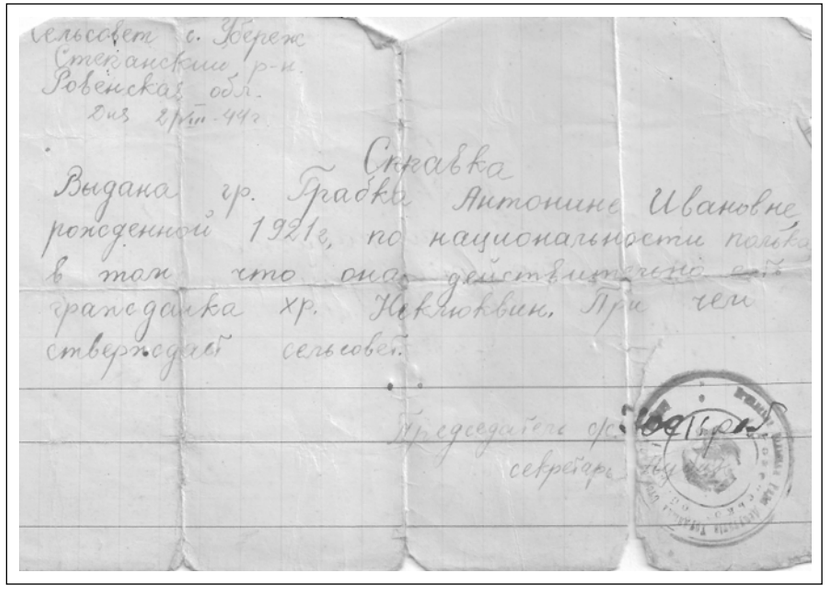

Сельсовет с. Бережн

Стеканский р-н

Ровенская обл.

Дня 2/VIII-44 г.

Справка

Выдана гр. Грабка Антонине Ивановне рожденной 1921г, по национальности полька в том что она действительно есть гражданка хр. Неклюквин. При чем стверждает сельсовет.

Председатель с/с

секретарь

Dokument z 2 VIII 1944r.

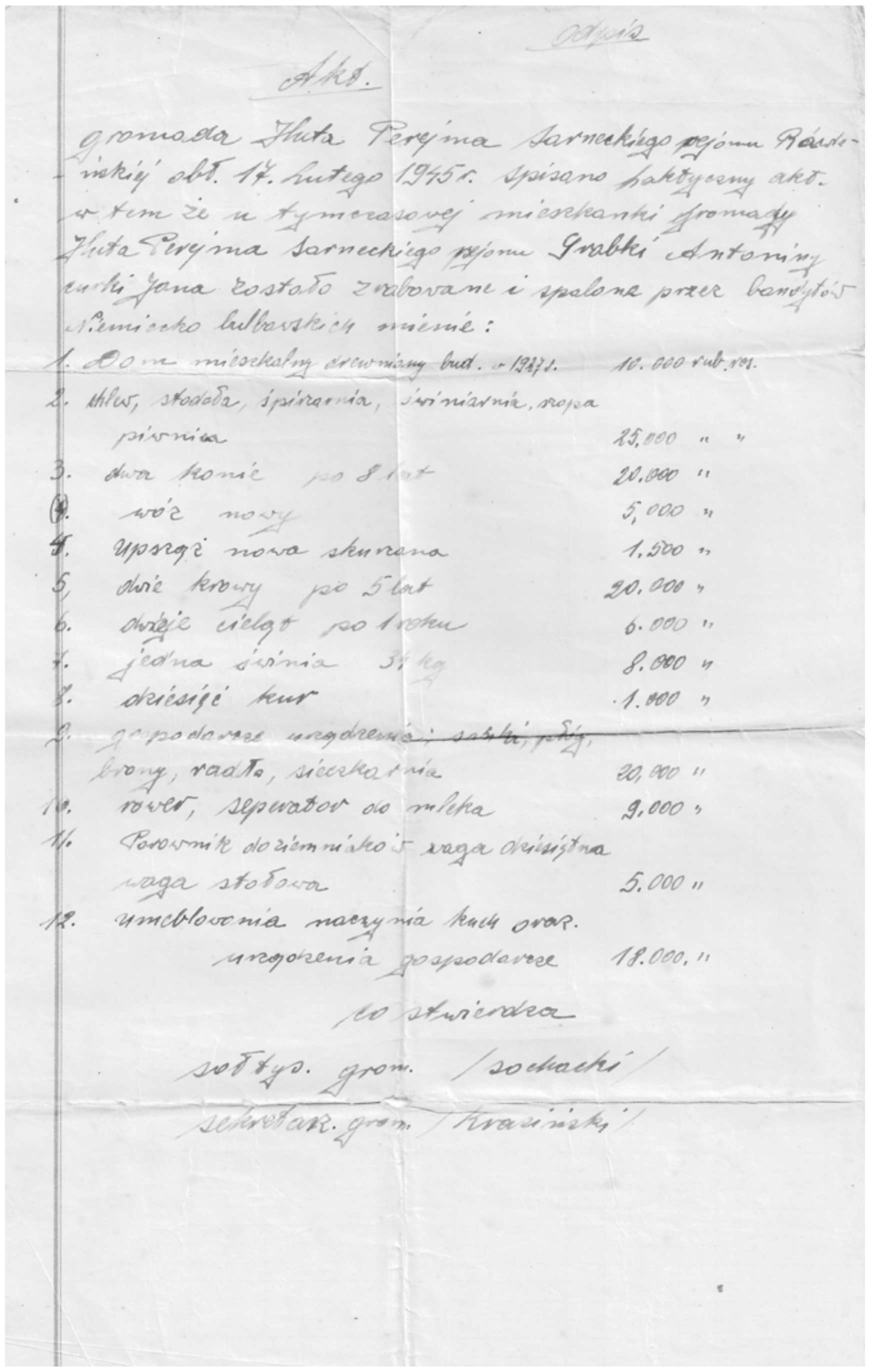

Odpis

Akt.

gromada Huta Peryma Sarneckiego rejonu Rokitniskij obł. 17. lutego 1945 r. spisano faktyczny akt. w tem że u tymczasowej mieszkanki gromady Huta Peryma Sarneckiego rejonu Grabki Antoniny córki Jana zostało zrabowane i spalone przez bandytów Niemiecko hitlerowskich mienie:

1. Dom mieszkalny drewniany bud. w 1937 r. 10.000 rub. ros.
2. chlew, stodoła, spiżarnia, świniarnia, szopa piwnica 25,000 " "
3. dwa konie po 8 lat 20.000 "
4. wóz nowy 5,000 "
4. upsząż nowa skurzana 1,500 "
5. dwie krowy po 5 lat 20.000 "
6. dwoje cieląt po 1 roku 6.000 "
7. jedna świnia 3? kg 8.000 "
8. dziesięć kur 1.000 "
9. gospodarcze urządzenia; sanki, pług, brony, radło, sieczkarnia 20,000 "
10. rower, seperator do mleka 9.000 "
11. Parownik do ziemniaków waga dziesiętna waga stołowa 5.000 "
12. umeblowania naczynia kuch oraz. urządzenia gospodarcze 18.000. "

co stwierdza

sołtys. grom. /sochacki/

sekretar. grom /Krasiński/

Akt o zrabowaniu i spaleniu mienia Antoniny Grabki przez bandytów niemieckich z 17 II 1945r.

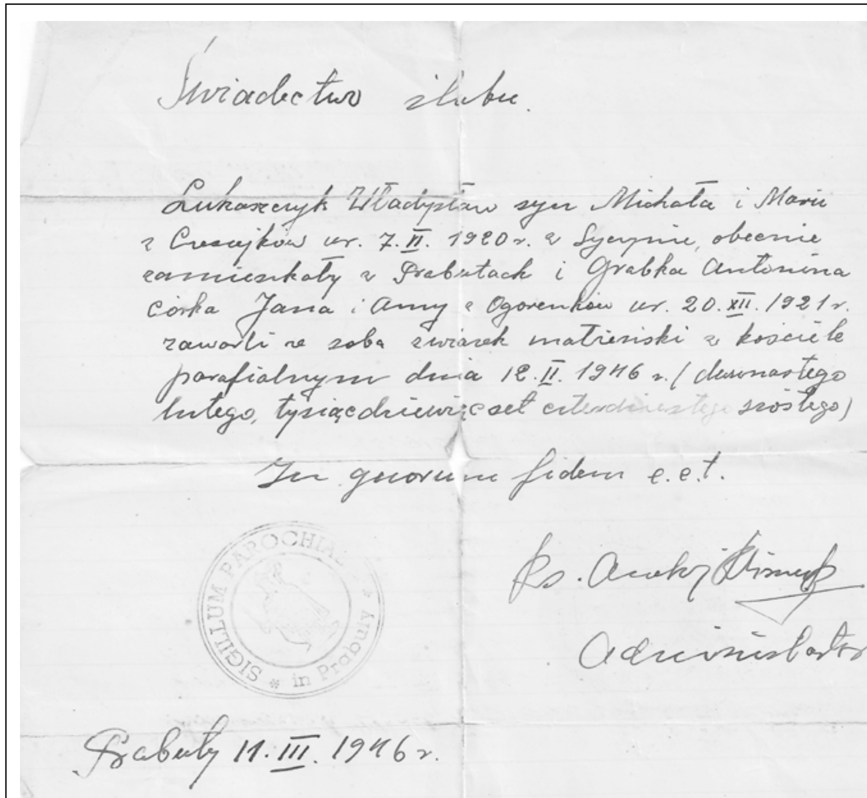

Świadectwo ślubu.

Łukaszczyk Władysław syn Michała i Marii z Cieszyków ur. 7.II.1920 r. w Szyszynie, obecnie zamieszkały w Grabutach i Grabka Antonina córka Jana i Anny z Ogorenków ur. 20.XII.1921 r. zawarli ze sobą związek małżeński w kościele parafialnym dnia 12.II.1946 r. (dwunastego lutego, tysiącdziewięćset czterdziestego szóstego)

In quorum fidem e.e.t.

Ks. Andrzej ...

Administrator

Grabuty 11.III.1946 r.

Świadectwo ślubu z 11 III 1946r.

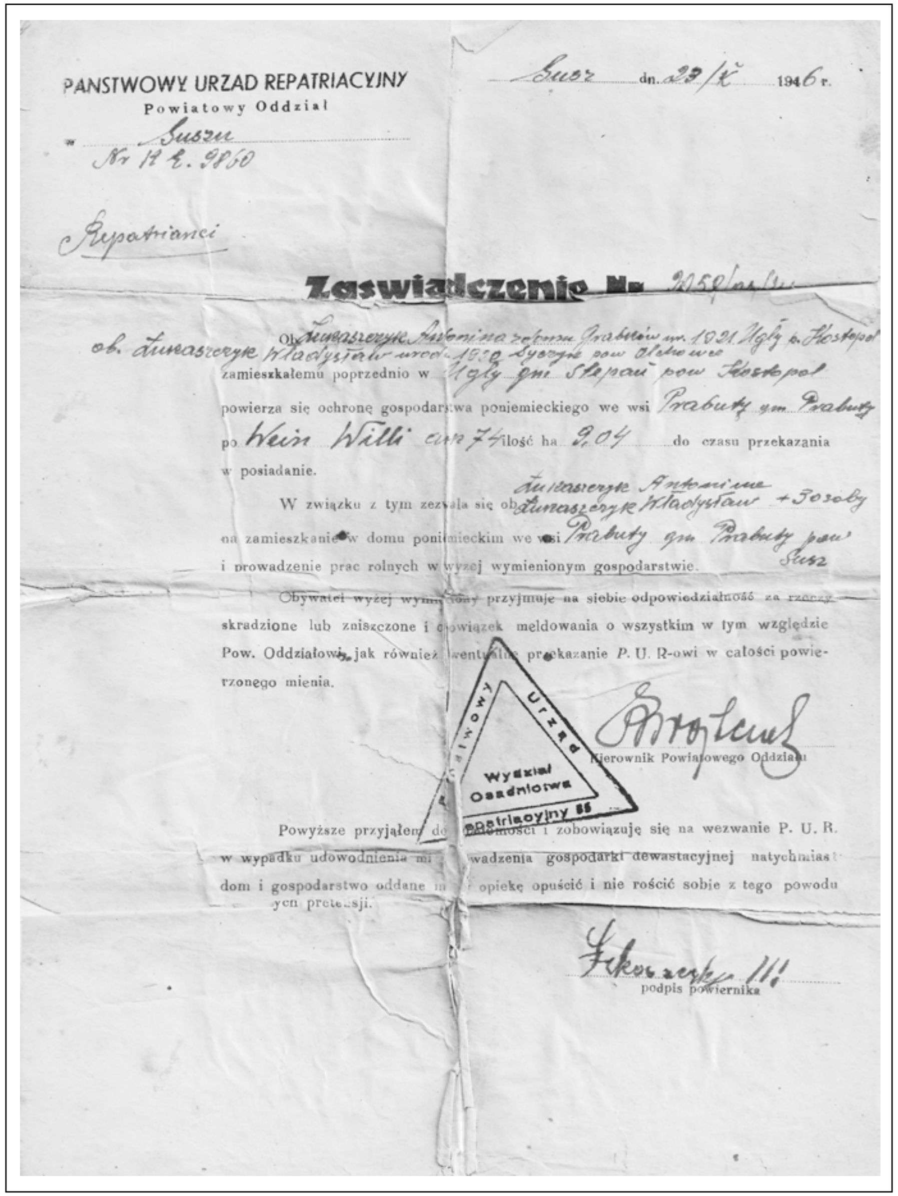

PANSTWOWY URZAD REPATRIACYJNY
Powiatowy Oddział
w Suszu
Nr R E. 9860

Susz dn. 23/X 1946 r.

Repatrianci

Zaswiadczenie Nr 9059/...

Ob. Łukaszczyk Antonina z domu Grabsiów ur. 1921 Ugły p. Kostopol
ob. Łukaszczyk Władysław urod. 1920 Szczyrze pow. ...

zamieszkałemu poprzednio w Ugły gm. Stepań pow. Kostopol

powierza się ochronę gospodarstwa poniemieckiego we wsi Prabuty gm. Prabuty

po Wein Willi ... 74 ilość ha 9.04 do czasu przekazania w posiadanie.

W związku z tym zezwala się ob. Łukaszczyk Antoninie, Łukaszczyk Władysław + 3 osoby na zamieszkanie w domu poniemieckim we wsi Prabuty gm. Prabuty pow. Susz i prowadzenie prac rolnych w wyżej wymienionym gospodarstwie.

Obywatel wyżej wymieniony przyjmuje na siebie odpowiedzialność za rzeczy skradzione lub zniszczone i obowiązek meldowania o wszystkim w tym względzie Pow. Oddziałowi, jak również ewentualne przekazanie P. U. R-owi w całości powierzonego mienia.

Kierownik Powiatowego Oddziału

Państwowy Urząd Repatriacyjny 55 Wydział Osadnictwa

Powyższe przyjąłem do wiadomości i zobowiązuję się na wezwanie P. U. R. w wypadku udowodnienia mi prowadzenia gospodarki dewastacyjnej natychmiast dom i gospodarstwo oddane mi pod opiekę opuścić i nie rościć sobie z tego powodu żadnych pretensji.

Łukaszczyk

podpis powiernika

Zaświadczenie o powierzeniu ochrony gospodarstwa poniemieckiego
Antoninie Łukaszczyk z 1946r.

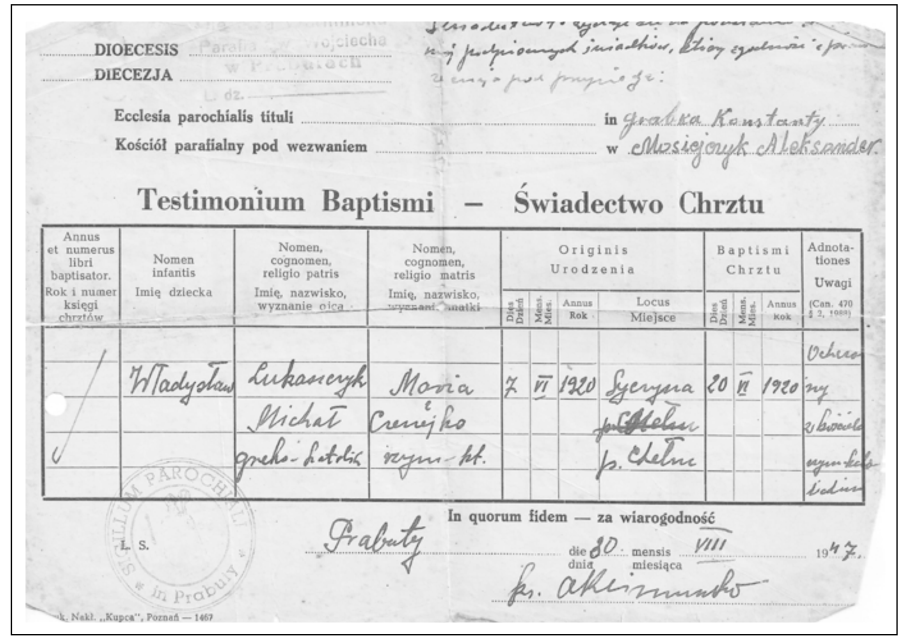

DIOECESIS Parafia św. Wojciecha
DIECEZJA w Prabutach
L. dz.

Ecclesia parochialis tituli ... in grabka Konstanty
Kościół parafialny pod wezwaniem ... w Masiejczyk Aleksander

Testimonium Baptismi — Świadectwo Chrztu

Annus et numerus libri baptisator. / Rok i numer księgi chrztów	Nomen infantis / Imię dziecka	Nomen, cognomen, religio patris / Imię, nazwisko, wyznanie ojca	Nomen, cognomen, religio matris / Imię, nazwisko, wyznanie matki	Originis / Urodzenia: Dies / Dzień	Mens. / Mies.	Annus / Rok	Locus / Miejsce	Baptismi / Chrztu: Dies / Dzień	Mens. / Mies.	Annus / Rok	Adnotationes / Uwagi (Can. 470 § 2, 1989)
/	Władysław	Łukaszczyk Michał greko-katolik	Maria Czerejko wyzn. kt.	7	VI	1920	Szczyrna p. Chełm	20	VI	1920	Ochrzczony z kościoła wyznania ...

In quorum fidem — za wiarogodność

L. S. Prabuty die / dnia 30 mensis / miesiąca VIII 1947.

ks. Aleksiejczuk

Sigillum Parochiali in Prabuty

...k. Nakł. „Kupca", Poznań — 1467

Świadectwo chrztu Władysława Łukaszczyka z dnia 30 VIII 1947r.

Barbara
Próchnicka

Jestem wnuczką Marianny Jakubowskiej, z domu Frydrych. Niestety moja babcia zmarła w 2006 roku, ale historia jej pochodzenia i życia na Kresach Wschodnich jest mi znana z opowieści.

Lekcje historii Polski i Polaków, które odbierałam w szkole podstawowej, przypadały na lata, kiedy w naszym kraju nie mówiło się otwarcie o wydarzeniach mających miejsce na Wschodnich Kresach RP w czasie II wojny światowej. Z tego powodu z wielkim niedowierzaniem słuchałam opowieści mojej babci Marysi. Próbowała ona przybliżyć mi oraz innym swoim wnukom historię naszego pochodzenia. W każdej wolnej chwili snuła opowieści ze swojego dzieciństwa, dzieciństwa do pewnego momentu bardzo szczęśliwego. Słuchałam z wielkim zaciekawieniem, jednak to, o czym mówiła babcia, było wtedy dla mnie trochę jak bajka, a zdarzenia, te tragiczne, kłóciły się z faktami, o których uczyłam się w szkole. Dopiero od niedawna otwarcie przedstawia się historię Kresowian i właściwie teraz opowieści babci składają się w logiczną całość, mogę je usystematyzować i zrozumieć, dlaczego rodzina mieszkająca przez tyle lat na Wołyniu, musiała rozpoczynać nowe życie w małej wiosce Laskowice.

Babcia Marianna Jakubowska urodziła się 8 grudnia 1928 roku we wsi Józefpole. Miała dwóch braci: starszego Tadeusza, ur. 7 X 1926 r. i młodszego Zbigniewa, ur. 20 VII 1930 r., obaj urodzeni w Katarynówce.

Matka, Karolina Frydrych z domu Adamiak, miała czworo rodzeństwa: Teklę, Antoniego, Feliksa i Marię. Pochodziła z Oleśnik, powiat Krasnystaw. Przyjechała do rodziny w okolice Sarn i tam poznała męża, Józefa Frydrycha.

Ojciec, Józef Frydrych ur. w 1899 r. w Gaju, gmina Derażne, powiat kostopolski, miał pięcioro rodzeństwa: Helenę (matkę Franciszki Dąbrowskiej), Janinę (w czasie wojny wywieziona na roboty do Rzeszy, stamtąd trafiła do Belgii, następnie do Kanady), Władysława (w czasie wojny służył w wojsku, walczył o zdobycie Berlina, osiedlił się w Prabutach), Stanisława (wywieziony na Syberię nie przeżył, jego rodzina - żona i troje dzieci, dzięki Armii Andersa, trafili do Stanów Zjednoczonych).

Rodzice Józefa to Piotr i Katarzyna (z domu Zielińska, sierota, wychowała się w domu adwokata). Pochodzili z Górnego Śląska. W czasie rozbiorów

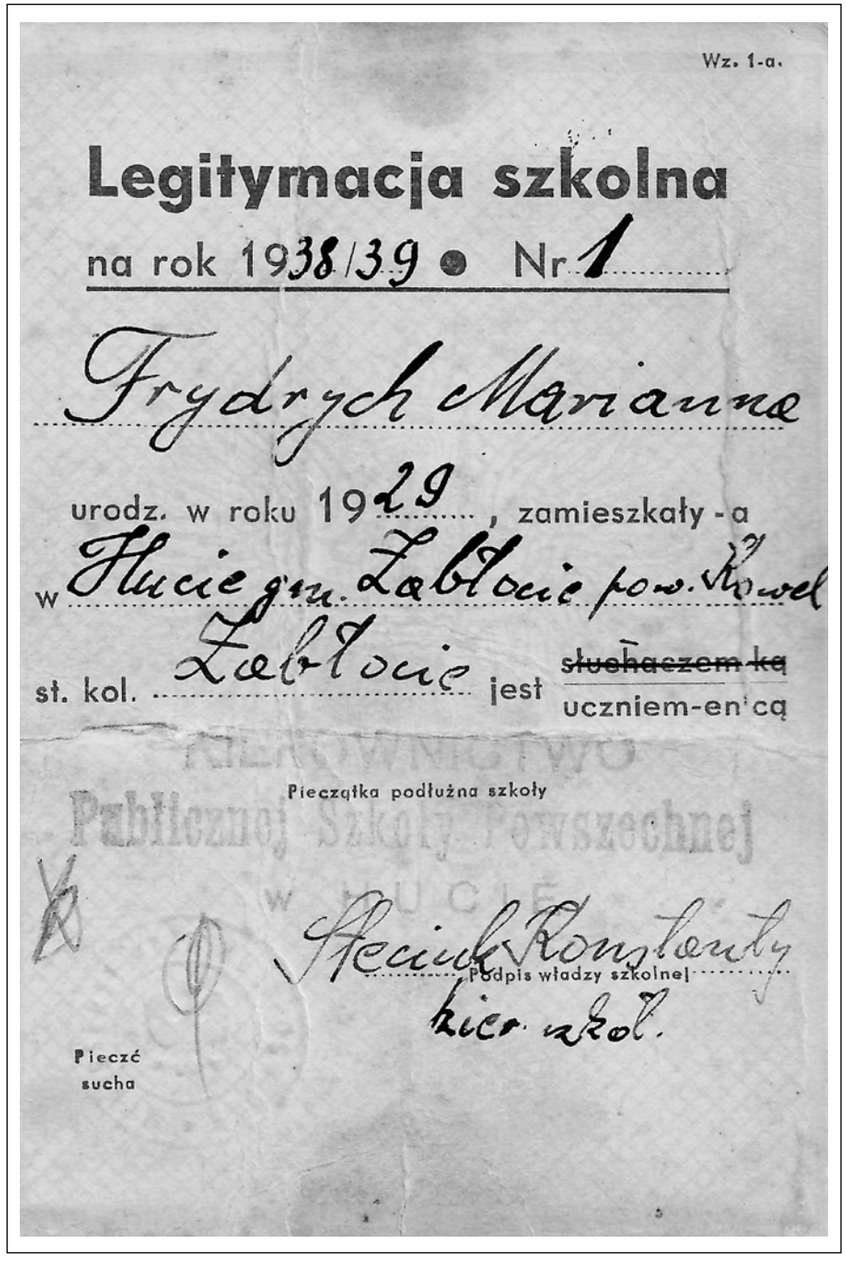

Wz. 1-a.

Legitymacja szkolna

na rok 1938/39 • Nr 1

Frydrych Marianna

urodz. w roku 1929, zamieszkały - a

w Hucie gm. Zabłocie pow. Kowel

st. kol. Zabłocie jest ~~słuchaczem-ką~~ uczniem-en'cą

Pieczątka podłużna szkoły

Publicznej Szkoły Powszechnej

w HUCIE

Stecuk Konstanty

Podpis władzy szkolnej

kier. szk.

Pieczęć sucha

Legitymacja szkolnej Marianny Frydrych.

władze austriackie nakazały im przyjęcie obywatelstwa państwa zaborczego. Nie chcieli się na to zgodzić, więc uciekli na Wołyń. Trafili do Oczerecianki, powiat kostopolski. W czasie I wojny światowej uciekali przed bolszewikami i trafili do Katarynówki (Katarzynówki), gmina Niemowicze, powiat Sarny, ale że byli Polakami, a po Powstaniu Styczniowym Polacy nie mogli kupować ziemi na Wołyniu, nikt nie chciał im jej sprzedać. Zlitował się nad nimi jeden Ukrainiec i kupił na siebie kawałek ziemi pod lasem. Później sporządził darowiznę na Katarzynę i Piotra Frydrychów. Tam urodziły się ich dzieci, żyli w dostatku i spokoju. Piotr był leśnikiem, prowadzili też gospodarstwo. Dzieci podorastały, założyły rodziny.

Po ślubie w 1925 roku Karolina i Józef Frydrych zamieszkali u rodziców Józefa w Katarynówce. Babcia opowiadała, że stał tam piękny, duży dom otoczony zabudowaniami gospodarskimi, od tyłu ogrodzony lasem. Niedługo przed II wojną światową Józef Frydrych objął gajówkę w pobliżu Katarynówki (prawdopodobnie Lipiny). Położona była w lesie. W swoim gospodarstwie hodowali konie, krowy i mniejszy inwentarz. Mieszkała z nimi matka Karoliny. Bardzo dobrze im się powodziło, zatrudniali przy pracach polowych ludzi z sąsiednich wiosek, najczęściej Ukraińców. Karolina zajmowała się głównie dziećmi, nie musiała pracować w gospodarstwie. Kilka ciekawych, często wesołych zdarzeń znam z opowiadań babci i jej braci. Mój pradziadek, jako gajowy, posiadał broń, z którą codziennie o różnych porach obchodził las. Jego młodszy syn (miał wtedy jakieś pięć lat) chciał pokazać, że jest tak odważny jak tata i zgłosił się na samotny obchód lasu wieczorem. Ojciec niepostrzeżenie wyjął z broni naboje i dał ją synowi. Była większa od niego. Gdy robiło się ciemno, wyruszył do lasu, a ojciec po kryjomu za nim. Zbyszek nie uszedł daleko, stanął na końcu ogrodzenia i trochę odczekał, po czym wrócił do domu. Oczywiście opowiadał, jak daleko zaszedł i widział kilku mężczyzn w lesie, i podobno ich przegonił. Zmyślał historię na poczekaniu. Innym razem starszy brat babci, Tadeusz, przyniósł z lasu małego pieska. Pod wieczór pokazał go rodzicom i ojciec zauważył, że to mały wilk. Było już zbyt późno na odniesienie go do lasu, postanowili przetrzymać go w domu na noc. Późnym wieczorem wilki podeszły pod gospodarstwo,

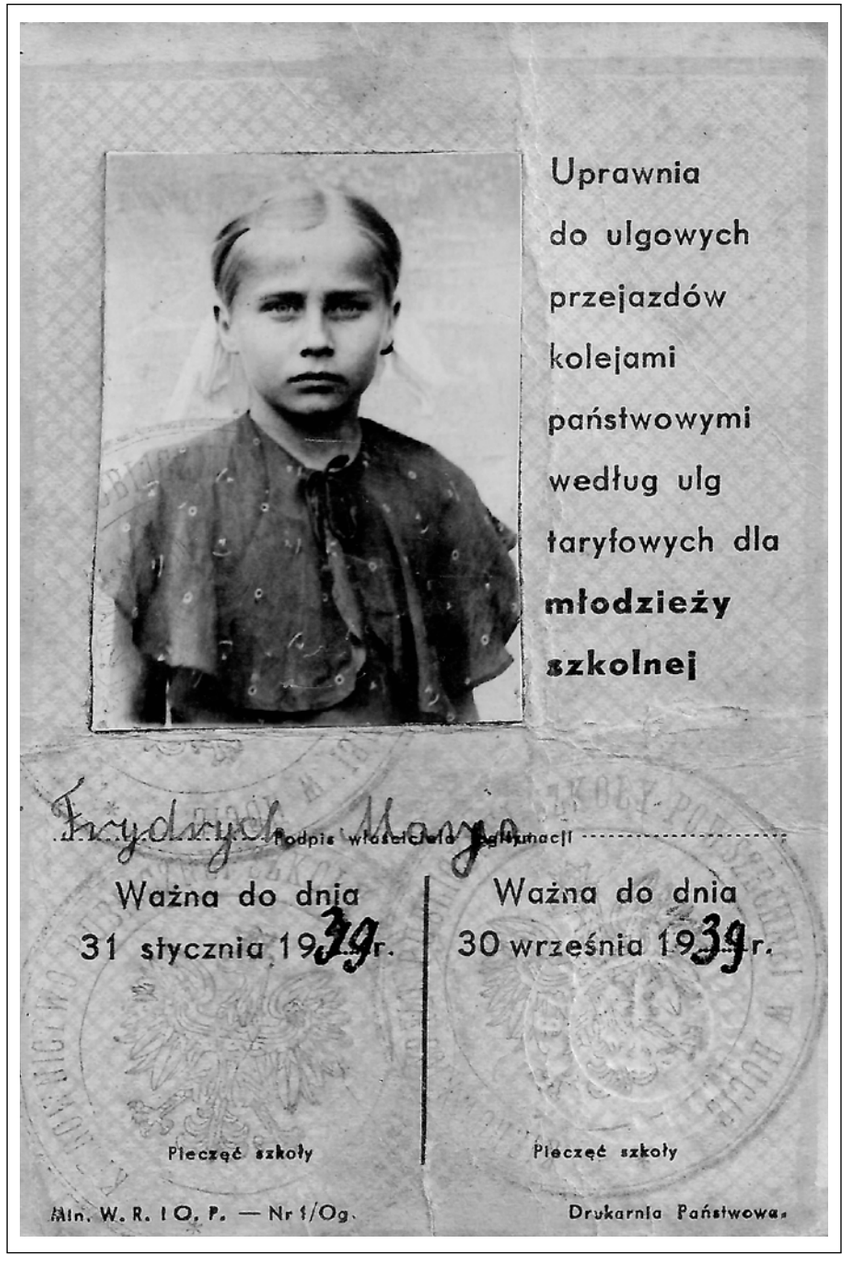

Legitymacja szkolna Marianny Frydrych, druga strona.

zaczęło się okropne wycie. Ojciec, bojąc się o rodzinę, zabezpieczył drzwi i okna domu, i nawet mając broń, nie wychodził na podwórko. Wilki uspokoiły się i odeszły od domu dopiero nad ranem. Wtedy Józef wypuścił wilczka na podwórko, aby mógł wrócić do lasu, gdzie czekała na niego wataha. Inne zdarzenie z udziałem wilków zostało nawet wtedy opisane w gazecie. Józef wyszedł na codzienny obchód. Napadła na niego wataha wilków. Gdyby nie pomoc przypadkowo przejeżdżających mężczyzn, zapewne nie przeżyłby tego spotkania. Babcia Marysia opowiadała, że wtedy w lasach było bardzo dużo wilków i trzymały się blisko zabudowań. Jak wracali wieczorami od rodziny lub z kościoła w Sarnach (zimą było już ciemno), to w bliskiej odległości słychać było wilki i widać tylko oczy świecące obok drogi. Konie bardzo często się spinały. Klacz Józefa, Kasztanka, była przyzwyczajona do takich sytuacji, pracowała z nim w lesie i mógł ją łatwo uspokoić. W ogóle babcia opowiadała, że była to bardzo mądra i wierna kobyła, i wielokrotnie mogli się o tym przekonać. Dotarła z nimi po wojnie aż do Laskowic.

Babcia Marysia na Wołyniu ukończyła sześć klas szkoły podstawowej. Gajówka, w której mieszkali, leżała dosyć daleko od wiosek i trudno by było codziennie chodzić do szkoły. Jej ojciec Józef wynajmował stancję w okolicach Zabłocia (nie wiem, czy mieli tam rodzinę, czy znajomych) i na czas nauki wywoził tam swoje dzieci wraz z teściową do opieki, by mogły się uczyć w szkole w Hucie. Do domu wracali na dłuższe przerwy oraz święta.

Ze wszystkimi sąsiadami żyło im się dobrze. Panowała zgoda, jedni drugim chętnie pomagali w polu, kobiety spotykały się wieczorami, dzieci wychowywały się razem. Nikt nie wytykał, że ktoś jest Polakiem, a ktoś Ukraińcem. Gdy zaczęły się napady band ukraińskich, dziadek nagle stał się ich wrogiem. Do niedawna Ukraińcy byli przyzwyczajeni do wolnego poboru drewna z lasu. Do tej pory nie mogli wyrażać swojego niezadowolenia z wprowadzenia ograniczeń, teraz mieli sposobność do jawnej kradzieży drewna. Józef pilnował lasu, ale nie czuł się bezpieczny, przestał wychodzić na obchody po zmroku i starał się w ogóle nigdzie nie wyruszać późną

Pierwsza Komunia Św. Marianny Frydrych.

porą. Już po rozpoczęciu wojny nie wywiózł dzieci do szkoły, pilnował obejścia dniem i nocą. Bandy ukraińskie dawały o sobie znać, wielokrotnie podjeżdżały pod gajówkę, ale zawsze coś im przeszkadzało. W tym czasie przyjechali uciekinierzy z Polski, starszy mężczyzna i czterech młodych. Leśniczy nie chciał ich przyjąć do siebie na leśniczówkę i trafili do pradziadka Józefa. Nie mówili kim są, nie ujawnili swoich nazwisk, ale dziadek podejrzewał i ze swoich obserwacji wywnioskował, że jest to dziedzic spod Warszawy z dwoma synami i znajomymi. Nie wiedział przed kim lub przed czym uciekali. Mieszkali u Józefa około trzech tygodni i zdecydowali się na wyjazd. Namawiali do tego samego Józefa. Pradziadek nie zgodził się na to, dlatego wczesnym rankiem odjechali sami. Zapewne nie ujechali daleko, ponieważ pod wieczór wrócili do gajówki. Prawie siłą namówili Józefa do wyjazdu z rodziną, wiedzieli, że w okolicy zaczęły się mordy na Polakach. Tłumaczyli, że jak nie pojadą razem, to albo jedni, albo drudzy zostaną zamordowani. Przeczekali jeszcze noc, ale pilnowali obejścia i wozów, ponieważ dom został otoczony już przez Ukraińców. Dzięki temu, że było w gospodarstwie kilku uzbrojonych mężczyzn, do napadu nie doszło. Wczesnym rankiem wyruszyli. Wiedzieli, że bulbowcy chcą zabić Józefa, dlatego jechał on na wozie dziedzica w przebraniu kobiety. Po dwóch stronach drogi stał szpaler uzbrojonych Ukraińców. Bacznie obserwowali wszystkie wozy i między sobą rozmawiali „Ni ma go". Cudem udało im się wydostać. Jak trafili nad Bug, tego nie wiem. Wiem tylko, że jechało z nimi bardzo dużo wozów z uciekinierami z różnych stron Wołynia. Przez rzekę musieli się przeprawiać, w pobliżu nie było mostu. Tu przydała się mądrość Kasztanki Józefa. Nie spanikowała i szczęśliwie dotarła na drugi brzeg. Józef nieustannie powtarzał do niej spokojnym głosem „Wio Kasztanka, wio". Po przeprawie zachorował młodszy brat babci, Zbyszek. Był leczony na wozie dziedzica i dzięki temu przeżył. Wszyscy uciekinierzy byli kontrolowani przez niemieckie wojsko. Nawoływano, aby oddać posiadaną broń i naboje. Wszyscy pozbywali się broni dla własnego bezpieczeństwa, dziadek również. Podczas dokładniejszej kontroli został przeszukany przez niemieckiego żołnierza. Przystawił mu on broń do skroni i zaczął go oklepywać. Nagle coś zabrzęczało

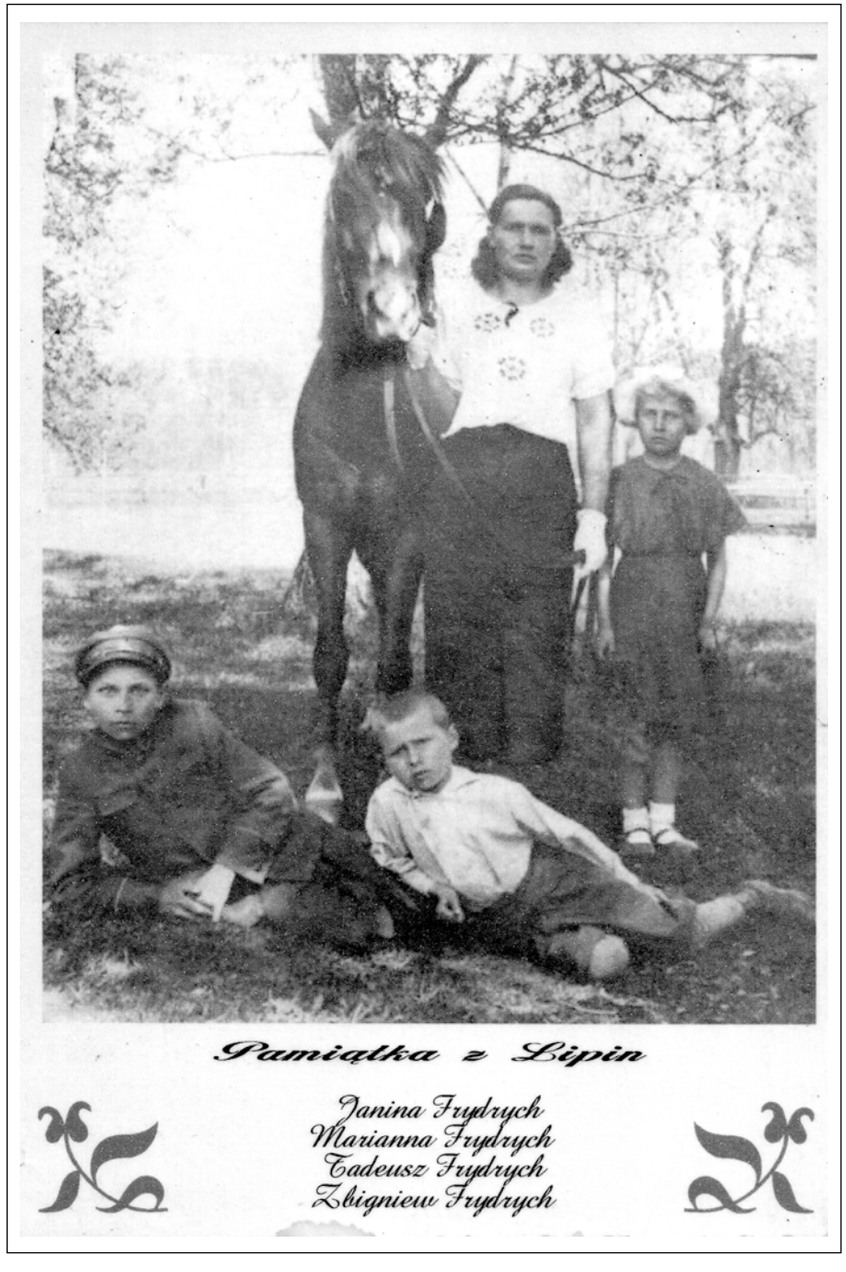

Rodzina Frydrychów - Janina, Marianna, Tadeusz i Zbigniew.

Józef Frydrych w mundurze gajowego, zdjęcie przedwojenne.

Karolina Frydrych, zdjęcie przedwojenne.

Zbigniew Frydrych, Laskowice, 1946 r.

Janina Frydrych i Leszek Walz, zdjęcie ślubne,
do którego doszło w czasie pobytu na robotach w Rzeszy.

w kieszeni. Dziadek przestraszył się, bo zawsze we wszystkich kieszeniach nosił naboje i nie był pewien, czy się ich pozbył i czy przypadkiem jakiś nie został. Na szczęście okazało się, że były to srebrne monety z Józefem Piłsudskim. W czasie drogi panował straszny głód, nikt nie mógł się nawet zatrzymać, aby szukać jedzenia. Przy drodze stacjonowało niemieckie wojsko, rozstawione były kuchnie polowe. Czasami któryś z Niemców rzucił coś na przejeżdżający wóz, nieraz była to wędzona cała szynka lub duży kawał świniaka. Niestety zdarzało się, że nie trafił, próbował ponownie, ale nie udawało się. Była to straszna udręka dla głodnych i zmęczonych ludzi.

Jechali za dziedzicem, który zabrał ich do swojego majątku pod Warszawą (wpadła mi kiedyś w uszy nazwa majątek Łuków, wieś Sobole, ale nie jestem pewna). Dopiero tam potwierdziły się podejrzenia Józefa o pochodzeniu uciekinierów. Dziedzic, z wdzięczności za gościnę i ukrywanie jego i synów, przyjął serdecznie całą rodzinę Józefa u siebie. Dał im mieszkanie i wyżywienie. W majątku stacjonowali Niemcy, których lekarz do końca wyleczył brata babci. Pradziadek opiekował się końmi w stajniach, a jego siostra Janina pomagała w kuchni przy gotowaniu obiadów dla niemieckich oficerów. Codziennie przynosiła czekolady, cukier, wysokokaloryczne jedzenie dla dzieci, aby doszły do siebie po trudnej podróży. W majątku mieszkali około miesiąca i postanowili wrócić w lubelskie do Oleśnik, ponieważ mieszkała tam rodzina prababci Karoliny. Do końca wojny mieszkali w Oleśnikach. Zaraz po ich przyjeździe dotarł do nich syn leśniczego (Leszek Walz), który opowiedział o strasznych mordach na Polakach, paleniu wsi i ucieczkach. Jego ojciec został prawdopodobnie zamordowany. Niestety jego i Janinę Frydrych wywieziono na roboty do Rzeszy. W czasie wojny wzięli ślub, po wojnie zamieszkali najpierw w Belgii, później w Kanadzie.

Po zakończeniu działań wojennych pradziadkowie dowiedzieli się, że cała rodzina z Wołynia została przesiedlona i mieszka w okolicach Prabut na Ziemiach Odzyskanych. Pradziadek Józef wraz ze swoim szwagrem Antonim Adamiakiem przyjechali, aby poszukać ziemi i gospodarstw. Trafili do Laskowic, dokąd ściągnęli całą rodzinę i wspólnie gospodarzyli. Gospodarka była duża. Dom podzielili na pół. Wspólnie korzystali z obory, stodoły

Karolina i Józef Frydrychowie, Laskowice, początek lat 60.

i magazynu zbożowego. Każdy miał po około 12 hektarów ziemi. Wokół nich mieszkali jeszcze nieliczni Niemcy, między innymi pan Bejer, który przyjaźnił się z pradziadkami. W 1951 roku moja babcia Marianna wyszła za mąż za dziadka Adama Jakubowskiego, który pochodził ze wsi Ciachcin koło Płocka. Przyjechał tu do brata mieszkającego w Kamiennej, dostał pracę w GS-ie. Babcia w tym czasie pracowała w sklepie w Laskowicach, tam się poznali. Wesele było w domu. Zaproszono również pana Bejera, któremu dzień wcześniej spalił się dom. Z pożaru uratowano tylko jeden obraz. Podarował go nowożeńcom. Obraz wisi u mnie do dzisiaj. W 1952 roku urodziła się moja mama, Teresa, wtedy przeprowadzili się do Prabut na ulicę Rolniczą. W 1954 roku urodził się syn Wiesław. Pradziadek Józef Frydrych zmarł w Laskowicach w 1969 roku. Prababcia Karolina dokończyła wtedy załatwianie formalności zdania gospodarstwa na Skarb Państwa i przeniosła się do syna Tadeusza, który mieszkał jeszcze wtedy w Laskowicach, zmarła w 1981 roku.

Dziadek, Adam Jakubowski do emerytury pracował w Gminnej Spółdzielni w Prabutach, babcia Marysia wychowywała dzieci i prowadziła gospodarstwo (m. in. wyprowadzała krowy na pastwisko na ulicy Polnej, doglądała inwentarza). Dziadek zmarł w 1997 roku, babcia dziewięć lat później.

Babcia nigdy nie chciała wrócić na Kresy, ale zawsze z tęsknotą opowiadała o życiu na Wołyniu. Przy spotkaniach ze swoimi braćmi wracali w rozmowach do lat dzieciństwa. Smucili się wtedy, ale częściej śmiali i przekomarzali, bo żal za utraconym już minął, zbudowali swoje życie na nowo. Lubili te wspomnienia.

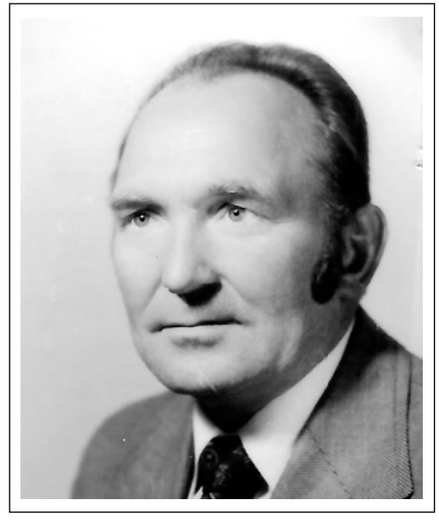

Tadeusz Puszkin

Nazywam się Tadeusz Puszkin. Jestem Synem Stanisława i Stanisławy z domu Sawickiej. Prawdziwa data mojego urodzenia to 4 września 1931 rok, ale w dokumentach widnieje data 4 września 1932 rok. Wszystko przez wojenną zawieruchę, kiedy to dokumenty ulegały zniszczeniu lub zagubieniu. Wtedy czasy były takie, że ważniejsze od ratowania dokumentów było ratowanie ludzkiego życia.

Na świat przyszedłem w majątku Zurne, gm. Berezne, pow. Kostopol. Był to majątek hr. Małyńskiego, który podarował część zabudowań na rzecz siedziby wojsk Korpusu Ochrony Pogranicza.

Mój tata urodzony w 1901 r. w Gumniskach, pow. Dębica na Podkarpaciu, po wstąpieniu w 1918 r. do wojska, został zawodowym żołnierzem 20 Pułku Ułanów w Rzeszowie, z którym przeszedł szlak bojowy aż na dalekie Kresy Wschodnie, gdzie 18 października 1920 r. dotarła wiadomość o zawieszeniu broni.

Po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej został skierowany do wojsk Korpusu Ochrony Pogranicza, batalion nr 2 Berezne - Szwadron Kawalerii nr 5 Zurne. Tam tata służył do połowy lat 30. ubiegłego wieku, kiedy to przeszedł na emeryturę. Z kolei moja mama była rodowitą Wołynianką, z dziada pradziada. Rodzice mamy mieli gospodarstwo rolne w miejscowości Zalesie, położonej kilka kilometrów od miejsca, gdzie stacjonował tata. Po emerytowaniu taty rodzice przenieśli się właśnie na to gospodarstwo.

Pierwsze moje zapamiętane wspomnienie z dzieciństwa było, że tak powiem, bardzo patriotyczne. Pamiętam, że razem z moją babcią uczestniczyliśmy w takim wiecu żałobnym po śmierci Marszałka Józefa Piłsudskiego. Było to w maju 1935 roku.

Zalesie było miejscowością mieszaną. Mieszkali tam nie tylko Polacy, ale i Ukraińcy. Przeważającą część jednak stanowili Polacy.

Zalesie sąsiadowało z najbardziej chyba polską miejscowością w tym rejonie, czyli Lipnikami, miejscem urodzin polskiego kosmonauty Mirosława Hermaszewskiego, szczęśliwie uratowanego jako półtoraroczne dziecko z mordu ludności Lipnik. W noc 25/26 marca 1943 roku zamordowano w Lipnikach 182 osoby. Mój przyjaciel Antonii Urbanowicz - Prabucianin,

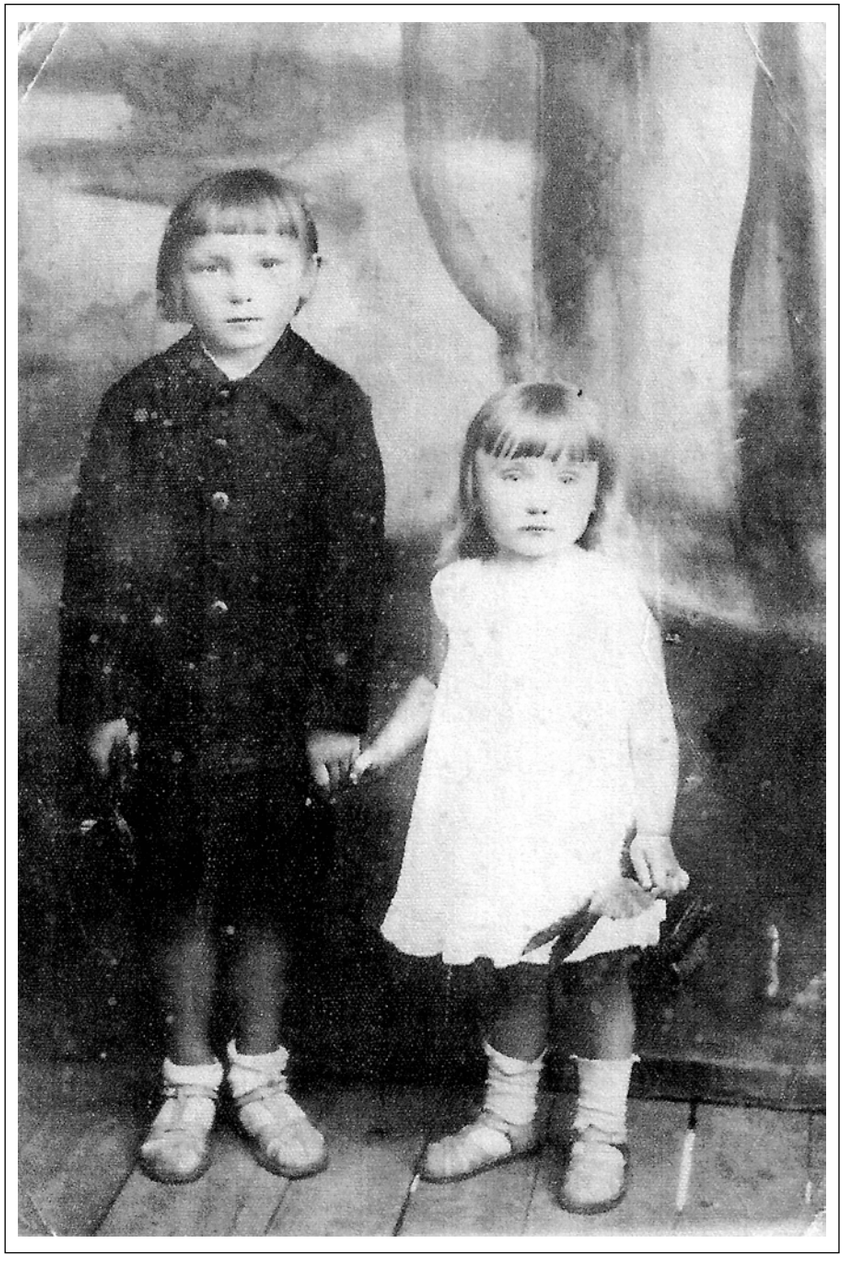

Tadeusz i Kazimiera Puszkin.

na pewno w swojej relacji o tej tragedii opowie więcej.

Większość okolicznych miejscowości była zamieszkana przez Ukraińców. Stanowili oni prawie 90% ludności.

Przedwojenne relacje Polaków z Ukraińcami wspominam pozytywnie. Sam jako dziecko chodziłem z ukraińskimi rówieśnikami do szkoły i nie przypominam sobie, aby na tle narodowościowym dochodziło do jakichś konfliktów. Owszem, były kłótnie innego rodzaju, ale nie o pochodzenie. Bardzo dobrze wspominam też kontakty mojego taty z okoliczną ludnością pochodzenia ukraińskiego.

Zajęcie naszych terenów przez wojska sowieckie było niemal natychmiastowe. Do granicy mieliśmy zaledwie kilka kilometrów. Gdy Rosjanie zorganizowali referendum o przyłączenie Ukrainy do ZSRR, większość Polaków nie wzięła w nim udziału. Rosjanie jednak dbali o nas i to komisje przyjeżdżały do polskich domów. Wiadomo było, że jeżeli ktoś zagłosował na „nie", to czekała go podróż na daleką Syberię. Tak się stało z moją ciocią Marceliną Bar, jej mężem i dziećmi, którzy w pierwszej turze, 10 lutego 1940 r. zostali wywiezieni do „archangielskiej obłasti". Po kilku latach, drogą okrężną przez Iran i Afrykę dotarli do Anglii. Niestety wujek zmarł tuż przed przekroczeniem granicy z Iranem.

Ich syn, a mój cioteczny brat, Eugeniusz Bar uniknął wywózki, bo byliśmy razem w tym dniu u naszej babci Petroneli Sawickiej. Babcia i brat całe swoje powojenne życie związali z Prabutami. Tu spoczywają ich prochy. Rodzina brata mieszka w Prabutach, Kisielicach i Iławie.

Pierwsze wydarzenie zwiastujące wołyńską tragedię miało miejsce 4 stycznia 1942 r. Wtedy doszło do pierwszego udokumentowanego mordu na Polakach. Ofiarami byli członkowie mojej dalszej rodziny. Zamordowano wtedy w Zalesiu rodziców mojego wujka, jego brata i bratową, Żarczyńskich oraz przebywającego u nich młodego Polaka, który schronił się przed Syberią.

Po tym wydarzeniu odbył się w Bereznem pogrzeb, mający znamiona manifestacji. Skutkiem tej tragedii było dążenie do ocalenia społecznego ludności polskiej, która postanowiła zorganizować oddziały samoobrony. Niemniej jednak już wtedy Polacy zaczęli uciekać do większych miast,

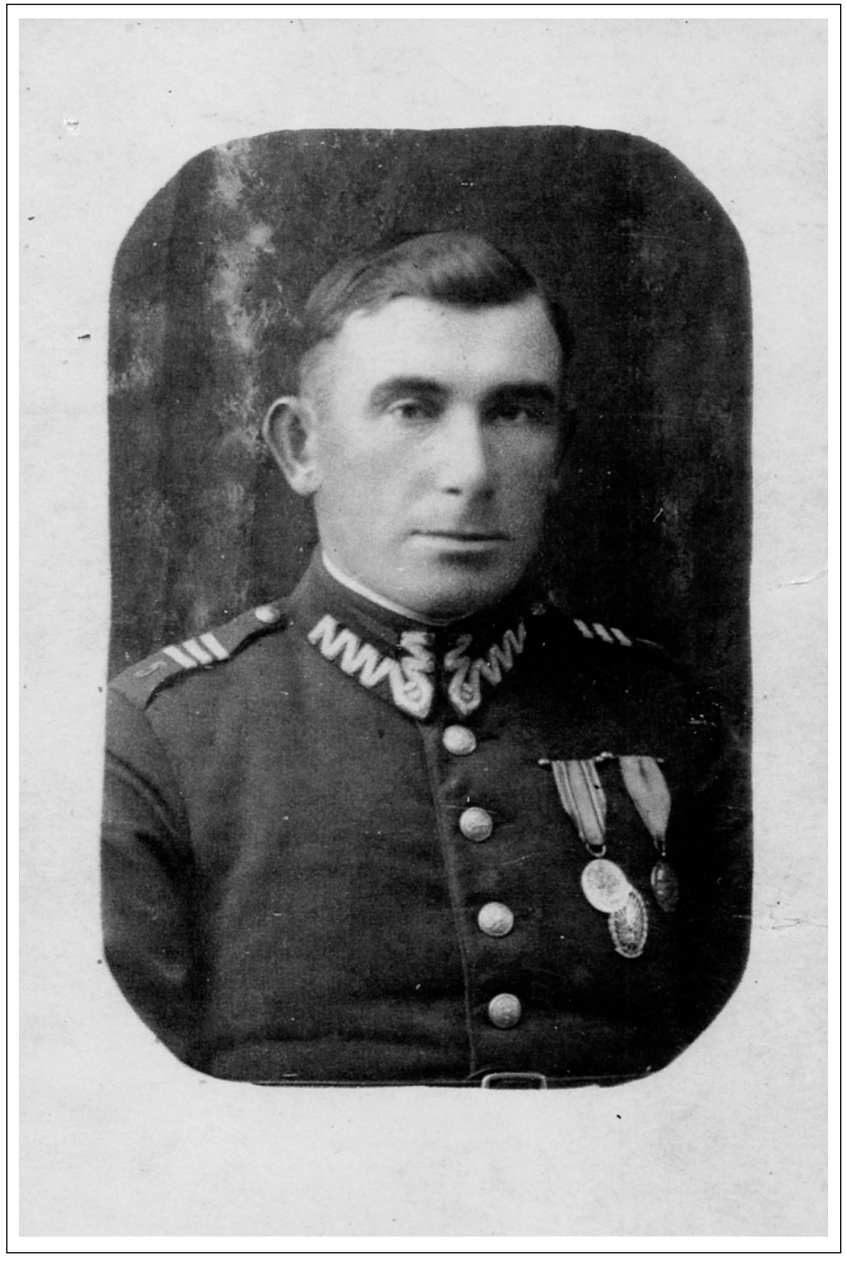

Stanisław Puszkin, Korpus Ochrony Pogranicza gm. Berezne. Rok 1931.

gdzie stacjonowały niemieckie oddziały. Ponieważ w tamtym rejonie było sporo niemieckich oddziałów, w których służyli Ślązacy, udało się z nimi nawiązać, że tak powiem, nić współpracy. Dostarczali oni broń dla polskich oddziałów samoobrony. Przybywali też na pomoc wsiom zaatakowanym przez ukraińskie bandy. To właśnie dzięki Ślązakom dwa najazdy, jakie Ukraińcy zorganizowali na miasto Berezne, nie skończyły się totalną zagładą ludności, a zginęło „zaledwie" kilkadziesiąt osób.

Ze strony władz niemieckich nie było żadnej reakcji. Polityka Niemców była wtedy bardzo pro-ukraińska, a co za tym idzie antypolska.

Doświadczyliśmy tego na własnej skórze będąc czasowo u mojej ciotki Antoniny Woźnickiej w Kostopolu. Podczas naszej wizyty Niemcy zabrali mnie, moją mamę i moją siostrę na roboty przymusowe do Rzeszy. Wieziono nas pociągiem na Zachód. Nikt nie wiedział, co nas czeka. Tak się szczęśliwie złożyło, że nasz transport jechał przez Dębicę. Jeszcze przed wojną mama z tatą byli parę razy w Dębicy i Gumniskach u rodziny ze strony taty. Udało nam się uciec z pociągu i dotrzeć do rodziny siostry taty, Józefy Szczepanik w Gumniskach. Dzięki rodzinie przeżyliśmy trudny okres. Przeżyliśmy też dramatyczne chwile podobne do wołyńskich - pacyfikację przez Niemców trzech wsi, wspierających Armię Krajową obw. Dębica. Spędzoną do zagłady ludność uratowały właśnie oddziały AK z rozkazu dowódcy zgrupowania obw. Dębica mjr. Adama Lazarowicza ps. „Klamra". Po dramatycznej ucieczce uratowaliśmy się i my.

Pamiętając 17 września 1939 r., mimo wszystko, oczekiwano nadejścia frontu. Późniejsze skutki nadejścia frontu dla członków AK były tragiczne. Opisane są przez Zbigniewa Lazarowicza w książce pt. „Klamra - mój ojciec".

W Gumniskach przebywaliśmy do sierpnia 1944. Gdy tylko nadszedł front sowiecki wyruszyliśmy na wschód do domu. Mimo że granica polsko-radziecka na rzece San była już faktem, udało nam się ją przekroczyć w wojskowym pociągu wiozącym rannych żołnierzy na wschód. Takich transportów nikt nie kontrolował. W taki sposób dotarliśmy do Kostopola, a potem do Bereznego.

Tam dowiedzieliśmy się, że tatę, który został w Bereznem, wcielono do

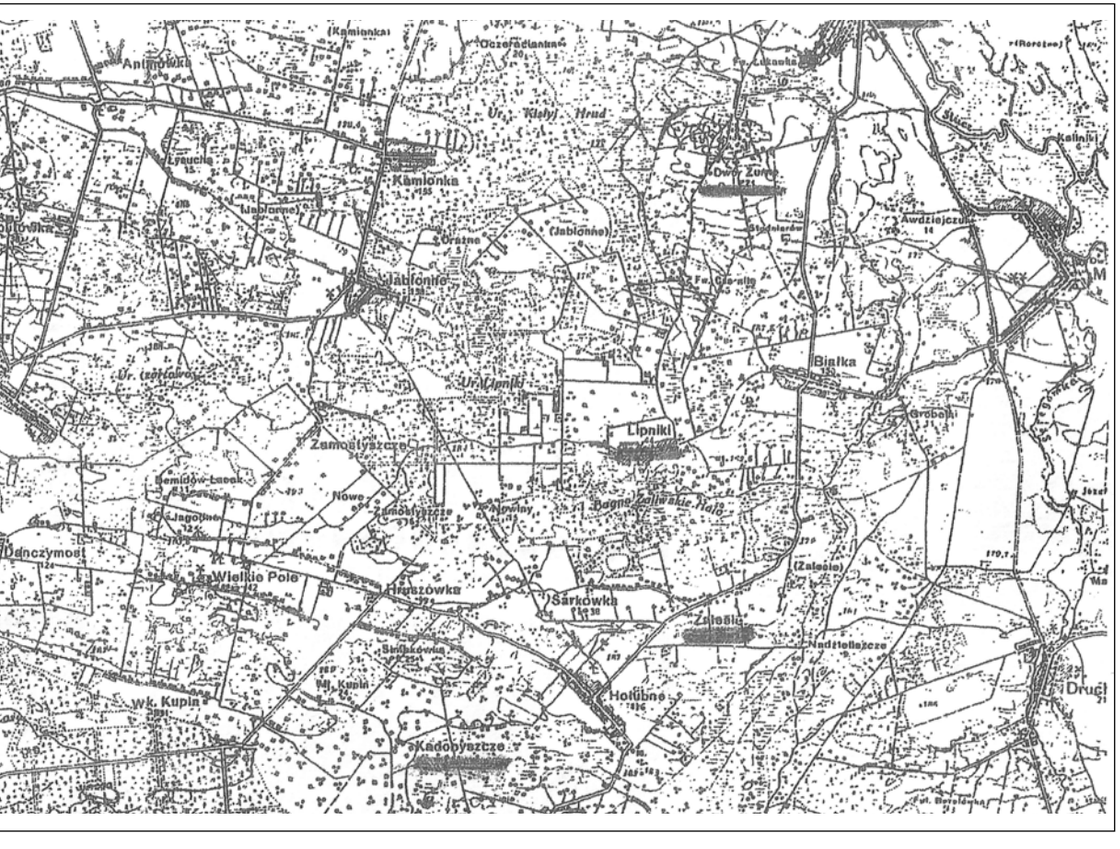

Okolice Lipnik dawniej.

1 Armii WP i wyruszył na front.

Wołyń opuściliśmy 2 czerwca 1945 r. Na całe szczęście Rosjanie pozwalali repatriantom zabrać żywy inwentarz. My wzięliśmy krowę, która żywiła nas przez czas podróży, a nawet tutaj w Prabutach. Dzięki temu przeżyliśmy trudny czas.

Jednak nie od razu trafiliśmy do Prabut. Nie wiedząc, dokąd nas wiozą (wtedy nikt z jadących nie wiedział nawet np. gdzie leży Zielona Góra), mając przeświadczenie, że znajdziemy życzliwych ludzi, postanowiliśmy wysiąść w Dębicy. Ponownie skorzystaliśmy z pomocy rodziny mojego taty, o którym wiedzieliśmy urzędowo, że „przepadł bez wieści". Dopiero po dwóch miesiącach tato zjawił się jak spod ziemi z niewoli niemieckiej. Wówczas dowiedzieliśmy się, że po krwawym forsowaniu Wisły przez 1 Armię WP, na ratunek walczącej Warszawie, dołączył do Powstańców, razem z nimi walczył z Niemcami. Forsowanie Wisły do Powstania przeżyło niewielu Berlingowców, a ci nieliczni, którzy przeżyli, dostali się do niewoli niemieckiej.

Ponieważ tato po powrocie z niewoli pozostawał czasowo nadal w wojsku, mógł poszukać sobie bez zbędnych formalności miejsca do osiedlenia. Przez agendy wojskowe dowiedział się, że Wołyniacy z naszego rejonu są lokowani m. in. w okolicach Prabut. Nie zastanawiając się długo, tata załatwił w wojskowej komendanturze wagon i ruszyliśmy na Pomorze. Podróż trwała prawie 6 tygodni i we wrześniu 1945 r. dotarliśmy do Prabut. Tu już była ciotka Aniela Żarczyńska z rodziną i wielu przyjaciół i znajomych z Wołynia.

„Spotkanie z nową rzeczywistością"

Relacja Kresowianina do „Wspomnień prabuckich Kresowian" bez kilku słów refleksji historyczno-społecznej o dniach pierwszych w Prabutach, zubożyłaby wartości celów osadników, jakimi się kierowali rozpoczynając swój udział w nowym życiu, w nowym zagospodarowaniu i rozwoju społecznym ziemi prabuckiej.

Piękny ukłon za trud osadnikom oddaje tytuł artykułu w tygodniku „Przegląd" 42 (762) 4-10.08.2014: „Polsko, podziękuj osadnikom. Oni przy-

Nestorka rodu - Petronela Sawicka z rodziną.

wrócili Polsce Ziemie Odzyskane. My przywracamy Ich pamięć."

Prabuty we wrześniu 1945 r. nie były zdewastowane. Owszem, bardzo dużo budynków było doszczętnie wypalonych, ale nie były to ruiny w dosłownym znaczeniu. Wydaje się, że pożary nie musiały być spowodowane bezpośrednimi działaniami wojennymi.

Miejscem pierwszego zamieszkania był budynek dawnej przychodni zdrowia, na obecnej ul. Podgórnej, a następnie w budynku nieopodal straży pożarnej, na tejże ulicy.

Ja natychmiast poszedłem do już działającego gimnazjum, a następnie do liceum w Malborku, a po maturze na studia aż do Szczecina, gdzie mieszkam do dzisiaj, z uroczą żoną Marią Grudziądzanką.

Serdecznie zachowuję pamięć o dyrektorze gimnazjum, którym był Henryk Niessner. Jego fotografia z dedykacją jest ważnym rodzinnym dokumentem.

Rodzinne komplety - córki Tamary i syna Aleksandra, pracują w gospodarce morskiej Szczecina.

Tę samą drogę wybrała siostra Kazimiera. Z dalekich Kresów Wschodnich rodzice moi znaleźli miejsce wiecznego spoczynku w Szczecinie.

Prabuty są zawsze dla mnie tak samo bliskie jak zapamiętane z dzieciństwa strony urodzenia i zamieszkania - Zurne, Zalesie, Berezne.

Wzajemny szacunek i współpraca napływającej ludności w 1945 r. do Prabut zza Buga, z województw centralnej Polski i powroty z różnych stron Europy przynosiły stały postęp w zagospodarowaniu i społecznym rozwoju Prabut.

Dostęp do oświaty i opieka nad młodzieżą ożywiają miasto. Dużą ożywiającą rolę odgrywa Związek Harcerstwa Polskiego kierowany przez ks. harcmistrza Zdzisława Piechowiaka i drużynowego Edwarda Zdrzalika, który do dzisiaj wraz z sędziwymi już przyjaciółmi - Heleną Soplicą (panieńskie), Zygmuntem Perskim i Bolesławem Żygadło (byłym posłem) do dziś są aktywnymi mieszkańcami Prabut.

Z naszego harcerskiego sztandaru, ufundowanego w 1946 r. przez społeczeństwo Prabut, dzisiaj są dumni harcerze prabuckiego gimnazjum.

Prabuty 1946 r., pierwszy od lewej Tadeusz Puszkin.

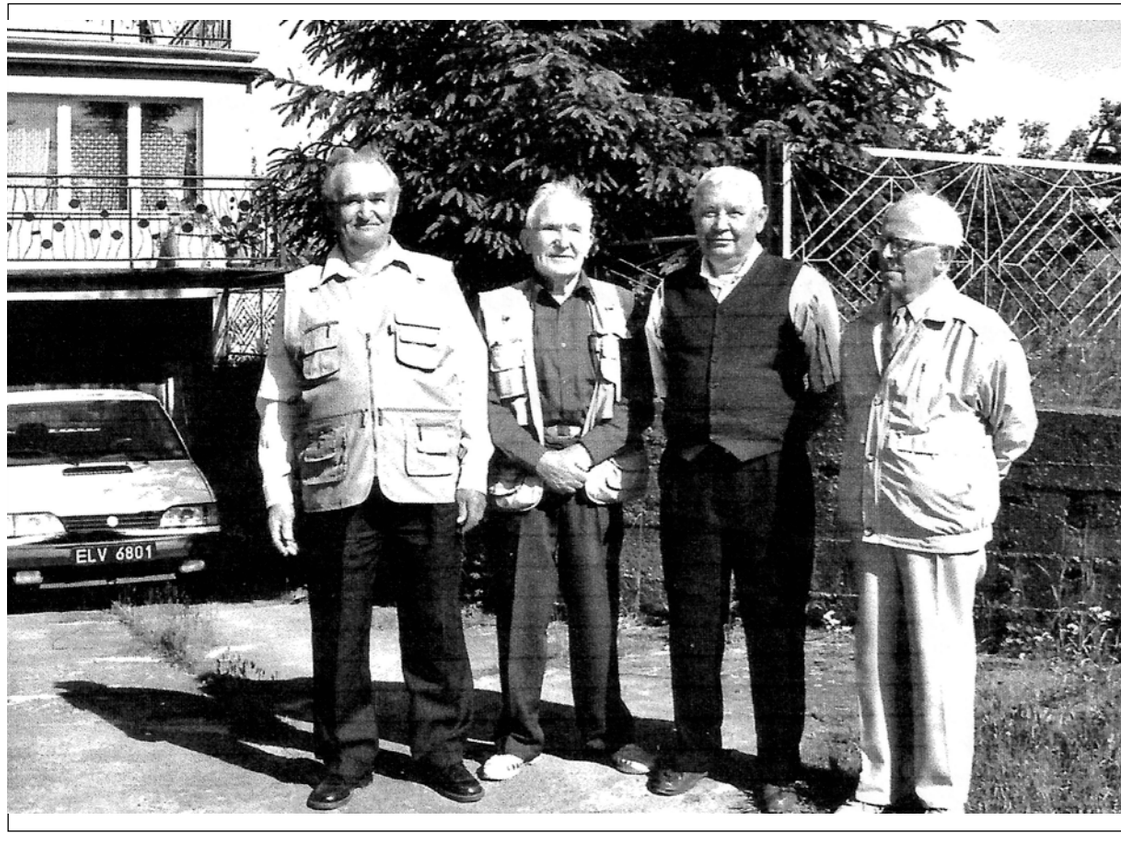

Od prawej - Edward Zdrzalik, Zygmunt Perski, Tadeusz Puszkin, Bolesław Żygadło.

Zaangażowanie już kolejnego pokolenia osadników w rozwój Prabut jest wielce cenione przez kolejne władze. Od wielu lat, z wielką troską o pamięć tych, którzy zginęli na Kresach i o pierwszych osadnikach, odbywają się coroczne Spotkania Kresowiaków, odnawiana jest pamięć o zamordowanych na Kresach.

Fakt pamięci społeczeństwo i władze Prabut udokumentowały w 2013 r. odsłonięciem pomnika Kresowian. Na tę uroczystość przyjechałem ze Szczecina z córką Tamarą.

Wszystko to się dzieje dzięki decyzjom i zaangażowaniu burmistrza Bogdana Pawłowskiego, przewodniczącego Stowarzyszenia Kresowian Andrzeja Mosiejczyka i sekretarza Urzędu Miasta i Gminy Jędrzeja Krasińskiego.

Spotkania Kresowian w Prabutach są już dla mnie ważnym wydarzeniem rodzinnym, bo wnuki już chętnie z dziadkiem przyjeżdżają i historii wysłuchują, miejsca pamięci odwiedzają, i kwiaty, i znicze na grobie praprababki składają.

Za pamięć o Kresowianach władzom Miasta i Gminy Prabut, bliskim, rodzinie, przyjaciołom ze szkoły i harcerstwa, i mieszkańcom Prabut pięknie dziękuję.

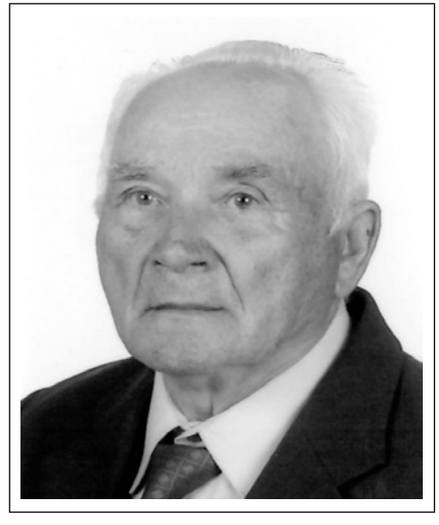

Tadeusz Rabeszko

Nazywam się Tadeusz Rabeszko. Urodziłem się 30 marca 1923 roku we wsi Jasieniec. Wieś ta leżała na pograniczu Wołynia i Polesia. W Jasieńcu mieszkało siedemdziesiąt pięć rodzin. Piętnaście z nich to rodziny polskie, a pozostałe to prawosławni. Trzeba tu nadmienić, że prawosławni, w odróżnieniu od rodowitych Ukraińców, nie byli negatywnie nastawieni do Polaków. Nasza rodzina mieszkała w Jasieńcu z dziada pradziada i, jak opowiadał mi ojciec, od zawsze Polacy byli prześladowani. Bolszewicy mścili się za Piłsudskiego, ale dlaczego carowie gnębili Polaków, tego chyba nikt nie wie. Mój ojciec po śmierci mamy samotnie wychowywał pięcioro dzieci i prowadził ośmiohektarowe gospodarstwo. Jakoś trzeba było z tego wyżyć. Zapamiętałem, że tereny, na których mieszkaliśmy, należały do biednych. Nie było przemysłu, rolnictwo zacofane, szkolnictwo tak na dobre wkroczyło tam pod koniec lat dwudziestych. Do szkoły chodziłem sześć kilometrów do wsi Solec. Była to szkoła pięcioklasowa. Dalszą edukację należało kontynuować w Dąbrowicy oddalonej o dziesięć kilometrów. Tam też ukończyłem szkołę podstawową. Jak już wspominałem, relacje między Polakami a prawosławnymi były bardzo dobre. Może dlatego, że ich wiara w większym stopniu nie różniła się od naszej. Wrogość do Polaków przywieźli rodowici Ukraińcy wyznania grekokatolickiego, którzy opuścili Karpaty i osiedlili się na Wołyniu.

Przed wybuchem wojny wielkim problemem było radzieckie szpiegostwo. Jasieniec leżał trzydzieści kilometrów od granicy. Pamiętam, że mieszkańcy tworzyli patrole i pilnowali, aby radzieccy łącznicy i wywiadowcy nie przekradali się do wsi. Wkroczenie wojsk sowieckich siedemnastego września 1939 roku było dla nas ogromnym zaskoczeniem. To, że Niemcy wypowiedzą wojnę, było do przewidzenia już w połowie 1939 roku, ale Ruskich nikt się nie spodziewał. Te zgraje brudnych, zarośniętych, licho ubranych żołnierzy bardziej przypominały bandy dzikusów niż regularne wojsko. Wtedy w naszych okolicach było sporo wojska, które wycofywało się z centralnej Polski. Ruscy zagrodzili dostęp do Rumunii i wyłapywali wszystkich żołnierzy. Szeregowych puszczali wolno, ale wszystkich oficerów aresztowali i, jak się później okazało, wymordowali. Nikogo nie przekonywało wyjaśnienie Stalina, że on tylko ruszył na pomoc swoim obywatelom. Czystki na Polakach trwały około roku.

Tadeusz Rebeszko, Warszawa 27 XI 1944r.

Wywożono wszystkich, którzy pracowali w administracji państwowej, łącznie z gajowymi i listonoszami. Zwykli obywatele nie byli traktowani lepiej. W kilka miesięcy po wkroczeniu zaczęto tworzyć kołchozy. Mojemu ojcu zabrano sześć hektarów ziemi i włączono do kołchozu. Sam ojciec do kołchozu nie przystąpił i utrzymywał nas z dwóch hektarów, jakie mu zostawiono. Gdy w czerwcu 1941 roku Hitler napadł na Związek Radziecki, wielu Polaków bardzo się z tego cieszyło. Podejrzewali, że niemiecka okupacja nie będzie gorsza niż sowiecka. Rzeczywiście tak było. Kołchozy zostały od razu rozwiązane, a ziemia wróciła do właścicieli. Niemcy chyba bardziej byli zajęci wojną, bo ludności cywilnej nie gnębili. Wyjątkiem byli Żydzi, których zapędzono i zamknięto w gettach. Prawie w każdym mieście było takie getto. Gdy później Hitler postanowił rozwiązać sprawę Żydów, zdrowych i silnych wywożono na roboty albo do obozu. Pozostałych zabijano na miejscu. Sam byłem świadkiem likwidacji getta w Dąbrowicy[1]. Było to w sierpniu 1943 roku. Razem z kilkoma innymi zostałem wyznaczony przez sołtysa do żniw w pobliskim niemieckim majątku. Ziemia tego majątku w pewnym miejscu graniczyła z żydowskim cmentarzem. Kosiliśmy zboże zbliżając się do cmentarza. W odległości około pięćdziesięciu metrów od niego zobaczyliśmy szeroki, głęboki rów wykopany w piaszczystej ziemi. Po pewnym czasie od strony Dąbrowicy nadeszła kolumna starców, kobiet i dzieci prowadzona przez ukraińskich policjantów i kilku niemieckich żołnierzy. Na tym cmentarzu stała kaplica, do której wpędzono Żydów. Po chwili wyszli z niej w samej bieliźnie. Kazano im stawać po dziesięciu nad tym rowem. Niemiec dawał znak, a ukraińscy policjanci strzelali. Po każdej dziesiątce dwóch policjantów wskakiwało do tego rowu i układało trupy. Niemiecki oficer przechodził jeszcze wzdłuż rowu i dobijał tych, co się jeszcze ruszali. Dla mnie niepojętym był fakt, że ci Żydzi wcale nie protestowali, nie krzyczeli. Z pokorą i spokojem szli nad ten rów. My kosiliśmy, oddalając się od tego miejsca, ale widzieliśmy kolejne nadchodzące grupy. Strzały było słychać

[1] W maju 1942 roku zostało utworzone getto. 26 sierpnia 1942 r. Niemcy z policją ukraińską wywieźli Żydów do getta w Sarnach, gdzie zostali zamordowani podczas „likwidacji" getta. (w: E.Siemaszko, W. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane...*, s. 752).

Rosja, Sumy dnia 20 V 1944r.

aż do późnego wieczora. Prawdą jest, że to Niemcy wyposażyli w broń ukraińskie bandy. W większości tworzyli je zbiegli policjanci. Może gdyby nie to, nie doszłoby do tak masowych mordów na Polakach. Trzeba też przyznać, że Niemcy, gdy zorientowali się w sytuacji, bardzo często pomagali Polakom i bronili ich przed ukraińskimi bandami. Te dywizje niemieckie, które stacjonowały na Wołyniu, w dużej części składały się ze Ślązaków, co w pewnym stopniu tłumaczy ich zachowanie. Faktem też jest, że do band należała nieliczna grupa Ukraińców. Na przykład w Jasieńcu na pięćdziesiąt rodzin tylko dwóch chłopaków było w bandzie. Jednym z nich był mój serdeczny przyjaciel, u którego byłem drużbą na weselu. Pewnego razu opowiedział mi, jak to się stało, że został wciągnięty do bandy. Jego dalszy kolega był w bandach od samego początku. Któregoś dnia zaprosił go na taką potańcówkę do sąsiedniej wsi Solec. Była to wieś prawie w całości ukraińska. „Wiesz, tam w klubie jest zabawa, gra orkiestra, można potańczyć, coś wypić i zjeść" – powiedział mojemu przyjacielowi na zachętę. Ten dał się namówić i poszedł. Było tak, jak opowiadał ten drugi. Orkiestra, bufet, tańce. Gdy wychodzili do domu, mój przyjaciel został zatrzymany przez dwóch obcych mężczyzn i zabrany do pokoju na tyle tego budynku. Oni powiedzieli mu otwarcie. „Byłeś tu i wszystko widziałeś, dlatego jesteś nasz. Jeżeli nie będziesz z nami współpracował, to cała twoja rodzina w pierwszej kolejności zostanie zabita, łącznie z tobą". Takim sposobem mój najlepszy przyjaciel trafił do bandy. Pewnego ranka przyjechał do nas mój starszy brat z żoną, dziećmi i teściową. Mieszkał on we wsi Zaleszany, oddalonej od nas o jakieś dwadzieścia kilometrów. Opowiedział, że poprzedniej nocy Ukraińcy spalili całą wieś. Ponieważ jego dom stał na skraju wsi, zdążył zapakować rodzinę na wóz i uciec. Rzeczywiście w nocy widzieliśmy łunę ognia nad tamtą okolicą. Nawet rano na podwórku leżały zwęglone skrawki strzech przyniesione przez wiatr. Jeszcze dobrze nie ochłonęli po ostatnich wydarzeniach, a w nocy ktoś dobija się do naszego domu. Ojciec poszedł otworzyć. W progu stanęło trzech mężczyzn z automatami. Nie mieli żadnych oznaczeń, więc w pierwszej chwili ojciec wziął ich za radzieckich partyzantów, którzy czasami przychodzili do wsi po żywność. Rozejrzeli się, policzyli domowników i wyszli. Ojciec mówi:

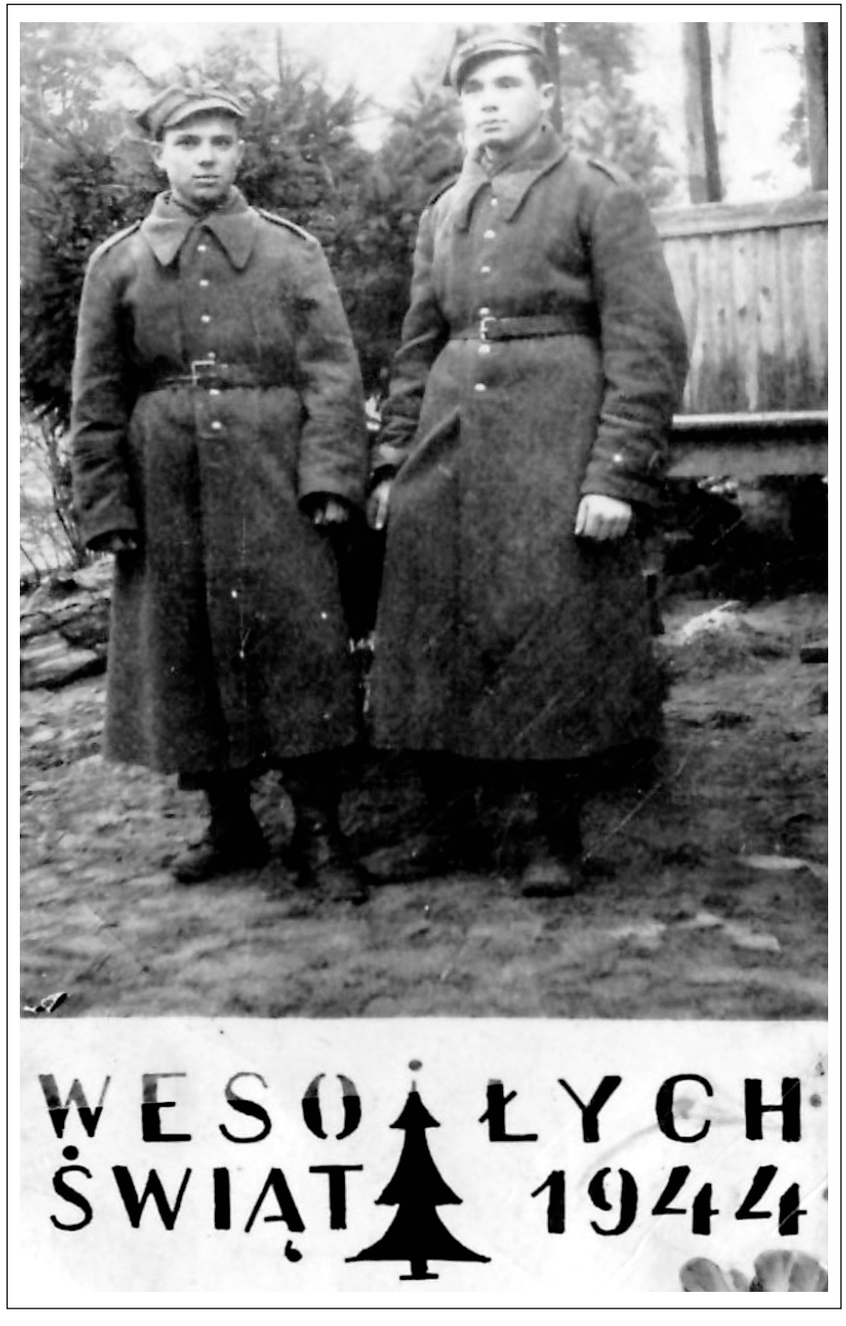

„To pewnie Ruskie". Ja mu na to odpowiadam: „Ruskie to mają gwiazdy na czapkach, a to nie ma żadnych oznaczeń. Jak nic banderowcy". Chwilę później weszło do domu jedenastu chłopa. Przemoczone, bo akurat był marzec i panowały roztopy i ulewy. Brudne, zarośnięte. Ledwie karabiny postawili w kąt, pokładli się na podłodze i poszli spać. Dwunasty zaś mówi do ojca: - „Gospodarzu, przynieście mi drewna, będę gotował jedzenie". Tato naniósł drewna i rozpalił w piecu. Cała ta banda spała aż do późnego popołudnia. Budzili się tylko na jedzenie i znowu szli spać. Gdy się rozjaśniło, wyszedłem na podwórko. Patrzę, a wieś obstawiona czujkami z każdej strony. Co kilkanaście metrów stał jeden z karabinem. Na naszym podwórzu stały dwie furmanki przykryte brezentem. Zajrzałem do środka. W jednej było pełno karabinów, a na drugiej żywność. Wieczorem ojciec poszedł do stodoły po drewno. Gdy wracał, zaczepił go nasz prawosławny sąsiad. – „Ty wiesz kto to jest?" – „Ruskie partyzanty" – odpowiedział ojciec. – „Oj ty głupi, to banderowcy, bo u mnie ich sztab mieszka. Podsłuchałem ich naradę. Dzisiaj o drugiej w nocy będą mordować. Mają spisane, ile osób w każdym domu, więc szykujcie się na śmierć. Tylko pamiętaj, jak coś się od ciebie dowiedzą, o tym, co ci powiedziałem, to ja i moja rodzina jak nic na gałęzi skończymy." Ojciec wrócił do domu i wszystko mi opowiedział. Jak to usłyszałem, to w pierwszej chwili zaniemówiłem. Wyszedłem na podwórko chcąc zobaczyć, czy jest jakaś szansa na ucieczkę. Ukraińcy stali co dwadzieścia metrów. Ja jednak znałem każdy skrawek okolicy, więc miałem szansę na ucieczkę. Ale co z ojcem, moją siostrą i bratem z rodziną? Wróciłem do domu i mówię ojcu, że będę uciekał. Może i mnie złapią i zabiją, ale nie będę czekał aż z siekierami po mnie przyjdą. Zbliżała się już północ, gdy wyszedłem przed dom. Miałem zamiar uciec przez sad i dalej do lasu. Już miałem ruszyć do sadu, gdy widzę na horyzoncie ognistą łunę. Zaraz potem usłyszałem w oddali odgłosy strzałów. To wszystko działo się w pobliżu wsi oddalonej od nas o dwa kilometry. Ta wieś nazywała się Lutyńsk. Wśród Ukraińców zapanował popłoch. Nikt nie wie, co się dzieje. W pewnej chwili widzę, jak przez łąki od strony Lutyńska jedzie ktoś na koniu. Ukraińcy go zatrzymali i wypytują, co tam się dzieje. – „Niemcy wytropili Ruskich

Lekcja historii o kresach wschodnich w szkole podstawowej.

partyzantów i z nimi walczą. Mają tankietkę, działa i jest ich chyba cały pułk". Ukraińcy natychmiast zarządzili alarm. Nie minął kwadrans, a już ich nie było. Gdy uciekali, naliczyłem dziewięć furmanek i prawie trzysta ludzi. Za jakiejś pół godziny do wsi weszli Niemcy. Pierwszy szedł oficer, młody człowiek. Podszedł do nas i po polsku zapytał, co tu się dzieje. Ojciec zdziwiony mówi: „Pan Niemiec, a po polsku mówi?" – „Ja nie jestem Niemcem, tylko Ślązakiem i dlatego mówię po polsku" – odpowiedział oficer. Opowiedzieliśmy o bandzie, pokazaliśmy, w którą stronę pojechali. „Ruszymy za nimi za dwie godziny" – zdecydował Niemiec. Ojciec zaprosił go na herbatę i trochę sobie porozmawialiśmy. Oczywiście wszyscy Polacy się cieszyli, że wieś została cudem ocalona. Po dwóch godzinach niemiecki oddział ruszył za Ukraińcami. Bandyci dojechali tylko do następnej wsi. Tam zabili leśniczego, który był Polakiem, a jego żonie Białorusince ogolili głowę. Na szczęście ich dziecku nic nie zrobili. Potem poszli spać po chałupach. Niemcy zaskoczyli ich we śnie. Wybili prawie wszystkich. Kilka dni później zdecydowaliśmy, że trzeba uciekać, bo banderowcy na pewno wrócą, a na drugi cud to nie ma co liczyć. Ojciec znalazł kwaterę w Dąbrowicy blisko niemieckich koszar, gdzie było w miarę bezpiecznie. Brat z rodziną poszedł do radzieckiej partyzantki, która przyjmowała całe rodziny. Ja natomiast wstąpiłem do 27 dywizji Armii Krajowej. Zostałem wysłany do Sarn, gdzie pracowałem w wojskowej piekarni. Ta piekarnia była tuż przy stacji kolejowej. Stacja w Sarnach była bardzo duża, tory szły w czterech kierunkach. Moim zadaniem było obserwowanie i zapisywanie ruchów niemieckich transportów kolejowych. Te meldunki trafiały następnie do dowództwa. Praca w tej piekarni miała jeszcze jedną zaletę. Otrzymywałem jeden bochenek chleba dziennie. Co prawda czasy były bardzo ciężkie i ten jeden bochenek wystarczał dla mnie, mojego ojca i moich sióstr na jeden posiłek, ale zawsze to coś. Pamiętam, że jednego dnia postanowiłem zabrać z piekarni dwa bochenki chleba. Na bramie przed opuszczeniem piekarni zawsze byliśmy kontrolowani przez niemieckiego oficera. Gdy ten zobaczył, że zamiast jednego mam dwa bochenki. Zapytał zdziwiony: „A to co?" – „Panie oficerze, mam troje małych dzieci" – skłamałem. Ten oficer machnął ręką i kazał iść. W tej piekarni pra-

Rodowo, 1947r.

cowałem aż do momentu zajęcia Sarn przez oddziały radzieckie, czyli do 9 stycznia 1944 roku. 12 stycznia byłem już wcielony do wojska. Myśmy chcieli do wojska, bo wiedzieliśmy, że jest polska armia. Jednak przez pierwsze dwa tygodnie byliśmy w radzieckim oddziale. Dopiero gdy nadszedł rozkaz, aby wszystkich Polaków wysłać do Sum, gdzie formowały się polskie oddziały, ruszyliśmy pieszo do Żytomierza. Szliśmy kilka dni robiąc dziennie po dwadzieścia pięć kilometrów. Mieliśmy jedynie kiepski suchy prowiant, kuchni nie było. Nasza odzież też nie była w najlepszym stanie. Najgorzej było z butami. Dopiero po dotarciu do Żytomierza otrzymaliśmy nowe buty i zostaliśmy pociągiem przetransportowani do Sum. Pamiętam, że na stacji w Sumach witano nas z orkiestrą i sztandarem. Byliśmy tym bardzo wzruszeni. Tak bardzo chcieliśmy do polskiego wojska i oto nasze marzenia się spełniały. Zostałem skierowany na przeszkolenie do sekcji łączności. Po szkoleniu ruszyliśmy w kierunku Warszawy. Dotarliśmy do niej pod koniec sierpnia 1944 roku. Stanęliśmy na Pradze i czekamy. Rozkazu by forsować Wisłę i iść na pomoc powstaniu nie ma, więc czekamy. W końcu dowódca nie wytrzymał i wysłał na drugą stronę Wisły batalion. W tamtą stronę dopłynęli szczęśliwie. Jednak gdy wracali po kilku dniach, zostali zdziesiątkowani przez niemieckie karabiny. Z całego batalionu ocalało czterdziestu ludzi. Gdy wyzwoliliśmy już Warszawę, ogrom zniszczeń, jakich dokonali Niemcy, przeraził nas. Warszawa była jedną wielką ruiną. Następnie skierowaliśmy się na Bydgoszcz. Niemiecki opór właściwie nie istniał. Może dlatego, że wszystkie niemieckie siły zostały skoncentrowane na Wale Pomorskim. Tam toczyły się bardzo zacięte i krwawe walki. Po zdobyciu Wałcza zatrzymaliśmy się w miejscowości obok. Miało tam dotrzeć zaopatrzenie i uzupełnienie stanu osobowego. Byliśmy bardzo zmęczeni, a straty w ludziach były poważne. Następnego dnia pod wieczór, gdy miałem dyżur przy telefonie w prowizorycznej kwaterze dowódcy, zadzwoniono ze sztabu z rozkazem natychmiastowego przygotowania oddziału do wymarszu w kierunku Kołobrzegu. Gdy dowódca usłyszał rozkaz, wrzasnął do słuchawki: „Wyście chyba zwariowali! Jak mam z dziesięcioma ludźmi wyruszyć, skoro do obsługi moździerzy jest potrzebnych trzydziestu?!" Ale Rosjanom się spieszyło i już w godzinę po

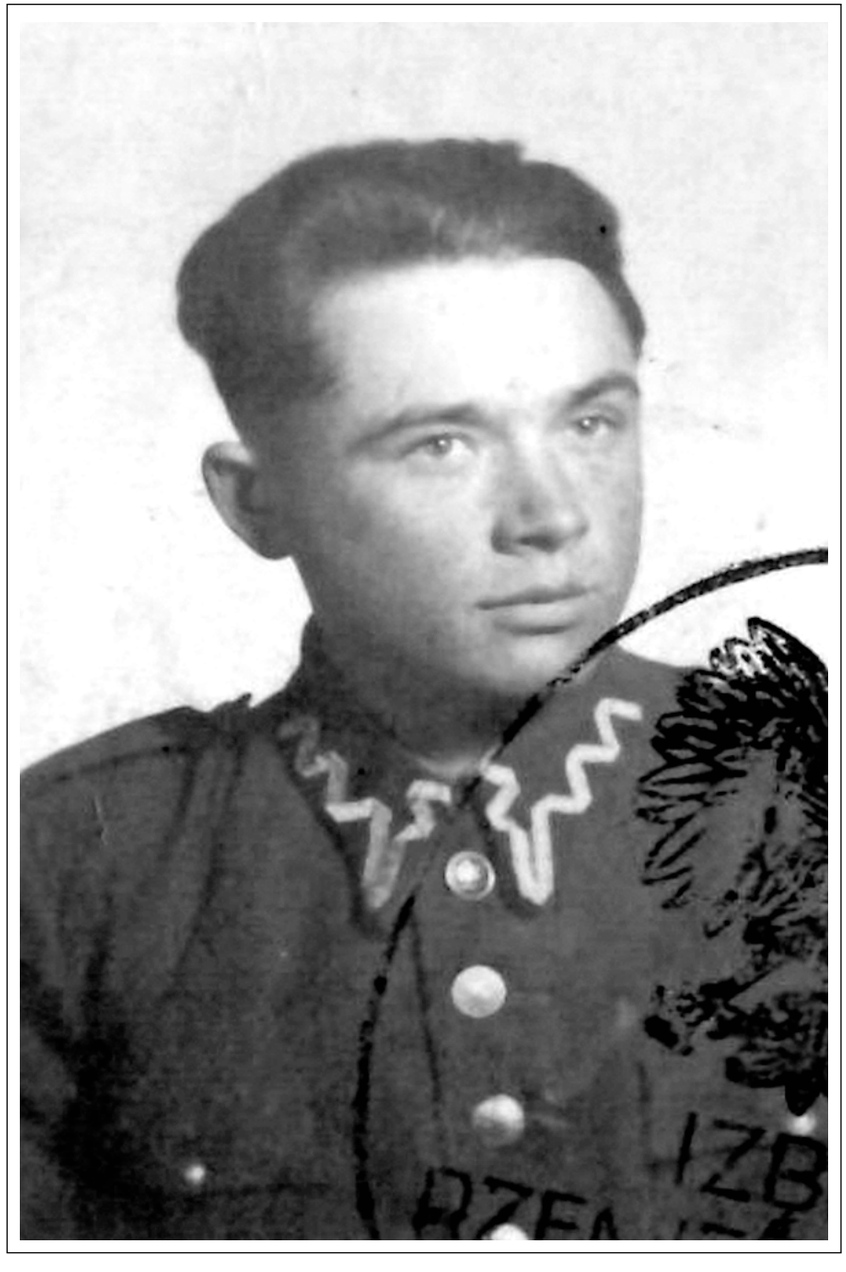

Tadeusz Rebeszko, 1946r.

telefonie przyjechało osiem ciężarówek, na które załadowano działa i pojechaliśmy w kierunku Kołobrzegu. Zatrzymaliśmy się przy skraju lasu, było tam kilka budynków, a tuż za nimi droga do miasta. Podszedłem na skraj tego lasu i widzę wykopane okopy, a na nich radzieckich żołnierzy. Pytam jednego z nich, po co taki pośpiech i co tu się właściwie dzieje. W odpowiedzi podał mi lornetkę i powiedział, żebym sam zobaczył. Za tym lasem rozciągała się łąka z nielicznymi niskimi krzakami. Dochodziła ona prawie do budynku koszar położonych na przedmieściach Kołobrzegu. Na tej łące leżały dziesiątki, jeśli nie setki trupów. Dowódca jak to zobaczył, zdecydował, że w pierwszej kolejności trzeba zająć koszary. Te koszary nie były specjalnie duże. Składały się z trzech lub czterech budynków. Ustawiliśmy działa, podłączyliśmy łączność i wieczorem byliśmy gotowi do ataku. Koszary zdobyliśmy nad ranem. Niemcy nie stawiali specjalnie oporu wycofując się prędzej do centrum Kołobrzegu. Prawdziwa męka to była później. Przez osiem dni, dom po domu zdobywaliśmy Kołobrzeg. Obok tych koszar znajdowała się stacja kolejowa. Wszystkie tory były zastawione dziesiątkami wagonów. Stały tam wagony osobowe, jak i towarowe. Kołobrzeg był miejscem, z którego Niemcy ewakuowali ludność statkami do Hamburga. Dlatego też tyle było tych wagonów. Jak się później okazało, były one pełne pozostawionego dobytku. Dla Rosjan był to nie lada kąsek. Gdy ósmego dnia dotarliśmy do latarni, z portu wypływały ostatnie trzy niemieckie okręty. Chłopcy strzelili do nich z działka polowego, ale co takie działko mogło zrobić okrętowi. Niemcy jeszcze oddali w naszą stronę trzy strzały. Jeden z pocisków eksplodował niedaleko mnie w pobliskim parku powalając kilka drzew. Zaraz też wywieszono na latarni polską flagę i zorganizowano zaślubiny z morzem. Po całej uroczystości, gdy robiono zdjęcia, mimo że nie byłem wśród tych, którzy dokonali zaślubin, wdrapałem się na falochron i też zostałem uwieczniony na tej, bądź co bądź, historycznej fotografii. Nie minęły nawet dwie godziny, a dowódca otrzymuje rozkaz opuszczenia Kołobrzegu. Opuszczając miasto przechodziliśmy obok tych wagonów, o których już wcześniej mówiłem. Chłopaki złe jak diabli. Ani papierosa, ani nic do jedzenia. Kilku z nich postanowiło zajrzeć do wagonów. Ledwie się zbliżyli do torów, a z wagonów wychodzą

radzieccy żołnierze z automatami. Jeden z nich mówi: „Stać, bo będziemy strzelać". Nasi to już na dobre się wnerwili, ale jeden z oficerów powiedział, żeby nie robili grandy.

Na odpoczynek wysłano nas aż do Trzebiatowa. Tam byliśmy kilka dni. W tym czasie przysłano nam kilkunastu nowych żołnierzy do uzupełnienia stanu. Z Trzebiatowa poszliśmy na forsowanie Odry. Większych problemów z tym nie było, bo Niemcy uciekali bronić Berlina. Gdy dotarliśmy już pod Berlin, skierowano nas do takiego małego miasteczka obok, gdzie bronił się silny oddział SS. Rosjanie woleli Berlin zdobywać, a nas traktowali jako mięso armatnie. Ustawiliśmy się więc niedaleko tego miasteczka, niestety jego nazwy nie pamiętam. Następnego dnia rano widzę, że od miasteczka jedzie niemiecki czołg tygrys. Lufa wykręcona do tyłu, biała flaga na wieżyczce. Z czołgu wysiadł oficer i jeszcze dwóch żołnierzy. Kazali zaprowadzić się do dowódcy. Minęło może pół godziny, wracają do czołgu i odjeżdżają. Myśleliśmy, że się poddali, ale po jakiejś godzinie, jak nie gruchnie od strony miasteczka. Walili do nas wszystkim, co mieli. Działami, karabinami maszynowymi i bronią ręczną. Za nami był nieduży las, może dwudziestoletni. Z tego lasu praktycznie nic nie zostało. My też odpowiedzieliśmy wszystkim, co było. Wymiana ognia trwała około kilku godzin. Później Niemcy uciekli drugą stroną do lasu. Po zajęciu miasteczka powiedziano nam, że oni chcieli się poddać, ale pod warunkiem, że będą traktowani jak jeńcy wojenni, a nie jak żołnierze SS, którzy utracili przywileje jeńców wynikające z konwencji genewskiej. Nasze dowództwo się na to nie zgodziło. Przez to miasteczko płynęła rzeka, za którą stały wojska amerykańskie. Ci Niemcy u nich też próbowali coś wskórać, ale Amerykanie również odmówili. Poszliśmy na przystań i widzimy, że po drugiej stronie rzeki kilku Amerykanów daje znaki, jakby chcieli do nas przypłynąć. Kiwnęliśmy im, że mogą. Przypłynęło kilku Amerykanów i chyba dwóch Anglików. Pogadaliśmy na migi, a oni nas zapraszają do siebie na drugą stronę. Chłopaki ochoczo popłynęli. Gdy byli na środku rzeki, przybiegł nasz dowódca i krzyczy do nich, żeby wracali, bo inaczej Ruscy mu głowę urwą. Tamci jak tylko dopłynęli, ustawili się w dwuszereg i odmaszerowali do Amerykanów. W sumie uciekło osiemnastu ludzi. Jak

Ruscy to zobaczyli, natychmiast obsadzili brzeg swoimi żołnierzami, a nas skierowali do Berlina. Tamci, co uciekli, trafili do oddziału wartowniczego. Po wojnie pisali do swoich krewnych, że jest im w Ameryce bardzo dobrze. Ja tam wolałem Polskę i swoją rodzinę od tej Ameryki. W Berlinie zakwaterowano nas w takim dużym ogrodzie. Następnego dnia o drugiej w nocy dostaję telefon ze sztabu z informacją o końcu wojny. Co tam się wtedy działo, to trudno opisać. Strzelano na wiwat ze wszystkiego, co było pod ręką. Krzyczano, śpiewano. Fetowano do białego rana. Potem przyszła szara rzeczywistość. Rosjanie zajęli cały Berlin, a Polaków odesłano do domu. Przez dwa tygodnie stacjonowaliśmy w miasteczku nieopodal Berlina, a następnie wyruszyliśmy do Polski. Jeszcze przed zakończeniem wojny Rosjanie zabrali nam samochody, rzekomo z powodu braku paliwa. Dali furmanki i kazali znaleźć konie. Ale nam nie uśmiechało się wracać do kraju na furmance. Zorganizowaliśmy sobie rowery i w piętnastu pod dowództwem radzieckiego porucznika ruszyliśmy do Polski. Na przeprawie przez Odrę zatrzymał nas radziecki wartownik i nie pozwolił przekroczyć granicy. „A to dlaczego nie możemy wjechać?" – zapytał nasz dowódca. – „Możecie, ale rowery macie mi oddać" – odburknął tamten. Obok zamkniętego szlabanu stała taka drewniana buda, a za nią na placu leżało mnóstwo rowerów i motocykli. – „Jak chcesz rower, to sobie idź do Berlina i znajdź" – powiedział ostro nasz dowódca. – „Taki mam rozkaz" – stwierdził sucho wartownik. Ten wartownik złapał za rower naszego dowódcy i nie chce go puścić. Dowódca mówi do nas: „Jedźcie, ja was za chwilę dogonię". Odjechaliśmy jakieś sto metrów i czekamy. Z tej budy wyszedł jakiś ruski oficer i widzimy, że kłócą się na całego. Zawróciliśmy, a ten oficer mówi do nas: „Nie wtrącajcie się, to nasza sprawa. On nie wykonał rozkazu". Nasi chłopcy wiele nie myśląc zaczęli odpinać karabiny przymocowane do rowerów. Wartownik się przestraszył i puścił rower naszego dowódcy. Jak ten oficer, co wyszedł z budy, to zobaczył, to tak tego wartownika palnął w łeb, że ten aż kozła wywinął. Dowódca wsiadł na rower i przyjechał do nas. Ruszyliśmy dalej, ale jakieś dwieście metrów od mostu zatrzymaliśmy się chcąc poczekać na resztę oddziału, która jechała na furmankach. Ledwie furmanki wjechały na most, a wyskakuje ruski oficer

i chce robić rewizję. Polacy ani myślą się zgodzić. Stanęli za furmankami z bronią gotową do strzału i czekają. Ten oficer widząc, co się dzieje, wrócił do budy i zatelefonował do sztabu. Po pewnym czasie przyleciał helikopterem jakiś ruski generał i kazał nas puścić bez rewizji.

Jeszcze przez rok trzymano nas w wojsku, a potem zwolniono do cywila. Przy zwolnieniu zadbano jednak o nas dając możliwość wybrania miejsca zamieszkania. Ja od zawsze chciałem mieszkać na wsi. Wieś dawała możliwość utrzymania z tego, co się zasieje i posadzi. Otrzymałem gospodarstwo w powiecie kłodzkim na Dolnym Śląsku, osiem kilometrów od granicy z Czechosłowacją. Warunek był taki, że miałem je zasiedlić w ciągu sześciu miesięcy. W tym czasie moi krewni mieszkali już w Rodowie. Gdy przyjechałem do nich na urlop, to Rodowo przypominało mi wsie z Polesia i Wołynia. Dziwiło mnie to, bo widziałem, jak wyglądały niemieckie wsie, przez które jechałem w drodze do i z Berlina. A tutaj bieda jak na Kresach. Mimo to, za namową ojca, zostałem. Tym bardziej, że to gospodarstwo na Dolnym Śląsku leżało w terenie przygranicznym, a wiedziałem, co to znaczy mieszkać przy granicy.

Na Kresach byłem tylko jeden raz. Było to kilkanaście lat temu. Naszego gospodarstwa już nie ma, zostało spalone podczas jednego z napadów ukraińskiej bandy. Podczas mojej wizyty spotkałem sporo osób, z którymi nawet chodziłem do szkoły. Ich sytuacja była niewesoła. Większość młodych wyjeżdżała za pracą do miasta, a starzy żyli z marnych emerytur. W tej chwili nie ma tam już nikogo, kto pamięta czasy banderowców, więc nie ma też kogo sądzić. Moja siostra była w Jasieńcu dwa lata temu i w całej wsi nie ma nikogo w naszym wieku.

Roman Rodziewicz

Nazywam się Roman Rodziewicz. Jestem synem Mariana i Pauliny. Urodziłem się 2 października 1927 roku we wsi Skurcze[1], gmina Czaruków, powiat Łuck, województwo wołyńskie. Moi przodkowie pochodzą z Litwy. Mój pradziadek został zatrudniony w majątku Skurcze jako zarządca. Ten pradziadek nabył sporo ziemi od właściciela majątku, którym zarządzał. Było to jeszcze przed 1885 rokiem, w którym car wydał zakaz nabywania ziemi przez Polaków. Moi rodzice prowadzili duże jak na owe czasy gospodarstwo o powierzchni ponad 32 hektarów. Było to również bardzo nowoczesne gospodarstwo. Mieliśmy wiele maszyn, które były nowością. Miałem dwie starsze siostry i jednego młodszego brata. Z naszej czwórki jedynie ja żyję. Najstarsza siostra urodzona w 1922 roku zmarła w 1973 roku. Druga siostra urodzona w 1924 roku zmarła w 1995 roku. Mój młodszy brat urodzony w 1929 roku zmarł w 1996 roku.

Skurcze były dużą wsią. Mieszkało w niej prawie dwieście rodzin. Prawie połowa z nich to były rodziny polskie. Pozostała część to Ukraińcy i rodziny mieszane. Składała się z takich trzech kolonii. Pierwszą była kolonia Kalinowiec. Zamieszkiwali ją wyłącznie Polacy. Było tam 17 gospodarstw. W drugiej kolonii Stupnik mieszkało prawie 40 polskich rodzin. Tam mieszkało sporo osadników, którzy służyli w legionach Piłsudskiego. Po wkroczeniu Rosjan w 1939 roku ich jako pierwszych wywieziono na Syberię. W trzeciej kolonii, której nazwy nie pamiętam, mieszkało około 20 polskich rodzin. Stosunki między ludnością polską i ukraińską do wybuchu drugiej wojny światowej były niemalże przyjacielskie. Wiadomo, że zdarzały się jakieś zatargi, ale w naszym najbliższym sąsiedztwie panowała zgoda. Przykładem niech będzie to, że gdy zabijaliśmy świnię, to tzw. świeżynę mama zanosiła do najbliższych sąsiadek.

Gdy wybuchła druga wojna światowa, właśnie wróciłem z takiego obozu sportowego. Ojciec odebrał mnie z Łucka 31 sierpnia, a 1 września tuż po godzinie czwartej Łuck został zbombardowany. Rosjanie wkroczyli do naszej

[1] Skurcze - wieś polsko-ukraińska z przewagą ludności ukraińskiej, licząca około 150 gospodarstw (w: E.Siemaszko, W. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane*..., s. 547).

wsi 2 października. Był to obraz nędzy i rozpaczy. Gdyby nie karabiny na sznurkach, w ogóle nie przypominaliby wojska. Nie mieli żadnych ciepłych płaszczy, a jedynie cienkie szynele. Spali w stogach słomy, a to już był październik i czasami były przymrozki. W naszym gospodarstwie rozlokowała się część Rosjan. Czasami żołnierze prosili mamę o klucz do takiej letniej kuchni, aby mogli w nocy ugotować sobie ziemniaki. Ich dowódca nieraz prosił mamę, żeby jak wszyscy pójdą spać, usmażyła mu jajecznicę. Ich wyżywienie było gorzej niż marne. O piątej rano dostawali wrzątek, cukier i kawałek chleba. Obiad składający się z zupy i ziemniaków był o czternastej, a kolacja o siedemnastej. Po wkroczeniu Rosjan, którzy rzekomo przybyli nieść pomoc swoim rodakom, rozpoczęły się represje na ludności polskiej. Jak już wspominałem, w pierwszej kolejności wywieziono legionistów. Ale taki sam los spotkał również urzędników, leśników czy nauczycieli. Mój tato został aresztowany tylko za to, że był Polakiem i miał duże gospodarstwo. Przesiedział w sowieckim więzieniu ponad szesnaście miesięcy. Gdy Niemcy zajmowali Łuck, Rosjanie mordowali wszystkich osadzonych w łuckim więzieniu. Strażnicy wyprowadzali więźniów na plac, a tam był już oddział z karabinem maszynowym i seriami ciął po ludziach. W ten sposób zamordowano ponad cztery tysiące ludzi. Mój tato miał szczęście, stał gdzieś w tyle więźniów i mimo, że na ubraniu naliczył dwanaście dziur po pociskach, przeżył. Do domu wrócił bielusieńki. W jednej chwili po prostu osiwiał. Wkraczających Niemców Ukraińcy witali kwiatami. Większość Ukraińców była proniemiecka. W kilka tygodni później Niemcy utworzyli ukraińską policję. To Niemcy zaczęli podżegać Ukraińców do mordowania Polaków. Może nie wprost, ale pośrednio dając im broń. To niestety obróciło się też przeciw nim. W naszej wsi był duży majątek, który pracował dla Niemców dostarczając im żywność. W maju 1943 roku banda ukraińska napadła na ten majątek. Zrabowali wszystko, co tylko mogli i zabili dwóch z trzech obecnych w majątku Niemców. Ten, który przeżył, zażądał od przełożonych większej ochrony. Otrzymał 32 ludzi, w większości inwalidów z okresu pierwszej wojny światowej, broń i kilka samochodów. Sam zamieszkał u polskiego lekarza nazwiskiem Krajewski. Dla zwiększenia obrony sprowadził jeszcze jeden z porzuconych radzieckich czołgów. Ukraińcy jeszcze kilka razy

prowokowali Niemców strzelając do nich pociskami zapalającymi. Niemcy w odwecie pojechali następnego dnia do takiej ukraińskiej wsi Krasnystaw. Całą wieś wymordowali, a domy spalili. Od tego wydarzenia ukraińskie bandy omijały naszą wieś, ale napady na sąsiednie wsie i kolonie zdarzały się coraz częściej. Wtedy Polacy za zgodą Niemców utworzyli oddział samoobrony[2] i w ten sposób bronili się przed ukraińskimi bandami.

Część polskich rodzin przeniosła się ze Skurcza do Łucka w sierpniu 1943 roku. Gdy w styczniu 1944 roku zbliżał się front radziecki, a Niemcy odstępowali, Skurcz został bez niemieckiej obrony. Ponieważ sami Polacy byli zbyt słabi, aby odeprzeć atak Ukraińców, w nocy z 15 na 16 stycznia wszystkie polskie rodziny w eskorcie samoobrony przeniosły się do Łucka. Część samoobrony przed Łuckiem odłączyła się od kolumny i dołączyła do polskiej samoobrony w Antonówce. W Skurczu zostało zaledwie kilka starszych osób. Następnego dnia Ukraińcy weszli do wsi. W pierwszej kolejności podpalili kościół, potem wymordowali pozostałych mieszkańców. W Łucku przez prawie dwa tygodnie panowało bezkrólewie. Niemcy już odeszli, a Rosjan jeszcze nie było. Gdy oddziały niemieckie zorientowały się, że nikt ich nie ściga, wróciły pod Łuck, okopały się i zaczęły regularny ostrzał miasta. Podczas jednego z takich ataków zabłąkana kula trafiła mojego ojca. Zdołał jeszcze dojść do domu i tam się przewrócił. Mnie Rosjanie zapisali do pracy, ale w drodze do Kijowa napotkani Polacy ostrzegli, żebyśmy za wszelką cenę nie jechali w tamtym kierunku. Poradzono nam, aby dostać się do Sum, gdzie organizowała się polska armia. Z perypetiami dotarliśmy do Sum i takim sposobem zostałem wcielony do wojska. Otrzymałem przydział do oddziału ciężkich karabinów maszynowych. Jednak na komisji lekarskiej taka rosyjska lekarka zapytała, czy nie chciałbym iść do szkoły podoficerskiej. Wyraziłem zgodę i następnego dnia z grupą innych rekrutów pojechaliśmy pociągiem około siedemdziesiąt kilometrów. Następnie drugie tyle przeszliśmy na piechotę, by dotrzeć do

[2] Dowódcą placówki samoobrony został Jerzy Jacniacki. Legalne posiadanie broni dawało możność użycia w razie niebezpieczeństwa broni posiadanej nielegalnie. W październiku 1943 r. Inspektorat AK w Łucku placówkę samoobrony podporządkował organizacyjnie i wzmocnił, przysyłając 8-osobową drużynę (w: E.Siemaszko, W. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane...*, s. 548).

radzieckiego kołchozu. Ta podoficerska szkoła polegała na wyrywaniu chwastów z buraków. Po dwóch tygodniach w miejsce cywilnych ubrań dostaliśmy wojskowe mundury i amerykańskie buty. Znowu czekała nas wędrówka na stację kolejową. Tyle, że o ile poprzednim razem te siedemdziesiąt kilometrów szliśmy przez dwa dni, to tym razem ten dystans pokonaliśmy jednego dnia. Gdy wreszcie późną nocą dotarliśmy na stację kolejową, każdy kładł się, gdzie tylko było można i zasypiał, tacy byliśmy zmęczeni. Nad ranem podstawiono wagony i ruszyliśmy w podróż. Jak się okazało, ta szkoła podoficerska należała do 3 pułku czołgów i zamiast obsługiwać karabin maszynowy, zostałem czołgistą. Tuż przed Żytomierzem trafiliśmy na niemiecki nalot bombowy. Cały pociąg, ponad siedemdziesiąt wagonów wyładowanych ludźmi, czołgami, amunicją i paliwem zdołał wjechać w zalesiony wąwóz i tym sposobem uniknęliśmy bombardowania. Jednak nie wyładowano nas już w Żytomierzu, a zawieziono do Berdyczowa. W czasie wojny była tam zmechanizowana jednostka wojskowa. Większość urządzeń, których Niemcy nie zdążyli zniszczyć, działała. Mogliśmy więc bez większych problemów wyładować czołgi. Z Berdyczowa pamiętam jeszcze takie papierowe maty wypełnione wiórami. Służyły nam one za materace do spania. W Berdyczowie stacjonowaliśmy od końca lipca do końca sierpnia 1944 roku. We wrześniu przeniesiono nas do Chełmna. Tam zakwaterowano nas w starych stajniach po kompanii kawalerii konnej. Pamiętam, że było w nich okropnie zimno. Zwłaszcza gdy nastała zima. Musieliśmy sobie radzić, więc gdy wracaliśmy wieczorem z ćwiczeń, każdy niósł z sobą drewno zabrane z lasu i paliliśmy tym drewnem w takich blaszanych piecykach. Przed pójściem spać mieliśmy więc ciepło, ale rano znowu było zimno. W kwietniu 1945 roku trafiłem do jednostki w Modlinie i tam też zastał mnie koniec wojny. Po zakończeniu wojny trafiłem do pułku ciężkich czołgów koło Kostrzyna, a pod koniec października przeniesiono nas do Jarocina. W tym Jarocinie zajęliśmy takie duże garaże. W jednym garażu obok siebie stał cały pułk - 22 czołgi. Pod koniec listopada odbył się przegląd amunicji. Mój czołg był ostatni w kolejce do sprawdzenia. Gdy podawałem kapitanowi pocisk, ten wypadł mu na betonową posadzkę. Połowa zapalnika wyszła z pocisku, ale wybuch

nie nastąpił. Nastąpiła natomiast chwila konsternacji i strachu. Gdyby ten pocisk eksplodował, to w jednej chwili nastąpiłby wybuch kilkuset pocisków i kilku tysięcy litrów paliwa. W promieniu kilku kilometrów nie pozostałby kamień na kamieniu. Po pierwszym szoku powoli wszyscy opuścili garaż. Pół godziny później wzywa mnie dowódca, jako odpowiedzialnego za amunicję. Dostałem rozkaz wyniesienia pocisku z garażu i odtransportowania do magazynów za miastem. Poszedłem do garażu, wziąłem pocisk na ramię i zacząłem wędrówkę do oddalonych o dwa kilometry magazynów. Szczęśliwie doniosłem pocisk do magazynu, postawiłem na podłodze i odszedłem. Wybuch nastąpił, gdy byłem jakieś dziesięć metrów od magazynu. Na szczęście był to pocisk burzący i wszystkie odłamki poszły w górę. Zostałem jedynie lekko ranny w nogę i oszołomiony. Dwa tygodnie leżałem w szpitalu. W nagrodę zaś otrzymałem urlop na sylwestra. 16 lutego 1946 roku zostałem zdemobilizowany i przyjechałem do Prabut. W Prabutach była już moja mama z moim rodzeństwem. W Łucku przeżyli głównie dzięki temu, że moja siostra znalazła pracę w koszarowym kasynie. Poza tym była krowa i od czasu do czasu jeździli do Skurcza, aby zebrać to, co zostało posiane i posadzone. W Prabutach zamieszkali obok plebanii. Za domem był kawałek łąki, dzięki temu przywieziona z kresów krowa, będąca naszą główną żywicielką, miała się gdzie paść.

W Prabutach panowała bieda. Głównym pieniądzem był bimber. Moja mama kupowała - oczywiście za bimber od Rosjan, którzy demontowali cukrownię - melasę i robiła z niej bimber, za który z kolei kupowało się inne potrzebne do przetrwania towary. Jakoś tak w marcu 1946 roku przyszedł do nas ksiądz proboszcz, wtedy był nim ksiądz Klimuszko. Powiedział, że załatwił w gminie mieszkanie dla nas, a ten dom będzie przeznaczony dla organisty. Wiosną 1946 roku rozpocząłem praktykę w nadleśnictwie Susz. Miałem ukończone sześć klas szkoły podstawowej jeszcze w Skurczu, więc w Prabutach nie musiałem już chodzić do szkoły podstawowej. W lipcu otrzymałem zawiadomienie z Ministerstwa Szkolnictwa, że zostałem skierowany do szkoły leśnej w Warcinie koło Słupska. Po ukończeniu tego liceum trafiłem do pracy w Legnicy. Później wróciłem do Prabut i pracowałem

w tutejszych warsztatach szkolnych. Następnie ukończyłem technikum ekonomiczne w Warszawie i rozpocząłem pracę jako główny księgowy w jednej z iławskich szkół.

Osobiście odwiedziłem Kresy w 2001 roku, ale w latach siedemdziesiątych był w Skurczu mój brat Adam. Gospodyni, u której się zatrzymałem, do trzeciej rano pilnowała, aby mi się nic nie stało, taki jeszcze jest tam strach i obawa, że bandy mogą chcieć mordować gości z Polski. Osądzeniu na pewno należy poddać nie tyle pojedynczych ludzi, bo ci już nie żyją, ale wydarzenia, które miały miejsce i należy nazywać je po imieniu. To był mord na Polakach i tak o tym należy mówić, wskazując winnych z imienia.

Stanisława Serafinowicz

Nazywam się Stanisława Serafinowicz. Jestem córką Pauliny i Hieronima. Urodziłam się 8 maja 1925 roku we wsi Dołhań, powiat sarneński, województwo wołyńskie. Moi rodzice mieszkali na Wołyniu, jak to się mówi, z dziada pradziada. Podobnie jak większość mieszkańców wsi, prowadzili gospodarstwo rolne. Było to spore, liczące ponad trzydzieści hektarów gospodarstwo. Ale obrobienie tego wszystkiego kosztowało ich bardzo wiele wysiłku. Powiem szczerze, że nami nikt się wtedy nie interesował. Nie było czegoś takiego jak ubezpieczenie, czy jakieś specjalne kredyty. Obojętnie czy susza, czy powódź, podatki trzeba było płacić, a jak ktoś nie płacił, to go licytowali. Więc chcąc nie chcąc połowa naszej ziemi i tak leżała odłogiem, bo nie sposób było obrobić wszystkiego samymi rękami. Moi dziadkowie od strony mamy Adam i Stanisława Łabędzcy, którzy mieszkali we wsi Perestaniec, mieli jeszcze większe gospodarstwo, bo aż siedemdziesiąt hektarów. Nasza wieś była zamieszkana wyłącznie przez Polaków. Obok były jeszcze dwie Polskie wioski: Okopy i Budki Borowskie. Dookoła polskich wsi były wsie Ukraińskie: Karpiłówka, Masiewicze, Borowe, Netreba. Ukraińskie wioski były ogromne w porównaniu do naszych. Liczyły ponad trzysta domów. W 1938 roku mieszkańcy tych trzech polskich wiosek wybudowali w Okopach kościół, plebanię i cmentarz. W każdej wiosce była szkoła. Co prawda była to szkoła tylko czteroklasowa i aby się dalej uczyć, trzeba było iść do szkoły siedmioklasowej, a te znajdowały się najczęściej w dużych miastach albo wioskach ukraińskich. Mój tata był sołtysem i kiedyś napisał do gminy takie pismo z zapytaniem, dlaczego w wioskach ukraińskich są nowe murowane szkoły, a my uczymy się po wiejskich chatach. Wójt odpisał, że jest tak dlatego, aby nie dać Ukraińcom odczuć, że nie są u siebie. W Okopach miała zostać wybudowana nowa szkoła, ale przyszła wojna i wszystko się zmieniło. Ci, którzy chcieli uczyć się dalej, musieli wyjeżdżać do miasta, gdzie było gimnazjum. Najbliższe znajdowało się w Rokitnie oddalonym od nas o piętnaście kilometrów. Ja ukończyłam siódmą klasę w czerwcu, a we wrześniu wybuchła wojna. Pamiętam, że mojego brata zmobilizowali już w marcu 1939 roku. Wysłano go na pogranicze polsko-niemieckie do takiej wsi Zadawa. Dostaliśmy od niego kilkanaście listów nim wybuchła wojna. Pierwszego dnia wojny, gdy

Wołyń, pierwsza z lewej Stanisława Serafinowicz, 1939 r.

oddział mojego brata przygotowywał się do odparcia Niemców, okazało się, że w skrzynkach z amunicją zamiast naboi jest piasek. Dowódca zebrał wszystkich żołnierzy i oznajmił, że oddział zostaje rozwiązany i każdy musi sam troszczyć się o siebie. Mój brat wyruszył samotnie w drogę do domu. Pamiętam jego przybycie. Było to w połowie października. Szłam właśnie po wodę do studni, gdy zobaczyłam, że drogą od ukraińskiej wioski Karpiełówki biegnie jakiś mężczyzna w samej bieliźnie. W pierwszej chwili pomyślałam, że to jakiś chory i schowałam się za taki budynek, co stał obok studni. Dopiero, gdy był blisko, poznałam, że to mój brat. Ukraińcy już wtedy mordowali polskich żołnierzy wracających z frontu. Dlatego mój brat, gdy przechodził przez ukraińskie wsie mówił, że jest Ukraińcem. Dobrze znał język ukraiński, umiał śpiewać ukraińskie piosenki. Kilka razy nocował nawet u ukraińskich rodzin. Jednak bał się zasypiać, bo miał taką przypadłość, że mówił przez sen i obawiał się, żeby czegoś po polsku nie powiedzieć. Pewnego ranka złapali go w lesie Ukraińcy i nie uwierzyli w to, że jest Ukraińcem. Zdjęli z niego mundur i buty, zabrali rzeczy osobiste oraz pistolet. Bratu jednak udało się uciec i szczęśliwie wrócił do domu.

Pamiętam wkroczenie Rosjan. To była niedziela. Piękna pogoda. Wyszłam z ojcem przed dom, bo usłyszeliśmy samoloty. Tato powiedział nawet, że to wreszcie nadlatują Anglicy. Ale gdy samoloty przelatywały nad wsią, zobaczyliśmy czerwone gwiazdy na skrzydłach. Wtedy to już wiedzieliśmy, że czekają nas ciężkie czasy. Razem z koleżanką pobiegłyśmy do szkoły i zabrałyśmy sporo polskich książek. Kilka godzin później wkroczyło ruskie wojsko. Po wejściu do szkoły zrzucili polskie godło, a wszystkie książki, jakie jeszcze były w szkole, spalili na podwórku. Co to była za armia. Ubrana w łachmany, karabiny na sznurkach. Normalnie obraz nędzy i rozpaczy. Niedługo po wkroczeniu zaczęły się wywózki na Syberię. Wywozili nauczycieli, urzędników, policjantów, gajowych, a nawet jak ktoś miał więcej niż dziesięć hektarów, nazywany był Kułakiem i też szedł na Sybir. Bardzo często polscy urzędnicy gminy wydawali fałszywe zaświadczenia, na których były zaniżone powierzchnie gospodarstw. Dzięki temu

Gospodarstwo rolne w Obrzynowie, około 1947 r.

nas nie wywieziono. Ale moja ciocia, która mieszkała od nas jakieś piętnaście kilometrów, została wywieziona razem z mężem gajowym, dwójką synów i maleńką córeczką. Przez dwa tygodnie wieźli ich w bydlęcych wagonach. Ciocia rozcinała sobie skórę i krwią karmiła maleńką córeczkę. Chyba jedynie dzięki temu przeżyła podróż. Zawieźli ich do lasu i kazali sobie pobudować ziemianki. Pewnego razu synowie cioci bawili się przy drodze rysując na piasku. Podszedł do nich rosyjski strażnik i zapytał, co oni rysują. Ten, co miał dwanaście lat odpowiedział, że narysował orła. Zabrali ich obu i do dzisiaj nie wiadomo, co się z nimi stało. Mąż cioci zmarł z wycieńczenia, a ciocia z córeczką trafiła do armii generała Andersa i dzięki temu przeżyła. Ci, co zostali, musieli sobie jakoś radzić. Przecież my nie mogliśmy nigdzie wyjechać. Pozostało nam jedynie czekać na to, co się będzie działo. A działo się tak, że Niemcy napadli na Ruskich. Dla nas nie było to ani dobre, ani złe. Po prostu zmienił się okupant. Choć muszę przyznać, że ani od Niemców, ani nawet od Rosjan myśmy tak nie ucierpieli jak od Ukraińców. Niemcy trzymali się raczej w dużych miastach. Nie zapuszczali się do małych wiosek i lasu. Bali się Partyzantki. Ukraińcy natomiast byli u siebie, znali każdy zakątek, każdą najmniejszą ścieżkę i to od nich ucierpieliśmy najbardziej. Nawet mój ojciec umarł przez Ukraińców. Było to już po wkroczeniu Niemców, którzy rzekomo specjalnie zarażali Ukraińców tyfusem, aby oni dalej roznosili go do Polaków. Jak było naprawdę, tego nie wiadomo. Ale pewnego dnia w naszej wsi pojawili się Ukraińcy chorzy na tyfus. Ponieważ mieliśmy duży nowo wybudowany dom, sołtys skierował ich do nas na nocleg. Pościeliliśmy im słomę w kuchni i staraliśmy się do nich nie zbliżać. Następnego dnia po ich odejściu słoma została spalona, a kuchnia dokładnie wyparzona i umyta wrzątkiem. Jednak mimo to jakieś zarazki musiały zostać, bo mój tato w kilka dni później gorzej się poczuł. Przywieziony niemiecki lekarz tylko ręce rozłożył i powiedział, że ratunku już nie ma, bo ojciec dostał plam. Zmarł kilka dni później.

Jestem wierząca, kocham ludzi, ale do Ukraińców to serca nie mam. Oni nie wszyscy byli tacy. Starzy Ukraińcy mówili tym młodym: „Nie zabijajcie

Ojciec - Hieronim Lech z kuzynem w carskim wojsku.

niewinnych ludzi. Przecież Polacy wam nic złego nie zrobili". Tłumaczyli, że to zło, które robią, przyjdzie na nich samych w odwecie, bo to niemożliwe, żeby wam to było darowane. Tyle że oni wcale nie słuchali. Sporo Ukraińców zginęło z rąk swoich ziomków. Oni uważali, że jeżeli ktoś nie jest z nimi, to jest przeciw nim i najzwyczajniej go zabijali.

Gdy te mordy stały się codziennością, trzeba było uciekać. Ale gdzie tu uciekać? Jedyne schronienie dawały ogromne lasy. Zostawiliśmy więc cały dobytek i schroniliśmy się w lesie. Żeby nie polska i czeska partyzantka, to byśmy tam poumierali. Tak się złożyło, że do wołyńskich lasów przyjechał oddział czeskich partyzantów pod dowództwem kapitana Nalepki. Była to kawaleria konna. Ten kapitan pojechał do Ukraińców, aby negocjować zaprzestanie mordów na Polakach. Wrócił po trzech dniach oświadczając, że Ukraińcy obiecali spokój. Jednak po tygodniu napadli na Aleksandrówkę, wieś niedaleko Rokitna i wymordowali prawie trzysta osób.

Na początku grudnia 1943 roku, gdy spadł pierwszy śnieg, odkryliśmy, że ktoś za nami po tym lesie chodzi. Było nas tam prawie trzy wioski. Po naradzie postanowiliśmy pójść do wsi Okopy. Woleliśmy już zginąć we wsi. Wtedy Ukraińcy musieliby nas zakopać, a w lesie to wilki by nas zjadły. Przyszliśmy do tej wsi i każdy lokował się tam, gdzie było miejsce. My nocowaliśmy u mojej cioci. Miała ona dom oddalony od centrum wsi, tuż pod lasem. Ledwie zasnęliśmy, a ktoś puka w okna i mówi, że Niemcy razem z Ukraińcami podchodzą do wsi. Znowu trzeba było uciekać. Gdy wyjrzałam zza stodoły, zobaczyłam jak Niemcy i Ukraińcy szli polami. Jeden od drugiego w odległości kilku metrów. Na szczęście od naszej strony nie zdołali jeszcze zamknąć okrążenia. Każdy brał tylko to, co najpotrzebniejsze. Pamiętam, że uciekając miałam na sobie taką grubą wełnianą spódnicę w kratę. Nim dobiegłam do lasu, to cała się podarła od upadania na pole.

Kule zapalające świstały nam nad głową. Zabudowania wsi płonęły. W tym zamieszaniu wszyscy się pogubili. Nie wiedziałam, gdzie jest moja rodzina. Uciekając dotarłam aż pięć kilometrów za dawną granicę polsko-radziecką. Tam zobaczyłam, że jacyś ludzie palą ognisko. Ostrożnie, od

Zdjęcie ślubne Stanisławy Serafinowicz z mężem Józefem Serafinowiczem.

drzewa do drzewa podchodziłam, bo nie wiedziałam, kto to jest. Bałam się, że to może być jakaś ukraińska banda. Jaka była moja radość, gdy okazało się, że to są Polacy, a wśród nich moja mama i brat! Wielu z tych, co zostali w Okopach, nie wierzyło, że Ukraińcy mogą ich zabić. Tłumaczyli sobie, że skoro ja im żadnej krzywdy nie wyrządziłem, to czemu oni mają się na mnie mścić. Mieszkańcy, którzy nie uciekli do lasu, bo byli chorzy, bardzo starzy i ci, którzy do końca nie wierzyli, że Ukraińcy mogą ich zgładzić jako sąsiadów – zginęli wszyscy. Osoby, które zapamiętałam, że zostały w nieludzki sposób zamordowane: Ksiądz Ludwik Wrodarczyk, Grzegorz Skurzyński, Antonina Skurzyńska, Władysław Majko, Łucja Skurzyńska, Irena Skurzyńska, Władysław Skurzyński, Teofil Lech i jego ojciec Marcin, Apolonia Lech.

Z trzech wiosek polskich w tym dniu zostało zamordowanych około 70 osób. Ukraińcy nie oszczędzali nikogo. Taka moja dalsza kuzynka w obawie przed bandami zamieszkała z mężem i trojgiem dzieci w ziemiance za wsią. Ukraińcy nawet tam ich wytropili. Uciekając, kuzynka zabrała synów, ale kilkuletnia córeczka została śpiąca w kącie. Ukraińcy porąbali ją siekierą, a szczątki wrzucili do ogniska. Gdy następnego dnia mąż kuzynki przyniósł zwęglone ciało, kuzynka doznała załamania nerwowego. Przez kilka miesięcy chodziła i ciągle płakała. Przytulała drzewa i rozmawiała z nimi jak z nieżyjącą córką. Dopiero po roku jakoś się pozbierała.

Po tym napadzie, w asyście partyzantów, ciała wszystkich pomordowanych zostały zwiezione do wsi Okopy i tam pochowane w zbiorowej mogile. Sama razem z koleżanką pomagałam przenosić zwłoki z wozów do tego dołu.

Wówczas zginął również ksiądz Ludwik Wrodarczyk. Nie uciekł do lasu, nie chciał opuścić kościoła. Wierzył, że Ukraińcy, których leczył, pomagał im, nie zrobią mu krzywdy. Ukraińcy weszli do kościoła, obnażyli księdza i przewieźli go nagiego do wioski ukraińskiej Karpiłówka. Około 4 km w mrozie. W chacie ukraińskiej wisiały obrazy, ikony. Ksiądz poprosił, żeby pozwolono mu się pomodlić. Pozwolili mu, a następnie w bestialski sposób zamordowali. Gdy jeszcze żył, wyjęli mu serce, chcieli popatrzeć jak bije serce mordowanego księdza. O tym wiem z relacji Ukraińców, którzy mówili o tym po okropnej zbrodni. Przepiłowali go piłą, założyli worek na głowę i zakopali. Polacy

nie dowiedzieli się od nich, gdzie ksiądz został pochowany.

Już po wojnie pojechali w te strony siostrzeńcy zamordowanego księdza. Ukrainka pokazała im, że krew, która bryznęła na ścianę w chacie, gdzie był mordowany, nadal tam jest. Nie mogli jej w żaden sposób zamalować. Obecnie toczy się proces beatyfikacyjny księdza Ludwika Wrodarczyka.

Po pogrzebie ofiar napadu ponownie uciekliśmy do lasu. W tym lesie byliśmy, aż nadszedł pierwszy radziecki front. Najpierw przyszło trzech żołnierzy. Oberwani, brudni, zarośnięci. Oznajmili, że oni są tylko zwiadem, a za nimi idzie cała pierwsza linia frontu. Gdy front już do nas dotarł, to rosyjscy dowódcy zainteresowali się nami. Kto my jesteśmy i co w tym lesie robimy. Gdy powiedzieliśmy, że my Polacy i ukrywamy się przed Ukraińcami, to nie chcieli nam uwierzyć. Pamiętam, że jeden taki starszy oficer kazał mi i mojej koleżance zaśpiewać polską patriotyczną piosenkę. Ja mu powiedziałam, że on przecież nie zna polskiego języka i nic nie zrozumie. On odpowiedział, że mówić po polsku nie umie, ale rozumieć to rozumie. Zaśpiewałyśmy Rotę i wtedy przekonał się, że jesteśmy Polakami. Ale nie chcieli uwierzyć, że Ukraińcy nas mordowali. Dopiero jak ukraińskie bandy zaczęły ich zabijać, to uwierzyli. W tym lesie w biały dzień Ukraińcy zabili oficera, który siedział przed ziemianką. Po kilku dniach załadowali nas na samochody i zawieźli do Rokitna. Pamiętam, że jak nad tym Rokitnem latały radzieckie samoloty, to Ukraińcy do nich strzelali i czasami udawało im się jakiś strącić. Wtedy to dopiero Rosjanie zabrali się za Ukraińców. Masowo wysiedlali Ukraińskie wsie, tak, żeby partyzanci nie mieli oparcia w tutejszej ludności. Z Polakami to Rosjanie żyli jak bracia. Gdy byliśmy jeszcze w lesie i przyszła pierwsza linia frontu, to żołnierze oddawali nam wszystko, co mieli, a mieli sacharynę, kawę, tuszonkę w puszkach. Oczywiście z Ameryki. W Rokitnie zamieszkaliśmy naprzeciw rosyjskich koszar urządzonych w budynku żydowskiej szkoły. Oficer, który nas zaprowadził na kwaterę, zapytał, co będziemy jedli. Odpowiedzieliśmy, że my to już jesteśmy przyzwyczajeni, że nawet po kilka dni nic nie jedliśmy, bo takie były w lesie warunki. Ten oficer załatwił w koszarach, że tam będziemy się stołowali.

Wiosną 1945 roku zostaliśmy wezwani do radzieckiego urzędu, żeby podpisać obywatelstwo. My jednak nie chcieliśmy tam zostawać, tylko jechać do Polski. Tym bardziej, że działał już komitet repatriacyjny. Pod koniec kwietnia moja mama wyjechała do Polski. Ja zostałam, ponieważ mój brat leżał w szpitalu, a chorych nie można było zabierać. Rokitno opuściliśmy w Zielone Świątki 1945 roku. Miasto zostało zupełnie puste, tylko wiatr uderzał niezamkniętymi oknami. Z Rokitna pojechaliśmy do Lublina. Pamiętam, że na stacji powiedziano nam, aby pójść na ulicę Ogrodową 14, gdzie są wypłacane zasiłki dla repatriantów. Poszłam i rzeczywiście dostałam czterysta złotych. Na pobliskim bazarze kupiłam jedzenie, ale akurat wtedy rozpętała się jakaś strzelanina między radzieckimi żołnierzami. Tak szybko stamtąd uciekałam, że zgubiłam całe zakupy. Na kolejny pociąg czekaliśmy dwa dni. Jak czekaliśmy na ten pociąg, to spotkałam kolegę z mojej wioski, który służył w partyzantce, a później przeszedł do wojska. W jego oddziale służył też jeden z moich braci. On zabrał nas do Prószkowa i tym sposobem spotkaliśmy się z bratem. Dowódca dał bratu tydzień wolnego i stamtąd pojechaliśmy do Działdowa. Byłam okropnie zmęczona tym ciągłym podróżowaniem. W Działdowie położyłam się w rowie i powiedziałam do brata, że dalej nie jadę. Wtedy brat załatwił furmankę i zawiózł mnie do Nidzicy. W tej Nidzicy było sporo Polaków z Wołynia, a nawet z naszej wioski. Gdy tak szliśmy przez miasto, zobaczyliśmy w oddali kłęby dymu i ogień. Po chwili podeszła do nas taka jedna dziewczyna z naszej wsi i powiedziała, że to pali się dom, w którym zamieszkała moja mama. Natychmiast tam pobiegliśmy. Po dotarciu na miejsce zobaczyliśmy, że większość sprzętów została z domu wyniesiona. Palił się cały strych. Mój brat miał z sobą karabin, więc rzucił go na stertę wyniesionych rzeczy i chciał biec do środka domu, ale Rosjanie zaraz go zatrzymali. Przeklinali nas, że oni odwojowali, a my podpalamy. Zaraz też wszystkich nas aresztowali. Jak się później okazało, to mój młodszy brat Hipolit chciał zobaczyć kotki, które były na strychu. A że było tam ciemno, to zapalił sobie świeczkę. Schodząc z tego strychu zapomniał ją zgasić i tak powstał pożar. Po tym aresztowaniu zabrali nas do takiego biura, gdzie siedział polski i ruski oficer. Pamiętam, że było mi

bardzo słabo i prosiłam tego Ruska, co nas pilnował, o wodę, ale on powiedział, że jemu nie wolno nam pomagać. Jednak po chwili przyniósł mi słoik wody. W tym biurze nas rozpracowywali, a że nasze dokumenty były w porządku, zostaliśmy zwolnieni. W tej Nidzicy to nam się nie podobało. My byliśmy z gospodarki i o miejskim życiu nie mieliśmy pojęcia. Chcieliśmy zamieszkać gdzieś na wsi. Przyjechaliśmy do Prabut, a następnie znaleźliśmy gospodarstwo w Obrzynowie i tam zamieszkaliśmy. Tam mieszkało już sporo Polaków z centralnej Polski i od nich doznaliśmy dużo przykrości. Oni nie wiedzieli co to wojna. Nie wierzyli nam, że przez dwa i pół roku mieszkaliśmy w lesie. Nawet gadali, że my to jakieś miastowe musimy być, bo tylko trochę w polu porobimy, a poza tym cały czas odpoczywamy. A myśmy byli tak zmęczeni tymi wszystkimi przeżyciami z Wołynia, że nie było w nas siły. Przezywali nas od Ruskich i Ukraińców. Gdy na początku lat pięćdziesiątych zaczęto tworzyć PGR-y, zostawiliśmy gospodarstwo bratu i razem z mężem zamieszkaliśmy w Prabutach. Mąż pracował w cukrowni w Malborku, a ja zajmowałam się domem. Bardzo chciałam pojechać na Wołyń, odwiedzić grób mojego taty, ale wtedy nie można było. Co prawda pisałam gdzie tylko można, ale zawsze dostawałam odpowiedź, że w Okopach nie ma takiej mogiły. Pod koniec lat osiemdziesiątych nawiązałam korespondencję z taką Ukrainką, z którą chodziłam do szkoły. Wysłałam jej zaproszenie i ona przyjechała do Polski. Trochę u nas posiedziała i też dała nam zaproszenie do siebie. Wtedy legalnie pojechałam w rodzinne strony. Było to w połowie 1989 roku. Grób mojego taty stał co prawda, ale był strasznie zarośnięty. Ta zbiorowa mogiła, gdzie pochowano tych, co ich bandy zabiły, była ogrodzona i uporządkowana. Jednak na tablicy napisano: „Tu spoczywają obywatele zabici podczas drugiej wojny światowej". Nie było żadnej wzmianki, że to są Polacy i kto ich zabił.

Antonii Urbanowicz

Nazywam się Antonii Urbanowicz. Jestem synem Wiktora i Anny Urbanowicz, a wnukiem Czesława Urbanowicza. Urodziłem się 3 stycznia 1927 roku w Lipnikach[1], gmina Berezne, powiat kostopolski, województwo wołyńskie z siedzibą w Łucku. Rodzina prawdopodobnie pochodziła z Białorusi, ale wiem to z opowiadań. W Lipnikach uczęszczałem do szkoły podstawowej. Jako mały chłopak pomagałem w gospodarstwie swoich rodziców. Bardzo miło wspominam swoje lata dziecięce i młodzieńcze. Lipniki były sporą miejscowością. Liczyły około stu zabudowań. Mieszkańcami w większości byli Polacy, resztę stanowili Ukraińcy i inne narodowości. W naszej wsi była szkoła podstawowa, dom ludowy, kasa Stefczyka, kółko rolnicze, browary, gorzelnie i mleczarnia, z której codziennie wożono do Kostopola masło. Uprawiano buraki cukrowe i pastewne oraz kukurydzę „koński ząb". Były także cztery sklepy. Jeden z nich prowadził Zielinkiewicz, drugi Fabian Kunicki. Sołtysem w Lipnikach był Grzegorz Morawski. W Domu Ludowym organizowano imprezy, spotkania, przedstawienia, Hajdamowicz Wawrzyn był kierownikiem zespołu. Szkołę mieliśmy ładną, murowaną. Kierował nią Józef Różański, zginął w Katyniu, po latach na spotkaniu w Służbie Zdrowia poznałem jego siostrę, panią Brzozowską, też mieszka w Prabutach. Wychowawczynią klasy była Helena Matysiak. I ona, i kierownik pochodzili z Pomorza. Skończyłem cztery klasy w Lipnikach, później uczyłem się w Hołubnem. Moimi kolegami z klasy byli: Władysław Hermaszewski (ojciec Mirosława - kosmonauty), Alina Hermaszewska, Dąbrowska, Hajdamowicz, Wawrzyk, Chołubecki, Stefania Warumzer, Rudnicki z Młodzianówki, Bagiński. Do szkoły uczęszczały też dzieci ukraińskie i niemieckie. Uczono nas języka polskiego, matematyki, muzyki i innych przedmiotów. Religie prowadziły siostry zakonne, które dojeżdżały do nas jakieś 6-7 kilometrów. W szkole graliśmy na boisku w piłkę, ja byłem bardzo dobry w biegach i skokach, nawet dyplom dostałem za zajęcie pierwszego miejsca. Poczta była w Bereznem. Tam też znajdował się kościół. Dziekanem najpierw był ks. Kaczorowski, po jego śmierci ks. Rosowski.

[1] Lipniki - kolonia polska założona w końcu pierwszej połowy XIX w. Podczas wojny w kolonii było 55 zagród. Liczba ofiar zbrodni nacjonalistów ukraińskich: 179 Polaków, 4 Żydów, 1 Rosjanka (w: E.Siemaszko, W. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane*..., s. 204).

Józef Urbanowicz i Antoni Urbanowicz podczas I Komuni Świętej.

Do I Komunii przystępowałem w Bereznem. Z tamtych czasów pamiętam jeszcze wesele mojej chrzestnej. W ogóle wesela trwały tam bardzo długo, cały tydzień. W pierwszym dniu świętowała najbliższa rodzina, później dołączali sąsiedzi, znajomi, koledzy i koleżanki. Na weselach często gości zabawiał zespół, w którym na skrzypcach grał mój dziadek, a na klarnecie stryjek Teofil. W prezencie na przykład śpiewano przyśpiewki: „Pan Kasicki - wielki pan, ma pieniędzy pełen dzban. Jak on sobie pomiarkuje, tysiąc złotych podaruje". W prezentach dawano także drzewo na budynki, inwentarz, rzadko pieniądze, zbierano też „na welon".

Pamiętam doskonale jak w 1936 roku w Lipnikach zorganizowano dożynki powiatowe. Prądu we wsi nie było. Dwa kilometry od Lipnik mieszkali Słowińscy i na dożynki, aby oświetlić wieś, prąd ciągnięto od nich. Nasz zespół pieśni i tańca, prowadzony przez mojego wujka Wawrzyńca Chołubeckiego, zajął pierwsze miejsce w konkursie tańców ludowych i w nagrodę wyjechał na miesiąc do Gdyni - wtedy najmłodszego miasta w Polsce. Ten wyjazd był wielką atrakcją. Dla nas, mieszkających na dalekim wschodzie, morze było czymś obcym. Po powrocie opowiadano nam jak wygląda Gdynia, jak przepiękne jest nasze morze. Wszyscy słuchali tego z wielkim zaciekawieniem. Organizowano nawet specjalne spotkania, na których można było posłuchać relacji i wrażeń z tej wycieczki.

Moi rodzice i dziadkowie mieli duże gospodarstwo rolne. Wszystkich gruntów było ponad trzydzieści hektarów. Poza ziemią orną mieli jeszcze lasy i łąki do wypasania bydła. W obejściu były dwa domy. Ten starszy zajmowali moi rodzice, a w nowo zbudowanym, bardziej nowoczesnym, osadzonym nie bezpośrednio na ziemi, ale na specjalnych palach, mieszkali dziadkowie. Gdy w połowie lat trzydziestych mój ojciec z moim dziadkiem wznosili nowe zabudowania gospodarcze, ukraińscy mieszkańcy tak mówili: „Piękne nowe budynki, ale nad nimi i nad wami zbierają się czarne chmury". Już wtedy ukraińscy nacjonaliści zaczynali rozrabiać. Mniej więcej do 1937 roku nasze stosunki z ludnością ukraińską były bardzo dobre i przyjazne. Pomagaliśmy sobie wzajemnie. Mimo różnych wyznań razem świętowaliśmy. Atmosfera zaczęła zmieniać się na krótko przed wybuchem II

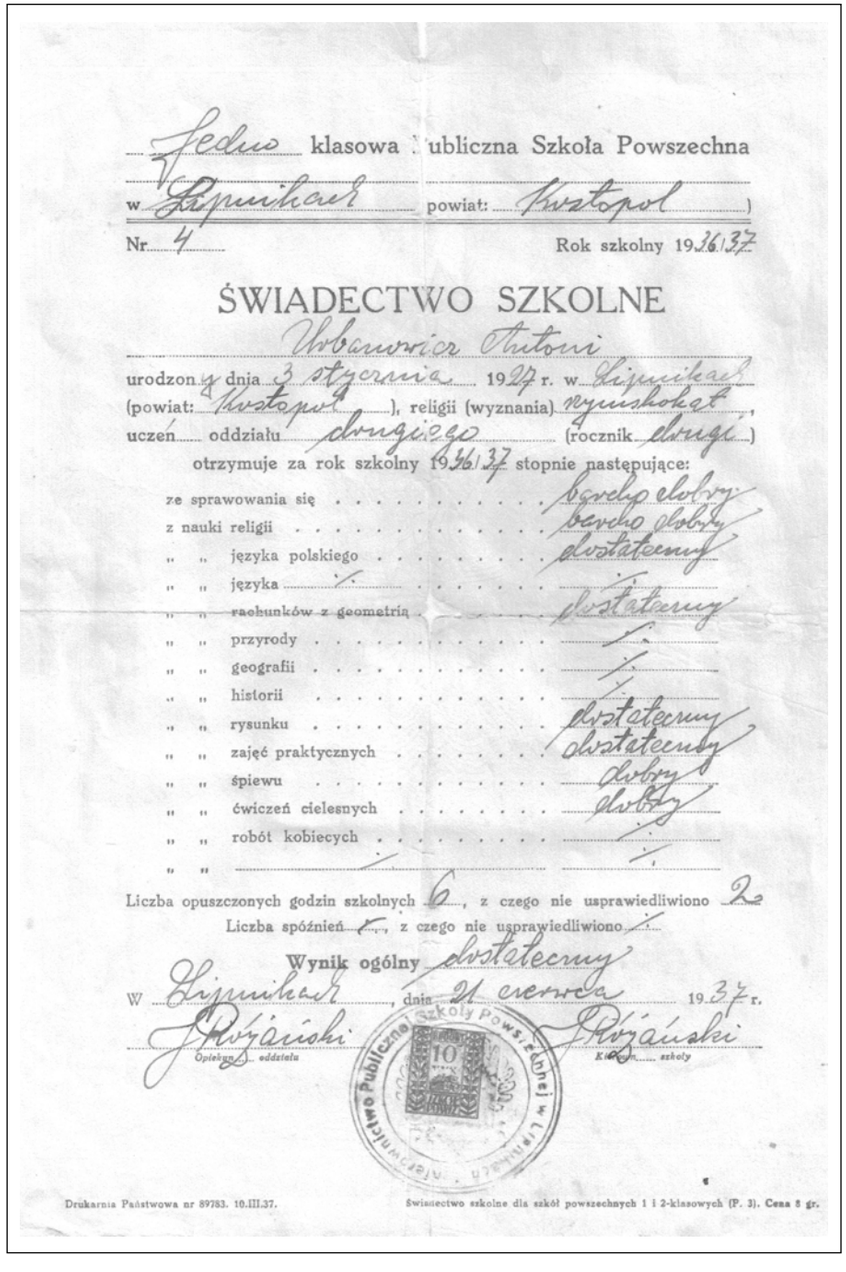

Jedno klasowa Publiczna Szkoła Powszechna
w Lipnikach powiat: Kostopol
Nr. 4 Rok szkolny 1936/37

ŚWIADECTWO SZKOLNE

Urbanowicz Antoni
urodzon y dnia 3 stycznia 1927 r. w Lipnikach
(powiat: Kostopol), religii (wyznania) rzymskokat.,
uczeń oddziału drugiego (rocznik drugi)
otrzymuje za rok szkolny 1936/37 stopnie następujące:

ze sprawowania się	bardzo dobry
z nauki religii	bardzo dobry
„ „ języka polskiego	dostateczny
„ „ języka	/
„ „ rachunków z geometrią	dostateczny
„ „ przyrody	/
„ „ geografii	/
„ „ historii	/
„ „ rysunku	dostateczny
„ „ zajęć praktycznych	dostateczny
„ „ śpiewu	dobry
„ „ ćwiczeń cielesnych	dobry
„ „ robót kobiecych	/
„ „	/

Liczba opuszczonych godzin szkolnych 6, z czego nie usprawiedliwiono 2
Liczba spóźnień 5, z czego nie usprawiedliwiono /

Wynik ogólny dostateczny

W Lipnikach, dnia 21 czerwca 1937 r.

J. Różański
Opiekun oddziału

J. Różański
Kierownik szkoły

Kierownictwo Publicznej Szkoły Powszechnej w Lipnikach

Drukarnia Państwowa nr 89783. 10.III.37. Świadectwo szkolne dla szkół powszechnych 1 i 2-klasowych (P. 3). Cena 5 gr.

Świadectwo szkolne.

wojny światowej. Na początku to Rosjanie buntowali Ukraińców przeciw Polakom. Niestety duży udział mieli też w tym ukraińscy księża. Po 17 września 1939 roku, gdy do Lipnik wkroczyli Rosjanie, od razu wprowadzili swoje rządy obsadzając stanowiska Ukraińcami. Wtedy też rozpoczęło się prześladowanie Polaków. Nie było to jeszcze tak masowe, jak po wkroczeniu Niemców, ale były już pojedyncze przypadki mordów na Polakach. Zazwyczaj sprawcy pozostawali nieznani, ale gdy już udało się komuś udowodnić winę, to dostawał kilkumiesięczny wyrok. Szedł do więzienia chudy jak patyk, a wychodził spaśnięty jak niedźwiedź. Tak mówili moi krewni. Rosjanie obiecywali, że teraz będzie lepiej, że nie będzie już panów, a wszystko będzie wspólne. Na początku Ukraińcy byli przychylni zmianom, ale jak po pewnym czasie zaczęto konfiskować dobytek, to sami przyznawali, że przed wojną to nikt głodny i goły nie chodził, a teraz brakuje i chleba, i ubrania. Po napaści Niemców na Związek Radziecki[2] to oni zaczęli buntować Ukraińców obiecując im niezawisłą Ukrainę.

Od stycznia 1943 roku napady na Polaków stały się wręcz codziennością. Prawie każdego dnia ktoś ginął. Jednak nie było to tak masowe, jak podczas napadu na wieś. Dla bezpieczeństwa ludności polskiej zorganizowała się drużyna samoobrony. Dowodzili nią Marek Słowiński, Szczepan Hajdamowicz, Edmund Bielawski i Roman Hermaszewski - główny organizator. Kilka dni przed napadem[3] do Lipnik wtargnęło kilku banderowców. Jednego z nich udało się schwytać i wydać Niemcom. Mówiono, że to było powodem spalenia wsi. Atak nastąpił w nocy z 26 na 27 marca 1943 roku[4]. Poprzedniego dnia odbył się pogrzeb mojej babci ze strony ojca (Kamila z d. Hutnicka, dziadek - Czesław Urbanowicz, starszy od babci o 8 lat, zmarł wcześniej)

[2] 22 VI 1941r. agresja Niemiec na ZSRR.

[3] „W nocy z 18 na 19 marca samoobrona tej wsi odpędziła kilku napastników, a jednego z nich, byłego policjanta, ujęto. Przekazano go Niemcom i powieszono w Bereznem" (w: Grzegorz Motyka *Od rzezi wołyńskiej do akcji „Wisła"*, s. 111).

[4] „Nocą z 26 na 27 marca podwładni „Dubowego", wzmocnieni przez chłopów uzbrojonych w broń sieczną i specjalne grupy „palaczy", przypuścili szturm na miejscowość.(...) W sumie zginęło 179 Polaków, 4 Żydów i Rosjanka. Z pułapki wyrwało się około pięćset osób, wśród ocalałych był dwuletni Mirosław Hermaszewski, późniejszy polski kosmonauta" (w: Grzegorz Motyka *Od rzezi wołyńskiej do akcji „Wisła"*, s. 112).

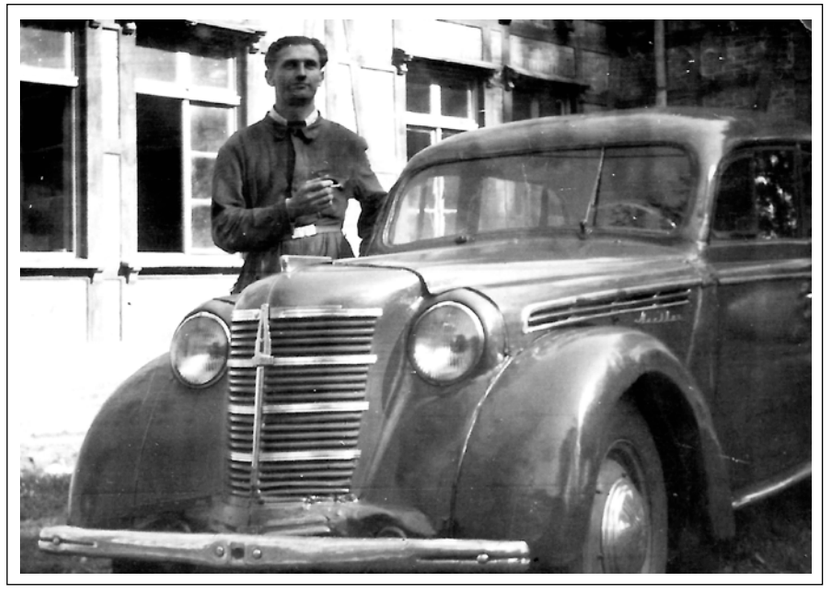

Antoni Urbanowicz, 1960 r.

i w naszym domu było sporo gości. Banderowcy zaatakowali około drugiej w nocy. Najpierw z pobliskiego wiatraka ostrzelano wieś pociskami zapalającymi. Pamiętam, jak mama nas zbudziła i kazała szybko się ubierać. Mój ojciec był wtedy na warcie w oddziale samoobrony. Musieliśmy się ubierać po ciemku. Na zewnątrz było już słychać strzały. Zaczynały płonąć pierwsze budynki. W obawie przed podpaleniem zaczęliśmy wynosić dobytek do ogrodu. Wokół panował przerażający harmider. Świstały kule, wyły zwierzęta uwięzione w płonących stodołach, krzyczeli ludzie. Coraz więcej budynków stawało w ogniu. W naszym obejściu jedynie nowy dom nie został podpalony i częściowo magazyn. Pozostałe budynki płonęły. Patrzyłem na to wszystko z przerażeniem. Zostaliśmy tylko ja i siostra Jadwiga (po mężu Krauze). Ukryliśmy się w sadzie za domem. Do dzisiaj pamiętam zapalające kule świszczące nad głową. Byłem świadomy tego, co się dzieje, ale zupełnie nie wiedziałem, jak na to zareagować. W ogólnym zamieszaniu nie wiedziałem, co stało się z moją mamą. Około czwartej rano bandyci już całkowicie opanowali wieś. Siedząc z siostrą w krzakach, słyszeliśmy potworne krzyki mordowanych ludzi, piski konających zwierząt. Wokół pełno było dymu i panował okropny smród. W pobliżu był mostek, z którego bandyci mieli dobry widok na wybiegających z płomieni żywych ludzi. Tylko krzyczeli: „lewa krwa Ukraina bij" i strzelali, dobijając tych, którzy uratowali się z płomieni. Dopiero kilka godzin później dowiedzieliśmy się, że drużynie samoobrony udało się zrobić wyłom w okrążeniu i przez wąwóz na polach Zielińskiego wyprowadzić większą część ludności do majątku Zurne[5]. Wśród tych ludzi była też moja mama i tato. Te kilka godzin ataku na zawsze pozostaną w mojej pamięci jako najstraszniejsza rzecz, jaką przeżyłem. Około godziny szóstej, gdy umilkły strzały, siostra ostrożnie rozejrzała się po okolicy. Nikogo nie było. Wszystkie budynki, prócz domu moich dziadków, płonęły. Zawołała mnie i powiedziała, że trzeba ratować to, co zostało,

[5] Majątek Zurne - dawna posiadłość Emanuela hr. Małyńskiego przekazana testamentem zakonnicom na dom opieki (w: E.Siemaszko, W. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane*..., s. 217).

Antoni Urbanowicz, Prabuty ok. 1960 r.

bo może ktoś jeszcze przeżył, a jedzenie będzie potrzebne. Poszliśmy do płonącego magazynu, gdzie trzymano zboże. Budynek nie palił się jeszcze tak mocno. Zaczęliśmy napełniać worki zbożem i wynosić do sadu. Widzieliśmy leżące wokół ciała. Udało nam się napełnić kilka worków, gdy usłyszeliśmy, że ktoś nadchodzi. Na ucieczkę było już za późno. W naszą stronę szedł młody banderowiec z przewieszonym przez ramię karabinem. Był cały zarośnięty. Myśleliśmy, że po prostu nas zabije. On zaczął wypytywać, co tu robimy. Powiedzieliśmy zgodnie z prawdą, że ratujemy to, co zostało. W pewnej chwili Ukrainiec zainteresował się dużym drewnianym kufrem stojącym przy wejściu do magazynu. Ponieważ kufer był zamknięty na zamek, kilka razy strzelił, aż zamek się rozpadł. W tym kufrze przechowywano bele materiału. Wziął kilka beli na ramiona i odszedł zostawiając nas w spokoju. Widzieliśmy, jak podszedł do jadącego wozu załadowanego różnymi sprzętami. Rzucił bele na wóz i odjechał. Pozostały materiał chciałem wrzucić w ogień, ale siostra była na tyle rozsądna, że go odebrała. Powiedziała, że to się może przydać na uszycie ubrań. Około południa przyjechał stryjek Teofil Urbanowicz, który uciekł do Zurnego i to, co ocalało zapakowaliśmy na furmankę i odjechaliśmy. W czasie tego napadu zginęły 182 osoby. Z wielu osób jestem w stanie wymienić tylko Gracjana Urbanowicza, Jadwigę Urbanowicz, Sylwestra Hermaszewskiego. W wiosce mieszkało wiele rodzin mieszanych. Przestało się to podobać Ukraińcom. Naśmiewali się z tych, którzy pożenili się z Polakami. Pamiętam takie zdarzenie. Ukrainiec Murawski po pijanemu zamordował swoją żonę Polkę i swoje dzieci, gdy wytrzeźwiał, popełnił samobójstwo. Innym tragicznym zdarzeniem był mord dokonany przez Ukraińca Jagodzina - palącą się wiązką słomy podpalał kobietę, u której rodziny pracował. W tych męczarniach kobieta błagała go, aby się nad nią zlitował i szybciej zabił. Zabitych pochowano w zbiorowej mogile w Lipnikach, po wojnie przeniesiono na cmentarz w Białce.

W majątku Zurne dostaliśmy kwaterę, ale w zamian musieliśmy pracować na jego rzecz. Najpierw pracowałem w gorzelni, a po kilku tygodniach przeniesiono mnie do obsługi traktorów i innych maszyn rolniczych. Nasze gospodarstwo zostało włączone do majątku i często jeździłem i orałem

Pięćdziesiąta rocznica ślubu Janiny i Antoniego Urbanowiczów.

Janina i Antoni Urbanowicz z dziećmi.

ziemię moich dziadków oraz rodziców. W majątku pracowałem aż do samej repatriacji. Gdy tylko ogłoszono, że istnieje możliwość wyjazdu do Polski, pierwszym możliwym transportem opuściliśmy Kresy.

Dotarliśmy na stację w Bereznem. Ojciec mój zobaczył tam swojego konia skradzionego przez Ukraiców. Ksiądz Rostowski doradził, aby zgłosić ten fakt do policji ukraińskiej. Policjant przesłuchał świadków, spisał Ukraińca i nakazał wydanie konia w ciągu trzech dni. Dyrektor majątku Zurne odkupił od ojca konia i dzięki temu mieliśmy pieniądze i jedzenie na jakiś czas przetrwania.

Wyruszyliśmy wąskotorówką z Bereznego do Bokwina, dalej do Kostopola, gdzie dołączono duży transport, aż dwie lokomotywy ciągnęły. Upchnęli nas w bydlęce wagony. W jednym wagonie jechało kilka rodzin. Z naszej bliskiej rodziny było chyba z trzynaście osób. Wieźliśmy ze sobą krowy i kilka mebli (łóżka, szafę, stół i taboret) zrobionych z drewna z własnego lasu. Z Kostopola jechaliśmy przez Równe, Dubno, Lwów, Lublin i Warszawę, która była strasznie spalona, sam gruz, tylko kominy stały, wieźli nas na tereny odzyskane.

Najpierw przywieziono nas do Kwidzyna. W Kwidzynie otrzymaliśmy wiadomość od mojej cioci Kulikowskiej, żeby jechać do Łodzi, gdzie podobno było sporo wolnych mieszkań. Z czasów, gdy jeszcze na Kresach pracowałem w gorzelni, miałem spory zapas spirytusu. Poszedłem więc wspólnie z innym towarzyszami podróży z kanistrem do kolejarzy i załatwiłem, że podczepią nasz wagon do pociągu jadącego w kierunku Łodzi. Po dwóch dniach wyruszyliśmy, ale w Gardei nas odczepiono i mieliśmy czekać na kolejny pociąg. Po trzech dniach oczekiwania powiedziano nam, że musimy wracać do Kwidzyna. W końcu w połowie maja 1945 roku dotarliśmy do Prabut. Nie bardzo chcieliśmy tu zostać. Baliśmy się, że Niemcy jeszcze wrócą. Jakoś trzeciego dnia naszego pobytu na stacji w Prabutach przyjechał do nas wójt gromady Gdakowo, Zygmunt Krasiński. Zwołał nas wszystkich i tak powiedział: „Bracia, Polacy, rodacy. Co oko widzi, a ręka sięgnie, wszystko wasze. Módlcie się, pracujcie. Niech wam Bóg błogosławi i ja wam błogosławię". Kilka godzin później przyszli z koszar wojskowi i cały nasz dobytek,

jaki mieliśmy w wagonach, wywalili na rampę. Rad nie rad musieliśmy tu zostać. Najpierw zamieszkaliśmy na obecnej ulicy Łuckiej, wtedy Kostopolskiej. Potem przeprowadziliśmy się na ulicę Kisielicką. Po wojnie Prabuty były bardzo zniszczone, stały tylko kominy i ściany, gruz wywożono na ulicę Kwidzyńską, nad jezioro, cegły przeznaczono na odbudowę Warszawy. Przy wywożeniu gruzu między innymi pracowali panowie Nawalaniec, Majewski, Pułka.

Jak przyjechaliśmy, to Prabuty nie były gminą, była to gromada Gdakowo z siedzibą w Prabutach, gmina Susz, powiat Iława. Pierwszym burmistrzem Prabut był Lipski, Irena Wiśniewska obejmowała stanowisko księgowej, Skonecki pełnił funkcję sekretarza. Wojsko ruskie stacjonowało jeszcze w Sanatorium, Raniewie i Koszarach. Na terenie gminy przebywały też oddziały partyzanckie AK. Jasiński był komendantem milicji, nie zachowywał się w porządku w stosunku do ludzi. Partyzanci kazali zjeść mu jego legitymację i pół kilograma soli. Harcerstwo miało swoją siedzibę za prezydium, do 1948 roku prowadził je ks. Piechocki, prefekt Prabut. Powojennymi księżmi w Prabutach byli: ks. Klimuszko, ks. Batowski, ks. Bernacki.

Ponieważ jeszcze na kresach miałem do czynienia z maszynami rolniczymi, poszedłem na trzymiesięczny kurs przyuczający do zawodu traktorzysty. Po tym kursie rozpocząłem pracę w PPTiMR (Państwowe Przedsiębiorstwo Traktorów i Maszyn Rolniczych). Dyrekcja znajdowała się w Suszu, a dyrektorem był kapitan Pokoniewski. U nas kierownikiem technicznym był pan Dragoński, a kierownikiem administracyjnym Józef Gintowt, niezwykle wspaniały człowiek. Pamiętam takie wydarzenie z 1946 roku. Było to podczas Świąt Wielkanocnych. Po mszy rezurekcyjnej pan Gintowt zaprosił wszystkich pracowników, a było nas około osiemdziesięciu, do stacji traktorów na wspólne śniadanie. Jeszcze dobrze się nie rozsiedliśmy, a zawyły syreny strażackie. Po chwili przyjechał ktoś ze straży prosić o pomoc. Rosjanie podpalili w Stańkowie zabudowania. Wszyscy, tak jak stali, pojechali do Stańkowa. Za wiele nie udało się uratować, ale gdyby nie my, spłonęłoby więcej budynków. Pan Gintowt był bardzo dobrym organizatorem i miał wielki szacunek u wszystkich pracowników i u okolicznych

mieszkańców. W 1947 roku nasz zakład został zlikwidowany i dostałem pracę w Państwowych Nieruchomościach Ziemskich (PNZ). Tam też pracowałem jako traktorzysta. Ale moja baza nie była już w Prabutach tylko w Bałoszycach. Tam pracowałem do 1954 roku. Jak chciałem stamtąd odejść, to dyrektor nie chciał mnie zwolnić. Ale zacząłem pisać pisma do dyrekcji w Suszu i w końcu mnie zwolniono. Wtedy zatrudniłem się w obecnym Hydrosterze, ale wtedy nazywało się to Państwowe Przedsiębiorstwo Skupu Surowców Włókienniczych i Skórzanych w Prabutach. Moja praca polegała na odbieraniu od rolników lnu. Jeździłem po okolicznych powiatach i zwoziłem surowiec do Prabut. Później, gdy zrobiłem już prawo jazdy na samochód osobowy, zatrudniłem się w pogotowiu jako kierowca sanitarki. Najpierw jeździłem w Sanatorium, później w pogotowiu w Wojewódzkiej Kolumnie Transportu Sanitarnego. Karetką pogotowia jeździłem przez trzydzieści pięć lat, aż szczęśliwie doczekałem emerytury.

Żonę Janinę Anchalt poznałem dzięki koledze Władkowi Pacholcowi, zaprosił nas oboje do siebie. Spotykaliśmy się trzy i pół roku, ślub wzięliśmy w 1952 roku w kościele św. Rozalii w Suszu. Najpierw trochę mieszkaliśmy w Suszu, później na ulicy Kuracyjnej w Prabutach. Kolejno na świat przychodziły nasze dzieci: Franciszek, Roman, Tadeusz, Zygmunt, Mirosław, Wiesław i Irena. Na Wołyń nie chcę jechać, serce boli.

Longina
Urbanowicz

Nazywam się Longina Urbanowicz z domu Dąbrowska, urodzona w 1940 roku we wsi Watyniec[1] na Wołyniu. Sama niewiele pamiętam z tego, co działo się na Kresach, ale bardzo wiele przekazała mi moja mama i babcia. Moja rodzina mieszkała w Watyńcu z dziada pradziada. We wsi było trzydzieści rodzin ukraińskich (m.in. nazwiska: Prokop, Hertyna, Mrzyk, Włodeccy, Staszkiewicz) i czternaście polskich (m. in. nazwiska: Stasiewicze, Grynowieccy, Dąbrowscy, Gonty, Rangosz, Piotrowscy, Jurkowscy, Szabelan). Tyle, że z tych polskich to znaczna część przyjechała na Wołyń ze Śląska - - Powstańcy Śląscy. W Watyńcu nie było kościoła, na msze chodziliśmy do Skurcza. Babcia opowiadała, że przed drugą wojną światową Polacy i Ukraińcy żyli w zgodzie. Między nimi zawiązywały się dobre znajomości, przyjaźnie, a czasami nawet małżeństwa. Stosunki między nimi zaczęły się psuć po wkroczeniu Niemców. Niemcy obiecali Ukraińcom „samostyjną Ukrainę". Wtedy też Ukraińcy zaczęli mordować Polaków. Bardzo duży udział w namawianiu do tych zbrodni miał kościół ukraiński. On popierał te napady, a ludzie w tamtych czasach bardzo wierzyli w każde słowo popa. Pamiętam, jak moja babcia opowiadała o takim wydarzeniu. Pewnego dnia wybrała się na mszę do cerkwi. Wtedy była taka zgoda, że Ukraińcy przychodzili na mszę do kościoła, a Polacy chodzili do cerkwi w zależności, gdzie było bliżej. Na tej mszy było mnóstwo Ukraińców z siekierami, widłami i kosami. Pop chodził i święcił wszystko. Mówił przy tym, żeby to dobrze służyło w zabijaniu Polaczków, „śmierć Lachom". Babcia wyszła z Cerkwi i mówi do Polaków: „Uważajcie, bo coś się będzie niedobrego działo". Gdyby kościół ukraiński tego nie poparł, może nie doszłoby do takich okrucieństw. Co prawda trzeba przyznać, że nie wszyscy Ukraińcy byli przeciwko Polakom. Do nas przyszedł taki sąsiad Prokop i mówi do mojego taty: „Ty Staszek bierz rodzinę i uciekaj, bo dzisiaj w nocy będzie na was napad". Tato jeszcze tego samego dnia wywiózł nas do Łucka. Natomiast mój dziadek nie chciał jechać. Powiedział, że on jest tu z dziada pradziada

[1] Watyniec - gmina Świniuchy, powiat horochowski - wieś ukraińska, w której żyło kilka polskich rodzin. Liczba ofiar zbrodni nacjonalistów ukraińskich: 9 Polaków i 8 osób z rodzin polsko-ukraińskich (w: E.Siemaszko, W. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane...,* s. 192).

i nic mu nie zrobią. Wieczorem położył się spać, ale babcia była bardziej ostrożna. Weszła na czereśnię rosnącą obok domu. Tam to czereśnie były duże jak dęby. Stamtąd obserwowała, co działo się na podwórku. Ukraińcy przyszli późno w nocy. Wyprowadzili dziadka przed dom. Siekierą odcięli mu głowę, a ciało wrzucili do podpalonego domu. Rano pies dziadków wygrzebał jeszcze ciepłe kości. Babcia je pozbierała i pochowała na podwórku, a potem też uciekła do Łucka. Z opowiadań mojej babci znam też historię jej brata i jego dzieci. Moja babcia miała dwóch braci - Piotra, Pawła oraz siostrę Franciszkę. Ten Paweł był żonaty dwa razy. Jego pierwsza żona zmarła. Z pierwszego małżeństwa miał dwóch synów Tadeusza i Władysława. Obaj zostali wywiezieni do Rzeszy na roboty. Władysław szył ubrania, a Tadek, ponieważ był dobrze zbudowany i zdrowy, został poddany eksperymentom medycznym. Dwadzieścia jeden razy obcinano mu nogę pod kolanem i sprawdzano, jak organizm reaguje na podawane zastrzyki. Przy tym chirurgu, który kierował tymi doświadczeniami, była pielęgniarka Polka. Taka mała, nie bardzo tam urodziwa. Ale się w tym Tadeuszu zakochała, bo on był wyjątkowo ładny. Ta pielęgniarka powiedziała do Tadka, że jeżeli się z nią ożeni, to ona mu pomoże, a jeżeli nie, to on zginie. Tadeusz, nie widząc innego wyjścia, ożenił się z tą pielęgniarką. Dzięki temu udało mu się przeżyć wojnę. Ta Polka miała w Ameryce ciotkę, która była właścicielką dużej farmy. Po wojnie napisała do niej, że wyszła za mąż. To bardzo ucieszyło ciotkę. Mężczyzna na tak dużej gospodarce zawsze się przyda. Ale jak w kolejnym liście napisała, że jej mąż nie ma nogi, to ta ciotka tylko ją ściągnęła do Ameryki, a Tadek został w Niemczech. Miał jednak dużo szczęścia, bo dzięki koledze z dawnych lat też przedostał się do Stanów. Na początku było mu bardzo ciężko. Szukał pracy, ale nikt nie chciał zatrudnić kaleki. Pewnego razu zmęczony zasnął w Nowym Jorku na ławce w murzyńskiej dzielnicy. Obudził go taki starszy Murzyn. Mówi do niego: „Człowieku, a co ty tu śpisz? Przecież ciebie zabiją". Tadek na to, że jest mu wszystko jedno i opowiedział temu murzynowi swoje życie. Ten Murzyn zabrał go do swojego domu, a następnego dnia poszedł do swojego chlebodawcy i załatwił Tadkowi pracę. Tadeusz pracował w firmie, która wyrabiała

różne narzędzia. Odnalazł swoją żonę i zamieszkali razem w domu, który dostał od Murzyna, gdy ten kupił sobie nowy w lepszej dzielnicy. Mimo że po pewnym czasie zaczęło im się bardzo dobrze powodzić, mieli troje dzieci, Tadeusz nie zmienił pracy, nie kupił nowego domu, ale został tam, gdzie, jak mówił, zaczęło się dla niego szczęście. Po pewnym czasie ściągnął też z Niemiec swojego brata Władysława. Ich ojciec, jego druga żona i ich dzieci, którzy zostali na Wołyniu, nie mieli tyle szczęścia. Ukraińcy zabili prawie wszystkich. Mówię prawie, bo siostrę Marię siedem razy uderzyli karabinem w głowę, a będąc przekonani, że wszyscy nie żyją, wrzucili ich do studni. Tyle, że ta siostra nie zginęła. W tej studni odzyskała przytomność, ale nie miała siły, żeby wyjść. Na szczęście po paru godzinach taki ukraiński sąsiad o nazwisku Sak, nie wiedząc, że w tej studni jest pełno ciał, przyszedł nabrać wody. Ona, jak go zobaczyła, to zaczęła prosić, żeby jej pomógł. Ten sąsiad przestraszony zapytał, co ona robi w tej studni. Jak powiedziała, że Ukraińcy zamordowali wszystkich i wrzucili do studni, to on wyciągnął ją z tej studni i zaprowadził do miejscowej zielarki. Ta obwiązała jej głowę jakimiś szmatami, żeby zatamować krwawienie. Sak wyprowadził ją na drogę i kazał iść do Łucka. Nakazał, żeby się nie zatrzymywała, ani nikomu nie mówiła, kto jej pomógł. Po kilku kilometrach straciła jednak przytomność i pewnie by umarła, ale znowu szczęśliwym zbiegiem okoliczności znalazł ją jakiś mężczyzna, który jechał z Łucka. Nie wiadomo, czy był to Polak, czy Ukrainiec. W każdym razie poznał ją i zawiózł do Łucka. Tam odnalazł moją babcię Dąbrowską i ona zaopiekowała się Marią Tarasiewicz. Zaniosła ją do takiego punktu opatrywania rannych. Pracował tam taki felczer Krajeński i pani Maryla Rodziewicz, późniejsza mieszkanka Prabut. Oni ją opatrzyli i dzięki temu przeżyła. Później razem z babcią przyjechała do Prabut w wieku 12 lat. Poznała wojskowego Zdzisława Drużbickiego, który zawiązywał koszary wojskowe w Prabutach, a później przenosił je do Grupy. Maria pracowała jako salowa w sanatorium w Prabutach.

Losy krewnych od strony mamy nie były wcale lepsze. Moja mama miała na imię Elżbieta. Jej panieńskie nazwisko to Guglas. Jej babcia Kamińska mieszkała we wsi Wertepy. Razem z nią mieszkał jej syn z córką. Ten syn

był wdowcem. Jego żona, która pracowała w pobliskiej szkole, umarła przy porodzie i on sam wychowywał córkę. Gdy miał być napad, część mieszkańców Wertepów uciekła. Babcia mojej mamy nie chciała uciekać. Miała już osiemdziesiąt cztery lata i powiedziała, że jest już za stara na ucieczkę. Razem z nią został wspomniany wcześniej syn z córką. Bandyci zakłuli nożami babcię i jej szczątki upchnęli w takim korycie do pojenia bydła. Jej syna z córką wyprowadzili przed dom, a sam budynek podpalili. Potem tę córkę wrzucili do płonącego domu, a jego trzymali i kazali na to patrzeć. Gdy traciła przytomność, wyciągali ją, polewali wodą i przytomną znowu wrzucali w płomienie. Za trzecim razem w taki sposób straciła życie. Po tym Ukraińcy odeszli, zostawiając przy życiu zrozpaczonego ojca. On z tego bólu i żalu sam wszedł w płomienie i zginął.

Powyższe historie znam z opowiadań rodzinnych. Natomiast sama najwięcej pamiętam z Łucka, do którego wywiózł nas ojciec przed atakiem Ukraińców. Mimo że miałam wtedy cztery lata, to kilka zdarzeń mocno utkwiło w mej pamięci. W Łucku mieszkaliśmy na ulicy Czerwonego Krzyża 10. Był to prywatny dom, bo nas w tym Łucku to normalnie ludzie przyjmowali do swoich mieszkań i domów. Teraz niestety nie pamiętam nazwiska właściciela tego domu. Z tego domu to najbardziej zapamiętałam kuchnię, w której jedna połowa podłogi była drewniana, a druga połowa była wyłożona cegłą. W tej drewnianej podłodze była taka klapa, pod którą znajdowała się piwniczka. Jak były naloty na miasto, to mama wrzucała do tej piwniczki pierzyny, a na pierzyny nas i tam przeczekiwaliśmy, aż nalot się skończy. Pamiętam jeszcze, że razem z siostrą spałyśmy przy oknie i podczas jednego z nalotów bomba spadła niedaleko nas i zasypało nas szkło z rozbitego okna. W Łucku mama handlowała czym było można. Sprzedawała zapałki i farbę do farbowania owczej wełny. Dzięki temu jakoś udawało nam się przeżyć. Pod koniec naszego pobytu w Łucku cudem uniknęłam śmierci. Pewnego dnia wyszłam na podwórko i znalazłam jakiś metalowy przedmiot. Wydawał on takie cykanie jak zegarek. Nawet powiedziałam do mamy, która wyszła za mną, że znalazłam zegarek. Mama, jak mnie zobaczyła, to powiedziała, żebym nie ruszała ręką i stała spokojnie. Podeszła do mnie,

zabrała mi ten przedmiot, odrzuciła daleko przed siebie, a mnie przygniotła do ziemi. Chwilę później nastąpił wybuch. To, co znalazłam, nie było zegarkiem, ale miną. Jakiś czas później bomba trafiła w stojącą obok domu stodołę. Nie zniszczyła jej całkowicie, ale poważnie uszkodziła. A w tym domu, gdzie mieszkałyśmy, był jeszcze taki Staszek. Chłopak niedorozwinięty, może w naszym wieku. Ten Staszek poszedł i zaczął się bujać na takich drewnianych belkach, co odstawały od tej stodoły. Belki się urwały i jego zabiły. Bardzo to przeżyłam.

Natomiast mojego ojca powołano w 1943 roku do drugiej dywizji Ułanów, która szła na Berlin. Na tak zwanych Wałach Pomorskich niedaleko Wałcza jest taka miejscowość Wielboki. W tych Wielbokach toczyły się bardzo ciężkie walki. Mój ojciec razem z dwoma innymi żołnierzami weszli do transformatora i stamtąd ostrzeliwali Niemców. Niemcy nie wiedzieli, skąd prowadzony jest tak zmasowany atak. Dopiero jeden Niemiec wszedł na wieżę kościoła, wypatrzył ich i rzucił w ten transformator granatem. Gdy walki ustały, to odnaleźli ich w tym transformatorze. Jeden z żołnierzy zginął na miejscu. Mój ojciec jeszcze poprosił dowódcę o nazwisku Kowalski o wodę i w kilka minut potem umarł. Było to 13 lutego 1945 roku, tak niewiele zostało do zakończenia wojny. Ten trzeci ocalał, ale mimo poszukiwań, nie udało się go odnaleźć. Niedaleko od tych Wielboków jest miejscowość Świerszczyna, a w niej szkoła. Przy tej szkole została wmurowana tablica pamiątkowa z nazwiskami wszystkich poległych. Osiemdziesiąt nazwisk polskich żołnierzy. Po wojnie to było tak, że wszystkich pochowano w zbiorowych mogiłach. Były trzy kopce. Polaków, Niemców i Rosjan. Później jednak przeniesiono polskich żołnierzy na cmentarze. Mój ojciec spoczywa na cmentarzu wojskowym w Drawsku Pomorskim. Na tym cmentarzu leży 3458 żołnierzy polskich. Drugie tyle żołnierzy niemieckich spoczywa na cmentarzu w Koszalinie. Podobna liczba Rosjan leży na innych cmentarzach. Tylu ludzi zginęło pod tymi Wielbokami.

Jak opuszczałyśmy wraz z mamą i siostrą Kresy, to pamiętam, że wyruszyłyśmy z Łucka i jechałyśmy w takich bydlęcych wagonach. W jednym wagonie były dwie, a nawet trzy rodziny razem z dobytkiem, w tym z żywym

inwentarzem. W naszym wagonie jechała krowa. Na każdym postoju lecieliśmy na pobliskie pola po pokrzywę lub lebiodę, żeby było można ugotować cokolwiek do jedzenia. Głód był wtedy straszny. Jak udało się znaleźć trochę kartofli, to nie obierano ich, tylko na tarce całe ścierano do zupy. Na takich zawiesinach udało się przetrwać całą podróż. Przywieziono nas do Szczytna. Moja mama była jak na tamten czas osobą dość dobrze wykształconą. Miała skończone siedem klas szkoły podstawowej i dwa lata kursu. Jaki to był kurs, tego nie wiem, ale na zdjęciu z zakończenia tego kursu wszystkie dziewczęta są ubrane w brązowe spódniczki, brązowe buty na lekkim obcasie, białe bluzki, a na głowach mają brązowe berety. Dzięki temu mama dostała pracę w tamtejszym biurze do spraw repatriacji. Mieszkaliśmy tam jakiś czas. Dostaliśmy nawet bardzo ładny domek nad jeziorem, ale ponieważ wtedy było tam jeszcze dużo Niemców, mama trochę się bała. Wystarała się więc o przeniesienie. Razem z taką panią Piotrowską, wdową z piątką dzieci, wyjechaliśmy do poznańskiego. Trafiliśmy do takiej miejscowości Marynowo. Mieszkali tam sami Poznaniacy. Tam też trochę przeszliśmy. Dwie wdowy z dziećmi, a wokół sami obcy mieszkający tam z dziada pradziada. Dodatkowo mieliśmy typowy dla wschodnich terenów akcent. Bardzo często mówili na nas Ukraińcy. Zdarzało się, że tutejsze dzieciaki rzucały w nas kamieniami. Przez pewien czas to nawet milicjant odprowadzał nas do szkoły. Dopiero, jak mama jednemu napisała jakieś podanie, drugiemu pomogła załatwić coś do gospodarstwa, miejscowi zaczęli na nas inaczej patrzeć. Chcieli nawet mamę zatrudnić w prezydium w Czarnkowie, ale mama tylko ziemia i ziemia, jak to zabugowcy. To dali mamie takie gospodarstwo dwadzieścia cztery hektary. Mama z początku była przerażona. Na Kresach miała połowę tego i tak z trudem to obrabiali. Ale że była też pracowita, postanowiła spróbować. Dali mamie jeszcze parobka do pomocy, młodą źrebną klacz, wóz, pług, kultywator, maszynę do młócenia i taką maszynę do cięcia buraków. Na początku było naprawdę ciężko. Ten parobek bardzo nam pomagał. Nawet chciał się z moją mamą żenić. Mama miała wtedy niecałe trzydzieści lat. Ale ona wielka gospodyni, gdzie będzie za parobka wychodziła. Parobek jak dostał kosza, to zabrał się

i odszedł. Jakiś czas mama sama gospodarzyła. Jednak zakochał się w niej syn najbogatszego gospodarza we wsi. To już mamie bardziej odpowiadało. Pobrali się i ciężko pracowali na tym gospodarstwie. Z tego małżeństwa przyszło na świat czworo mojego rodzeństwa. Gdy skończyłam szkołę podstawową, trzeba było zdecydować, co dalej. Moja starsza siostra uczyła się wtedy w technikum gastronomicznym. Mieszkała w internacie, za który trzeba było płacić trzydzieści osiem złotych, a właśnie tyle wynosiła renta, jaką mieliśmy po tacie. Ponieważ wtedy jeszcze mama się dorabiała, nie było mowy, żebym poszła gdzieś do szkoły. Ale w Prabutach mieszkała moja babcia i dyrektor naszej szkoły podstawowej napisał do niej z zapytaniem o szkoły znajdujące się w okolicy Prabut. Babcia mu odpisała, że w samych Prabutach jest liceum dla wychowawczyń przedszkolnych. Takim właśnie sposobem trafiłam w 1952 roku do Prabut, gdzie skończyłam liceum i gdzie poznałam swojego męża. Ślub wzięliśmy w 1962 roku. Przez 30 lat pracowałam w Przedszkolu nr 1 w Prabutach i pomagałam mężowi w prowadzeniu gospodarstwa.

Watyniec odwiedziłam dwa lata temu. Tam, gdzie były nasze domy, nie ma nic. Zarosło wszystko, szczególnie czereśniami. Mieszkający tam Polacy żyją bardzo biednie. Przy drodze nadal stoi przedwojenna, drewniana tablica z nazwą miejscowości.

Władysław
Urbanowicz

Nazywam się Władysław Urbanowicz. Urodziłem się w 1936 roku we wsi Lipniki[1]. Z ojca Bronisława i matki Jadwigi Urbanowiczów. Rodowe nazwisko matki to Kutasiewicz. Z tego, co mi mówiono, to moi pradziadkowie przybyli z Wilna i kupili w Lipnikach gospodarstwo. Moi rodzice mieli piętnastohektarowe gospodarstwo. W tamtych czasach obrobienie takiej ilości ziemi to był duży wysiłek. Większość prac wykonywało się ręcznie. Nie było, tak jak teraz, mechanizacji. Pamiętam takie zdarzenie, było to latem 1942 roku. Przez wieś przejeżdżali Niemcy i zobaczyli konie pasące się obok naszego gospodarstwa. Przystanęli i mówią do ojca, żeby dał im jednego z koni. Ojciec na to, żeby sobie sami wzięli. Jeden z tych Niemców podszedł do koni i próbował jednego z nich zabrać, a ten koń łapał obcych zębami. Nie wiem, czy był tak wyuczony, czy miał taki charakter. W każdym razie ten Niemiec uciekł. Podbiegł do ojca, przystawił mu pistolet do głowy i zaczął krzyczeć, że ma przyprowadzić tego konia. Moja babcia i mama się rozpłakały i mówią do ojca, żeby zrobił, co ten Niemiec chce. Więc ojciec poszedł i przyprowadził tego konia. Niemcy wypięli z wozu jednego ze swoich koni, a na jego miejsce wpięli tego naszego i odjechali. Ten niemiecki koń, to był strasznie chudy i po kilku dniach zdechł. To jeszcze mieliśmy kłopot, bo trzeba było dziurę kopać, żeby się go pozbyć.

W naszej wsi mieszkał też taki jeden Ukrainiec, który był przywódcą miejscowej bandy. Ktoś doniósł Niemcom, że ten Ukrainiec wrócił z lasu do domu. Niemcy podjechali ciężarówką, otoczyli gospodarstwo, ale Ukraińca nie znaleźli. Wzięli więc jego żonę i jej siostrę z małymi dziećmi, zamknęli w stodole i podpalili. Po tym zdarzeniu zjawił się u teścia mojej chrzestnej, który miał kuźnię, inny Ukrainiec i powiedział, że za tamtą piątkę cała wieś odpowie głowami. Po kilku dniach wiadomość obiegła całe Lipniki. Na spełnienie gróźb nie trzeba było długo czekać. Kilka miesięcy później, dokładnie z 26 na 27 marca 1943 roku banderowcy napadli na Lipniki. Tego dnia pochowali akurat matkę mojego chrzestnego. Rodzina przyjechała do

[1] Lipniki - kolonia polska założona w końcu pierwszej połowy XIX w. Podczas wojny w kolonii było 55 zagród. Liczba ofiar zbrodni nacjonalistów ukraińskich: 179 Polaków, 4 Żydów, 1 Rosjanka (w: E.Siemaszko, W. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane*..., s. 204).

domu, zjedli obiad i porozchodzili się po swoich mieszkaniach. Mojemu tacie tej nocy przypadł dyżur w takiej grupie samoobrony, która została zorganizowana, aby bronić wsi przed Ukraińcami. Wiadomo, jakie wtedy były zabudowania. Wszystko z drewna, słomą kryte. Tato przyleciał do domu jakoś przed drugą w nocy. Zastukał w okno i mówi do mamy: „Rozwieraj drzwi, zabierać trzeba dzieci, babcię i chować się gdzieś, bo druga strona wioski się pali. Już Ukraińcy na nas napadli". Jakieś trzydzieści metrów od domu mieliśmy taką drewnianą piwniczkę wpuszczoną w ziemię. W naszych stronach mówiło się na to loch. Trzymało się tam ziemniaki, kapustę w beczkach, ogórki. Do tego lochu nas tato wstawił. Mama mówi do taty: „Wchodź tu do nas". Tato mówi: „Zaraz przyjdę, tylko powypuszczam zwierzęta z obory". Inwentarz powypuszczał, ale do nas już nie wrócił. Rano, jak się uspokoiło i zrobiło się widno, to jako pierwszego wypuścili mnie, małego dzieciaka. Oczywiście wszystko wokół stało w ogniu. W odległości jakichś dwustu metrów zobaczyłem jeszcze dwóch bandziorów odchodzących do lasu. Podszedłem do domu i widzę, że obora otwarta, w bramie stoi wyciągnięty wóz, a na nim uprząż, ale taty nigdzie nie ma. Do naszego gospodarstwa prowadziła droga wysadzana dębami. Drzewa były grube, stare. Podchodzę do pierwszego dębu, zaglądam za drzewo i nic. Podchodzę do drugiego, a za nim na wznak leży ojciec. Tato został postrzelony w głowę. Z boku przy nim leżało jeszcze jakiś dwóch chłopaczków. Czyje oni tam byli, tego nie wiem. Wszyscy byli przykryci derką z naszego wozu. Ja wtedy z płaczem pobiegłem z powrotem do mamy. Mówię, że tato nie żyje. Wtedy zrobił się lament, wszyscy wyszli z tego lochu i zaczęliśmy szukać, czy ktoś jeszcze prócz nas przeżył. Przez naszą wieś biegła bita droga. Prowadziła ona do takiego majątku Zurne. Przed wojną była to własność hrabiego Małyńskiego, ale w 1943 roku stacjonowali tam Niemcy. Przy tej drodze był dość głęboki rów, który odprowadzał wodę z tej drogi. W tym rowie to dosłownie leżeli ściśnięci jak śledzie. Same trupy, żadnego rannego. Ubili wszystkich, którzy drogą uciekali do Zurnego. Rano przyjechali samochodami i wozami Niemcy z tego majątku Zurne. Wszystkich rannych i żywych zabrali do tego majątku. Zabitych, a było ich 182 osoby, pochowano w zbiorowej mogile. Nikt z nas już do Lipnik nie wrócił. Przez kolejne dwa lata mieszkaliśmy w tym majątku

i tam mama i moje rodzeństwo pracowało.

Wiosną 1945 roku zaczęto organizować transporty do Polski. Kto chciał, ten mógł zostać, ale wtedy musiał przyjąć obywatelstwo radzieckie. Ja nie znam nikogo z Polaków, kto tam został. Wyruszyliśmy pod koniec kwietnia. Najpierw wieziono nas wąskotorówką do Bereznego, następnie do stacji Mokwin. Czekaliśmy tam dwa tygodnie na transport na „szeroki tor". Podróż do Polski trwała chyba ze trzy tygodnie. Najpierw przywieziono nas do Prabut, ale po obejrzeniu miasta stwierdziliśmy, że nic tu po nas i pojechaliśmy do Kwidzyna. Tam po dwóch dniach znaleźliśmy ładne mieszkanie, ale gdy wróciliśmy na dworzec, oznajmiono nam, że kto nie zdążył się wypakować z wagonów, tego przewożą na lepsze tereny. Przywieźli nas z powrotem do Prabut i wyrzucili na bocznicę kolejową. Wtedy już trzeba było tu zostać. Zajęliśmy gospodarstwo na ulicy Kisielickiej 36. W jednym domu mieszkały tam trzy rodziny. Pomieszkaliśmy tam do 1947 roku, a potem przeprowadziliśmy się do tego domu, gdzie teraz mieszkamy.

Zdrowie nie pozwoliło mi na odwiedzenie powojennych Lipnik.

Władysław Włodarczyk

Nazywam się Władysław Włodarczyk. Urodziłem się 3 października 1933 roku w Mielnicy[1], gmina Stepań, powiat Kostopol. Moi dziadkowie przywędrowali na Kresy z centralnej Polski w poszukiwaniu miejsca do osiedlenia. Moi rodzice urodzili się już na Wołyniu. Wieś, w której mieszkaliśmy, była podzielona na dwie kolonie. Po jednej stronie rzeki leżała Duża Mielnica, a po drugiej Mała Mielnica. Prócz Polaków mieszkało u nas kilka rodzin ukraińskich. Gospodarstwo moich rodziców miało ponad osiem hektarów. Mieliśmy także siedem krów i konia. Podstawą gospodarstwa były krowy. Niedaleko nas była zlewnia mleka, do której ojciec sprzedawał mleko od naszych krów. Do szkoły poszedłem 1 września 1939 roku. Szkoła mieściła się w Dużej Mielnicy. Po wkroczeniu Rosjan dalej chodziłem do tej szkoły. Tyle, że wtedy nie była to już szkoła polska.

Stosunki między Polakami a Ukraińcami jeszcze przed wojną były bardzo dobre. Moi rodzice byli nawet zaproszeni na wesele do ukraińskich sąsiadów, gdy oni żenili syna. Nawet w trakcie wojny część Ukraińców sprzyjała Polakom. Wokół Mielnicy były też ukraińskie wioski. Jedną z nich była wieś Mydzk. Właśnie tam w marcu 1943 roku Ukraińcy zamordowali mojego wujka Michała. Przybył wraz z żoną Janiną. Wtedy zginął też drugi wujek Jurek Piotr. Ich ciała zostały wrzucone do przerębla w pobliskiej rzece. Naszymi sąsiadami byli Ukraińcy. Z jednej strony mieszkała rodzina o nazwisku Zuliniec, a z drugiej o nazwisku Gocz. Ten Zuliniec miał trzech synów. Dwóch starszych było za ojcem i okazywali Polakom sympatię. Natomiast najmłodszy wstąpił do band UPA. Na nasze szczęście stary Zuliniec informował nas o wszystkim, co bandy planowały. Pewnego razu oznajmił, że nie możemy nocować w domu, bo są planowane napady na polskie rodziny. Wtedy przez kilka tygodni nocowaliśmy w lesie w takich prymitywnych szałasach. Jednak doszliśmy do wniosku, że takie dalsze życie to nie życie i opuściliśmy Mielnicę. Pojechaliśmy do wsi Kamionka, oddalonej od Mielnicy o jakieś osiem kilometrów. Tam mieliśmy rodzinę i u niej

[1] Mielnica - Kolonia Mielnica Duża - kolonia licząca 19 zagród polskich (100 Polaków) i 8 zagród ukraińskich (20 Ukraińców). (w: E.Siemaszko, W. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane*..., s. 295).

zamieszkaliśmy. Po nasileniu się napadów przenieśliśmy się do miejscowości Huta Stepańska. Dwa napady, jakie Ukraińcy przypuścili, zostały odparte. W trakcie drugiego napadu mój dziewiętnastoletni brat razem z kolegą wsiedli na konie i chcieli przebić się do Stepania po niemieckie posiłki. Niestety po drodze zostali zastrzeleni przez Ukraińców i nawet nie wiem, gdzie ich pochowano. Podczas trzeciego napadu, było to w nocy, ojciec zaprzągł konia do wozu i uciekliśmy. Pogoda była fatalna. Padał zimny deszcz, wiał silny wiatr. Jednak mój ojciec znał wszystkie drogi w okolicy na pamięć i żadna pogoda nie była mu straszna. Po kilku godzinach dojechaliśmy do miejscowości Rafałówka. Była tam stacja kolejowa i stacjonowali tam niemieccy żołnierze, więc było bezpieczniej. Ukraińcy bali się napadać na miejscowości, w których było niemieckie wojsko. Niestety ta decyzja nie była dla nas szczęśliwa. Po dwóch tygodniach Niemcy zapakowali całą naszą rodzinę w bydlęce wagony i wywieźli do Rzeszy na roboty. Przez prawie trzy lata przebywaliśmy koło Olsztyna. Pierwszy niemiecki gospodarz nie traktował nas zbyt dobrze. Mieszkaliśmy na strychu takiego spichrza. Gdy przyszły mrozy, było tam potwornie zimno. Co jakiś czas do gospodarstwa przyjeżdżał niemiecki żandarm sprawdzać, jak zachowują się Polacy. Gdy przyjechał, moja mama pokazała mu warunki, w jakich mieszkamy. Ten żandarm natychmiast zabrał nas do Olsztyna do takiego punktu zbiorczego dla robotników przymusowych. Stamtąd odebrała nas pani Otton, właścicielka dużego gospodarstwa. Majątek mieścił się w miejscowości Ruzynowo. Mąż właścicielki był wyższym oficerem i tylko czasami przyjeżdżał do majątku. Warunki pracy i zakwaterowania były dość dobre. Pamiętam, że na kilka godzin przed zajęciem Olsztyna przez wojska radzieckie, mąż właścicielki przyjechał do majątku i po godzinie, czy dwóch odjechał konno w kierunku Królewca. Rosjanie po wkroczeniu zabrali właścicielkę razem z trojgiem jej dzieci i ślad po nich zaginął. Rosjanie kazali nam się ubrać i zabrali wszystkich robotników do Olsztyna. Szliśmy pieszo i dopiero pod wieczór doszliśmy do miasta. W Olsztynie przenocowaliśmy w jakimś spalonym opuszczonym budynku i rankiem wyruszyliśmy w dalszą drogę. Nie wiem, ile kilometrów zrobiliśmy, ale dwie noce spaliśmy po opuszczonych domach. Trzeciego dnia spotkał nas oddział polskiego wojska,

zabrał na ciężarówki i tak dojechaliśmy do Rembertowa koło Warszawy. Z Warszawy wyjechaliśmy pociągiem do Lublina z zamiarem powrotu na Wołyń. Jednak w Lublinie powiedziano nam, że tam już nie mamy po co wracać, bo to ziemia radziecka. Trzeba było jakoś na nowo się urządzać. Rodzice znaleźli pracę w zakonie Bobolanów i tam pracowali przez pół roku. W międzyczasie odnaleźli w poznańskim sąsiada z naszej wsi i jakiś czas z nim korespondowali. Ten sąsiad namawiał ich do przyjazdu i poszukania jakiegoś wolnego gospodarstwa. Wyjechaliśmy więc do Poznania, ale wolnych gospodarstw już nie było. Właśnie wtedy dowiedzieliśmy się, że bracia mojej mamy są w Obrzynowie. Nie namyślając się długo, przyjechaliśmy do Obrzynowa i tutaj zamieszkaliśmy. Było to w lipcu 1946 roku. W Obrzynowie skończyłem sześć klas szkoły podstawowej, a siódmą, ostatnią, która dawała prawo do nauki w gimnazjum i dalej w szkole zawodowej, kończyłem w Prabutach. Po ukończeniu szkoły zawodowej wyjechałem do Gdańska. Tam mieszkali moi przybrani dziadkowie, czyli brat mojego dziadka z żoną. Zamieszkałem u nich i podjąłem pracę w zakładzie energetycznym w Sopocie, a jednocześnie wieczorowo kończyłem technikum. W trakcie trzeciej klasy technikum zostałem powołany do wojska. Po odbyciu służby wojskowej zaproponowano, abym został żołnierzem zawodowym. Nawet miałem na to ochotę, ale jak władza dowiedziała się, że brat mojego taty jest w Anglii, a mój tato utrzymuje z nim korespondencję, temat ze strony wojska już nie wrócił.

Moi kuzyni, którzy mieszkali na Śląsku jeszcze przed 1989 rokiem, pojechali do Mielnicy na zaproszenie jednego z synów tego Ukraińca o nazwisku Zulin. Po kolacji, gdy poszli spać, nie mogli zasnąć w obawie, że zostaną zamordowani. Przy śniadaniu powiedzieli gospodarzowi o swoich obawach. Ten im odpowiedział, że on też nie mógł spać, bo myślał, że oni przyjechali, aby go zabić.

Kilkanaście lat temu pojechałem z synem do tego Ruzynowa, gdzie w czasie wojny pracowałem przymusowo. Na miejscu tego majątku zrobili PGR. Budynki były w opłakanym stanie. Księgowa z tego PGR-u na pytanie, czy żyje w okolicy ktoś, kto pamięta czasy wojny, odpowiedziała, że tu już trzecie

pokolenie się zmienia. Dodała jednak, że mieszka w okolicy Niemiec polskiego pochodzenia o nazwisku Orłowski i on może coś jeszcze pamiętać. Pojechaliśmy więc pod wskazany adres. Okazało się, że był on sąsiadem niemieckich właścicieli. Jednak nie chciał ze mną rozmawiać. Nie wierzył, że jestem jednym z tych Polaków, którzy pracowali tam przymusowo. Powiedziałem, że mogę udowodnić to, co mówię i opowiedziałem dwie historie z czasów wojny. Pierwsza była o tym, jak niemiecki właściciel postrzelił gęsi sąsiada, za to, że weszły na jego pole. Druga historia dotyczyła radzieckiego czołgu, który zatonął w pobliskich bagnach. Dopiero wtedy uwierzył i zaczęliśmy rozmawiać. Okazało się, że po rodzinie Ottonów ślad zaginął. Po wojnie nikt nie przyjeżdżał do tego majątku. Zapewne Rosjanie wysłali ich na Syberię albo rozprawili się z nimi w inny sposób.

Kazimiera Zając

W roku 1931 mój ojciec Stanisław Boguszewicz ożenił się z Zofią Piasecką. Mieszkali w Worobinie[1], gmina Dąbrowica, powiat Sarny.

Worobin była to wieś zamieszkana wówczas przez Ukraińców (stanowili 2/3 ludności) i Polaków (było ich około 1/3). W Worobinie nie było kościoła. Najbliższy był w Dąbrowicy. Nie było też szkoły. Większość mieszkańców miała po 1-2 hektary ziemi. Z tej ilości ziemi ciężko było wyżywić wielodzietne rodziny, więc pracowali też w majątku Broniockiego – największego pana w tej okolicy.

Ojciec urodził się 17 sierpnia 1907 roku, a matka 9 maja 1909 roku. Stanisław i Zofia wychowywali sześcioro dzieci - czterech synów i dwie córki:

- Roman Boguszewicz, urodzony 30 stycznia 1930 r.
- Kazimiera Boguszewicz, urodzona 25 grudnia 1933 r.
- Henryk Boguszewicz, urodzony 27 lutego 1935 r.
- Teresa Boguszewicz, urodzona 9 maja 1937 r.
- Stanisław Boguszewicz, urodzony 20 lutego 1939 r.
- Jerzy Boguszewicz, urodzony 18 czerwca 1941 r.

Miałam siostrę bliźniaczkę Stefanię, która zmarła w wieku jedenastu miesięcy.

Od czasu, gdy pamiętam, mieszkaliśmy Worobinie w drewniano-murowanej chacie, w której były dwa pokoje i kuchnia. W okolicy domu znajdowała się studnia z wodą pitną oraz mała stajenka. Gdy miałam siedem lat, nie miałam żadnego obuwia, nie chodziłam też do szkoły, ponieważ nie było szkoły przeznaczonej dla polskich dzieci. Wraz z rodzeństwem ubieraliśmy się bardzo skromnie, nie mieliśmy rzeczy na zmianę. Utkwiła mi w pamięci ciężka praca, która polegała na pasieniu krów. Wykonywałam ją od najmłodszych lat. Jedyną moją rozrywką były zabawki zrobione z ziemniaków i zapałek.

Ojciec był fornalem[2], pracował w majątku Worobin, którego właścicielem

[1] Worobin - w majątku mieszkało i pracowało kilkudziesięciu Polaków i Ukraińców. Majątek był własnością Witolda hr. Broel-Platera. Liczba ofiar zbrodni nacjonalistów ukraińskich - 25 Polaków (w: E.Siemaszko, W. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane...,* s. 755).

[2] Fornal - najemny robotnik rolny w dawnych majątkach ziemskich, wykonujący prace gospodarskie końmi (w: *Słownik współczesnego języka polskiego* pod red. B. Dunaja, s. 258).

był Bronicki. Ojciec pracował głównie przy wywożeniu drewna z lasu. Matka zajmowała się gospodarstwem (było ono niewielkie) i wychowywaniem dzieci. W majątku Bronickiego była gorzelnia, w której produkowano spirytus. Dzięki tej gorzelni moja rodzina miała prąd. Było to bardzo ważne w ich codziennym życiu.

Polacy – katolicy i Ukraińcy – prawosławni lub grekokatolicy żyli obok siebie w Worobinie od lat. Zdarzały się nawet małżeństwa mieszane. W latach trzydziestych dochodziło we wsi do częstych konfliktów na tle narodowościowym. Miały miejsce sprzeczki, kradzieże, bójki i wiele innych problemów. Moja rodzina starała się unikać tych awantur, aby żyć zgodnie wśród społeczności Worobina.

Po wkroczeniu Rosjan we wrześniu 1939 roku początkowo panował spokój. Ludzie słyszeli o dokonanych wywózkach na Sybir, które dotknęły ich rodziny lub znajomych tylko z tego powodu, że byli Polakami.

Zimową porą 1942 roku do majątku wtargnęła czerwona partyzantka polsko-radziecka, która zabrała z majątku najbardziej potrzebne rzeczy i spirytus. Podpalili też gorzelnię. Moja rodzina nie miała z tego powodu prądu elektrycznego. W tym samym dniu fornale (było ich dwunastu) pojechali do lasu na zrąb drzewa. Partyzanci zabrali wszystkie konie i zamknęli fornali, którzy zostali w majątku. Zostali uwięzieni w jednej ze stajni. Na drugi dzień do majątku Bronickiego przyjechali żołnierze niemieccy i okrążyli majątek. Partyzanci schowali się w leśniczówce. Niemcy wypuścili fornali i chcieli do nich strzelać, gdyż wzięli ich za partyzantów. W tym samym czasie z lasu wracali inni fornale, a wśród nich mój ojciec. Żołnierze niemieccy przestraszyli się fornali, myśląc, że są partyzantami. Następnego dnia hitlerowcy wrócili i zapytali, gdzie są partyzanci. Jeden z fornali zdradził ich miejsce pobytu. W wiosce panowała wielka obawa przed Niemcami. Partyzantka nie spodziewała się hitlerowców. W leśniczówce pili alkohol, gdy podjechały dwie niemieckie ciężarówki z wojskiem. Żołnierze niemieccy weszli do leśniczówki i zabili dwunastu partyzantów, leśniczego i jego dwóch synów. Rodzice byli pełni obaw o to, aby Niemcy nie wrócili do Worobina, dokonując tego samego wyczynu. Na szczęście Niemcy odjechali. Partyzanci,

którzy ocaleli, wrócili do wsi, aby znaleźć zdrajcę. Został on wskazany przez jednego z fornali. Pracownik, który ukrywał się i zdradził partyzantów, chował się przed nimi około miesiąca czasu. Wraz z nim ukrywało się jeszcze dwóch fornali. Gdy partyzanci złapali fornali, kazali się im przedstawić. Dwóch puścili wolno, a trzeciego związali, wywieźli do lasu i rozstrzelali. Zabronili też pochować jego zwłoki grożąc, że kto to zrobi, skończy jak on. Ojciec wraz z kolegami chcieli pochować zabitego, lecz żony prosiły, aby tego nie robili.

W roku 1943 do wsi weszła ukraińska banda UPA. Zaczęli grasować, rabować i zabijać mieszkańców Worobina. Zabili chłopca, syna kowala. Jego ojciec uchronił się od śmierci ucieczką ze wsi. Ciało chłopca wywieźli na most. UPA zabiło jeszcze dwie staruszki, które też wywlekli na most. Zginęła jeszcze 35-letnia kobieta, a jej córka została mocno okaleczona. Ukraińcy wzięli ze stodoły słomę i ułożyli ją na moście. Następnie położyli tam ciała zamordowanych i podpalili most. Trupy powpadały do rzeki. Do majątku jeszcze raz przyjechali Niemcy. Hitlerowcy wydobyli zwłoki z wody i pochowali je na cmentarzu w Worobinie. We wsi panowało wielkie zamieszanie i groza.

Ojciec bardzo bał się o rodzinę. Nie chciał, żeby któremuś z nas stała się krzywda. Poprosił sąsiada, aby ten odwiózł nas na stację. Wzięliśmy ze sobą najbardziej potrzebne rzeczy i wyruszyliśmy w drogę. Ojciec miał ze sobą dwa worki tytoniu, które były głównym źródłem utrzymania mojej rodziny. Tytoń okazał się niezwykle cennym surowcem, o zdobycie którego zabiegali zarówno cywile, jak i wojskowi. Ojciec sprzedawał tytoń w małych porcjach lub zamieniał go na chleb, cukier, wodę pitną, słoninę, naftę i inne produkty. Dzięki tym zapasom moja rodzina przeżyła, ponieważ na stacji w Dąbrowicy mieszkaliśmy cztery tygodnie. Gdyby nie tytoń, sprawa przeżycia byłaby prawie niemożliwa. Podczas pobytu na stacji ojciec pojechał do powiatowego miasta Sarny, tam znalazł mieszkanie i pracę. W Sarnach, w domu, w którym mieszkaliśmy, nie było prądu, a sam budynek był w dużo gorszym stanie niż dom w Worobinie. Praca ojca polegała na dowożeniu żywności do kuchni niemieckiej. Wynagrodzeniem za tę

pracę było sześć bochenków chleba i 0,25 kg cukru tygodniowo. Żywność musiała wystarczyć na cały tydzień. Drugim źródłem utrzymania był tytoń, który był jeszcze w domu. Sprzedawała go matka. Tak wyglądało życie w mieście Sarny.

Małą paczuszkę tytoniu matka przywiozła po wojnie do Rodowa i do dziś przechowywana jest wśród pamiątek rodzinnych.

7 stycznia 1944 roku do Sarn weszły oddziały Armii Czerwonej i wyzwoliły miasto spod hitlerowskiej okupacji. Rosjanie zrobili również pobór do wojska. Ojciec też musiał iść, aby walczyć o wyzwolenie swojej ojczyzny.

Polska jednostka formowała się w Siedlcach, gdzie przydzielono ojca. Cała rodzina była załamana, że ojciec nas opuszcza. Jego życie było w wielkim niebezpieczeństwie. Zaczęła się ciężka praca dla małych dzieci. Matka wzięła na siebie obowiązek wychowania sześciorga małych dzieci. Ciężko przeżywała rozstanie z mężem. Mogła go już więcej nie zobaczyć. Wiadomo, co niesie ze sobą wojna, jak straszliwe są jej skutki.

Na początku lutego 1944 roku nastąpiło bombardowanie Sarn przez Niemców. Najbardziej zniszczona była stacja kolejowa. Na kościele w Sarnach siedział szpieg niemiecki i donosił, gdzie jest najwięcej ludzi i gdzie można zrzucić bomby. Szpiega dostrzegli radzieccy żołnierze i zastrzelili go.

Matka nie zwlekając wzięła nas i uciekła do miejscowości oddalonej od Sarn o 6 km. Gdy bombardowanie się skończyło, cała rodzina wróciła do Sarn, dziękując Bogu, że ocalała. Po licznych bombardowaniach miasto było całe w gruzach. Byliśmy bardzo głodni i nie było nic do jedzenia. Matka poszła do miejscowości oddalonej od Sarn 30 km, aby przynieść chleb. Pod jej nieobecność młodszym rodzeństwem opiekowałam się ja i mój starszy brat Roman. Matki nie było przez trzy dni. Sami musieliśmy przygotowywać sobie posiłki. Gotowaliśmy kaszę oraz głowy ryb, które wyrzucali radzieccy żołnierze. Po trzech dniach wróciła matka, która przyniosła 10 bochenków chleba i trochę słoniny. Żywność musiała wystarczyć na tydzień.

Sarny były niemal doszczętnie zniszczone. Nie było miejsca, aby móc tam żyć. Na początku marca 1944 roku musieliśmy udać się do Dąbrowicy, gminnego miasta. Dąbrowica leżała niedaleko rodzinnej wsi Worobin. Dzieci

były bardzo zmęczone częstymi podróżami, bardzo ciężko było z nimi iść. Gdy szliśmy, były straszne zawieje i zamiecie, śnieg sięgał aż do kolan. Był bardzo ostry mróz, wszystkim było zimno. Po przejściu 5 km złapała nas straszna zamieć śnieżna. Aby jej uniknąć, schroniliśmy się w pobliskim gospodarstwie, gdzie mieszkali Ukraińcy. Nie lubili oni Polaków, dlatego chcieli się dowiedzieć, czy moja rodzina nie jest z pochodzenia Polakami. Matka znała język rosyjski i wytłumaczyła, że nie są Polakami, tylko wędrują do rodziny, która mieszka w Dąbrowicy. Najstarszy mieszkaniec chciał sprawdzić dokumenty. Matka udawała, że ma je gdzieś schowane w torbie i zaczęła ich szukać. Ukrainiec uwierzył matce. Matka zabroniła nam mówić po polsku, ponieważ mogło to doprowadzić do zguby. Najmłodszy brat Jerzy był cały zmarznięty, ledwo oddychał, nie miał butów. Gospodyni domu, widząc sytuację, rozpaliła pod piecem, posadziła go obok niego. Dzięki temu brat mógł przeżyć. Ukraińcy poczęstowali moją rodzinę kapustą z ziemniakami, trochę też dali na drogę. Po posiłku powędrowaliśmy dalej. Po przejściu paru kilometrów dotarliśmy do następnego gospodarstwa. Tam sytuacja się powtórzyła, lecz znów udało się oszukać mieszkańców. Była noc, więc tam przenocowaliśmy. Gdy wstaliśmy rano, matka poprosiła gospodynię, aby ugotowała nam ziemniaki. Gospodyni odmówiła. Powiedziała, że ona rano nigdy nie rozpala pod piecem. Głodni poszliśmy dalej. Gdy wyszliśmy, niedaleko spotkaliśmy polskich żołnierzy, którzy dali nam żywność i wodę pitną. Wszyscy bardzo się ucieszyliśmy i podziękowaliśmy wojskowym. Do Dąbrowicy brakowało jeszcze około 2 km. Przed Dąbrowicą matka rozpoznała dom swoich znajomych, którzy mieszkali kiedyś w Worobinie. Dowiedziała się od nich, że na stację w Dąbrowicy może być nalot, a ich dom stojący koło stacji też mogą zniszczyć. Mieliśmy zamiar iść do Jasieńca oddalonego od Dąbrowicy o 7 km. Po drodze do Jasieńca zaszliśmy do Worobina, który był doszczętnie zniszczony. Dalej nie mogliśmy iść, ponieważ zbliżała się noc. Młodsze dzieci zaczęły spać już pod drzewami. W tym czasie jechał samochód z Jasieńca do Dąbrowicy. Matka zatrzymała samochód i poprosiła, aby nas zawiózł do Jasieńca, gdzie mieszkało matki rodzeństwo. Gdy kierowca się zgodził, wszyscy bardzo się ucieszyliśmy,

że po raz pierwszy od dłuższego czasu spędzimy noc wśród swoich. W Jasieńcu mieszkaliśmy u siostry matki. Przebywaliśmy tam od kwietnia 1944 roku do 15 maja 1945 roku. Wraz z braćmi, aby zarobić na życie, paśliśmy krowy. Praca była bardzo ciężka. Mój dzienny zarobek to kawałek suchego chleba i butelka mleka. Wraz z miejscowymi kobietami zbierałam w lesie jagody i sprzedawałam je.

W lipcu 1944 roku Armia Polska generała Berlinga, w której służył mój ojciec, wraz z żołnierzami radzieckimi wyzwoliła Lublin. Po zwycięstwie ludność miasta przywitała ich chlebem, solą i kwiatami. Ze zdobytego Lublina pojechali do Puław. Gdyby zdobyli miasto, ojciec dostałby cztery dni urlopu. Tego dnia jednak nie doczekał.

Treść listu z Lublina:

„Ukochana żono i dzieci, z łaski Pana jestem żyw i zdrów, czego wam życzę, wszystkiego najlepszego od Pana Boga. Ukochana rodzino, donoszę wam, że jesteśmy na ziemi rodzinnej, polskiej, co również was powinno ucieszyć. Ukochana rodzino, opiszę wam, jak nas spotkali bracia polscy w mieście Lublinie. Obsypali nas kwiatami, cukierkami, papierosami i wódką. Ludzie z radości skakali i tańczyli, a krzyk wiwatu chyba było słychać w niebie. Koledzy cieszyli się bardzo, mnie było bardzo przykro, że nie mam żadnej wiadomości od was. Proszę was, nie martwcie się, nie jestem pod frontem. Żegnam ukochana rodzino, mocno kochający – wasz ojciec. Mocno, mocno całuję was moja rodzino…"

Ojciec zginął na rzece 4 sierpnia 1944 roku, gdy przeprawiali się pomagać powstańcom w Warszawie. Gdy płynęli łódką przez Wisłę, żołnierz radziecki (początkowo twierdzono, że niemiecki) puścił serię z karabinu maszynowego i żołnierze powpadali do wody. Ciała zabitych, w tym ojca, przypłynęły do brzegu. Ojca nie można było rozpoznać. Zidentyfikowano go dopiero po dokumentach. Żołnierze zostali pochowani na cmentarzu wojskowym w Puławach. Spośród przeprawiających się przez rzekę ocalał tylko jeden żołnierz. Śmierć ojca była ogromną tragedią dla całej naszej

rodziny. Matka była tak zagubiona, że nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Byłam bardzo przywiązana do ojca, przez dłuższy czas nie mogłam pogodzić się z jego stratą. Bardzo cierpiałam.

List dowódcy kompanii Koronowa zawiadamiający o śmierci ojca:

„Szanowna Pani Boguszewicz! List od Pani pisany dn. 13 sierpnia do męża otrzymaliśmy i postanowiliśmy odpisać. Do Pani posłaliśmy list z zawiadomieniem o śmierci męża, zabitym na polu chwały, który zginął walecznie, oraz paczkę z rzeczami męża, która się jednak wróciła z tego powodu, że nie przechodziła przez dezynfekcję. Dzisiaj przeprowadziliśmy dezynfekcję i od razu posłaliśmy paczkę oraz ten list. Proszę nam wybaczyć, że tak późno przysyłamy paczkę, jednak na froncie tak bywa, to brak połączenia, to znów inna przyczyna. Dowódca kompanii Kononow".

W kwietniu 1945 roku matka dostała w Jasieńcu dwa hektary ziemi, jęczmień do siewu i dwie kozy. Długo we wsi jednak nie pozostaliśmy.

W maju 1945 roku nastąpił koniec II wojny światowej. Moja rodzina dostała wiadomość o możliwym powrocie na Ziemie Odzyskane. Mieliśmy być przydzieleni do Zamościa.

Pod koniec maja 1945 roku pojechaliśmy furmanką na stację do Dąbrowicy. Tam czekaliśmy na pociąg, który jechał do Polski. Pociąg przyjechał dopiero za dwadzieścia dni. Przez ten czas żywiliśmy się suchym chlebem, popijając go wodą. Był to pociąg towarowy, który zabrał ze sobą ok. 50 rodzin. W wagonach były również zwierzęta, które zabrali ze sobą ludzie. Warunki podróży były okropne, ale ludzie cieszyli się, że wreszcie wrócą do swojej ojczyzny. Pociąg zatrzymał się dopiero w Katowicach. Gdy ludzie wyszli z wagonów, zaczęli skakać, tańczyć. Tak się cieszyli, że są w swoim kraju. Na kolejny transport czekaliśmy trzy dni. Wraz z braćmi poszliśmy poszukać jakiegoś jedzenia, aby nakarmić młodsze rodzeństwo. Gdy podstawiono pociąg, wszyscy gwałtowanie pchali się, aby zająć jak najlepszy wagon. Podczas podróży cały czas padał deszcz. Panowała też okropna wszawica. Bardzo dużo osób, zwłaszcza dzieci i starszych, umarło

podczas drogi. Podróż trwała miesiąc. Wiadomo było, że jedziemy na Pomorze.

W czerwcu 1945 roku dotarliśmy do Prabut. Stamtąd udaliśmy się pociągiem na trasie Iława – Malbork do Gdakowa oddalonego od Prabut o 7 km. Część podróżujących wysiadła w Gdakowie i tam zamieszkali. Pozostali ludzie przydzieleni byli do Rodowa, oddalonego od Gdakowa o 5 km. Moja rodzina zajęła dom wraz z siostrą matki i jeszcze inną rodziną.

W Rodowie lepsze gospodarstwa były już zajęte przez ludzi, którzy przybyli z województwa krakowskiego. Mężczyźni z okolic Krakowa mieli karabiny i biało-czerwone opaski na rękach. Moja rodzina była zadowolona, że mieszka na odzyskanych ziemiach. Nie czuli takiego strachu, jak w Worobinie czy Dąbrowicy. We wsi było dużo padliny i porozrzucanych mebli. Nie było co jeść. Matka i ja doiłyśmy krowy, aby wykarmić liczną rodzinę. Za wydojenie 10 krów jedna osoba dostała wiadro mleka. We wsi nie było chleba ani ziemniaków. Głównym pożywieniem był twaróg. Gdy nastąpił czas żniw, ja z dwojgiem braci pracowaliśmy u żołnierzy, aby zarobić na życie. Żołnierze stacjonowali w poniemieckim pałacu junkierskiej rodziny von Rittbergów w odległych o 3 km od Rodowa Stążkach. Za pracę tygodniową otrzymywaliśmy 3 kg mąki i mleko. Pracowaliśmy tam do września 1945 roku. Gdy skończyłam 12 lat, poszłam do pierwszej klasy szkoły podstawowej. Razem ze mną poszli siostra i dwaj bracia. W szkole pisaliśmy na kartkach wyrywanych z zeszytów, które zostawili Niemcy. Książki były różnego rodzaju. W 1946 roku wraz z rodzeństwem poszłam do I Komunii Świętej do kościoła w Prabutach. Kościół w Rodowie nie miał księdza.

Gdy chodziłam do trzeciej klasy, zaliczyłam w jednym roku też czwartą klasę. W 1949 roku skończyłam piątą i chodziłam 2 tygodnie do szóstej. W klasie szóstej zakończyłam swoją edukację, ponieważ sytuacja w domu była niewesoła, nie było co jeść i jak się ubrać.

Pracowałam u gospodarza, gdzie pasłam krowy. Jedyną moją rozrywką było czytanie książek wśród pasących się zwierząt. Mając 17 lat chodziłam do innego gospodarza na zarobki. Pracowałam od rana do wieczora za marne grosze. Jeden gospodarz za 18 dni pracy podarował mi tylko małego prosiaka. Pracowałam bardzo ciężko. Tak mijał mi czas do 1958 roku. Każdy dzień był zwykłym szarym dniem.

W 1958 roku wyszłam za mąż za Czesława Zająca. Nie mieliśmy gdzie mieszkać, ponieważ u jednych i u drugich rodziców mieszkania były zbyt małe. Zamieszkaliśmy razem ze starszym panem – Julianem Kulickim, który był chory na gruźlicę. Wynajął nam część domu za opiekę nad nim. Dom, w którym zamieszkaliśmy, nie nadawał się do normalnego życia, tak był zniszczony. Zaczęliśmy go remontować. Utrzymywaliśmy się z niewielkiej ilości ziemi. Mąż był strażakiem w Ochotniczej Straży Pożarnej w Prabutach. Urodziłam dziewięcioro dzieci i cały czas mieszkam w Rodowie. Wspomnienia o Kresach są wciąż żywe w mej pamięci.

Bolesław Zygadło

Nazywam się Bolesław Żygadło, urodziłem się 28 kwietnia 1931 roku. Dzieciństwo oraz młodość spędziłem na Kresach. Mieszkaliśmy w takiej małej miejscowości, a właściwie kolonii Grudy[1] składającej się z kilku domów. Pierwsze dziecinne wspomnienia to pójście do szkoły. Szkoła była w oddalonej o dwa kilometry wiosce Małe Siedliszcze[2]. Nasz nauczyciel był bardzo młody, sam pewnie dopiero po szkołach. Wszystkie lekcje prowadził sam. Nasza sala była w zasadzie wynajęta od Żyda, bo była w tej wiosce już szkoła, ale gdy w 1938 roku zamiast szkół czteroklasowych wprowadzono siedmioklasowe, w szkole po prostu zabrakło miejsca. Lekcje odbywały się w języku polskim. Dzieci były trzech narodowości: Polacy, Ukraińcy i Żydzi. W Małych Siedliszczach było osiem albo dziesięć rodzin żydowskich. Do szkoły poszedłem w 1938 roku, tak więc przed wybuchem drugiej wojny światowej zdążyłem ukończyć pierwszą klasę. Moi rodzice prowadzili gospodarstwo rolne.

Jak opowiadał mi mój tato, kolonia Grudy została założona przez osadników niemieckich na początku dziewiętnastego wieku. Po śmierci dziadka w 1899 roku moja babcia razem z szóstką dzieci musiała sama obrabiać gospodarstwo. Mój ojciec miał wtedy piętnaście lat. Ciężko pracowali, ale ich praca przynosiła efekty. W 1900 roku babcia wykupiła od jednego z Niemców drugie gospodarstwo. Wtedy gospodarstwo babci liczyło prawie trzydzieści hektarów. W gospodarstwie była jeszcze olejarnia i kaszarnia. Znając teraz lepiej historię tamtych ziem to wiem, że car, chcąc zachęcić do zasiedlania ziem, na początku dawał osadnikom bardzo dobre warunki. Płacili bardzo niskie podatki, mieli swoje szkoły. Jednak z czasem zaczęto podnosić podatki i to pewnie skłoniło osadników niemieckich do sprzedaży swoich gospodarstw. Tych, którzy mimo to postanowili zostać, czekał niecie-

[1] Kolonia Grudy - kolonia, w której żyli Polacy. 26 maja 1943 roku upowcy napadli na pracujących w polu Polaków. Zamordowani zostali Julian i Feliks Żygadło. W końcu sierpnia 1943 roku zostali zamordowani przez Ukraińców dziadkowie Bolesława Żygadły. Liczba ofiar zbrodni nacjonalistów ukraińskich: 6 Polaków, 1 Czech. (w: E.Siemaszko, W. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane*..., s. 230).

[2] Małe Siedliszcze (wieś i osada) - wieś żydowsko-ukraińska, w której żyło kilka polskich i do 1940 r. niemieckich rodzin. Do 1942 r. ludność żydowska stanowiła większość mieszkańców. Osada była polska. Liczba ofiar zbrodni nacjonalistów ukraińskich: 10 Polaków. (w: E.Siemaszko, W. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane*..., s. 238)

Spotkanie Polaków przed Urzędem Powiatowym w Kostopolu. Wołyń 1935 r.

kawy los. Po wybuchu pierwszej wojny światowej większość z nich została wywieziona w głąb Rosji. Przez kilka lat, aż do zakończenia wojny, ich gospodarstwa były opuszczone i niestety uległy dewastacji. Gdy Niemcy wrócili, tylko kilku z nich zdecydowało się na pozostanie i odbudowę gospodarstw. Reszta sprzedała swoje ziemie i wyjechała do Niemiec. Wtedy też babcia dokupiła kolejne gospodarstwo. Większość z tych gospodarstw, które były na sprzedaż, kupili Polacy, ale również sześciu Ukraińców kupiło ziemię od Niemców. Tak więc po zakończeniu pierwszej wojny światowej wioska stała się wielonarodowościowa. Mimo tego, aż do wybuchu drugiej wojny światowej nie było poważniejszych konfliktów między mieszkańcami. Raczej obserwowało się współpracę i szacunek dla ich religii i obyczajów. Przykładem była niepisana tradycja, że gdy Ukraińcy obchodzili jakieś święto, to Polacy w tym dniu nie wykonywali żadnych prac w pobliżu ich pól, żeby nie przeszkadzać w świętowaniu. Podobnie robili Ukraińcy, gdy to Polacy obchodzili jakieś święto. Gdy mój tato dorósł, babcia podzieliła gospodarstwo na dwie części. Jedna przypadła mojemu stryjowi, a druga mojemu tacie. Moi rodzice utrzymywali się wyłącznie z prowadzenia gospodarstwa. W 1937 roku dokupili od banku dwanaście hektarów lasu. Do dzisiaj przechowuję akt notarialny. Za ten las zapłacili siedemset złotych w złocie.

Po wkroczeniu Sowietów we wrześniu 1939 roku rodzice zastanawiali się, czy nie wysłać mnie do polskiej szkoły w Kostopolu. W naszej szkole lekcje były już prowadzone w języku ukraińskim. Jednak po namyśle doszli do wniosku, że lepiej, żebym był na miejscu, a język obcy też się przyda. Tak się złożyło, że w połowie 1939 roku oddano do użytku nowy budynek szkoły, w którym mieściły się wszystkie klasy. Moim nauczycielem i wychowawcą był miejscowy Żyd. Mimo okupacji staraliśmy się żyć na tyle normalnie, na ile pozwalały warunki. W styczniu 1940 roku Sowieci zaczęli wywozić na Sybir nauczycieli, lekarzy, księży, całą lokalną inteligencję. Siostra mojej matki była żoną Piłsudczyka, który otrzymał za zasługi z pierwszej wojny światowej ziemię. Oni również zostali wywiezieni i ślad po nich zaginął. Wywożono także bardziej zamożnych gospodarzy. Rodzice cały

Prabuty 1946 r. przed Domem Harcerza. Sztandar ZHP Prabuty.

czas żyli w strachu, czy i nas nie wywiozą. W marcu 1940 roku mój ojciec i stryj dostali wezwanie, aby się zgłosić do NKWD w Kostopolu. Poszli tam. Byliśmy w strachu, że już ich nie zobaczymy. Ponad tydzień ich tam trzymali. Akurat na Wielkanoc ich wypuścili, ale tylko na dwudniową przepustkę. Po świętach mieli się ponownie zameldować. W pamięci została mi taka scena, jak razem z rodzeństwem i matką żegnaliśmy tatę przed domem. Byliśmy przekonani, że już nie wróci i że widzimy go po raz ostatni. Po tygodniu jednak wrócił. Wypuścili go i stryja. Mimo to nadal gdzieś w nas był ten strach przed wywózką na Syberię. Muszę jeszcze wspomnieć, że w lutym 1940 roku na podstawie porozumienia między Związkiem Radzieckim a III Rzeszą niemieccy gospodarze wyjechali. Jakiś czas potem otrzymaliśmy list od jednego z nich. Pisał, że dostał gospodarstwo koło Bydgoszczy. Na miejsce Niemców sprowadzono z Lubelszczyzny ukraińskich osadników. Wiosną 1940 roku zaczęto organizować kołchoz. Wszyscy Ukraińcy podpisali deklarację i przystąpili do kołchozu. Ojciec się nie zgodził. Wtedy odebrano nam ziemię zostawiając tylko las i łąki. W 1941 roku skierowano ojca do pracy przy budowie oddalonego o dziesięć kilometrów lotniska. Tam ojciec pracował ponad dwa miesiące i tam też zastał go wybuch wojny niemiecko-sowieckiej.

Pierwsze, co Niemcy zrobili po wkroczeniu, to nałożyli wysokie kontyngenty. Cierpieliśmy wtedy straszny głód. Co z tego, że Niemcy oddali nam ziemie, które Sowieci włączyli do kołchozu, skoro cały zebrany plon wzięli dla siebie. Trzeba było jakoś przeżyć cały rok i jeszcze obsiać ziemię. Pamiętam, że na przednówku w 1942 roku przez dwa tygodnie nie mieliśmy ani ziemniaków, ani chleba. Były krowy i kury, więc mieliśmy mleko i jajka, ale nic poza tym. Dopiero jak tato wykręcił pierwszy miód, to pojechał z nim do miasta i wymienił na chleb. Później było już trochę lepiej, ale wysokie kontyngenty dawały się nam we znaki.

Pierwsze nieporozumienie, jakie odczułem, choć jako dziecko jeszcze tego nie rozumiałem, miało miejsce w czerwcu 1942 roku. Ponieważ czasy były trudne i był kłopot z kupnem nowych podręczników, robiliśmy wymianę książek. Starsze roczniki przekazywały podręczniki młodszym.

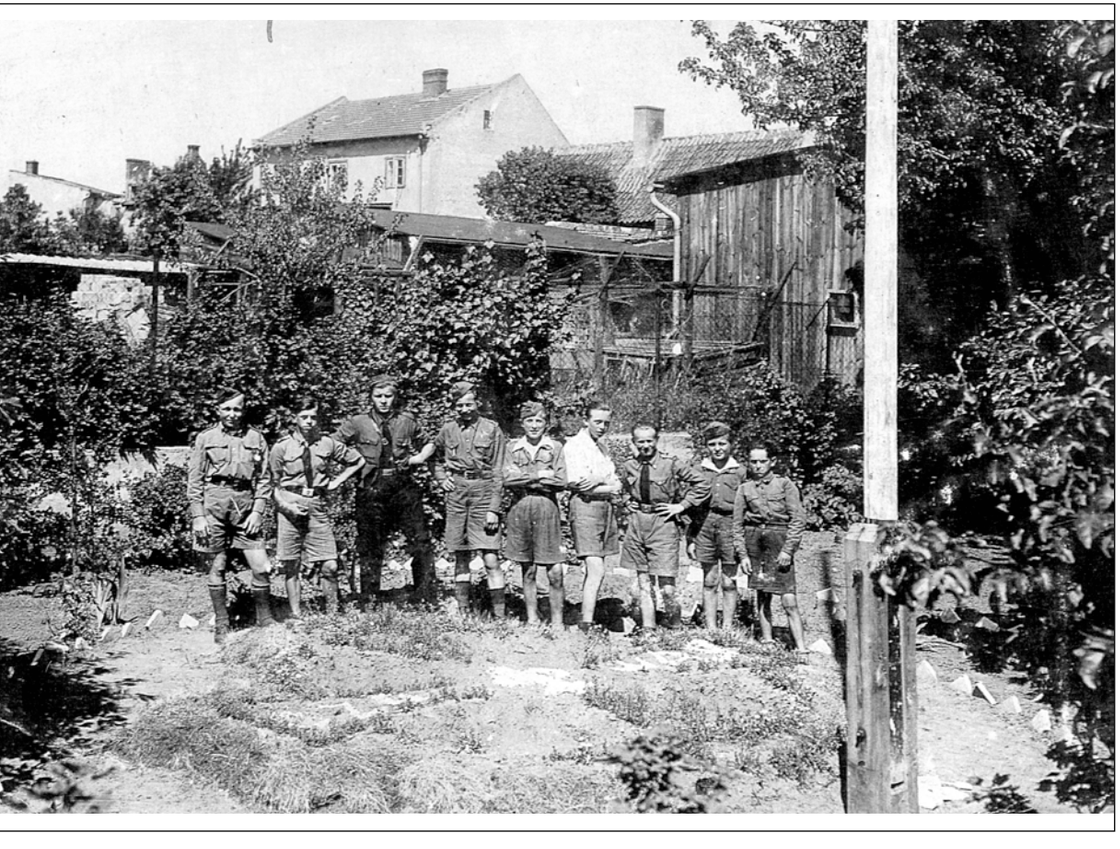

Harcerze z Prabut w ogrodzie, 1946 r.

Właśnie wtedy podczas takiej wymiany miało miejsce zdarzenie, którego wtedy nie rozumiałem. Ukraińscy chłopcy podeszli do żydowskich uczniów i powiedzieli: „Ty jesteś Żydem i tobie książki do następnej klasy nie będą potrzebne". Do mnie ukraiński chłopiec powiedział: „Ty jesteś Polak, tobie książki jeszcze się przydadzą". Ci ukraińscy uczniowie już wiedzieli, co się dzieje i jaki będzie los Żydów. Na początku sierpnia 1942 roku wszystkich Żydów z naszej wsi popędzono do Kostopola i rozstrzelano. Od tego czasu zaczęły pogarszać się stosunki między Polakami a Ukraińcami.

W naszej wsi było sześć rodzin ukraińskich jeszcze sprzed wybuchu wojny. Wszyscy byli grekokatolikami. Nawet wybudowali sobie we wsi taką małą kapliczkę. To właśnie od nich zaczęło wyczuwać się wrogość. Ukraińcy świeżo osiedleni w 1940 roku nie mieszali się do stosunków panujących we wsi. Nie byli pewni tego, co dalej z nimi będzie. Drugie wydarzenie, które dotyczyło już nas Polaków, miało miejsce w marcu 1943 roku. Idąc rankiem do szkoły, na skrzyżowaniu dróg obok domu Polaka o nazwisku Kamieński zobaczyłem tłum ludzi. Z jego córką chodziłem do jednej klasy. Jak się okazało, ten Kamieński został zabity, gdy wracał do domu poprzedniego wieczora. Od tego czasu rodzice nie puszczali już mnie do szkoły. Właśnie od lutego 1943 roku zaczęły się pojedyncze mordy na Polakach. Od połowy marca były to już zorganizowane napaście na wsie. W naszej okolicy najtragiczniejszy był napad na wieś Lipniki. Była ona oddalona od nas o jakieś dwanaście kilometrów. Kolejnym miejscem, tym razem oddalonym od nas o trzydzieści kilometrów, była Janowa Dolina. Tam znajdowały się domki robotników pracujących w pobliskich kamieniołomach. Podczas tego napadu zabito kilkaset osób. Ofiarą napadu była też córka siostry mojego ojca. Mieszkali oni jakieś piętnaście kilometrów od nas. Napadnięto ich w nocy. Zamordowano jej męża, syna, a córkę, która próbowała uciekać do pobliskiego lasu, zastrzelono na podwórku. Z napadu ocalała ona oraz jej dwuletnia córeczka, która spała za piecem przykryta pierzynami i nie słyszała strzałów ani krzyków.

Napad, który naocznie widzieli moi rodzice, wydarzył się niedaleko nas. Jakieś półtorej kilometra od naszego gospodarstwa przepływała niewielka

Defilada w 1947 r. Na czele drużynowy Edward Zdrzalik.

rzeczka. Pewnej nocy na początku maja 1943 roku rodzice zobaczyli łunę przy rzece. Jakieś dwieście metrów od tej rzeczki mieszała rodzina Szczurowskich. Wiedzieliśmy, że kilka osób z naszej wioski, w obawie przed napadami, chodziło do nich spać. Głównie samotne kobiety z dziećmi. Jedną z nich była niejaka Łukowska, której mąż był wywieziony na roboty do Niemiec, a ona została sama z małym dzieckiem. Była wśród nich również wdowa Serwrukowa i jej synowa z dwójką dzieci. Myśmy też już nie nocowali w domu, ale w przygotowanej w lesie kryjówce. Rano rodzice poszli zobaczyć, co tam się stało. Wszystkie budynki były doszczętnie spalone. W zgliszczach leżały zwęglone zwłoki pomordowanych. Niedaleko obejścia na polu leżały ciała gospodyni Szczurowskiej i Łukowskiej z naszej wsi. Obie były strasznie okaleczone. Szczurowska została uderzona siekierą w głowę, jednak ostrze ześlizgnęło się i odrąbało jej całą rękę z połową łopatki. Łukowska natomiast miała odrąbaną połowę twarzy. O dziwo, obie kobiety jeszcze żyły. Uratowało je to, że dwie córki Szczurowskich nie nocowały w domu, tylko w sianie na stryszku za domem i oprawcy ich nie znaleźli. Gdy Ukraińcy odeszli, to te córki wyciągnęły Szczurowską oraz Łukowską z domu i przeniosły na pole. Ale po chwili Ukraińcy wrócili i te córki musiały uciekać. Bandyci splądrowali obejście, a następnie wszystko podpalili. Gdyby nie te dziewczyny, to Szczurowska i Łukowska spłonęłyby żywcem. Rodzice postanowili im pomóc. Tyle, że aby dojechać wozem do gospodarstwa, trzeba było jechać ponad dwa kilometry przez ukraińską wieś. Ojciec postanowił więc, że podjedzie wozem do rzeki, a przez rzekę przeniosą ranne na wóz. Mi nakazano pilnować koni, a ojciec, matka i mój starszy brat, który miał wtedy szesnaście lat, poszli po okaleczone kobiety. Obok gospodarstwa Szczurowskich mieszkał nowo osiedlony Ukrainiec. Gdy już ranne leżały na wozie, podszedł do ojca i tak powiedział: „Żygadło, co ty robisz? Ty ich żywych nie dowieziesz i sam żywy nie wrócisz". Ojciec mu tylko odpowiedział: „Trudno." Ruszył w kierunku Kostopola. Po drodze były dwie wioski ukraińskie. Jednak ojcu udało się szczęśliwie dowieźć ranne kobiety do szpitala. Obie przeżyły. Już po osiedleniu się w Prabutach jedna z nich kilka razy nas odwiedziła.

Święto Lasu 24.04.1948r.

Po tym mordzie wszyscy Polacy z naszej wsi wyjechali do Kostopola. Baliśmy się zostawać na swojej ziemi w obawie przed bandami. Tam warunki były ciężkie. Pracy praktycznie nie było. Ja pasałem krowy w pobliskim lesie, ale rodzice żadnej pracy nie mieli. Żywności nie można było kupić, bo Ukraińcy po prostu nie przywozili jej do miasta na sprzedaż. Gdy nastały żniwa, rodzice, stryj i kilku sąsiadów postanowili wrócić i zebrać zasiewy. Tym bardziej, że przestało się słyszeć o mordach. Nie wiem, czy było to spowodowane tym, że Ukraińcy już nie mordowali, czy tym, że nie było już kogo mordować, bo wszyscy Polacy uciekli. Tak więc wróciliśmy na żniwa. Jednak po kilku tygodniach znowu zaczęły się pojawiać łuny nad okolicznymi wioskami. Wtedy postanowiliśmy wracać do Kostopola. Ale nie było już mowy o jawnym przejeździe w biały dzień. Trzeba było jechać nocą. Zapadła decyzja, że jednej nocy zawiezie się wszystkie kobiety i dzieci, a następnej mężczyźni wyruszą wioząc ze sobą zbiory. Podczas naszego pobytu całymi dniami przesiadywał u nas ukraiński sołtys. Miał on dzieci w wieku mojej młodszej siostry, które bawiły się razem. Pewnego dnia zaproponował ojcu, że weźmie moją młodszą siostrę na noc do siebie. Ojciec po zastanowieniu zgodził się i dał jeszcze temu sołtysowi krowę. Po ich odejściu przyszedł do nas ukraiński sąsiad o nazwisku Monczur, który zajmował już gospodarstwo po Polaku. Zaproponował, abyśmy spali u niego w stodole. Pamiętam jak mówił do ojca: „Tak będzie lepiej i dla was, i dla nas. Jak przyjdą ukraińskie bandy, to ja będę z nimi rozmawiał, a jak przyjdą Niemcy, to ty do nich wyjdziesz". Ojciec postanowił, że my z matką pójdziemy spać do sąsiada, a on zostanie, aby pilnować dobytku, a przy okazji jeszcze trochę domłóci. Razem z nami mieszkała jeszcze moja babcia od strony matki. Ona nie chciała iść. „Ja mam już osiemdziesiąt lat i mi nic nie zrobią". Wyszliśmy z domu, jak było już prawie ciemno, tak, aby nikt nie widział, jak idziemy. Tego wieczora widziałem ojca po raz ostatni. Noc minęła spokojnie. Zaraz po wschodzie słońca, póki jeszcze Ukraińcy spali, wróciliśmy do siebie. Już z daleka widzieliśmy pootwierane bramy wjazdowe. Zaczęliśmy biec. Tuż za bramą zobaczyliśmy świeży piasek. Zaczęliśmy nawoływać tatę, ale nie było żadnego odzewu. Mama

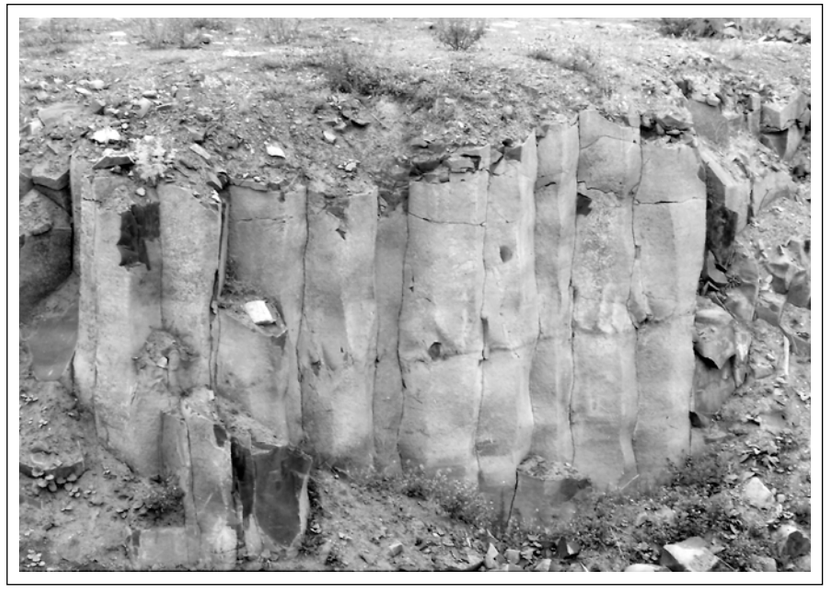

Kamieniołomy w Janowej Dolinie.

ze łzami w oczach powiedziała: „Jakby ojciec żył, to na pewno by do nas wyszedł. A tu ani krowy, ani konia nie zakopano, tylko ojca i babcię" - - dodała, wskazując na piasek przy bramie, skierowała się do domu. Całe gospodarstwo było splądrowane. Meble roztrzaskane, sienniki porozcinane. Zabrali wszystko, łącznie z całym żywym inwentarzem. Zastanawialiśmy się, jak to się wszystko stało. Ojca na pewno nie zastali w domu, bo zawsze nocowaliśmy w kopkach siana. Po dokładnym obejrzeniu całego obejścia odkryliśmy, że zniknęła również uprząż dla koni, która była chowana w małej drewutni za drewnianymi klocami. To świadczyło o tym, że ojciec sam ją wydał albo wskazał miejsce, gdzie jest ukryta. Bandyci na pewno nie domyśliliby się, gdzie ona może być. Cali w strachu i rozpaczy nie wiedzieliśmy, co robić. W końcu mama postanowiła, że wrócimy do tego Ukraińca, gdzie spędziliśmy noc. On nie był zaskoczony tym, co się stało. „Ja słyszałem w nocy, jak jechały drogą dwa konne wozy pełne ludzi. Wiedziałem już wtedy, że jadą do was" - powiedział autentycznie zasmucony. Nie wiedzieliśmy, co dalej robić. Monczur doradził, żebyśmy przeczekali dzień w stodole, a on pójdzie do pierwszej ukraińskiej wioski i się trochę rozejrzy. Tak się składało, że brat Monczura był w tej wiosce przywódcą bandytów. „Pójdę i poradzę się brata, co tu z wami zrobić" - powiedział, zamykając nas w stodole. Matka jeszcze do niego powiedziała, pewnie żeby go zachęcić. „Idź tam, w pierwszej kopce siana od stodoły jest schowana kana miodu". Poszedł, przyniósł tę kanę i dopiero wyruszył do swojego brata. Wrócił po kilku godzinach i zaprowadził nas do domu. Jeszcze nie zaczął mówić, co powiedział jego brat, a przez okno widzimy, jak Ukrainiec o nazwisku Kałachurka idzie w kierunku domu. Wiedzieliśmy, że Kałachurka jest przywódcą tutejszych bandytów i domyślaliśmy się, że szuka właśnie nas. Trzeba było się szybko schować, ale na to, by ukryć się poza domem, nie było już czasu. Tam był taki zwyczaj, że w kuchni pod drewnianą podłogą zazwyczaj były małe piwniczki. Ukrainiec podniósł klapę i wszyscy wskoczyliśmy do środka. Po chwili Kałachurka wszedł do domu. Od razu pyta, gdzie rodzina Żygadłów. Monczur już mu się przyznaje, że u niego nocowali. Ale jak rano poszli zobaczyć, co się stało u nich na gospodarce,

Pomnik na grobie pomordowanych w kwietniu 1943 r.

to szybko wrócili i poszli do Kostopola. My to wszystko słyszymy w tej piwnicy. „A coś ty tam chodził brać?" - pyta nagle Kałachurka. - „Byłem zobaczyć, co tam się stało, a kana po mleku wisiała, to ją sobie wziąłem". - „Nie chodź tam, to nie twoja sprawa" - ostrzegł Kałachurka i wyszedł. Po jakimś czasie wyszliśmy i zaczęliśmy rozmyślać, co dalej. Pewne było, że musimy uciekać do Kostopola. Ale moja młodsza siostra była u ukraińskiego sołtysa, który mieszkał pod lasem dwa kilometry od nas. „Wy idźcie nad rzeczkę za stodołą i tam poczekajcie, a ja przyprowadzę małą" - powiedział Ukrainiec. Rzeczywiście po jakiejś godzinie przyprowadził naszą siostrę. Zaproponował jeszcze, żebyśmy coś zjedli przed wyruszeniem w drogę, ale myśmy chcieli jak najszybciej dotrzeć do miasta. Ruszyliśmy, ale nie drogą, lecz przy rzece. Tak, aby nikt nas nie widział. Rzeczka biegła wzdłuż drogi, ale jakieś pięćset metrów od niej. Dochodzimy do Józefówki, pierwszej ukraińskiej wioski. Tu rzeczka była już mniej oddalona od drogi. Widzimy, że za stodołą stoi ktoś oparty nie wiadomo czy na kiju, czy karabinie i krzyczy: „Chodźcie tu!". Monczur poszedł sam, a my czekaliśmy przy rzeczce. Cali w strachu, co to będzie. Mama mówi: "Jak będzie sam wracać, to dobrze, a jak z tamtym drugim, to nie ma na co czekać, tylko trzeba uciekać". Wrócił sam i poprowadził nas dalej. Druga ukraińska wioska Lubaszka leżała nad samą rzeczką, przepływała ona przez jej środek. Zatrzymaliśmy się przed wsią i zastanawiamy, jak tu dalej iść. Czy obchodzić wieś z lewej, czy z prawej? Na polach prawie wszystko było już zebrane, więc nie było możliwości ukrycia się w zbożu. Ale właśnie wtedy pojawiły się dwa niemieckie samochody jadące od pobliskiego folwarku. Teraz widzę w tym, co się stało, zrządzenie losu albo boską rękę. Ukraińcy, jak zobaczyli te niemieckie samochody, to się wystraszyli i uciekali w naszą stronę. Mama postanowiła, że w tym czasie my przejdziemy przez wioskę. Biegnąc, mijaliśmy się z nimi. Oni uciekali w obawie o swoje życie i nie zwracali na nas uwagi. Przeszliśmy przez tę wioskę na pobliskie pola. Stamtąd mieliśmy już do Kostopola jakieś trzy kilometry. Monczur pożegnał się z nami i wrócił do siebie, a myśmy szczęśliwie dotarli do miasta.

W Kostopolu zamieszkaliśmy u mojej przyrodniej siostry. Miała ona

Zdjęcie wnuczki Wiktorii Kosewskiej
z kosmonautą Mirosławem Hermaszewskim i senatorem Leszkiem Czarnobajem.

nowo wybudowany dom. Co prawda wykończone były tylko dwa pokoje, ale lepsze to niż nic. W takich warunkach mieszkaliśmy od jesieni 1943 roku do wiosny 1944 roku. Wiosną 1944 roku zamieszkaliśmy u takiej mieszanej ukraińsko-polskiej rodziny. Ona była Polką, a on Ukraińcem i pracował jako kierownik młyna. Warunki bytowe były bardzo złe. Nie było żadnej pracy. Praktycznie przez cały okres mieszkania w Kostopolu żyliśmy, jak to się mówi, na łasce innych. Co prawda, gdy zamieszkaliśmy u tego młynarza, to mama piekła bułeczki, a ja z nimi jeździłem na rynek, ale ogólnie było ciężko. Pod koniec kwietnia 1945 roku jednym z pierwszych transportów repatriacyjnych opuściliśmy Kostopol.

Na początku zawieziono nas do Działdowa, ale ponieważ to były tereny polskie jeszcze sprzed drugiej wojny światowej, ani w mieście, ani w okolicznych wsiach nie było wolnych domów. Ponieważ wtedy dla tych, którzy chcieli zasiedlać ziemie przejęte od Niemców, kolej podstawiała za darmo wagony, postanowiliśmy wyjechać z Działdowa. Razem z naszym sąsiadem panem Snopkowskim zamówiliśmy wagon, zapakowaliśmy do niego nasz cały dobytek i pod koniec czerwca dotarliśmy do Prabut. Najpierw zamieszkaliśmy w domu przy ulicy Zielnej. Centrum miasta było bardzo zniszczone. Powyżej mleczarni, przy obecnej ulicy Kraszewskiego, stał spalony niemiecki czołg. Zniszczonych było też kilka domów przy ulicy Malborskiej. Tam, gdzie teraz jest lokal „Malibu", wojska radzieckie miały tymczasowy magazyn zaopatrzenia. Zrobili sobie nawet taki prowizoryczny młyn. Zbierali i młócili wszystkie zboża z okolicznych pól. Jesienią, po zebraniu wszystkich zasiewów, wyjechali. Wtedy mój stryj i moja mama zajęli to gospodarstwo. Zamieszkaliśmy w jednym z domków robotniczych i zaczęliśmy gospodarzyć. Nasz cały inwentarz stanowiła krowa i jeden prosiak. Po pewnym czasie dostaliśmy też konia, ale był on kaleki na jedną nogę i ciężko było przy jego pomocy obrobić całe dwunastohektarowe gospodarstwo. Jak weszło zarządzenie o obowiązkowych kontyngentach i musieliśmy z każdego hektara oddawać ustaloną ilość zboża, ziemniaków, mleka i mięsa, to nas zmusiło do oddania połowy ziemi. Po prostu nie byliśmy w stanie

Spotkanie rodzinne z Ks. Isakowicz-Zaleskim.

odstawiać wymaganych ilości płodów rolnych.

Pierwszy raz pojechałem na Kresy w 1995 roku. Razem z siostrą odwiedziliśmy gospodarstwo moich rodziców, a raczej to, co z niego zostało. Było tego niewiele. Nie mieliśmy zbyt wiele czasu, bo wyjazd był organizowany przez Stowarzyszenie Kresowiaków z Zamościa. Podczas dwugodzinnej przerwy w Kostopolu wzięliśmy taksówkę i pojechaliśmy do tej pierwszej wioski Lubaszka. Przy płocie jednego z domów widzimy starszego pana. Myślę: „Zapytam, może powie, jak dalej jechać". Pytam więc, jak dojechać do kolonii Grudy. Tamten na to: „A kto ty taki?" Mówię, że Żygadło. On wtedy okazał zainteresowanie i zaczął wypytywać, czy ojciec żyje. Ja mu, że nie, bo został zamordowany w majątku. On wtedy powiedział, że myślał, że jestem synem mojego stryja Edwarda. Jak się później okazało, ten staruszek do 1939 roku pomagał mojemu tacie przy koniach. Ta druga wioska, Józefówka, została zniszczona przez Sowietów, którzy w 1949 roku urządzili tam poligon i wysiedlili wszystkie wioski w promieniu czterdziestu kilometrów. Wtedy w 1995 roku można jeszcze było jakoś dojechać do naszego gospodarstwa. Oczywiście wszystkie budynki były zburzone, ale drzewa w sadzie mimo ścięcia wypuściły nowe odnogi. Ukraińcy doskonale wiedzieli, że mój tato i babcia zostali zakopani przy bramie. Mówili, że do 1949 roku, gdy nasze gospodarstwo było zamieszkane, przy bramie stał drewniany krzyż. Podczas jednego z kolejnych wyjazdów zapoznałem Polaka z Kostopola, który był kościelnym w polskim kościele. Dzięki jego pomocy udało się, na miejscu, gdzie zakopano mojego tatę i moją babcię, postawić pomnik. Do większości tych Ukraińców, których znałem, czuję szacunek. Byli to dobrzy ludzie. Monczur z narażeniem własnego życia pomagał nam dotrzeć do Kostopola. Mam żal do organizacji nacjonalistycznej za to, że w imię niezrozumiałych pobudek mordowała własnych sąsiadów.

Pomnik na grobie ojca.

Poświęcenie pomnika na grobie ojca, Feliksa Żygadły.

Spotkanie kolegów z Gimnazjum z 1945 r.

Dyrektor Państwowego Gimnazjum w Prabutach.

Na zakończenie

Miejsce mojego urodzenia to Prabuty w Polsce. Mój tata jako miejsce urodzenia ma wpisane Ugły w ZSRR. Dlaczego?! Przecież jest Polakiem! Mieszkał i mieszka w Polsce! Jako młody chłopak nie rozumiałem tej sytuacji i często towarzyszyła mi chęć dotarcia do prawdy, zdobycia wiedzy na temat życia moich przodków. To dzięki tacie poznałem historię pochodzenia naszej rodziny, a co za tym idzie, trudną , bolesną i prawdziwą historię Polski i wielu Polaków. Rozmowy z ojcem dostarczyły mi pierwszych informacji na temat tragicznych wydarzeń mających miejsce w wielu polskich miejscowościach na Wschodnich Kresach II RP w czasie II wojny światowej.

Kolonia Ugły, powiat Kostopol, województwo wołyńskie - gdzie to jest? Będąc młodym człowiekiem, nie wiedziałem tego. Wydawało mi się, że to bardzo odległe i niedostępne miejsce, wręcz egzotyczne, trudne do wyobrażenia i nikt oficjalnie nie potwierdzał słów ojca. Dopiero gdy dorosłem, poznałem prawdziwą historię naszego narodu. To właśnie po wielu latach zacząłem rozumieć sens słów taty, ułożyły się one w logiczną całość. Rozmowy z nim dały początek wydarzeniom, które dzieją się do dzisiaj, były bodźcem dla wielu inicjatyw, pozwoliły na podejmowanie działań stale „prowadzących" mnie na Wołyń.

W maju 2004 roku, kiedy Polska przystąpiła do UE, z przyjaciółmi zorganizowaliśmy pierwszą wyprawę na Wołyń. Była to bardzo pouczająca i wzruszająca podróż sentymentalna, chociaż jej początek nie okazał się zbyt zachęcający. Jako obywatele demokratycznego państwa, świeżego członka UE, odwykliśmy od specyficznego traktowania przybysza z innego państwa, a zderzenie z obyczajami panującymi na granicy po stronie ukraińskiej podłamało morale członków wyprawy. Wszelkie perypetie na granicy i uszczuplenie naszych portfeli o „drobne" zachęty zawdzięczamy pogranicznikom, milicjantom i celnikom, którzy bez odpowiedniej motywacji nie mieli ochoty nas odprawić i wpuścić na terytorium swojego państwa. W wyprawie uczestniczył Wojtek Dołęgowski, Heniu Fedoruk oraz Jędrek Krasiński ze swoją mamą. Każdy z nas jechał, by odnaleźć ślady przodków, miejsca, w których się rodzili, pędzili szczęśliwe do pewnego momentu życie, cierpieli i tragicznie umierali. Miejsca spoczynku wielu naszych krewnych i rodaków. Odwiedzi-

Prabuccy i Sarneńscy rowerzyści przy Krzyżu w Ugłach - ufundowanym przez Prabuckie Stowarzyszenie Kresowiaków w Prabutach.

Cmentarz nieistniejącej już polskiej wsi Płoskie.

liśmy Łuck (skąd pochodzi ojciec Heńka), Równe (do dziś mieszka tam rodzina Jędrka), ale głównym celem podróży były Sarny, gdzie zakwaterowaliśmy się, dzięki gościnności proboszcza parafii rzymskokatolickiej ks. Andrzeja Walczuka, na dłużej. Mieliśmy zamiar odszukać zgliszcza Kolonii Ugły, w której urodzili się ojcowie mój i Jędrzeja oraz odnaleźć mogiłę ofiar ludobójstwa z maja 1943 roku dokonanego przez banderowców. Dzięki uprzejmości leśniczego z Huty Perejmy udało nam się odnaleźć masowy grób, łut szczęścia doprowadził nas także na cmentarz we wsi Płoskie.

Po powrocie z Ukrainy zrodziła się myśl, by bliskim nam tematem Kresów Wschodnich zająć się szerzej, włączając większe grono zainteresowanych osób. Jesienią 2004 roku powołaliśmy do życia Prabuckie Stowarzyszenie Kresowiaków, które skupia mieszkańców dawnych Wschodnich Kresów II RP oraz ich potomków. Już jako stowarzyszenie podjęliśmy wiele działań mających na celu upamiętnienie zamordowanych oraz przesiedlonych Kresowian, szerzenie wiedzy na temat historii bliskiej wielu mieszkańcom gminy Prabuty i nie tylko. Ważnym celem stała się także łączność międzypokoleniowa. Dzięki temu jest szansa na pamięć przyszłych pokoleń o trudnych momentach w dziejach Polski i poszanowanie przez nie dokonań i poświęcenia ich przodków.

W nasze działania wpisały się takie inicjatywy jak wmurowanie pamiątkowej tablicy w Konkatedrze św. Wojciecha w Prabutach oraz postawienie pomnika na Katolickim Cmentarzu Komunalnym. Od 2009 roku organizujemy Konferencje popularno-naukowe poświęcone tematyce kresowej. Przychodzą na nie uczniowie miejscowych szkół, mieszkańcy Prabut oraz słuchacze z sąsiednich miejscowości. Jako prelegentów zapraszamy wybitnych historyków i znawców tej tematyki. W Prabutach gościliśmy między innymi generała Mirosława Hermaszewskiego, doktora Leona Popka, doktor Lucynę Kulińską, pisarza Stanisława Srokowskiego i wielu innych. We wszystkich konferencjach uczestniczył ksiądz Tadeusz Isakowicz Zaleski – Honorowy Ambasador Miasta Prabuty.

Ważnymi elementami naszej działalności były kolejne wyprawy na Kresy, w czasie których odwiedziliśmy między innymi Wilno, Lwów, Stanisławów,

Kamieniec Podolski, Zbaraż, Krzemieniec, gdzie obok słynnego liceum, do którego uczęszczał Juliusz Słowacki, stoi obecnie pomnik odpowiedzialnego za wymordowanie dziesiątek tysięcy Polaków Stepana Bandery, stanowi to bardzo bolesny widok dla odwiedzających to miejsce naszych rodaków.

Podczas kolejnej wyprawy Jędrzej Krasiński wraz z rodziną ustawili na mogile w Ugłach krzyż ufundowany przez Kazimierę Siewior - kuzynkę Jędrzeja. Bardzo ważne jest to, że obecni mieszkańcy wsi, która teraz nazywa się Ugli, masowo przyszli na mszę za pomordowanych. Oficjalne władze niestety nie pozwalają i niechętnie patrzą na tego typu inicjatywy, a już zupełnie nie ma mowy o tym, by umieścić na krzyżu tabliczkę z informacją, z jakiego powodu aż 104 mieszkańców jednej wsi straciło życie i zostało pochowanych tego samego dnia. Polscy harcerze z Równego pod wodzą Andrzeja Tokarskiego uporządkowali cmentarz we wsi Płoskie. Ustawili krzyże i usypali nowe mogiły. Sarny i okolice odwiedzili też prabuccy rowerzyści z inicjatywy i za namową Krzysztofa Wojewódzkiego.

Podczas wielu podróży na Wołyń została nawiązana partnerska współpraca między miastami Prabuty - Tomaszgród, w ramach której nasza gmina gości ukraińskie dzieci oraz przedstawicieli miejscowych władz.

Myślę, że jednak najwartościowszą jest współpraca z ojcami pallotynami, gospodarzami parafii w Sarnach. Zawsze możemy korzystać z ich gościnności. Plebania na czas pobytu staje się naszym drugim domem. Z chęcią tam wracamy. W zamian staramy się wspomagać ich działalność. Księża często przyjeżdżają do Prabut, w Rodowie ks. Wiktor Matuszewski głosił rekolekcje.

Mimo że Ukraina aspiruje do roli państwa europejskiego, to nadal nie potrafi uporać się ze swoją niechlubną przeszłością. Władze nie chcą przyznać się do dokonania ludobójstwa na narodzie polskim dokonanego w roku 1943 i latach późniejszych. A my pragniemy tak niewiele, bo czyż to dużo powiedzieć „Przepraszamy"? To proste słowo mogłoby przynieść spokój wielu Polakom. Mam nadzieję, że to się zmieni, bo ciężko jest żyć z tą myślą Kresowianom, szczególnie tym, którzy byli uczestnikami i naocznymi świadkami tych tragicznych zdarzeń.

Andrzej Mosiejczyk
Prezes Prabuckiego Stowarzysznia Kresowiaków

Miejsce na zapiski własne oraz pamiątki

Spis treści

Słowo wstępne	3
Rys historyczny	9
Władysława Bielawska	29
Stanisława Bobowska	35
Feliks Bobowski	47
Helena Burzyńska	59
Fabian Cenacewicz	73
Stefania Cyganowska	89
Franciszka Dąbrowska	97
Antoni Dębiński	119
Anna Drozdowska	143
Jadwiga Gdula	161
Jadwiga Kaczorowska	175
Bogusław Kasicki	183
Feliksa Kocejko	229
Anastazja Kuriata	239
Genowefa Lange	259
Antonina Łukaszczyk	265
Barbara Próchnicka	285
Tadeusz Puszkin	303
Tadeusz Rabeszko	317
Roman Rodziewicz	335
Stanisława Serafinowicz	343
Antonii Urbanowicz	357
Longina Urbanowicz	373
Władysław Urbanowicz	383
Władysław Włodarczyk	389
Kazimiera Zając	395
Bolesław Żygadło	407
Na zakończenie	433
Miejsce na zapiski własne oraz pamiątki	439

Urząd Miasta i Gminy Prabuty
82-550 Prabuty, ul. Kwidzyńska 2
tel. 55 278 20 01, faks 55 278 20 02
www.prabuty.pl, e-mail: biuro@prabuty.pl

VEGA Studio Adv. Tomasz Müller
82-500 Kwidzyn, ul. Grudziądzka 22/3A
www.grupavega.pl, e-mail: biuro@grupavega.pl

Zespół redakcyjny:
Barbara Próchnicka, Jędrzej Krasiński,
Krzysztof Wojewódzki, Tomasz Wandzel

Zdjęcia:
Archiwum Urzędu Miasta i Gminy Prabuty, zbiory prywatne

Opracowanie graficzne i przygotowanie do druku:
Agnieszka Zdaniewicz

Koordynator wydania:
Krzysztof Wojewódzki, Joanna Müller

Wszelkie prawa zastrzeżone / All rights reserved
Printed in Poland – Kwidzyn 2015
Przedruk i powielanie w jakiejkolwiek formie jest zabronione

ISBN 978-83-934801-1-1

WYDANIE BEZPŁATNE

Bibliografia

1. Grzegorz Motyka; *Od rzezi wołyńskiej do akcji „Wisła". Konflikt polsko-ukraiński 1943-1947,* Wydawnictwo Literackie, 2011, ISBN 978-83-08-04576-3
2. *Słownik współczesnego języka polskiego*, red. B. Dunaj, Wilga, Warszawa 1996, ISBN 83-7156-068-0
3. Władysław Siemaszko, Ewa Siemaszko; *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939-1945,* Wydawnictwo von borowiecky, Warszawa 2008, wydanie III, ISBN 978- 83-60748-01-5, tom I i II

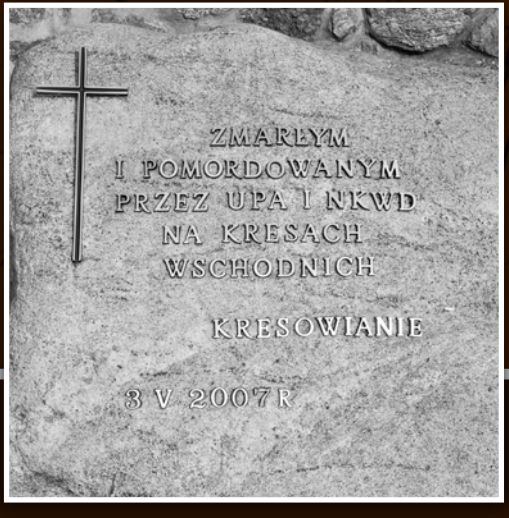

Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich.
Publikacja dofinansowana ze środków Unii Europejskiej w ramach osi 4 LEADER.
Operacja z zakresu małych projektów. Działanie 413 „Wdrażanie lokalnych strategii rozwoju"
objęte Programem Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007-2013.

Europejski Fundusz Rolny
na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich